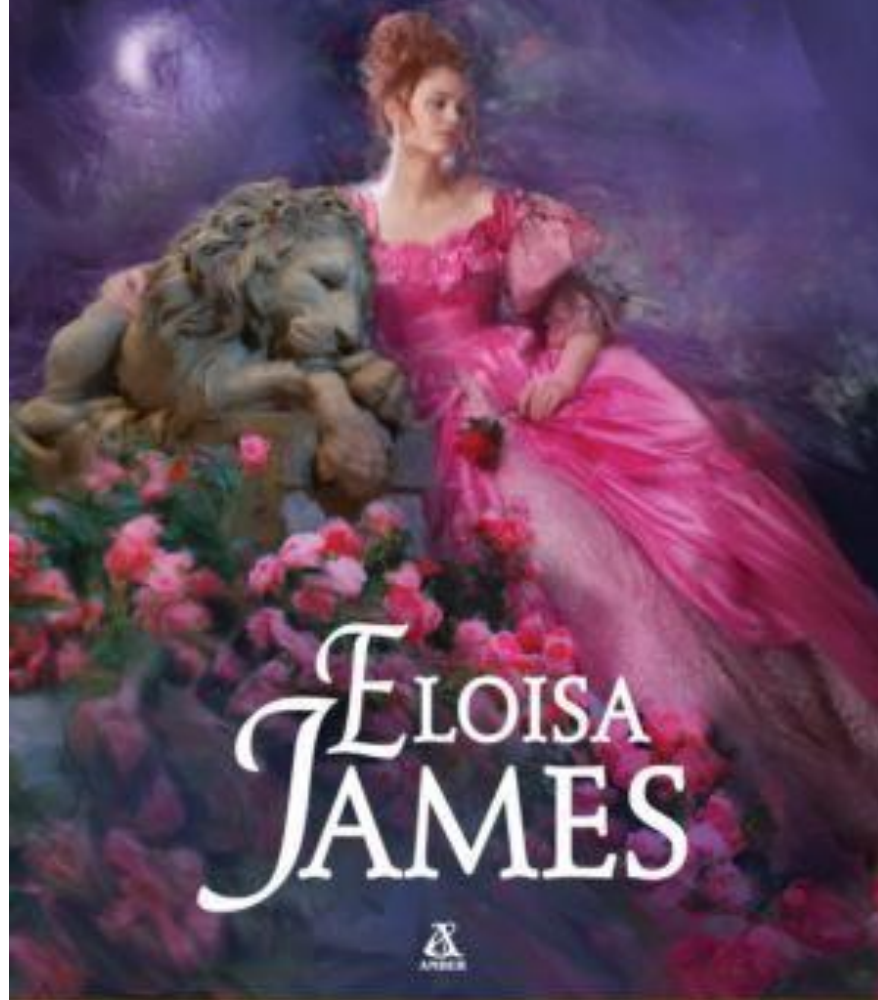


*Piękna ujarzmia bestię*



Romans historyczny

# *James Eloisa*

## *Eloisa's Fairy Tales 02*

### *Piękna ujarzmia bestię*

*Reputacja Linnet Thryne legła w gruzach. Jedynym ratunkiem przed skandalem i nieuchronnym potępieniem londyńskich salonów jest małżeństwo. Rodzina postanawia wydać skompromitowaną dziewczynę za hrabiego Yelvertona. Problem w tym, że hrabia jest szorstki, nieprzystępny i obdarzony gwałtownym temperamentem. I tylko kobieta wyjątkowa, piękna jak słońce i księżyc, mogłaby ujarzmić jego serce...*

# 1

## *Pewnego razu, nie tak Bardzo dawno temu...*

W bajkach znajdziecie więcej pięknych dziewcząt niż kamyków na plaży. Mleczarki o cerze jak kwiat magnolii stoją ramię w ramię z gwiazdzistookimi księżniczkami. Szczerze mówiąc, gdyby zliczyć każdą parę oczu lśniących jak gwiazdy w tych wszystkich uroczych twarzyczkach, pewnie powstałaby z tego cała galaktyka.

Jednak nie zmienia to, niestety, faktu, że prawdziwe kobiety rzadko kiedy przypominają baśniowe księżniczki. Mają pożółkłe zęby albo krosty na twarzy. Cień wąsika nad wargą albo nos tak wielki, że myszy mogłyby sobie zrobić z niego skocznię narciarską.

Naturalnie, są też i ładne kobiety. Ale nawet one ulegają „owym tysięcznym właściwym naszej naturze wstrząśnieniom”, na które narzekał już dobry książę Hamlet\*.

Krótko mówiąc, mało która kobieta swą urodą zaćmiewa słońce. Nie będziemy więc opiewać ząbków jak perełki, słowiczego głosu i twarzyczki tak pięknej, że na jej widok anioły skręcałyby się z zazdrości.

Linnet Berry Thrynne miała wszystkie te atuty, może tylko z wyjątkiem słowiczego głosu. Brzmiał przyjemnie i nic ponadto,

\* William Szekspir, *Hamlet*, przeł. Józef Paszkowski.

ale zapewniano ją, że jej śmiech przypomina melodyjny dźwięk złotych dzwoneczków. Choć, jak się rzekło, słowiczy głos nie wchodził w grę, nie raz wspomniano o słodkich ptasich trelach.

Nie musiała zaglądać do lusterka, żeby się przekonać, że jej włosy lśnią, oczy błyszczą, a zęby... no, te może specjalnie nie lśniły, ale przynajmniej były białe.

Była jedną z tych dziewcząt, których uroda popchnęłaby każdego stajennego do bohaterских czynów, a księcia do mniej dramatycznych - ale jednak - posunięć, takich jak przedarcie się przez jeżynowy gąszcz tylko po to, by skraść jej całusa. Niestety, nie zmieniało to pewnego podstawowego faktu.

Po tym, co zdarzyło się wczoraj, nikt już jej nie zechce za żonę.

Kłeska ta miała wiele wspólnego z naturą i charakterem pocałunków i z tym, do czego pocałunki zazwyczaj prowadzą. Choć może jeszcze więcej z naturą i charakterem książąt. Konkretnie, księcia Sussex, Augusta Fryderyka. Całował się z Linnet nie raz. Prawdę mówiąc, całował się z nią bardzo wiele razy i za każdym razem wyznawał jej gorącą miłość. Nie wspominając o tym, że kiedyś późną nocą nawrzucał jej truskawek do sypialni przez okno. Oczywiście, narobił tym okropnego nieporządku i doprowadził do szału ogrodnika.

Nie zrobił tylko jednego - nie przyrzekł jej małżeństwa.

- Fatalnie się składa, że nie mogę się z tobą ożenić - powiedział przeproszającym tonem wczoraj, kiedy wybuchł skandal. - Jesteśmy książętami krwi, no i wiesz... w związku z tym nie zawsze mogę robić to, co chcę. Mój ojciec jest nieco przewrażliwiony na tym punkcie. Naprawdę, wielki pech. Na pewno słyszałaś o moim pierwszym małżeństwie. Anulowano je, bo Augusta nie była dość dobra dla Windsorów jako córka hrabiego.

Linnet nie była córką hrabiego; jej ojciec był zaledwie wicehrabią i w dodatku nie miał najlepszych koneksji. Co gorsza, nic nie słyszała o pierwszym małżeństwie księcia. Jakoś tak się złożyło, że wszyscy plotkarze obserwujący jej flirt przez kilka minionych miesięcy zupełnie zapomnieli wspomnieć, że jej wybranek ma poza-

łowania godny zwyczaj zalecania się do dziewcząt, z którymi nie może - albo nie powinien - brać ślubu.

Książę skłonił się zamasyście, odwrócił i opuścił salę balową, by oddalić się do zamku Windsor - albo w jakieś paskudne miejsce, gdzie kryją się szczury, które uciekły z tonącego okrętu.

Linnet została zupełnie sama, nie licząc skwaszonej przyzwo-itki i tłumu eleganckich gości. Niebawem też przekonała się, jak wiele londyńskich panien i matron natychmiast, z niekłamana radością, uznało ją za wszetecznice najgorszego gatunku.

W sekundę po odejściu księcia zaczęto unikać jej wzrokiem. Gdziekolwiek spojrzała, napotykała odwrócone plecy. Gwar podnieconych, arystokratycznych głosów przypominał gęganie stada gęsi gotowych do odlotu na północ. Choć, oczywiście, to ona musiała zerwać się do odlotu - na północ, na południe... nieważne gdzie, byle prędzej opuścić miejsce porażki.

Niesprawiedliwość losu spotkała ją tym większa, że Linnet bynajmniej nie była łatwą dziewczyną. Nie bardziej niż jakakolwiek inna panna uwodzona przez księcia.

Z radością zgarnęła główną nagrodę w salonowej grze - jasnowłosego, czarującego arystokratę. Szczerze mówiąc, nie robiła sobie nadziei na zamążpójście. Zdecydowanie nie oddałaby mu swego dziewictwa bez zaręczynowego pierścionka i akceptacji króla.

Poza wszystkim innym uważała Augusta za przyjaciela, więc tym boleśniej była zawiedziona, gdy nie złożył jej wizyty następnego dnia po tym upokarzającym wydarzeniu. Nie on jeden. Linnet na próżno wypatrywała gości przez okno swojego londyńskiego domu i powoli dochodziła do wniosku, że już nikt się u niej nie zjawi z wizytą. Nikt. Ani jedna żywa dusza.

Od jej debiutu w towarzystwie kilka miesięcy temu drzwi tego domu były jak brama wiodąca do Złotego Runa, czyli do jej uroczej osóбки, obdarzonej przy tym okazałym posagiem. Młodzi mężczyźni zbiegali się w podskokach, płasach i wygibasach, obsypując ją prezentami i kwiatami, nie zapomniawszy też o zostawianiu kart wizytowych. Nawet książę zniżył się do tego, by odwiedzić ją aż cztery razy, co było niesłychanym wręcz komplementem.

A teraz... bruk ulicy lśnił w słońcu, a wokół panowała cisza.

- Nie mogę uwierzyć, że doszło do tego ot tak, bez żadnego powodu! - stwierdził ojciec. On też już zszedł do salonu.

- Księżę mnie pocałował - odparła sucho Linnet. - I nie byłby to żaden powód do niesławy, gdyby nie baronowa Buggin, która to widziała.

- Pocałunki! Też mi coś! Pocałunki to nic takiego. Chciałbym raczej wiedzieć, dlaczego powiadają, że spodziewasz się dziecka. Z księciem! - Wicehrabia Sundon podszedł do córki i popatrzył na pustą ulicę.

- Z dwóch powodów. Żaden z nich nie ma nic wspólnego z dziećmi, co powinno cię zadowolić.

- Mianowicie?

- Zjadłam nieświeżą krewetkę na poranku muzycznym, który lady Brimmer wydała w zeszły czwartek.

- I co z tego?

- Źle się poczułam. Nie zdążyłam nawet dobiec do toalety. Zwymiotowałam do donicy, pod pomarańczowe drzewko.

- Wzdrygnęła się na samo wspomnienie tej chwili.

- Tego nie sposób opanować - przyznał wicehrabia. Nienawidził fizjologii. - Rozumiem, że uznano to za objaw porodu?

- Nie porodu, tato, tylko stanu, który go poprzedza.

- Naturalnie. Pamiętasz, jak pani Underfoot zwymiotowała w sali tronowej i o mało co nie trafiła w jego wysokość króla Norwegii? Nie przez krewetkę ani nie przez dziecko. Wszyscy wiedzieli, że dama była w sztok pijana.

Moglibyśmy twoją niedyspozycję złożyć na karb nietrzeźwości.

- Czy to by mi w czymś pomogło? Mało kto chciałby poślubić pijaczkę. Poza tym nie chodziło tylko o krewetkę.

Doszła jeszcze ta moja suknia.

- A cóż takiego znowu z twoją suknią?

- Włożyłam tego wieczoru nową suknię balową i moja sylwetka z profilu prawdopodobnie zasugerowała niektórym, że jestem w odmiennym stanie.

Ojciec obrócił ją i przyjrzał się jej talii.

- Według mnie wyglądasz normalnie. Poza tym, że niewątpliwie trzęsiesz się z zimna. Naprawdę musisz tak odsłaniać dekolt?

- Muszę, bo w przeciwnym razie będę wyglądała jak opasła matrona - odparła ze zniecierpliwieniem.

- W tym problem - odparł lord Sundon. - Stroisz się jak wiejska dziewczyna na jarmark Bartłomieja. Do diaska. Poleciałem twojej przyzwoitce, kładąc na to szczególny nacisk, że masz wyglądać najskromniej ze wszystkich panien na sali. Czy ja wszystkiego muszę sam doglądać? Czy nikt tu nie potrafi wykonać najprostszych poleceń?

- Moja suknia była skromna - próbowała wyjaśnić Linnet, ale ojciec nie słuchał.

- Bóg jeden wie, jak bardzo się starałem! Opóźniłem twój debiut w nadziei, że dojrzałość przyda ci powagi na tyle, by socjeta mogła cię zaakceptować i zapomnieć o reputacji twojej matki. Ale cóż z tego, skoro twój dekolt mówi wszystkim, jaką jesteś wietrz-nicą.

Linnet wzięła głęboki oddech.

- Ta afera nie miała nic wspólnego z dekoltami. Suknia, którą miałam wczoraj na sobie, była...

- *Affairel* - wykrzyknął ojciec. - Romans! Wychowałem cię według najsurowszych zasad...

- Nie chodzi mi o *affaire* w rozumieniu Francuzów - przerwała. - Miałam na myśli to, że suknia była przyczyną wczorajszej katastrofy. Widzisz, ona ma dwie ozdobne halki i...

- Pokaż mi ją - zażądał lord Sundon, z kolei przerywając córce. - Idź i włóż ją na siebie!

- Nie mogę włożyć balowej sukni z samego rana!

- Natychmiast. I przyprowadź mi tu tę twoją przyzwoitkę. Chcę usłyszeć, co pani Hutchins ma na swoją obronę. Zatrudniłem ją właśnie po to, by uniknąć takich kłopotów. Zachowywała się jak prawdziwa purytanka, więc jej zaufałem!

Linnet poszła włożyć suknię balową.

Tkanina ciasno obejmowała jej piersi, a fałdy spódnicy upięto na boki, by odsłaniały drugą spódnicę z pięknej, belgijskiej

koronki. Ta z kolei odsłaniała trzecią warstwę z białego jedwabiu. Model cudownie wyglądał na kartach sklepowego katalogu madame Desmartins, a kiedy Linnet włożyła ją wczorajszego wieczoru, efekt uznała za zachwycający. Ale teraz, gdy panna służąca skończyła drapować wszystkie tkaniny pod czujnym okiem pani Hutchins, Linnet przyjrzała się krytycznie swojej talii.

- Wielki Boże - powiedziała niepewnie. - Naprawdę wyglądam jak w ciąży. - Odwróciła się do lustra bokiem. - Popatrzcie tylko, jak to się układa. Wszystko przez tę falbanę pod samymi piersiami. Zupełnie, jakbym się spodziewała bliźniąt.

Pokojówka Eliza nie odezwała się ani słowem, ale przyzwoitka nie okazała skrępowania.

- Moim zdaniem, to nie halki, tylko twoje piersi - stwierdziła oskarżycielskim tonem, jakby to Linnet ponosiła winę za rozmiar biustu.

Zdaniem Linnet ta kobieta miała twarz jak gargulec. Jej postać przywodziła na myśl średniowieczne katedry z całym ich kamiennym religijnym zaangażowaniem. Wicehrabia zatrudnił ją, oczywiście, właśnie dlatego.

Linnet odwróciła się do lustra. Suknia rzeczywiście miała głęboki dekolt i, szczerze mówiąc, bardzo jej się to podobało, jako że większość mężczyzn, zwłaszcza młodych, z wysiłkiem podnosiła wzrok, by spojrzeć wyżej. Byli tak tym zajęci, że Linnet mogła się wtedy przenosić myślą poza mury balowej sali.

- Jesteś zbyt bogato wyposażona w tym miejscu - ciągnęła pani Hutchins. - Za dużo ciała u góry. A dodatkowo suknia jest tak udrapowana w talii, że rzeczywiście wyglądasz, jakbyś oczekiwała szczęśliwego rozwiązania.

- Kto tu mówi o szczęściu - westchnęła Linnet.

- Nie w twojej sytuacji - zgodziła się przyzwoitka i odchrząknęła. Robiła to w nieprawdopodobnie irytujący sposób, jak nikt inny. W ciągu ostatnich miesięcy Linnet przekonała się, że chrząkanie pani Hutchins zawsze poprzedza jakiś nieprzyjemny komentarz.



- Dlaczego, do licha, żadna z nas tego nie zauważyła? - wykrzyknęła z rozpaczą, zanim pani Hutchins zaczęła wygłaszać krytyczne uwagi. - To takie niesprawiedliwe, że straciłam reputację, a być może nawet szanse na zamążpójście, tylko dlatego, że moja suknia ma za dużo falban i halek!

- Zawiniły też twoje maniery - odparła pani Hutchins. - Przykład twojej własnej matki powinien cię nauczyć, że jeśli będziesz zachowywać się jak kokota, ludzie natychmiast zaczną cię odpowiednio traktować. Przez tych kilka miesięcy starałam się wytłumaczyć ci, co jest właściwe, a co nie, ale nie słuchałaś mnie wcale. Teraz musisz zebrać to, co zasiałaś.

- Moje maniery nie mają nic wspólnego z tą suknią i z tym, jak ona się układa na mojej figurze - stwierdziła Linnet. Rzadko przeglądała się w lustrze. Gdyby choć raz spojrzała uważnie, gdyby odwróciła się bokiem...

- To przez ten dekolt - upierała się pani Hutchins. - Wyglądasz jak dojna krowa, za pozwoleniem.

Linnet mało obchodziły jej słowa. Dlaczego nikt jej nie ostrzegł? Dlaczego nikt nie powiedział, że dama powinna zawsze oglądać się z profilu, przymierzając nową suknię, bo może się okazać, że cały Londyn zacznie plotkować na temat jej ciąży?

- Wiem, że nie jesteś *enceinte* - wywodziła dalej pani Hutchins z taką miną, jakby jej było przykro z tego powodu. - Ale patrząc na ciebie, z trudem bym w to uwierzyła.

Znowu odchrząknęła.

- Jeśli chcesz rady, na twoim miejscu zasłoniłabym nieco ten dekolt. Jest wręcz nieprzyzwoity. Próbowałam ci o tym powiedzieć kilka razy w ciągu minionych dwóch miesięcy i dwudziestu trzech dni, od których mieszkam w tym domu.

Linnet policzyła do pięciu, a potem powiedziała z kamienną twarzą:

- Mam tylko taki biust, pani Hutchins, i taką samą suknię, jakie noszą wszystkie. Dekolt w niej niczym się nie różni od innych.

- Wyglądasz jak fregata - odparła przyzwoitka.

- Słucham?

- Jak fregata. Jak kobieta lekkich obyczajów!

- Ale fregata to przecież statek!

- Taki, co bywa w niejednym porcie.

- Nie do wiary! To chyba pierwszy dowcip, który od pani usłyszałam. Już się martwiłam, że nie ma pani poczucia humoru - odparła Linnet.

Kącki ust przyzwoitki opadły w dół i pani Hutchins zamilkła, urażona. Nie chciała słyszeć o tym, by zejść z Linnet do salonu.

- Nie mam nic wspólnego z tym, co ci się przytrafiło - stwierdziła. - To wola nieba i możesz powtórzyć ojcu moje słowa. Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby wbić ci do głowy jakieś zasady, ale było już za późno.

- To niesprawiedliwe - zauważyła Linnet. - Każda młoda, niedoświadczona fregata powinna mieć możliwość zakotwiczenia chociaż w jednym porcie, zanim ją zatopią.

Pani Hutchins aż się zatchnęła.

- Jeszcze masz czelność żartować. Brak ci poczucia przyzwoitości! Wszyscy wiemy, kto za to ponosi winę!

- Szczerze mówiąc, uważam, że więcej wiem o przyzwoitości i nieprzyzwoitości niż większość ludzi. W końcu to ja dorastałam u boku mojej matki, a nie pani.

- I stąd się biorą twoje problemy - zasyczała przyzwoitka z ponurym uśmiechem. - Twoja matka nie była jakąś tam córką folusznika, która ziała z wędrownym kotlarzem. Skradała się jak złoczyńca we mgle, na oczach wszystkich.

Nie była dyskretna. Cały świat widział jej zepsucie!

- Złoczyńca we mgle - powtórzyła Linnet. To brzmi jak cytat z Biblii, prawda, pani Hutchins?

Przyzwoitka zasznurowała wargi i wyszła z pokoju.

***Zamek Owfestru Pendine, Wada Rodowa siedziba książąt Windebank***

JPiers Yelverton, hrabia Marchant i dziedzic księcia Windebank, zwijał się z bólu. Od dawna wiedział, że myślenie o dolegliwościach - cóż za parszywe, durne słówko na określenie tego koszmarnego cierpienia - tylko je wzmacnia, a tego sobie nie życzył. Więc udawał, że wszystko jest w porządku i tylko nieco mocniej wspierał się na lasce, by przynieść ulgę prawej nodze.

Ból doprowadzał go do szału. Zresztą, może nie tyle ból, ile fakt, że musi tu stać i marnować czas, rozmawiając z tym patentowanym idiotą.

- Mój syn cierpi na straszne rozwolnienie i bóle brzucha - objaśniał lord Sandys, ciągnąc go w stronę łóżka.

Syn Sandysa leżał w łóżku, wymizerowany i żółty jak płótno splamione herbatą. Miał chyba około trzydziestki. Na długiej twarzy malował się wyraz nieznośnej pobożności. W dłoni ścisnął modlitewnik.

- Jesteśmy w rozpacz - dodał Sandys. Widać było, że mówi szczerze. - Leczyło go już pięciu londyńskich lekarzy, a Walia jest dla niego ostatnią szansą. Puszczali mu krew, przystawiali pijawki, poili nalewkami z pokrzywy. Pije tylko ośle mleko, krowiego nie rusza. Aha, poza tym podawano mu siarkę, ale bezskutecznie.

To zaczynało być interesujące.

- Pewnie jednym z tych głupków był Sydenham - stwierdził Piers. - Ma obsesję na punkcie siarki złocistej. Leczy nią nawet odciski. Poza tym wierzy też w opium.

Sandys skinął głową.

- Doktor Sydenham miał nadzieję, że siarka złagodzi objawy, ale niestety nie pomogła.

- Nic dziwnego. Był wystarczająco durny, żeby przyjęli go do Królewskiego Kolegium Lekarskiego, a to wiele mówi.

- Ale pan też...

- Wstąpiłem do niego z uprzejmości.

Przyjrzał się synowi Sandysa. Mężczyzna rzeczywiście wyglądał żałośnie.

- Cała ta podróż do Walii też ci nie pomogła. Chory zamrugał oczyma i odpowiedział powoli:

- Jechaliśmy powozem.

- Przekrwione oczy - zauważył Pierś. - Pewnie niedawno poszła mu krew z nosa.

- Co to oznacza? Czego mu potrzeba? - dopytywał się Sandys.

- Porządnej kąpieli. Zawsze ma taki kolor skóry?

- To prawda, trochę żółtawy - przyznał lord. - Nie odziedziczył tego po mojej rodzinie.

Zważywszy na to, że nos lorda miał barwę wiśniową, było to spore niedopowiedzenie.

- Czy spożywałeś niedawno minogi, mój dobry panie? - zapytał Pierś pacjenta.

Tamten popatrzył na niego, jakby na czole medyka wyrosły rogi.

- Nogi? Czyje nogi? Nie jadłem żadnych nóg. Pierś wyprostował się.

- Nie zna historii Anglii. Może lepiej byłoby, żeby umarł.

- Pan pytał o minogi? - włączył się Sandys. - On nie znosi owoców morza. Brzydzi się węgorzami.

- Poza tym jest głuchy jak pień. Król Henryk Pierwszy jadał minogi. Jeden z wielu szalonych królów, jakich mieliśmy w tym kraju, ale i tak normalniejszy od aktualnie panującego władcy. Był jednak na tyle głupi, że kiedyś zjadł porcję minogów i przekreślił się z tego powodu.

- Nie jestem głuchy! - odparł pacjent. - Mam bardzo dobry słuch, tylko wy wszyscy bełkocze pod nosem. Bola mnie stawy. I to jest najgorsze.

- Umierasz, i to jest najgorsze - poinformował go Pierś. Sandys złapał go za ramię i odciągnął na bok.
  - Nie mów takich rzeczy przy moim synu. Ma dopiero trzydzieści dwa lata.
  - A ciało osiemdziesięciolatka. Nie za często bywał u aktorek?
  - Ależ skądże - zachnął się Sandys. - Moja rodzina zadaje się tylko z...
  - Nocnymi ptaszkami? Mewkami, flądrami? Choć flądry ponownie wprowadzają do naszej rozmowy marynistyczną nutę, a podobno twój syn nie lubi owoców morza. Ale jeśli to rybki płci żeńskiej...
  - Mój syn jest członkiem Kościoła! - wybuchnął Sandys.
  - To jesteśmy w domu - odparł Pierś. - Wszyscy kłamią, ale dewoci są w tym mistrzami. Złapał syfilis. Wszyscy dewoci go mają, a im bardziej są pobożni, tym więcej widać objawów. Powinienem się zorientować, gdy tylko zobaczyłem ten modlitewnik.
  - Mój syn jest inny - odparł Sandys z autentycznym przekonaniem w głosie. - To człowiek Boga. Zawsze taki był.
  - Jak właśnie tłumaczyłem...
  - Wiem, co mówię.
  - Hm. Więc jeśli to nie fląderka...
  - W żadnym razie. - Sandys pokręcił głową. - On nigdy... Nie interesuje go to. Ten chłopiec to święty. Kiedy miał szesnaście lat, zabrałem go pod Różę Wenus, w Whitefriars, ale nawet nie spojrzał na żadną z dziewczynek. Zaczął się modlić i poprosił, żeby się dołączyły do modłów, ale one oczywiście miały to gdzieś. To naprawdę kandydat na świętego.
  - Jego świętością wkrótce zajmie się najwyższy sędzia. Ja nie mam tu nic do roboty.
- Sandys złapał go za ramię.
- Musi pan coś zrobić!
  - Nie potrafię.
  - Ale inni lekarze dawali mu leki i wszyscy mówili...
  - To durnie, którzy nie powiedzieli prawdy.

Sandys przełknął ślinę.

- Wszystko było dobrze, dopóki nie skończył dwudziestu lat. Śliczny, zdrowy chłopak. I nagle...

- Zabierz syna do domu i daj mu umrzeć w spokoju. Bo umrze na pewno, niezależnie od tego, czy będę w niego wlewał roztwór siarki, czy nie.

- Dlaczego? - szepnął Sandys.

- Jest chory na syfilis. Jest głuchy, ma rozwolnienie, żółtaczkę, zapalenie oczu i stawów, a do tego krwotoki z nosa. I pewnie cierpi na częste bóle głowy.

- Nigdy nie był z kobietą. Nigdy w życiu. Przysięgam. Nie ma żadnych ran na intymnych częściach ciała.

Powiedziałby mi o tym.

- Niekoniecznie musiał być z kobietą - odparł Pierś. Wysunął ramię z uścisku Sandysa i strzepnął pognieciony rękaw.

- Jak może mieć syfilis bez...

- To mógł być mężczyzna.

Sandys był tak wstrząśnięty, że Pierś ustąpił.

- Albo mogłeś być przyczyną ty sam, lordzie, co jest dużo bardziej prawdopodobne. Słodkie panienki, które odwiedzałeś w młodości, zainfekowały chłopca jeszcze zanim się urodził.

- Leczyli mnie rtęcią - protestował Sandys.

- Ale bezskutecznie. Wciąż jesteś chory. A teraz przepraszam, ale mam parę ważnych spraw. Na przykład leczenie pacjentów, którzy mają przed sobą co najmniej rok życia.

Pierś wyszedł. W korytarzu spotkał swojego majordomusa, Prufrocka.

- Nie mam pojęcia, kiedy ty pracujesz - skarcił go. - Chyba ciężko jest prowadzić taki duży dom, ciągle snując się po korytarzach, żeby chwycić wszystkie skrzydlate słowa wyfruwające z moich warg.

- Radzę sobie bez trudu - zapewnił go Prufrock i ruszył za nim. - Mam olbrzymią praktykę. Chyba trochę za ostro potraktowałeś, panie, tego lorda, nie sądzisz?

- Ostro? Byłem za ostry? Niemożliwe. Powiedziałem mu tylko, co czeka jego syna. Krótko mówiąc, mają wracać do domu

i czekać na anielskie chóry, bo na ziemskim padole cuda się nie zdarzają.

- Tak, ale to jego syn. I jeśli dobrze zrozumiałem, ojciec przekazał mu tę chorobę. Przecież to dla niego straszny cios.

- Mój ojciec by się tym nie przejął - zapewnił go Pierś. - To znaczy, gdyby miał jeszcze jednego dziedzica. Ale Sandys ma mrowie dzieci. Dziedzica tytułu i jeszcze kilku w zapasie.

- Skąd wiesz, panie?

- Bo wspominał o kościele, ty ośle. Wpakował chłopaka w objęcia Kościoła i to zdaje się od najmłodszych lat. Dziedzic tytułu pewnie szlaja się po burdelach jak jego tatuńcio. Sandys nigdy by nie pozwolił chłopakowi nie rozstawać się z Biblią, gdyby to on miał dziedziczyć tytuł. Ten facet jest zbędny. I dobrze, przynajmniej w tych okolicznościach.

- Pański ojciec byłby wstrząśnięty na samą myśl, że mógłby przekazać dzieciom chorobę tego rodzaju - zauważył Prufrock.

- Może i tak - Pierś przez chwilę udawał, że się nad tym zastanawia. - A może i nie. - Dziwię się, że ojciec nie ożenił się jeszcze z jakąś hożą dwudziestolatką. Albo szesnastolatką. Czas ucieka i niedługo nie będzie szans na następnego dziedzica.

- Jego Wysokość był głęboko związany z Jej Wysokością i wciąż cierpi z powodu smutnych wydarzeń z przeszłości - stwierdził Prufrock, wykazując całkowity brak szacunku dla prawdy.

Pierś nie pofatygował się z odpowiedzią. Noga bolała tak strasznie, jakby ktoś wbił mu w udo rozżarzony pogrzebacz.

- Muszę się napić, więc może byś się ruszył i, jak przystało na dobrego kamerdynera, powitał mnie w drzwiach biblioteki szklaneczką mocnej brandy?

- Wolę iść obok, żeby ewentualnie pana podtrzymać - odparł Prufrock.

- I zdaje ci się, że dałbyś radę? - zaśmiał się Pierś, patrząc z ukosa na niepokążnej postury mężczyznę.

- Szczerze mówiąc, nie. Ale mógłbym wezwać służącego, który pociągnąłby pana po podłodze. Jest marmurowa, więc padając, mógłby pan doznać wstrząsu mózgu, i wtedy byłby pan, być może,

milszy dla pacjentów, nie wspominając o domownikach. Betsy znowu się przez pana popłakała dziś rano. Chyba się panu zdaje, że podkuchenne rosną na drzewach.

Dzięki Bogu, biblioteka była już blisko. Pierś zatrzymał się na chwilę i przelotnie pomarzył o amputacji, nie pierwszy raz zresztą. Mógłby sprawić sobie egipską lektykę w stylu tych, w których noszono Kleopatę. Chodzenie byłoby wprawdzie cholernie trudne, ale przynajmniej pozbyłby się tego piekielnego bólu.

- Przyszedł list od pańskiego ojca - powiedział Prufrock. - Pozwoliłem sobie położyć go przy łóżku.

- Chcesz powiedzieć, że pozwoliłeś sobie go otworzyć - poprawił go Pierś. - I co tam pisze?

- Wyraża niejaki zainteresowanie pańskimi planami małżeńskimi - odparł pogodnie majordorrius. - Zdaje się, że pański ostatni list, w którym wymienił pan niezbędne cnoty swej przyszłej żony, wcale go nie zniechęcił. Muszę powiedzieć, że mnie to nieco zdziwiło.

- Ten, w którym nawyzywałem go od idiotów? - zirytował się Pierś. - Też do niego zajrzałeś, ty wścibski szczurze?

- Jest pan dziś niezwykle poetyczny - skomentował Prufrock. - Te wszystkie porównania... mewki, flądry, a teraz jeszcze i szczury, i to w odniesieniu do skromnego lokaja. Jestem zaszczycony, zapewniam.

- Czego znowu chce książę? - spytał Pierś. Widział już drzwi biblioteki i niemal czuł smak brandy w gardle. -

Mówiłem mu, że nie wezmę sobie żony, jeśli nie będzie piękna jak słońce i księżyc zarazem. To cytat z literatury, gdybyś nie wiedział. I dodałem jeszcze mnóstwo innych warunków, licząc, że wpędzę go tym w ostateczną desperację.

- A on dalej szuka żony - uzupełnił Prufrock.

- Chyba dla siebie, mam nadzieję. Trochę za długo z tym czekał - odparł Pierś, zupełnie nie zainteresowany wieściami. - Ludzie w tym wieku nie mają już takich jaj jak w młodości, jeśli wybaczysz mi wulgarne ujęcie tej prawdy, Prufrock. Bóg jeden wie, że jesteś bardziej kulturalny ode mnie.



- Kiedyś byłem, zanim jeszcze zacząłem u pana pracować -odparł kamerdyner i z ukłonem otworzył drzwi swemu chlebodawcy.

Pierś myślał tylko o jednym. O złocistym, i ognistym w smaku płynie, stanowiącym doskonale lekarstwo na ból.

- Więc on dalej szuka żony - Pierś powtórzył machinalnie, kierując się prosto w stronę karafki. Nalał sobie solidną porcję. -Co za parszywy dzień. Wprawdzie to nie mój interes, i twój też nie, ale szkoda, że nic nie mogłem zrobić dla tej dziewczyny, która dziś rano zastukała do tylnych drzwi.

- Tej ze wzdętym brzuchem?

- To nie jest zwykła opuchlizna. Jeśli ją zoperuję, umrze. Jesh nie zoperuję, choroba ją wykończy. Więc poszedłem na łatwiznę.

Dopił brandy.

- Odesłał ją pan z powrotem?

- Nie miała dokąd pójść. Oddałem ją pod opiekę siostry Matyldy, kazałem położyć w zachodnim skrzydle i dać tyle opium, żeby zapomniała o bożym świecie. Na szczęście zamek ,est na tyle duży, że może pomieścić wszystkich tych umarlaków.

- Pański ojciec. I sprawa małżeństwa - przypomniał Prufrock. Wyraźnie próbował zmienić temat. Pierś nalał sobie kolejną

szklanekę, tym razem mniejszą. Nie chciał utkwic na wieki w butelce brandy, tym bardziej, że nadmierne picie zmniejszyłoby przeciwbólowe właściwości tego napitku.

- Aha Małżeństwo - przytaknął posłusznie. - Najwyższy czas Matka przepadła dwadzieścia lat temu. Chociaż „przepadła” to nie jest właściwe słowo. Moja droga *maman* żyje sobie wygodnie na kontynencie, więc Jego Wysokość mógłby się w końcu ożenić po raz drugi. Niełatwo było dostać ten rozwód, wiesz przecież. Pewnie kosztował tyle, co niewielki majątek ziemski. Ojciec powinien się uwinąć ze zbiorami, póki słońce świeci... innymi słowy, dopóki jeszcze mu od czasu do czasu staje.

- Pański ojciec nie zamierza się żenić - odparł Prufrock. Cos w jego głosie sprawiło, że Pierś podniósł wzrok.

- Nie żartuj.

Prufrock skinął głową.

- Mam wrażenie, że Jego Wysokość postrzega pana, albo raczej pańskie małżeństwo, jako wyzwanie. Może dlatego, że postawił pan tak wiele wymagań. Można powiedzieć, że księżę się uparł, by zrealizować swój plan. Te wszystkie trudności wzbudziły jego zainteresowanie.

- A pies z nim tańczył. Nigdy nie znajdzie odpowiedniej kobiety. Wyrobiłem sobie niezłą reputację.

- Pański tytuł znaczy więcej niż reputacja - stwierdził Prufrock. - Nie wspominając o takim drobiazgu jak majątek po ojcu.

- Psiakrew, pewnie masz rację. - Pierś uznał, że należy mu się jeszcze jedna szklaneczka. - A co z moim kalectwem? Myślisz że kobieta wyszłaby za mężczyznę... co ja plotę! Oczywiście, że by wyszła!

- Wątpię, by wiele dam uznało to za poważny problem - odparł Prufrock. - Natomiast pańska osobowość...

- Do diabła z tobą - mruknął Pierś bez przekonania.

### 3

-**Na** widok Linnet wkraczającej do salonu ojciec głośno jęknął.

- W zeszłym miesiącu odrzuciłem trzech kandydatów do twojej ręki, a teraz jestem przekonany, że następnych już nie będzie Psiakrew, gdybym nie znał prawdy, sam bym się zastanawiał, czy jesteś dziewicą. Wyglądasz jak w piątym miesiącu.

Linnet usiadła ciężko, a halki uniosły się jak biała chmurka i udrapowały wokół niej.

- Przecież nie jestem w ciąży - odparła, choć zaczynała czuć się jak ciężarna.

- Damy nie używają takich słów - skarcił ją lord Sundon. - Czy ty się niczego nie nauczyłaś od tej swojej guwernantki?

Pomachał monoklem w powietrzu dla podkreślenia wagi słów.

- Można wspominać o poważnym stanie albo ostatecznie powiedzieć, że jest się *enceinte*. Ale nie w ciąży, bo to wulgarnie słowo i ma wulgarnie konotacje. Ludzie z naszej sfery mają tę przyjemność, a nawet szczęście, że mogą zapomnieć o przyziemnych sprawach, o płodności, o...

Linnet odbiegła myślami daleko. Ojciec stał się zjawą odzianą w błękit. Jego kamizelka zapinana na srebrne guziki intarsjowane kością słoniową, zdobna w polne maki, i jego pruski kołnierzyk były szczytem elegancji. Naprawdę nie obchodziło go to, co przyziemne, ale jego córka zupełnie sobie z tym nie radziła.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Wbrew sobie, Linnet z nadzieją w sercu popatrzyła na kamerdynera, który wszedł, by zapowiedzieć gościa. Na pewno książę August wszystko przemyślał jeszcze raz. Jak mógłby siedzieć w swoim pałacu, wiedząc, że Linnet właśnie została odrzucona przez całą socjetę? Musiał przecież słyszeć o nieszczęsnym incydencie na balu, kiedy po jego odejściu nikt nie odezwał się do Linnet ani jednym słowem.

Oczywiście wszedł wtedy, gdy plotka właśnie się roznosiła w sali balowej. Zniknął w drzwiach z grupką swoich przyjaciół i nawet się nie obejrzał... i już po chwili wszyscy goście odwrócili się od niej. Niewątpliwie tylko czekali, jak książę zareaguje na wiadomość, że Linnet spodziewa się dziecka.

A przecież on najlepiej wiedział, że to nieprawda. A przynajmniej, że dziecko nie jest jego. Może właśnie dlatego ją od siebie tak nagle odepchnął. Może także uwierzył plotkarzom i uznał, że kto inny jest ojcem dziecka.

Cała sala balowa dała jej odczuć swoją pogardę. Tak, to na pewno o to chodziło.

Niestety, kamerdyner zaanonsował nie księcia, tylko ciotkę Linnet, lady Etheridge, którą bliscy nazywali Zenobią. Sama wybrała sobie to imię jako młoda dziewczyna, gdy doszła do wniosku, że Hortensja nie odzwierciedla jej osobowości.

- Wiedziałam, że to się źle skończy - oświadczyła ciotka, zatrzymując się w drzwiach i upuszczając rękawiczki na podłogę zamiast oddać je lokajowi, który stał tuż obok.

Zenobia uwielbiała dramatyczne sytuacje, a gdy sobie wypła przy kolacji, przechwalała się przed wszystkimi, że byłaby lepszą lady Makbet niż słynna Sarah Siddons.

- Mówiłam ci ze sto razy, Corneliusie, że ta mała jest za ładna i że to jej zaszkodzi. I proszę, jest już *enceinte*, a ja dowiaduję się o tym ostatnia spośród wszystkich londyńczyków.

- Nie jestem... - zaczęła Linnet.

Ale zagłuszył ją głos ojca, który postanowił przejść do ataku, zamiast wyjaśnić nieporozumienie.

- To nie jej wina, że poszła w ślady matki.

- Moja siostra była czysta jak śnieg - huknęła Zenobia.

Od słowa do słowa zaczęła się potyczka, bez szans na rozejm.

- Może i była jak śnieg, Bóg jeden wie, że mogę coś o tym powiedzieć, ale było w niej dość ciepła, gdy jej na tym zależało. Wszyscy widzieliśmy, jaki żar w niej płonął, szczególnie w bliskości rodziny królewskiej. Teraz już wszystko rozumiem!

- Rosalyn zasługiwała na króla - wykrzyknęła Zenobia. Wkroczyła na środek salonu i stanęła w pozie łuczniczki.

Linnet natychmiast zorientowała się, że naśladuje panią Siddons, która tydzień temu na scenie Covent Garden w roli Desdemony w takiej właśnie pozie odrzucała okrutne oskarżenia Otella o niewierność.

Niestety, biedny papa do pięt nie dorastał wojowniczemu Maurowi. Prawdą było, że jej najdroższa matka

zdradzała go na prawo i lewo, i dobrze o tym wiedział. Ciotka Zenobia też wiedziała, choć udawała, że jest inaczej.

- Nie sądzę, że to ma teraz jakieś znaczenie - wtrąciła Linnet. - Mama nie żyje od kilku lat, a jej sympatia do rodziny królewskiej nie ma tu nic do rzeczy.

Ciotka rzuciła jej omdlewające spojrzenie.

- Zawsze będę bronić twojej matki, choć spoczywa już w zimnym grobie.

Linnet skuliła się w kącie pokoju. To prawda, jej matka była już w grobie. Na pewno bardziej za nią tęskniła niż Zenobia, zważywszy że obie siostry bez przerwy się kłóciły, i to w dodatku

o mężczyzn. Choć trzeba przyznać, że ciotka znacznie lepiej się prowadziła niż matka.

- Wszystko przez tę urodę - stwierdził ojciec. - Uderzyła Linnet do głowy, tak jak niegdyś Rosalyn. Moja żona uważała, że wszystko jej wolno, bo jest taka piękna i...

- Rosalyn nigdy nie zachowywała się niewłaściwie! - przerwała Zenobia.

- Zachowywała się nieodpowiedzialnie przez długie lata - sprzeciwił się ojciec. - A teraz córka poszła w jej ślady i jej reputacja jest zrujnowana. Zrujnowana!

Zenobia otworzyła usta i zamknęła je bez słowa. Zapadła cisza.

- Nieważne, jaka była Rosalyn - odezwała się w końcu, poprawiając włosy. - Teraz musimy się zająć naszą drogą Linnet. Wstań, kochanie.

Linnet wstała.

- Wydaje mi się, że to piąty miesiąc - oceniła ciotka. - Nie mam pojęcia, jak ci się udało to przede mną ukryć. Hrabina Derby obeszła się ze mną bardzo ostro, sądząc, że ukrywałam to przed nią. Musiałam przyznać, że sama nic nie wiedziałam, i wcale nie jestem pewna, czy mi uwierzyła.

- Nie spodziewam się dziecka - odparła Linnet, cedząc słowa.

- Wczoraj twierdziła to samo - przytaknął ojciec. - Rano wcale na taką nie wyglądała - stwierdził, spoglądając na jej talię. - Ale teraz już tak.

Linnet obciągnęła halkę wydmającą się pod piersiami.

- Widzisz, ciociu? Wcale nie jestem *enceinte*. To tylko sfałdo-wana tkanina.

- Moja droga, i tak kiedyś będziesz musiała się przyznać - odpowiedziała Zenobia, przeglądając się w kieszonkowym lusterku. - W końcu i tak się wyda. W tym tempie, za kilka miesięcy będziesz ogromna. Ja przezornie wyjeżdżałam na wieś zawsze, kiedy moja talia choć trochę się poszerzała.

- Co my z nią zrobimy? - jęknął ojciec i opadł na krzesło jak marionetka, której przecięto sznurki.

- Tu już nic się nie da zrobić - odparła Zenobia, pudrując nos. - Nikt nie życzy sobie kukułczych jaj w gnieździe. Trzeba ją będzie wysłać za granicę, może tam kogoś złapie na męża. Naturalnie, trzeba będzie poczekać, aż dojdzie do siebie. Musisz podwoić jej posag. Na szczęście, będzie twoją dziedziczką. Prędzej czy później, wydamy ją za kogoś.

Odłożyła pędzelek do pudru i pogroziła Linnet palcem.

- Twoja mama byłaby bardzo rozczarowana, kochanie. Czyżby niczego cię nie nauczyła?

- Rozumiem, że twoim zdaniem Rosalyn powinna zrobić z Linnet równie rozwydrzoną kobietę, jak ona sama - zirytował się ojciec. Widać było jednak, że nie ma już siły ani ochoty się kłócić.

- Nie spałam z księciem - powiedziała Linnet głośno i wyraźnie. - Może, gdybym to zrobiła, czułby się zobowiązany mnie poślubić. Ale ja nie chciałam.

Ojciec jęknął i oparł głowę o zagłówek fotela.

- Nie mów tak - odparła Zenobia, mrużąc oczy. - Dziecko królewskiej krwi stanowi przynajmniej jakąś wymówkę. Jeśli jednak ten bękart jest niższego rodu niż książęcy, to ja nie chcę o tym słyszeć.

- Ja nie... - upierała się Linnet. Ciotka przerwała jej stanowczym gestem.

- Wiesz, Corneliusie, myślę, że to może być dobre rozwiązanie. Zwróciła się do Linnet:

- Powiedz nam, kto jest ojcem tego dziecka, a wtedy twój tata zobowiąże go do małżeństwa. Nikt poniżej książęcej rangi nie odważy się mu odmówić.

Niemal natychmiast przeniosła wzrok na ojca dziewczyny:

- Być może będziesz się musiał pojedynkować, Corneliusie. Masz jakieś pistolety, prawda? Kiedyś groziłeś przecież, że wywiesz lorda Billetsforda.

- Bo znalazłem go w łóżku z Rosalyn - odpowiedział bez żalu, rzeczowym tonem. - W naszym nowym łóżku. Mieliśmy je ledwie od tygodnia albo od dwóch.

- Moja siostra miała wiele namiętności - powiedziała Zenobia z czułością.
  - Zdawało mi się, że przed chwilą twierdziłaś, że była czysta jak śnieg! - warknął wicehrabia.
  - Bo miała piękną duszę! Umarła w stanie łaski. Nikt nie zaprzeczył, więc Zenobia mówiła dalej:
  - Tak czy owak, obejrzyj te pistolety, Corneliusie, i sprawdź, czy działają. Może będziesz musiał kogoś zabić. Choć według mnie, jeśli podwoisz posag, szybko się dogadacie.
  - Nie ma do kogo strzelać - odpowiedziała Linnet. Zenobia parsknęła śmiechem.
  - Tylko nie wmawiaj mi, że to było niepokalane poczęcie, moja miła. Nie wierzę, żeby było to możliwe nawet dawno temu w Jerozolimie. Za każdym razem, kiedy pastor opowiada o tym na Boże Narodzenie, myślę sobie, że ta biedna dziewczyna miała niełatwe zadanie, by wytłumaczyć się przed wszystkimi z tego, co się stało.
  - Nie mam pojęcia, dlaczego wciążasz w to Pismo Święte -zdziwił się ojciec Linnet. - Chodzi o księcia, nie o Boga. Linnet jęknęła.
  - Ta suknia mnie po prostu pogrubia. Zenobia opadła na krzesło.
  - Chcesz powiedzieć, że nie spodziewasz się dziecka?
  - Od dłuższego czasu. Nie przespałam się ani z księciem, ani z nikim innym.
- Gdy ta prawda wreszcie dotarła do ciotki, zapadła ponura cisza.
- Wszchemogący Panie, czy to znaczy, że masz zrujnowaną opinię, choć nawet nie spróbowałaś konfitur? - wykrztusiła w końcu dama. - Co gorsza, pokazywanie cienkiej talii wcale ci teraz nie pomoże. Wszyscy po prostu uznają, że pozbyłaś się problemu, jak to się mówi.
  - Bo księżę nie chciał jej poślubić - uzupełnił ponuro wicehrabia. - Sam bym tak pomyślał w podobnej sytuacji.
  - To niesprawiedliwe - rozzłościła się Linnet. - Z powodu... hm... reputacji mojej mamy wszyscy z góry uznali, że jestem flirciarą!

- To mało powiedziane - skrzywił się ojciec. - Wszyscy z góry założyli, że będziesz wietrznicą, a teraz są przekonani, że to prawda. Chociaż nie zrobiłaś nic złego.
- Jesteś po prostu zbyt urodziwa - napuszyła się ciotka. -Wszystkie kobiety w naszej rodzinie cierpią z tego powodu. Weź choćby biedną Rosalyn, która umarła w tak młodym wieku.
- Ty jakoś nie wyglądasz na cierpiącą - odparł szorstko wicehrabia.
- A jednak cierpię. Naprawdę - zapewniła go Zenobia. -Wiem, kim mogłabym być i co mogłabym osiągnąć, gdyby nie kajdany mej pozycji społecznej, które nie pozwalają mi rozwinąć skrzydeł. Byłabym ozdobą teatrów całego świata. Podobnie jak Rosalyn. Pewnie dlatego była taka...
- Jaka? - rzucił zaczepnie wicehrabia.
- Nieodparcie pociągająca.
- Raczej rozwiązała - syknął lord Sundon.
- Wiedziała, że jest godna najlepszych partii w tym kraju - rozczuliła się Zenobia. - Jak widać, Linnet też marzyła o wysoko urodzonym arystokracie i teraz ponosi tego smutne konsekwencje.
- Rosalyn nie miała szans na takie małżeństwo - sprostował wicehrabia. - Właśnie po to ustanowiono Królewskie Prawo Małżeńskie, jakbyście nie wiedziały. Wskazał Linnet palcem.
- Nie zastanawiałaś się nad tym, zanim rozpętałaś ten skandal z młodym Augustem. Chryste Panie, przecież wszyscy wiedzą, że parę lat temu ożenił się z jakąś Niemką. Zdaje mi się, że w Rzymie. Sam król musiał się tym zająć i anulować to małżeństwo.
- Do wczoraj nic o tym nie wiedziałam - odparła Linnet. -W końcu August sam mi o tym powiedział.
- Dziewczętom nie mówi się takich rzeczy - wyjaśniła ciotka lekceważąco. - Jeśli tak się o nią martwiłeś, Corneliusie, to dlaczego nie raczyłeś osobiście się nią zaopiekować na tych wszystkich balach?
- Bo byłem zajęty! Znalazłem jej przyzwoitkę, bo ty się z tym za bardzo leniłaś. Wybrałem panią Hutchins, bardzo szanowaną



kobietę, która dobrze rozumiała, w czym problem. Gdzie ona jest? Zapewniała mnie, że twoja reputacja będzie nieskazitelna.

- Nie chce zejść na dół.

- Boi się - mruknął. - A twoja guwernantka? Następna niewinna. Sto razy jej mówiłem, że masz być idealnie wychowana, żeby świat zapomniał o reputacji twojej matki.

- Pani Flaccide obraziła się, kiedy wczoraj powiedziałeś, że jest narzędziem szatana, i oskarżyłeś ją, że zrobiła ze mnie ladacznicę.

- Może odrobinę za dużo wypilem - przyznał ojciec bez cienia żalu. - Musiałem zapomnieć o rozpaczy, kiedy powiedziano mi prosto w oczy - prosto w oczy! - że moja córka okryła się niesławą.

- W godzinę później stąd wyjechała - dodała Linnet. - I zdaje mi się, że nie wróci, bo Tinkle mówi, że zabrała ze sobą sporą część naszych sreber.

- Srebra to drobiazg - zauważyła Zenobia. - Nie powinno się drażnić służby, bo przecież oni najlepiej wiedzą, gdzie trzymamy kosztowności. Jest coś ważniejszego. Twoja guwernantka prawdopodobnie wiedziała o słodkich bilecikach, które przysyłał ci ten królewskiej krwi podlec?

- Nie pisywał do mnie miłosnych liścików, jeśli o to ci chodzi. Ale kiedyś nad ranem rzucał w moje okno truskawkami. Pani Flaccide i pani Hutchins powiedziały wtedy, że nikt nie powinien się o tym dowiedzieć.

- A teraz ta Flaccide opowie o tym całemu światu - oświadczyła ciotka. - Dureń z ciebie, Corneliusie. Trzeba było wypłacić jej pięćset funtów na rękę i z miejsca odesłać do Suffolk. Teraz będzie sobie używać i z jednej truskawki zrobi całe pole. Pewnie zacznie rozpowiadać, że Linnet spodziewa się bliźniąt.

Linnet pomyślała, że niechybnie tak właśnie się stanie. Guwernantka nigdy jej nie polubiła, podobnie zresztą jak większość kobiet. Odkąd Linnet zadebiutowała w towarzystwie, wszystkie dziewczęta zbijały się w grupki i chichotały za jej plecami. Oczywiście, żadna z nich nie powiedziała Linnet, co je tak bawi.

Zenobia wyciągnęła rękę i zadzwoniła na służbę.

- Nie rozumiem, dlaczego nie zaproponowałaś mi herbaty, Corneliusie. W życiu Linnet zaszła wielka zmiana, ale mimo wszystko trzeba coś jeść.
- Jestem zrozpaczony, a ty chcesz, żebym cię częstował herbatą? - jęknął wicehrabia.
- Tinkle otworzył drzwi tak szybko, że na pewno pod nimi podsłuchiwał. Trudno mu się było dziwić.
- Podaj nam herbatę i coś do zjedzenia - zadysponowała Zenobia. - I do tego coś wyszczuplającego.
- Lokaj zrobił zdziwioną minę.
- Ogórki, ocet i tak dalej - zniecierpliwiła się Zenobia. Kiedy wyszedł, wskazała dłonią talię Linnet.
- Coś trzeba z tym zrobić, moja droga. Nikt nie nazwałby cię pulchną, ale daleko ci do chudości, prawda?
- Linnet znowu policzyła do pięciu.
- Mam taką samą figurę jak matka. I jak ty, ciociu.
- Szatańskie pokusy - mruknął ojciec. - To nieprzyzwoite, tak się odsłaniać.
- Co za pech - odcięła się Linnet. - Złapałam księcia, ale władca ciemności się nie ukazał.
- Daleko Augustowi do diabła wcielonego - uspokoiła ją ciotka. - Wcale się nie dziwię, że nie udało mu się ciebie uwieść. Straszny z niego fajtłapa.
- Powinni zabronić mody, która zmienia niewinne dziewczę w matronę spodziewającą się potomstwa - złościł się lord Sun-don. - Nie włożyłbym czegoś takiego. To znaczy, gdybym nosił suknie. To znaczy, gdybym był kobietą.
- Z każdym rokiem jesteś coraz głupszy - stwierdziła Zenobia. - Nie mam pojęcia, dlaczego moja siostra zgodziła się za ciebie wyjść.
- Bo mama kochała tatę - odparła Linnet z największą stanowczością, na jaką mogła się zdobyć. Trzymała się tej wersji od lat, to znaczy od pewnego kłopotliwego wieczoru, kiedy to zastała matkę z innym mężczyzną w sytuacji niedwuznacznie sugerującej intymną bliskość.

- Kocham twojego tatę - wyjaśniła jej wtedy matka. - Ale pamiętaj, moja droga, że takim kobietom jak ja miłość nie wystarcza do szczęścia. Potrzebuję podziwu, wierszy, poezji, kwiatów, klejnotów... nie mówiąc już o tym, że François jest zbudowany jak młody bóg i wyposażony jak ogier.

Linnet tylko zamrugła, więc matka dodała:

- Nie przejmuj się, kochanie, wyjaśnię ci to wszystko dokładnie, kiedy będziesz starsza.

Nigdy do tego nie doszło, ale Linnet w końcu sama uzyskała informacje wystarczające do zrozumienia, co tak bardzo pociągało matkę u François.

Ojciec spojrzał w jej stronę.

- Rosalyn kochała mnie tak samo, jak August kochał ciebie. Krótko mówiąc, niewystarczająco.

- Boże wielki, nie wtrącaj mnie w bagno rozpaczy! - jęknęła Zenobia. - Daj biednej Rosalyn spoczywać w spokoju, dobrze? Bo pożałuję dnia, w którym zgodziła się zostać twoją żoną!

- Wszystko dobrze pamiętam - odpowiedział ponuro wicehrabia. - Linnet jest taka sama jak matka, to widać jak na dłoni.

- Jesteś niesprawiedliwy - skrzywiła się dziewczyna. - W tym sezonie byłam wzorem skromności. Jak zresztą przez całe życie!

Zmarszczył brwi.

- Tylko że w tobie jest coś takiego...

- Coś frywolnego - przerwała mu Zenobia miękko. - Niech Bóg będzie łaskaw dla Rosalyn... bo masz to po niej. To wszystko jej wina. Te dołeczki, ten błysk w oku, ta minka. Rzeczywiście wyglądasz jak kokota.

- Kokota bawiłaby się o wiele lepiej niż ja - zaprotestowała Linnet. - Zachowywałam się, jak przystało na młodą damę z towarzystwa, możecie spytać panią Hutchins.

- To rzeczywiście niesprawiedliwe - zgodziła się Zenobia. Z brzegu jej grzanki spłynęła kropelka miodu, zakołysała się łagodnie i kapnęła na fiołkowy jedwab porannej sukni.

- Mam nadzieję, że powiedziałaś hrabinie, iż nigdy nie byliśmy z Augustem sam na sam - mruknęła Linnet.

- Skąd miałam to wiedzieć? - spytała Zenobia. - Nie mam wglądu w twój wizytownik. Muszę przyznać, że byłam równie wstrząśnięta jak nasza droga hrabina.

Linnet jęknęła.

- Mogłabym się teraz rozebrać do naga w klubie u Almacka, jedynym zresztą, gdzie się wpuszcza kobiety, i nikt nie uwierzyłby mi, że nie spodziewam się dziecka. Nawet gdybym miała talię jak osa. Tak wynika z twoich słów, ciociu. W dodatku tato zwolnił panią Flaccide i jestem pewna, że ta wiedźma oplotkuje mnie przed całym Londynem.

Naprawdę będę musiała się przenieść za granicę albo zaszyć na wsi.

- Francuzów łatwo jest zadowolić, choć ta cała wojna nieco komplikuje sprawę - powiedziała zachęcająco ciotka. - Ale mam lepszy pomysł.

Linnet nie odważyła się zapytać, co to za pomysł, ale ojciec odezwał się znużonym głosem:

- O co ci chodzi?

- Nie o co, tylko o kogo.

- Więc o kogo?

- O Yelvertona, dziedzica Windebank.

- Windebank? O kim ty mówisz, do diabła? Może o Yon-ningtonie? O Walterze Yonningtonie? Jeśli jego syn wdał się w ojca, za nic nie pozwolę Linnet zbliżyć się do niego, nawet gdyby spodziewała się dziecka.

- Uprzejmie ci dziękuję, tatusiu - mruknęła dziewczyna. Ponieważ ciotka nie poczęstowała jej grzanką, sama sięgnęła po nią do półmiska.

- Szczupłość, kochanie. Masz być szczupła - napomniała ją Zenobia uprzejmie, lecz stanowczo.

Linnet zacisnęła wargi i posmarowała grzankę podwójną ilością masła.

Ciotka westchnęła.

- Corneliusie, przecież Yelverton jest księciem Windebank. Naprawdę, czasem zastanawiam się, jak ty sobie dajesz radę w tej całej Izbie Lordów, tak niewiele wiedząc o arystokracji.

- Wiem, co trzeba - odrzekł wicehrabia. - A reszta mnie nie obchodzi. Jeśli chodziło ci o Windebanka, dlaczego nie powiedziałaś o tym od razu?
  - Bo myślałam o jego synu - wyjaśniła. - Naturalnie, ma jeszcze drugi tytuł. Niech sobie przypomnę... i takie dziwne imię. Peregrine, Penrose... och, już wiem. Pierś.
  - Brzmi jak jakieś nabrzeże w porcie - wtrącił lord Sundon.
  - Pani Hutchins nazwała mnie rano fregatą - wtrąciła Linnet. - Nabrzeże całkiem niezłe do tego pasuje. Zenobia pokręciła głową.
  - Właśnie przez takie uwagi znalazłaś się w kłopotach, Linnet. Powtarzam ci bez przerwy, że inteligencja na nic ci się nie przyda. Dama ma być piękna i elegancka, czyli miła, łagodna i subtelna.
  - Mimo to wszyscy uważają, że jesteś damą - odparowała Linnet.
  - Bo jestem mężatką - odpowiedziała spokojnie Zenobia. - A raczej byłam, do śmierci Philipa. Teraz nie muszę już być słodka i anielska. W odróżnieniu od ciebie. Więc zanim pojedziesz do Walii na spotkanie z Yelvertonem, przypomnij sobie zasady dobrego wychowania. O ile się nie mylę, jest hrabią Marchant. A może Mossford? Nie jestem pewna. Nigdy z nim nie rozmawiałam.
  - Ja też nie - stwierdził lord Sundon. - Chcesz wyswatać Linnet z niedorostkiem, Zenobio? Nic z tego nie wyjdzie.
  - Ależ skądże. Na pewno ma powyżej trzydziestki, ale nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Pamiętasz chyba tę plotkę, Corneliusie?
  - Nie dbam o żadne plotki - odpowiedział z urazą. - Inaczej nie wytrzymałbym pod jednym dachem z twoją siostrą.
  - Naprawdę, powinieś sobie leczyć śledzionę - dokuczyła mu, odkładając grzanekę. - Zbyt wiele żółci fermentuje w twoim ciele, a to wzbudza potężne emocje. Rosalyn nie żyje. Daj jej spocząć w spokoju, dobrze?
- Linnet postanowiła wtrącić się do rozmowy.
- Ciociu Zenobio, dlaczego uważasz, że księżę będzie skłonny wydać mnie za swojego syna? Jeśli to właśnie masz na myśli?

- Bo jest zrozpaczony - odpowiedziała ciotka. - Powiedziała mi o tym pani Nemble, serdeczna przyjaciółka lady Grymes, której mąż, jak wiesz, jest przyrodnim bratem Windebanka.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł wicehrabia. - I mało mnie to obchodzi. Dlaczego Windebank jest niby zrozpaczony? Czy jego syn to półgłówek? Nie przypominam sobie żadnych synów kręcących się w Izbie Lordów ani w klubie u Boodle'a.

- Z głową wszystko w porządku - oznajmiła triumfalnie Zenobia. - Mam lepszą wiadomość!  
W salonie zapadła cisza. Linnet z ojcem zastanawiali się, co chce im obwieścić.

- Brakuje mu czegoś - wyjaśniła ciotka.

- Czego? - Sundon nie domyślał się, co szwagierka ma na myśli.

- Koniuszka - uzupełniła.

- Palca? - zdziwiła się Linnet.

- Na litość boską - zirytowała się Zenobia, zlizując kroplę miodu z palca. - Czy w tym domu wszystko trzeba tłumaczyć dosłownie? Miał wypadek w młodości. Chodzi o lasce. Został impotentem, nazywając rzecz po imieniu. Nie zdążył począć dziedzica i nie ma na to szans w przyszłości.

- Istotnie, w tym szczególnym przypadku trzeba nazywać rzecz po imieniu - stwierdził ojciec z wyraźną satysfakcją.

- Co to znaczy impotent? - zainteresowała się Linnet.

W salonie znów zapadła cisza, a dwoje najbliższych krewnych zaczęło jej się przyglądać z taką uwagą, jakby była rzadkim okazem chrząszcza, który właśnie wypełzł spod dywanu.

- Ty jej to wyjaśnij. - Ojciec zwrócił się do Zenobii.

- Nie w twojej obecności - oburzyła się ciotka. Linnet czekała.

- Na razie wystarczy, jeśli ci powiemy, że po prostu nie może mieć dzieci - wyjaśniła wreszcie ciotka. -1 to jest najważniejsze.

Linnet natychmiast skojarzyła tę informację z różnymi komentarzami, które nie raz słyszała od matki, i stwierdziła, że nie ma ochoty dowiadywać się więcej.

- A dlaczego dzięki temu ma z niego być lepszy mąż, niż gdyby był półgłówkiem? - spytała.
- Półgłówki ślinią się przy stole albo jeszcze gorzej - odparła ciotka.
- Ty przecież mówisz o Bestii! - wykrzyknął ojciec. - Słyszałem o nim. Tylko z początku nie rozumiałem, o kogo chodzi.
- Marchant nie jest żadną bestią - skarciła go Zenobia. - To oszczerstwa, Corneliusie. Myślałam, że nie znizasz się do wysłuchiwania takich bzdur.
- Wszyscy go tak nazywają - stwierdził wicehrabia. - Ma okropny charakter. Jest genialnym lekarzem, przynajmniej tak się o nim mówi, ale jest gorszy od samego diabła.
- Sprzeczeki to normalna rzecz w małżeństwie. - Zenobia wzruszyła ramionami. - Poczekaj, aż zobaczy, jaka Linnet jest piękna. Będzie zdumiony i zachwycony, że los dał mu taką cudowną żonę.
- Czy naprawdę mam wybór tylko między półgłówkiem a bestią? - spytała Linnet.
- Nie, między półgłówkiem a niesprawnym - zirytowała się ciotka. - Twój mąż będzie zachwycony, sądząc, że dziecko jest w drodze. Teść też na pewno będzie w siódmym niebie.
- Tak uważasz? - zdziwił się lord Sundon.
- Jeszcze to do ciebie nie dotarło? - Zenobia skoczyła na równe nogi, przeszła kilka kroków i odwróciła się, dramatycznie szeleszcząc suknią. - Z jednej strony, mamy samotnego księcia i jego jedyne syna. Nie zapominaj, że książę jest zafascynowany rodziną królewską. Uważa się za serdecznego przyjaciela naszego króla, a przynajmniej uważał się, dopóki królowi nie zaczęły się roić króliczki w głowie.
- Istotnie - przytaknął wicehrabia.
- Cicho - zgasiła go Zenobia. Nie lubiła, gdy jej przerywano. -Więc z jednej strony jest samotny, zdesperowany książę. Z drugiej okaleczony, niesprawny syn. A między nimi... królestwo.
- Królestwo? - wicehrabia wybałuszył oczy.
- W przerośni - wyjaśniła Linnet, biorąc następną grzanekę. Lepiej znała ciotkę niż ojciec i nauczyła się rozumieć jej retoryczne ozdobniki.

- Królestwo bez przyszłości, bo nie ma dziecka, które będzie kontynuować ród - uzupełniła Zenobia, szeroko otwierając oczy.

- Czy książę... - zaczął Sundon.

- Cicho - powtórzyła z naciskiem Zenobia. - Pytam więc, czego trzeba tej nieszczęsnej rodzinie?

Ani Linnet, ani jej ojciec nie odważyli się odpowiedzieć. I bardzo dobrze, bo pytanie było retoryczne.

- Pytam raz jeszcze, czego trzeba tej nieszczęsnej rodzinie? Trzeba im... potomka!

- Jak nam wszystkim - westchnął wicehrabia.

Linnet poklepała go po rękawie. Pech sprawił, że choć jej matka tak szczerze darzyła wszystkich swoimi łaskami, dała mężowi tylko jedno dziecko, i to córkę, która nie mogła odziedziczyć większej części rodowego majątku.

- Potrzebują... - Zenobia podniosła głos, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę publiczności, i wyrecytowała: - Oni potrzebują księcia!

Po dłuższym milczeniu Linnet odważyła się spytać:

- Jakiego księcia, ciociu Zenobio?

W odpowiedzi otrzymała promienny uśmiech aktorki przyjmującej hołdy, a nawet bukiety róż od wdzięcznej publiczności.

- Jakiegokolwiek księcia, moja droga. A ty, zrzędzeniem losu, masz dokładnie to, czego im potrzeba. Oni szukają potomka, a ty go masz. Co więcej, jest to dziecko królewskiej krwi.

- Już rozumiem, o co ci chodzi - powiedział powoli wicehrabia. - To wcale nie jest głupi pomysł, Zenobio.

Ciotka poróżowiła na twarzy.

- Ja nie miewam głupich pomysłów. Nigdy.

- Ale ja nie noszę dziecka książęcej krwi - włączyła się Linnet. - Jeśli dobrze zrozumiałam, książę Windebank szuka kobiety w ciąży...

Widząc, że ojciec się skrzywił, poprawiła się natychmiast.

- To znaczy, książę być może zgodziłby się zaakceptować kogoś w tak trudnej sytuacji jak ja, bo wtedy jego syn mógłby mieć syna...



- Nie zwykłego syna - zapiała triumfalnie Zenobia. - Księcia. Windebank nie przyjmie do rodziny byle kogo. Jest strasznie wyniosły. Prędzej by umarł. Ale książęcego syna? Temu się nie oprze.
- Ale...
- Masz rację, Zenobio. Dalipan, co za chytra wiedźma! - ryknął ojciec.  
Zenobia wyprostowała się jak trzcina.
- Jak ty mnie nazwałeś, Corneliusie? Zamachał ręką.
- Nieważne, nie bierz tego dosłownie. To był wyraz podziwu. Niesamowitego podziwu. Niesamowitego...
- Dobrze, już dobrze - odparła pojednawczo, poprawiając włosy. - Ten plan jest genialny. Powinieneś się zobaczyć z księciem dziś po południu. Trzeba ją będzie zawieźć na ten ślub aż do Walii, bo Marchant tam mieszka.
- Ślub... - zamyśliła się Linnet. - Czy wy o czymś nie zapomnieliście?  
Spojrzeli na nią i jednocześnie zapytali:
- O czym?
- Nie urodzę żadnego księcia! - wykrzyknęła. - Nie spałam z Augustem. Nie mam w brzuchu nic poza tymi grzankami.
- Co za niesmaczna uwaga - skrzywiła się ciotka.
- Racja - dołączył się ojciec. - Absolutnie niesmaczna. Mówisz o jedzeniu jak jakaś mieszczańska.
- Niesmaczne jest przede wszystkim to, że planujecie sprzedać moje nienarodzone dziecko księciu, który jest zafascynowany rodziną królewską, chociaż ja nie noszę żadnego dziecka!
- Trzeba będzie to szybko załatwić - stwierdziła ciotka.
- Jak to?
- Założmy, że twój ojciec dziś odwiedzi Windebanka, i założmy też, że Windebank połknie haczyk. Co do tego nie ma dwóch zdań. Jak mówiłam, jest zdesperowany, a poza tym ucieszy się na myśl o potomku z królewskiego rodu.
- Ale to nie rozwiązuje problemu - upierała się Linnet.

- Oczywiście, że nie - odparła Zenobia z miłym uśmiechem. - Wszystkiego za ciebie nie załatwimy. Będziesz musiała się sama postarać.

- Niby o co?

Ojciec wstał, wyraźnie niezainteresowany dalszą rozmową.

- Włożę surdut od Jeana de Bry i heskie buty - mruknął pod nosem.

- Tylko nie ten surdut - zawołała za nim Zenobia. Zatrzymał się w drzwiach.

- Dlaczego nie?

- Bo linia ramion sugeruje napięcie. A ty musisz wyglądać na spokojnego. Przecież chcesz uratować przyszłość jego rodu, prawda?

- Więc ten szarozielony, z zakładkami na obszyciu - zdecydował wicehrabia, skinął głową i zniknął za progiem salonu.

- Ciociu Zenobio - odezwała się Linnet z nieskończoną cierpliwością, jak jej się wydawało. - Jakim cudem mam postarać się o dziecko królewskiej krwi, by dać je mężowi, którego nie widziałam nawet na oczy?

Zenobia uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Moja droga, żadna kobieta z mojej rodziny nie musi zadawać takich pytań.

Linnet otworzyła usta ze zdziwienia.

- Nie chcesz chyba powiedzieć...

- Ależ naturalnie, moja droga. Od chwili, gdy ojciec podpisze papiery, zostanie ci około... dwunastu godzin do wyjazdu do Walii.

- Dwanaście godzin - powtórzyła Linnet, w nadziei, że się przesłyszała. - Nie chcesz chyba powiedzieć...

- August chodził za tobą jak na sznurku - odpowiedziała ciotka. - Wystarczy jedno spojrzenie i słodki uśmiech. Boże święty, czy matka niczego cię nie nauczyła?

- Nie - odparła chłodno Linnet.

- Szczerze mówiąc, z takim biustem nie musisz się nawet uśmiechać - dodała Zenobia.

- Naprawdę chcesz, żebym ja... - Linnet zabrakło słów.
  - Tak, żebyś uwiodła Augusta. I poszła z nim do łóżka - potwierdziła ciotka. Dwanaście godzin i tylko jeden książę... Nic trudnego.
  - Ale ja...
  - Jesteś córką Rosalyn, czy nie? I moją siostrzenicą. Uwodzenie masz we krwi, szczególnie jeśli chodzi o rodzinę królewską.
  - Nie wiem, jak się to robi - odparła ponuro Linnet. - Może wyglądam na uwodzicielkę, ale nią nie jestem.
  - Ależ jesteś - padła energiczna odpowiedź. Ciotka wstała. - Linnet, po prostu daj sobie zrobić dziecko. Pomyśl, ilu młodym kobietom się to udało, choć nie miały twojego rozumu, figury, urody ani uśmiechu.
  - Wychowywano mnie w cnotce - odparła Linnet. - Miałam guwernantkę o pięć lat dłużej od innych dziewcząt, właśnie po to, żebym się nie nauczyła takich rzeczy.
  - Błąd twojego ojca. Zraniła go niedyskrecja Rosalyn. Linnet musiała zrobić dziwną minę, bo Zenobia westchnęła z miną kobiety, która dźwiga na barkach ciężar całego świata.
  - Znajdę ci kogoś chętnego, jeśli nie chcesz zbliżyć się do księcia. To trochę niewłaściwe, ale oczywiście wszystkie wiemy o odpowiednich instytucjach, które służą pomocą w takich razach.
  - O jakich instytucjach?
  - O domach publicznych dla kobiet, naturalnie - odparła Zenobia. Słyszałam o jednym nieopodal Covent Garden. Podobno obsługują tam panowie z całkiem przyzwoitych rodzin. Robią to dla sportu, przypuszczam.
  - Ciociu, nie chcesz chyba powiedzieć, że...
  - Jeśli nie potrafisz uwieść księcia, musimy znaleźć inne rozwiązanie - odparła Zenobia, poklepując ją po ramieniu. - Zaprowadzę cię do tego zamtuza. Jak rozumiem, dama może stanąć za zasłoną i z ukrycia wybrać sobie mężczyznę, który jej się podoba. Wybierzemy kogoś podobnego do Augusta. Zastanawiam się, czy można po prostu wysłać zamówienie i przyślą nam kogoś do domu?
- Linnet jęknęła.

- Nie chciałabym, żebyś myślała, że opuszczam cię w potrzebie - stwierdziła ciotka. - Chcę przyjąć na siebie tę odpowiedzialność i zastąpić ci kochającą matkę, skoro Rosalyn opuściła ten padół.

Aż dziw, że przez cały sezon, a nawet przez długie lata przedtem ciotka jakoś nie czuła cięższej na niej odpowiedzialności. Linnet postanowiła jednak o tym nie wspominać.

- Nie pójdę do żadnego zamtuza - powiedziała tylko.

- W takim razie napisz liścik do tego swojego niezdolnego księcia - odparła Zenobia. - Szczerze mówiąc, dobrze robisz, to lepsze niż zamtuz. To okropne, gdy małżeństwo zaczyna się od kłamstwa na temat dziecka w drodze. Choć prawdę mówiąc, małżeństwo z natury wiąże się z kłamstwami. Za wiele pokus. Te wszystkie suknie, wydatki przekraczające nasze uposażenie... Nie wspominając o mężczyznach. - Dotknęła wargami czubków palców.

- Ale ja chciałabym...

- Jestem szczęśliwa, że nie mam męża - stwierdziła ciotka. - Naturalnie, nie cieszy mnie, że biedny Etheridge zmarł... no ale...

I wyszła.

Kwestia, czego Linnet chciałaby od małżeństwa, nie była warta dalszej rozmowy.

#### 4

Żartujesz chyba - powiedział Pierś do Prufrocka. - Moje wymagania dotyczące przyszłej żony zajęły bitą stronę listu do ojca.

- Fascynująca lektura - przytaknął jego totumfacki. - Szczególnie podobał mi się fragment o pańskiej niesprawności w łóżku. I ten ślad łyż obok...

- To nie była łyż, tylko brandy, ty baranie - zdenerwował się Pierś.

- Całe szczęście - odetchnął Prufrock. - Przykro mi było na myśl, że płakał pan nad tym listem, zamiast zalewać się łzami w swym pustym łóżu.

- Niby dlaczego nie miałbym się zalewać? - spytał Piersz zastanawiając się, czy wypić jeszcze jedną szklaneczkę. Lepiej nie. - Pokaż mi mężczyznę z podobnym kalectwem, który nie załamuje się, patrząc w ponurą przyszłość, jaka go czeka.

- Ponurą, przygnębiającą przyszłość - poprawił go Prufrock. - Proszę nie zapominać o pańskich ulubionych aliteracjach, gdy napięcie dochodzi do szczytu.

- Który nie tęskni za dobrą, kochaną żoną, który nie zazna dotyku lepkich paluszków obejmujących jego kciuk, który...

- Przejdźmy do sedna: który nie pochędoży - skonkretyzował Prufrock.

- Myślisz, że w ten sposób poprawisz mi nastrój?

- Nie taki to miód, jak się panu wydaje - stwierdził Prufrock bez specjalnego przekonania.

- Do jakiej ty szkoły właściwie chodziłeś? - spytał Piersz z ciekawością. - Jesteś za bardzo odcytany jak na lokaja. Większość z nich potrafi powiedzieć tylko rzeczy w rodzaju „jak pan sobie życzy, milordzie”, i na tym koniec. Nasze rozmowy powinny wyglądać mniej więcej tak: „Prufrock, sprowadź mi dziwkę”. A ty na to: „jak pan sobie życzy, milordzie”.

- I co by to panu dało? - spytał Prufrock. - W wiadomej sytuacji?

- Racja - mruknął Piersz. - Chyba pójdę popływać. Właśnie jest przypływ.

Wyszedł z zamku przez zachodnią bramę, wciąż zastanawiając się nad swoim majordomusem. Gdy go zatrudnił rok temu, nie wątpił, że jest podstawiony przez ojca. Jednym słowem, szpieg. Bez dwóch zdań.

Tylko skąd staruszek wytrzasnął takiego służącego? Tego niesamowitego Prufrocka z jego poczuciem humoru i językiem ostrzejszym niż u samego Piersa? Krótko mówiąc, jedyne na

całym świecie, którego Pierś miałby ochotę zatrudnić na stałe, nawet wiedząc, że to cholerny szpieg?

Odpowiedź była tylko jedna: ojciec go rozumiał albo choć trochę poznał. Pierś uznał, że to niemożliwe, i przestał się zastanawiać.

Basen kąpielowy wycięto w skale tuż nad brzegiem morza. Fale napępniały go wodą podczas przyływu, ale były w nim znacznie niższe niż na pełnym morzu. Szafirowe lustro wody pięknie wyglądało w blasku zachodzącego słońca. Morze uspokoiło się, jak zwykle o zmierzchu. Pierś przez dłuższą chwilę wpatrywał się w migotliwe fale i złocisty blask słońca na wodzie.

Potem otrząsał się i zdjął ubranie. W ciągu minionych lat przekonał się, że jeśli zaniedba ćwiczenia choć przez jeden dzień, ból nogi będzie nie do zniesienia. Właśnie wczoraj zrezygnował z pływania i dziś ponosił tego konsekwencje. Normalnie też go bolało, ale kiedy nie pływał, z trudem powstrzymywał się przed wzięciem leku z opium.

Nie lubił takich chwil. Opium zresztą też.

Stanął na skale i zanurkował, czując, jak włosy otaczają swobodnie jego twarz. Psiakrew, znowu zapomniał o tasiemce. Jego ciało radowało się, gdy noga poruszała się swobodnie, nie dźwigając ciężaru ciała. Nie zastanawiając się, śmignął przed siebie, znacznie szybszy w wodzie niż na lądzie.

Przepłynął basen dziesięć razy, potem dwadzieścia... po pięćdziesięciu był już zmęczony, ale zmusił się, by przepłynąć jeszcze dziesięć i dopiero wtedy podciągnął się na skalne obramowanie jednym płynnym gestem. Woda spływała mu z ramion. Przed wypadkiem nie zwracał uwagi na swoje ciało. Teraz cieszył się, że ma takie silne ramiona i mocny tułów. Jako lekarz wiedział, że to zwykła próżność, ale nie dbał o to.

- Milordzie - odezwał się młody lokaj, podając mu duży ręcznik.

Pierś zmierzył go wzrokiem.

- Jesteś nowy. Jak masz na imię?

- Neythen, milordzie.

- Brzmi jak nazwa jakiejś okropnej choroby. Albo problemów żołądkowych. „Przykro mi, lordzie Sandys, pański syn jest chory na nejtena i ma przed sobą ledwie miesiąc życia. Niestety, nie mogę mu pomóc”. Sandys wolałby usłyszeć coś takiego niż wiadomość o syfilisie.

Neythen zrobił zdziwioną minę.

- Mama mówiła, że to imię świętego, a nie nazwa choroby.

- Jakiego świętego?

- No tego, co mu ucięli głowę. A on ją wziął pod pachę i poszedł. Do samego domu.

- Pewnie po drodze nabrudził - stwierdził Pierś. - Poza tym to mało prawdopodobne, choć z drugiej strony kurczaki też potrafią biegać bez głowy. Matka myślała, że też będziesz miał taki dar?

Neythen zamrugnął oczyma.

- Nie, milordzie.

- Może po prostu miała taką cichą nadzieję. Matki lubią myśleć o przyszłości swoich dzieci. Kusi mnie, żeby cię ściąć i sprawdzić, czy miała rację. Czasem najbardziej nieprawdopodobne przesady znajdują twarde naukowe wyjaśnienie.

Lokaj cofnął się o krok.

- Boże, co za dzieciuch z ciebie. Dlaczego Prufrock cię tu przysłał? Choć ręcznik bardzo się przydał, nie powiem.

- Pan Prufrock prosił powtórzyć, że pacjent czeka.

- Tu zawsze kręcą się jacyś pacjenci - odpowiedział Pierś, wycierając włosy. - Najpierw muszę się opłukać. Cały jestem w soli.

- Pan Prufrock mówił, że to ważne.

- Nie, najpierw kąpiel, potem pacjent. Jeśli zacznę słuchać się własnego lokaja, wyjdę na kompletnego nieudacznika.

- Ale ten pacjent przyjechał z samego Londynu - powiedział Neythen. To jakiś wielki lord.

- Wielki, powiadasz? Pewnie taki gruby, że mu serce wysiada, co? Bądź tak miły i podaj mi laskę.

Neythen spełnił prośbę.

- Wcale nie jest gruby - odpowiedział. - Widziałem go. Wygląda na ważnego człowieka. Jest cały ubrany w aksamit i chudy jak patyk. I ma perukę.

- Kolejny umarłak - odparł Pierś, ruszając ścieżką. - Tylko tacy tu trafiają. Niedługo trzeba będzie założyć cmentarz. Neythen milczał, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć.

- Ty naturalnie na nim nie spoczniesz - uspokoił go Pierś - bo weźmiesz swoją głowę pod pachę i polecisz do swojej wsi, żeby cię pochowali przy kościele. Ale ja zaczynam się czuć jak jakiś mroczny szczurołap z Hameln. Ludzie przyjeżdżają do mnie do Walii i znikają. Następnego dnia przyjeżdżają kolejni.

- Niektórych przecież pan leczy, prawda? - spytał Neythen.

- Nielicznych - odpowiedział Pierś. - Mało kogo. Po pierwsze, jestem anatomopatologiem, co oznacza, że najlepiej znam się na trupach. Trupy się nie ruszają i nie chorują. Żywych mogę tylko obserwować. Czasem nawet nie wiem, na co umarli, a potem, po sekcji, i tak jest już za późno. Czasem otwieram ciało i dalej nie mam pojęcia, co było przyczyną śmierci.

Neythen zadygotał.

- Masz rację, że wolisz być lokajem niż lekarzem - pochwalił go Pierś, wspinając się skalistą ścieżką prowadzącą do zamku. - My, chirurdzy, ciągle kogoś kroimy, za życia albo po śmierci. Tylko tak można się dowiedzieć, co jest w środku.

- To obrzydliwe!

- Nic się nie martw - uspokoił go Pierś. - Jeśli uda ci się dobrać do domu bez głowy, to będę cię mógł potem pokroić i zobaczyć, jak to zrobiłeś. Prawda?

Neythen milczał.

- Tylko nie próbuj się zwalniać z pracy - ostrzegł go Pierś, pokonując ostatni odcinek drogi pośród skał. Weszli na gładką płaską ścieżkę. - Jeśli Prufrock się dowie, że kolejny pracownik zwolnił się z powodu moich niewczesnych uwag, to moja głowa potoczy się po bruku.

Milczenie Neythena sugerowało, że postanowił jeszcze trochę wytrzymać.



Doszli do zamku.

- Chyba jednak obejrzę tego pacjenta przed kąpielą.

- W takim stanie, milordzie? - spytał młody lokaj.

Pierś popatrzył na siebie. Był owinięty w pasie ręcznikiem, a poza tym nic na sobie nie miał.

- Mówiłeś chyba, że pacjent czeka, prawda?

- Tak, ale...

- Uwielbiam konwersować z lordami w aksamitnych strojach, samemu będąc tylko w ręczniku - padła odpowiedź. -

I tak kłamią, ale przynajmniej mają się na baczności.

- Kłamią? - Neythen był wstrząśnięty.

- Jak wszyscy lordowie. W tych dziwnych czasach tylko biedotę stać na uczciwość.

## 5

Linnet wyszła z salonu i pobięła prosto do pokoju matki, wiedząc, że tam nikt nie będzie jej przeszkadzał.

Ozdobiony kwiatowymi motywami buduar niewiele się zmienił od śmierci Rosalyn. Brakowało tylko jednego - uroczej, pełnej energii osóbki, która w nim zamieszkiwała.

Osóbki, którą mąż kochał gorąco, nie dbając o jej zdrady. Osóbki, którą kochali wszyscy mężczyźni.

I którą kochała Linnet nie tylko za jej urodę.

Linnet usiadła przy toaletce, jak kiedyś, gdy nagła śmierć zabrała jej matkę. Miała wtedy zaledwie czternaście lat. Na srebrnych szczotkach osiadł kurz; trzeba przypomnieć Tinkle'owi, żeby pokojówka dokładniej sprzątała ten pokój.

Dotykała dłońią każdej z nich, wspominając, jak matka siedziała przed lustrem, szczotkowała włosy i zaśmiewała się z jej opowieści. Nikt tak serdecznie nie śmiał się z jej żartów jak matka. Przy Rosalyn każdy czuł się jak najdowcipniejszy człowiek na świecie.

Linnet westchnęła. Matce spodobałby się żart o fregacie kotwiczącej przy pirsie.

Zaśmiałyby się, musnęła twarz uperfumowaną dłonią i pomknęła na spotkanie z jakimś przystojnym kochankiem, a w jej oczach wciąż tańczyłoby rozbawienie.

Linnet oderwała palce od srebrnej szczotki i uniosła głowę. Rosalyn uśmiechnęła się do niej z portretu na ścianie. Linnet odpowiedziała uśmiechem. Wiedziała, że na jej policzkach tworzą się dokładnie takie same dołeczki jak u matki. Ma takie same loki o barwie płomiennych pierwiosnków. Takie same błękitne oczy, takie same kapryśne wiśniowe usta, takie same...

Wcale nie takie same.

Och, miała matki wdzięk. Wiedziała, że potrafi kusić mężczyzn spojrzeniem tak samo jak ona, i że prawie wszyscy patrzą na nią lekko oszołomionym wzrokiem. Zenobia mówiła, że to „rodowy uśmiech” i że jest ich największym skarbem. Tylko że Linnet...

Nigdy nie odważyła się na nic więcej. Prawdę mówiąc, nie lubiła się nawet całować. Pocałunki były mokre i zaślinione... ślina była taka obrzydliwa.

Zawsze sobie wyobrażała, że pewnego dnia do sali balowej wejdzie jakiś mężczyzna i ona od razu będzie wiedziała, że jego pocałunki da się jakoś wytrzymać. Ale jak na razie nikogo takiego nie spotkała, przez cały sezon. Właśnie dlatego zdecydowała się na flirt z księciem.

Dziewczyna, która flirtuje z księciem, nie musi już flirtować z nikim innym. Wszyscy wiedzą dlaczego, i nikt nie traktuje jej jak nieuprzejmej dziwaczki. Poza tym od czasu do czasu rzucała młodzieńcom zachęcające spojrzenie, żeby nadal się koło niej kręcili. Czuła się wtedy jak aktorka na scenie... jak Zenobia.

Kto by pomyślał, że ona, jedyna córka, nie odziedziczy po matce jej najważniejszej cechy, określającej całą Rosalyn?

A jednak tak się stało.

Wcale nie pragnęła mężczyzn. Więcej, w ogóle jej się nie podobali.

Byli duzi, owłosieni i brzydko pachnieli. Nawet ojciec, którego przecież kochała, zachowywał się jak dzieciak.

Ciągle marudził, narzekał i był po prostu nieznośny. Wszyscy mężczyźni byli tacy. Jak dzieci, zupełnie jak dzieci.

Czy można pragnąć kogoś takiego?

Usłyszała w myślach słowa matki i odpowiedziała jej z irytacją - wyposażeni jak ogiery czy też nie, wszyscy byli żałośni.

Nagle coś jej przyszło do głowy. Jeśli hrabia był niesprawny, to znaczy, że...

Był niesprawny.

Nie musieliby się całować. Nie musiałyby znosić tego wszystkiego, co wiązało się z „wyposażeniem ogiera”. Sama myśl o tym (dziękuję ci, mammo!) przez długie lata napełniała ją wstrętem i przerażeniem.

Wystarczy udawać, że jest w ciąży, wyjść za tego człowieka, a potem powiedzieć, że straciła dziecko.

Nie spotkała jeszcze mężczyzny, którego nie udałoby jej się swoim wdziękiem ułagodzić. W końcu uczyła się tego od prawdziwej mistrzyni. Matka zawsze potrafiła ugłaskać ojca, nawet wtedy, gdy wyrzucił z domu nauczyciela francuskiego, którego zatrudniono dla Linnet, albo przegnał gacha ze swego nowego łóżka.

Prawdę mówiąc, ten argument przemawiał na korzyść małżeństwa z Piersem. Wiedziała, że nigdy go nie zdradzi, a przecież mężczyzna w jego stanie musi się liczyć z taką możliwością.

Lepsza żona na pewno mu się trafi - piękna i cnotliwa zarazem. Gotowy materiał na świętą, nic dodać, nic ująć.

Wstała i rozejrzała się po buduarze.

- Tęsknię za tobą - powiedziała do roześmianej kobiety na portrecie. - Strasznie za tobą tęsknię.

Na dźwięk tych słów serce się w niej ścisnęło, więc wybiegła z pokoju.

## 6

*Przy* kolacji ojciec stwierdził, że książe Windebank rzucił się na jego propozycję z entuzjazmem niegodnym arystokraty.

- Bez wątplenia już o tobie słyszał. Zenobio, miałaś zupełną rację. Skandalik z Linnet nie zrobił na nim specjalnego wrażenia. Można powiedzieć, że był nim zachwycony w cichości ducha.

- Linnet zwróciła na siebie uwagę towarzystwa na długo przed tym pechowym wieczorem - stwierdziła Zenobia.

- To prawie nie do wiary, ale bardziej interesowało go wykształcenie Linnet niż jej uroda. Powiedziałem mu, że wie tyle, ile każda młoda panna, i że jest najmądrzejszą kobietą, jaką znam, i to go zadowoliło. Nie mam pojęcia, dlaczego nie ożenił się ponownie. Jego żona uciekła do Francji wiele lat temu, prawda? Zabrała syna ze sobą.

- Bo to była Francuzka. Rozwiódł się z nią - wyjaśniła Zenobia. - Plotkowano, że odzyskanie wolności kosztowało go dwa tysiące funtów sterlingów. Ale nie skorzystał ze swobody. - Pokręciła głową. - Do tego czasu mógłby mieć cały tłum spadkobierców.

- Nie podoba mi się ta jego fascynacja rodziną królewską - mruknął lord Sundon. Kompletnie oszalał na punkcie monarchii. Tłumaczył mi, że jego praprababka ze strony ojca blisko znała Henryka VIII.

- Tego, który miał sześć żon? - spytała Linnet.

- I wszystkie kazał pomordować - stwierdziła Zenobia z satysfakcją, gestykulując widelcem. - Zupełnie jak Sinobrody, tylko że to się działo w rzeczywistości.

- W każdym razie, Windebanka niezmiernie cieszy, że w jego żyłach płynie krew Tudorów, a teraz dołączy do niej krew dynastii hanowerskiej, dzięki naszej Linnet.

Wicehrabia był w znacznie lepszym humorze niż rano.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - powiedział, dopijając wino. - Kiedyś będziemy się śmiać z tej całej historii. Linnet jakoś nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

- Rozumiem, że posłałaś księciu liścik - spytała ją Zenobia. Skinęła głową, choć wcale tego nie zrobiła.
  - Zobaczę się z nim dziś w Vauxhall - zapewniła. W rzeczywistości zaplanowała miłą drzemkę w powozie podczas rundy wokół Londynu.
  - W Vauxhall? - spytała Zenobia z powątpiewaniem. - Jest wprawdzie dość ciepło, ale to dziwny wybór. Powinien cię raczej zabrać do jednej z królewskich rezydencji.
  - Pewnie zabierze - odpowiedział ojciec. - Tylko pamiętaj, masz rano wrócić do domu. Windebank chce się z tobą zobaczyć. Powiedziałem mu, że chcemy cię jak najszybciej wysłać do Walii. Nie ma sensu tkwić dłużej w Londynie. Wprawdzie w ich rodzinie to matka była uosobieniem wszelkiej sromoty, ale teraz Linnet wydało się, że ojciec był równie nieprzyzwoity, tylko inaczej to okazywał. Szczerze mówiąc, był bardziej prostacki.
  - Wydaje mi się, że bardzo dobrze na tym wyjdiesz - mówił. - Przecież August i tak by się z tobą nie ożenił. A poza nim żaden inny książę nie jest kandydatem na męża w tym roku. Za to Marchant z czasem odziedziczy książęcy tytuł.
  - Mogła trafić lepiej, bo co to za pożytek z takiego mężczyzny - odparła Zenobia. - Rozumiem, że książę dostanie od króla specjalną zgodę na ślub syna?
- Wicehrabia skinął głową.
- Naturalnie. Przyniesie ją tu jutro. Dziś z samego rana wysłał posłańca do Walii, żeby uprzedzić syna. Na ogół ludzie nie żenią się tak nagle, że nie wspomnę o dziecku.
  - Trzeba jak najszybciej doprowadzić do tego małżeństwa - podkreśliła ciotka. - Na wypadek, gdyby ta dzisiejsza schadzka w Vauxhall nie przyniosła spodziewanego efektu.
  - A skoro już o tym mowa... - zaczął ojciec.
- Na dźwięk jego głosu Linnet zeszytniała. Wiedziała, o co mu chodzi, słyszała to już milion razy.
- Tato, nie możesz mnie wysłać do Walii bez przyzwoitki! - wykrzyknęła oburzona.

- Przykro mi przypominać ci tę bolesną prawdę, ale od tej pory nie będziesz już potrzebowała przyzwoitki - powiedział. - Choć, jeśli tak bardzo ci na tym zależy, może uda mi się przekonać panią Hutchins, by ci towarzyszyła. Zenobia zmrużyła oczy.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, Corneliusie, że zamierzałeś posłać córkę do tej dzikiej Walii bez żadnej opieki?

- Nie mogę teraz wyjechać z Londynu - zaczął się wymawiać.

- Będę się czuła nieswojo, wyruszając w tak długą podróż zupełnie sama, tym bardziej, że jadę na spotkanie z Bestią

- włączyła się Linnet. Mówiła lekkim, lecz stanowczym tonem, takim, jakiego użyłaby matka. I żeby przypieczętować sprawę, zmierzyła ojca wzrokiem w sposób, którego nauczyła się od ciotki.

- Hrabia Marchant padł ofiarą pomówień - wyjaśnił wicehrabia. - Jego ojciec wszystko mi opowiedział. Jak wiadomo, jest doskonałym lekarzem. Pamiętacie pewnie, że jego matka uciekła z nim do Francji. Skończył tam uniwersytet, potem wrócił do Anglii, skończył Oksford i został członkiem Królewskiego Towarzystwa Lekarskiego w wieku dwudziestu trzech lat, co się dotąd nigdy nie zdarzyło. Potem wyjechał do Edynburga i czymś się tam zajmował. Może zresztą to było wcześniej, przed tym Towarzystwem...

- Corneliusie - ucieła Zenobia. - Jesteś podłym tchórzem.

- Wcale nie! - zaprzeczył wicehrabia. - Mam w Londynie ważne sprawy do załatwienia. Jak wiesz, zbiera się niedługo Izba Lordów, a ja jestem jej ważnym członkiem. Bardzo ważnym. Mój głos jest tam niezbędny.

- Jesteś podłym tchórzem - upierała się Zenobia. - Za nic nie chcesz spotkać się osobiście z Bestią, chociaż wysyłasz do jego samotni swoją córkę, która jest w dodatku ciężarna, i chcesz mu ją oddać za żonę.

Po tych słowach Linnet zaczęła się czuć jak jedna z dworek króla Artura. Wszystkie te panny prędzej czy później padały ofiarą

jakiegoś gada, który dusił je w swych wężowych skrętach. Ciotka instynktownie zmieniała każde wydarzenie w melodramat, choć trzeba przyznać, że akurat ta historia świetnie się do tego nadała.

- Oddajesz swoją córkę na łaskę i niełaskę jakiegoś dzikusa! - Głos Zenobii nabrał dramatycznego wyrazu.

O dziwo, wicehrabia się nie poddał.

- Zdecydowałem, że nie pojedę do Walii.

Linnet знаła ten naburmuszony ton. Oznaczał, że ojciec rzeczywiście się nie ruszy z Londynu.

- Dlaczego? - spytała, uprzedzając Zenobię.

- Nie będę handlował własnym dzieckiem - huknął w odpowiedzi. - Byłem rogaczem, to prawda, ale nie zamierzam zostać stręczycielem mojej jedynej córki!

- Już nim się stałeś! - warknęła Linnet. - Sprzedałeś mnie dzisiejszego popołudnia, kłamiąc na temat dziecka, którego wcale nie poczęłam.

Lord Sundon zacisnął szczęki.

- Twoja matka nigdy nie odezwała się do mnie w taki sposób.

To prawda. Linnet nie pamiętała ani jednej sytuacji, w której głos Rosalyn straciłby słodki, dźwięczny ton. Za to Linnet aż skrzeczała ze złości, której nie potrafiła ukryć.

- Przykro mi, ale ton mojego głosu nie zmieni faktów.

- Fakty są takie, że każda dziewczyna jest towarem, który upływnia się w taki czy inny sposób - stwierdziła Zenobia.

- Ale naprawdę uważam, że powinieneś pojechać z Linnet, Corneliusie. Co będzie, jeśli Marchant spojrzy na tę biedaczkę i z miejsca odmówi poślubienia jej?

- Nie odmówi - odpowiedział Sundon bez emocji. - Wszyscy wiemy, że...

W tym momencie otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Tinkle.

- Jego Wysokość książę Windebank prosi o wybaczenie za tak wczesną wizytę.

- O tej porze? - zdziwił się wicehrabia.

- Czeka przed domem? - spytała Zenobia.

Okazało się, że księżę naprawdę siedzi w powozie, czekając, aż lord Sundon znajdzie dla niego wolną chwilę.

- Wprowadź go - polecił wicehrabia i zwrócił się do Linnet: -Założę się, że nie mógł się doczekać spotkania z tobą.

- Przecież nie może mnie tak zobaczyć! - zaniepokoiła się, patrząc w dół na swoją szczupłą talię. - W tej sukni wcale nie wyglądam, jakbym nosiła potomka królewskiego rodu.

- Powiedziałem mu, że prawie nic nie widać - uspokoił ją ojciec. - Po prostu szybko usiądź. Przyjmiemy go w różanym salonie.

Księżę Windebank musiał mieć co najmniej sześćdziesiątkę, ale wyglądał dużo młodziej i był bardzo przystojny.

Miał królewski profil, godny wybicia na monetach i jakże odpowiedni dla jego pozycji społecznej. To musiałyby być rzymska moneta, orzekła Linnet.

- Panno Thrynne - powiedział z ukłonem. - Jest pani tak piękna, jak mi mówiono.

Linnet złożyła ukłon idealnie zgodny z kanonami dobrego wychowania.

- Jestem zaszczycona, Wasza Wysokość.

- Pozwoliłem sobie niepokoić was o tej godzinie - zwrócił się do ojca i ciotki Linnet - ponieważ postanowiłem osobiście towarzyszyć panie Thrynne do Walii. Mój syn jest wspaniałym mężczyzną, naprawdę wspaniałym. Umilkł.

- Ale podobno łatwo unosi się gniewem - uzupełniła Zenobia, posyłając mu własną wersję rodowego uśmiechu. - Proszę usiąść, Wasza Wysokość.

Pomimo młodzieńczego wyglądu księcia, gdy siadał, jego stawy zatrzeszczały, jak krzesło zbyt długo zostawione na deszczu. Spojrzał nagle czujnym wzrokiem.

- O moim synu krąży wiele pomówień.



- Proponuję, żebyśmy pominęli wstępne uprzejmości - odpowiedziała Zenobia, troskliwie układając fałdy sukni. - Przecież już niedługo będziemy rodziną. Lord Marchant może być zaskoczony, a nawet wstrząśnięty przyjazdem panny młodej, więc wydaje mi się naturalne, Wasza Wysokość, że pragniesz towarzyszyć naszej kochanej Linnet.

- Więc wszystko jest ustalone - przytaknął ojciec, rezygnując z wszelkich pozorów niezadowolenia.

Księżę spoglądał to na Zenobię, to na wicehrabiego.

- Czy panna Thrynne pojedzie z damą do towarzystwa? Może z panią, lady Etheridge?

- Nie ma takiej potrzeby - odparła pogodnie Zenobia. - Reputacja Linnet jest i tak zrujnowana. Nie warto pilnować pustej stajni, jak to się mówi. Chyba że chcesz zabrać ze sobą panią Hutch-ins, kochanie? - zwróciła się do Linnet. Linnet przeniosła wzrok z ojca na ciotkę, czując znajomy ból w okolicy serca. Stary, znajomy ból, z którym łatwo było sobie poradzić.

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiedziała. - Za pozwoleniem, Wasza Wysokość, wolę jechać sama, naturalnie z moją pokojówką. Ciocia ma rację, przyzwoitka nie jest mi już potrzebna.

Księżę skinął głową.

- Proszę wybaczyć - dodała, wstając. - Jestem umówiona w ogrodach Vauxhall.

Panowie wstali, podobnie jak Zenobia, która teatralnym gestem przyjęła pomoc księcia.

Po chwili Linnet siedziała już w rodzinnym powozie, poleciwszy stangretowi Stubbinsowi, by obwiózł ją po Londynie, nieważne które. Niech jej rodzina pozostanie w całkowicie błędnym przekonaniu, że Linnet spędza czas na gorącej schadzce z księciem Augustem.

Wyglądając z powozu, uświadomiła sobie nagle, że być może już nigdy nie wróci do Londynu. Za oknem ciągnęły się długie szeregi szarych, ponurych domów, pokrytych grubą warstwą węglowego pyłu.

Oznaczało to, że nie zobaczy już ojca, który nigdy nie opuszczał miasta. Ani ciotki Zenobii, która wyjeżdżała jedynie na najbardziej bezpieczne przyjęcia w wiejskich posiadłościach.

W tym momencie wcale jej to nie zmartwiło.

## 7

Trzy powozy pod eskortą ośmiu osób ze służby, wiozące Linnet i księcia Windebank, dotarły do Walii w dwa tygodnie później. Ponieważ księżę przy każdym posiłku poruszał tylko jeden temat - swego syna - Linnet wiedziała już o nim tyle, że sama mogłaby spokojnie zaprotegować go do Królewskiego Towarzystwa Lekarskiego. To znaczy, gdyby nie był już członkiem tej szacownej organizacji.

Po kilku pierwszych dniach nieustannego gadulstwa na temat Piersa Linnet zrezygnowała z towarzystwa księcia w powozie, tłumacząc, że jej stan, w połączeniu z kołysaniem powozu, wywołuje u niej nudności.

Okazało się wtedy, że może się wygodnie ułożyć na poduszkach książęcej kolasy. Ponieważ miała żelazny żołądek, przez całą podróż oddawała się lekturze, z zadowoleniem pogryzając jabłko za jabłkiem, wyciągnięta jak długa na siedzeniu powozu.

Walia oglądana z okien kolasy była zielona, tą ciemną, pełną żywotności zielenią, która pachnie wiatrem i wodą. Nigdy przedtem nie czuła zapachu morza, ale instynkt natychmiast podpowiedział jej, co to jest. Przywodził na myśl dzikość, ryby, swobodę i budził marzenia o podróżach na nieznane wyspy.

Kiedy nie wpatrywała się w morze, rozmyślała o tym dzikim, genialnym lekarzu, za którego miała niedługo wyjść. Według ojca, niezasłużenie nazwano go Bestią, bo zbyt szorstko traktował ospałych kolegów medyków.

- Lekarze to durnie - klarował jej z powagą Windebank. Weźmy na przykład gorączkę. Pierś odkrył, że puszczenie krwi przy

podwyższonej temperaturze ciała jest zabójcze dla pacjentów. Członkowie Królewskiego Towarzystwa walczyli z nim do upadłego, aż w końcu przedstawił statystyki zgonów i porównał je z wynikami leczenia szanowanego medyka Ketelaera. Ketelaer stracił wszystkich pacjentów z wyjątkiem trzech, a u Piersa zmarł tylko jeden pacjent, przy tej samej liczbie chorych.

Tak więc miała wyjść za geniusza. Wyglądało na to, że Piers łatwo wybucha gniewem, gdy mu się ktoś sprzeciwia, ale ona była pewna, że da sobie z nim radę.

Przed samym przyjazdem do zamku owinęła się w talii kawałkiem płótna, by się pogrubić, i przejrzała się w lustrze. Pomijając kibić, wyglądała jak prawdziwa księżniczka z bajki: ogromne, błękitne oczy, czerwonozłote loki, piękna cera. I ten rodowy uśmiech.

Uznała, że wystarczą dwa tygodnie, by narzeczony (a może już mąż) rozkochał się w niej bez pamięci. Potem przyzna mu się,

że nie jest w ciąży.

Zamek zbudowano na nadbrzeżnych skałach, powozy więc zaczęły się wspinać pod górę. Z lewej strony wschodziło żółte słońce, wróżąc upalny dzień.

- Ciesz się tą słoneczną pogodą - zapowiedział książę. Ostatniego dnia podróży zaprosiła go do swego powozu. -

Obawiam się, że Walia to deszczowa kraina. Byłbym wdzięczny, moja miła, gdybyś namówiła mego syna do przeprowadzki do Londynu. Mógłby tam zdziałać bardzo wiele dobrego. Oczywiście, nie sugeruję, żeby otworzył normalną praktykę lekarską. Przecież będzie parem Anglii. Ale mógłby konsultować najciekawsze przypadki.

Książę opisywał swego syna w sposób, który wydawał jej się trochę dziwny. Jakby niezbyt dobrze go znał, choć to wydawało się niemożliwe.

Gdy zamek był już blisko, Linnet z ciekawością wyjrzała przez okno. Na skałach wznosiła się potężna budowla z jasnoszarego kamienia, broniona czterema albo pięcioma wieżami.

- Czy jest bardzo stary? - spytała.

- Nawet starożytny - odparł książę, również spoglądając w okno. - Należy do rodziny od wielu pokoleń. Jeden z moich

przodków wygrał go w pikietę. Pierś musiał przeprowadzić całkowity remont, bo od wieków nikt tu nie mieszkał.

Powozy przejechały przez bramę i zatrzymały się na dziedzińcu.

- O, jesteś już, Prufrock - powiedział książę, zeskakując na bruk.

Majordomus wyglądał bardzo młodo jak na swoje stanowisko. Miał około trzydziestki, a chudy był jak bocian. Jego skóra miała kolor mlecznej herbaty.

- Wasza Wysokość - skłonił się Prufrock.

Potem przeniósł wzrok na Linnet, która właśnie wysiadała z powozu z pomocą jednego ze służących. Wyraźnie nie nauczył się jeszcze przybierać nieruchomej maski lokaja, bo szeroko otworzył oczy, a jedna brew podjechała mu do góry, przydając jego twarzy nieoczekiwanego wdzięku.

- To jest Prufrock - przedstawił go książę. - A to panna Thrynne, narzeczona mojego syna. Pierś pewnie cię uprzedził o naszym przyjeździe.

Prufrock wprowadził ich przez wielkie odrzwia do ogromnej sieni ze schodami prowadzącymi do góry po obu jej stronach. Drzwi były grubości dłoni Linnet i przetrwały na pewno niejedno obłężenie.

- Gdzie znajdziemy mojego syna? - spytał książę. W jego głosie brzmiał nowy ton - jakby z trudem powstrzymywał radość, co trochę zdziwiło Linnet.

Zdjęła kapelusz i pelisę i podała je młodemu lokajowi.

- Lord Marchant jest w zachodnim skrzydle i naturalnie wie o przybyciu Waszej Wysokości - odpowiedział Prufrock.

- Posłałem do niego lokaja, gdy tylko dojrzeliliśmy wasze powozy. Pewnie niedługo przyjdzie. Jeśli panna Thrynne chce się odświeżyć, zaprowadzę ją wraz z pokojówką do jej pokojów. Może Wasza Wysokość także zechce odpocząć?

- Bzdura - odparł książę. - Wyjechaliśmy z gospody ledwie dwie godziny temu, może nawet później. Pacjenci są na trzecim piętrze, prawda, Prufrock?

-Tak, ale...

Książę ruszył przed siebie. Potem zawahał się, odwrócił i chwycił rękę Linnet.

- Pójdziemy razem - powiedział pod nosem, jakby do siebie. Zanim zdążyła się odezwać, byli w połowie schodów z lewej strony sieni.

- Wasza Wysokość - sapnęła, unosząc kraj sukni.

- Dalej, chodźmy - ponaglał ją. Od chwili, gdy znaleźli się w zamku, zachowywał się jak człowiek ulegający jakiejś przemożnej sile. Pociągnął Linnet w głąb korytarza.

Linnet z trudem dotrzymywała mu kroku, a jej serce tłukło się w piersi coraz szybciej. Za chwilę spotka tego dziwaka, którego ma poślubić. Stworzyła sobie w wyobraźni jego obraz: Wysoki, chudy, przechylony na bok z powodu kalectwa, z twarzą ściągniętą bólem, ale emanującą niezwykłą urodą, jaką niewątpliwie odziedziczył po ojcu.

Skręcili za róg. Do jej uszu dotarły jakieś głosy. Książę jeszcze bardziej przyspieszył kroku, ciągnąc ją za sobą.

Drzwi na końcu korytarza były otwarte i książę bez wahania wszedł do środka.

Znaleźli się w sali z sześcioma łózkami, w których leżeli pacjenci. Nad chorym po lewej stronie drzwi stała grupka mężczyzn. Książę puścił jej ramię i postąpił krok do przodu.

- Pierś - powiedział schrypniętym nagle głosem.

Żaden z mężczyzn nawet nie odwrócił głowy. Byli młodzi, prawdopodobnie studenci, uważnie wpatrzeni w chorego.

- Uczy ich - szepnął książę.

Linnet prześliznęła się wzrokiem po ich twarzach i nieomylnie rozpoznała swego narzeczonego.

- Gorączka prosówkowa. Wysoka temperatura, wysypka, dreszcze. - Mówił z niezachwianą pewnością, autorytarnie.

- Wypryski pojawiły się na trzeci dzień, co stanowi ostateczny dowód.

Miał dłuższy podbródek, niż sobie wyobrażała, ale poza tym był doskonały w każdym calu: gładkie blond włosy, wyjątkowy intelekt, szczupła sylwetka, aroganckie spojrzenie.

Pewnie dlatego przezwano go Bestią. Przez to aroganckie spojrzenie, które mówiło, że uważa się za mądrzejszego od wszystkich zebranych. Tylko że Linnet dostrzegła w nim dobroć, która zadawała kłam przezwisku.

Był doskonale ubrany. Szczerze mówiąc, nie spodziewała się, że w Walii, albo gdziekolwiek poza Londynem, zobaczy kogoś w tak eleganckim porannym surducie. Jej ojciec z pewnością by mu pozazdrościł takiego ubrania, a to bardzo wiele znaczyło.

Młody człowiek stojący po prawej stronie łóżka odezwał się z wahaniem:

- Huxham twierdzi, że wysypka może pojawić się siódmego, dziewiątego albo jedenastego dnia.

- Z mojego doświadczenia wynika, że jednak trzeciego - odparł jej narzeczony głosem jakby stworzonym do uspokajania przerażonych pacjentów. Przez chwilę zastanawiała się, skąd u niego ten francuski akcent, ale przypomniała sobie, że przecież mieszkał z matką we Francji przez większą część życia.

- Twoje doświadczenie nic nie znaczy - warknął jakiś niewdzięczny student, którego nie było widać zza innych mężczyzn. - Podobnie jak Huxhama. Ten człowiek porusza się po omacku. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że wypryski pojawiają się na nowiu księżyca. Traktuje to wszystko jak czarną magię.

- Wysypce towarzyszyło pogorszenie nastroju i stany lękowe - odparł jej narzeczony z lekką naganą w głosie. - Lobb wyraźnie wspomina o tych objawach w związku z krostami prosówkowymi.

- A ty byś się nie załamał, gdybyś się obudził cały pokryty obrzydliwymi wypryskami? - spytał czyjś szorstki głos. Książę przesunął się nieco, by dostrzec, kto to powiedział, a potem się uśmiechnął. Linnet spochmurniała, gdy zrozumiała, co wywołało ten uśmiech.

- Hej ty, w tym łóżku, czy nie czujesz się przygnębiony, a nawet załamany? Ta wysypka może przecież oznaczać, że ktoś ci już kopie grób!

- Thak... - odezwał się pacjent.

- Bardzo zabawne - odpowiedział niewidoczny mężczyzna. -Spytajcie go, jaki kolor ma niebo, dobrze?

Nikt nie odezwał się ani słowem.

- Nieeski - mruknął potulnie pacjent. Nastąpił wybuch śmiechu.

- Jesteś osioł - stwierdził blondyn. Linnet była tego samego zdania. Jak można tak brutalnie żartować z umierającego?

W tym momencie grupa młodych lekarzy nieco się przesunęła i w końcu Linnet dostrzegła autora tych wszystkich okropnych uwag.

- Osłem jest ten, kto diagnozuje pacjenta, nie zadając mu ani jednego pytania. Przecież ten pacjent ma zeszywniały język i dlatego ta warga tak się zabawnie układa. Może język jest wyschnięty, może spuchnięty. Tak czy owak, nie jest to dobry znak. Jeśli jest wyschnięty, rzeczywiście może to być gorączka prosówkowa. A co sugerowałby spuchnięty język?

Na pierwszy rzut oka ten ordynus wydał jej się wysoki, a nawet potężny. Blondyn był wysoki i szczupły, ale tamten był jeszcze wyższy i o wiele mocniej zbudowany. Same mięśnie, pełne drapieżnej siły, która wydawała się nie na miejscu przy łożu chorego. Taki człowiek powinien raczej prowadzić hordy wikingów do boju... szaleć jak dziki wojownik... albo coś w tym stylu.

Mężczyzna wskazał na klatkę piersiową pacjenta, ale nagle na moment podniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały. Jego twarz natychmiast przybrała kamienny wyraz.

To, co w jego ojcu było piękne, u niego było surowe. Błękitne oczy lśniły jak skute lodem. Nie wyglądał na kulturalnego człowieka. Takiej twarzy nikt nie chciałby oglądać na monecie - ani rzymskiej, ani żadnej innej.

Wyglądał jak brutal, jak... jak bestia..

Serce drgnęło w piersi Linnet, kiedy przesunął wzrokiem po jej twarzy, a potem po ciele, jakby była kolejną diagnozowaną pacjentką. Potem, nie starając się być uprzejmym, powiedział, nie odrywając od niej wzroku:

- To gorączka plamista, głupcze. Powinno się go położyć we wschodnim skrzydle, a nie w zachodnim, bo już nie zakaża.

Powinieneś nadal odpiłowywać ludziom kończyny, bo diagnozujesz zupełnie bez sensu. A potem dodał:

- Patrzcie, kogo my tu mamy! Ojcu naprawdę udało się ściągnąć niewiastę piękniejszą niż słońce i księżyc!

W jego głosie zadźwięczał cień pogardy, który sprawił, że Linnet wyprostowała się sztywno.

- Pierś - zmitygował go książę

Bezlitosne oczy jego syna przesunęły się z twarzy Linnet na księcia.

- Przyjechał też mój kochany tatuńcio. Co za wspaniała niespodzianka! Wiecie co, chłopcy?

Lekarze bezwstydnie gapili się na nią. W odróżnieniu od hrabiego zareagowali na widok Linnet całkiem normalnie.

Wystarczył jej jeden rzut oka, by się o tym przekonać.

- Żenię się właśnie - obwieścił Pierś. - Z kobietą, która wyraźnie marzy o tym, by zostać księżną. Ale mam szczęście, co?

Podszedł do nich, omijając łóżko.

Linnet powstrzymała się, by nie zrobić kroku w tył. Uświadomiła sobie z przerażeniem, że jeśli teraz nie potraktuje go jak równego sobie, to przez resztę życia będzie musiała znosić jego docinki.

Zdecydowanie wyglądał na człowieka, który lubi się znęcać nad słabszymi od siebie. Podszedł do niej i stanął bardzo blisko, by nad nią górować. Chciał, żeby się go przestraszyła.

- Mój ojciec poinformował cię, że zamierzam żyć równie długo, jak każdy normalny człowiek? - spytał z niesmakiem w głosie.

- Nie wspominał o tym - odparła, zadowolona, że nie drży jej głos. Ledwie skrywana pogarda w jego oczach sprawiła, że Linnet napięła się jak struna. - Na szczęście z zamiarami różnie bywa -dodała. - Zawsze pozostaje nadzieja.

- Ja rzadko zmieniam plany. Nie chciałbym, żebyś fatygowała się taki kawał do Walii tylko dlatego, żeś się spodziewała ujrzeć mnie na katafalku.



- Książę sporo mi o panu opowiedział, a resztę dopowiedziałam sobie sama, poznawszy pańską reputację - odparła. Znowu przesunął wzrokiem po jej sylwetce.

- Bardzo ciekawe. Szkoda tylko, że mnie zapomniał powiedzieć o kilku sprawach.

Linnet zwróciła się w stronę księcia. Przecież musiał wspomnieć w liście o dziecku - o dziecku, które jakoby miała urodzić? Marchant wyraźnie zatrzymał wzrok na jej pogrubionej talii.

Ale książę wpatrywał się w swojego syna jak głodomór w konfitury. Zdaje się, że gra szła o większą stawkę, niż jej się wydawało.

- A ty, panie, musisz chyba być moim ojcem - ciągnął Marchant tonem, który bynajmniej nie zdradzał radości ze spotkania.

- Tak jest - zająknął się książę. - Jestem nim. Zapanowała krepująca cisza. Marchant wyraźnie nie zamierzał się odzywać, a książę nie mógł zebrać się na odwagę.

- Teraz, kiedy wiemy już, kto jest kim - oświadczyła Linnet promiennym głosem - zejdźmy może na dół i dajmy chwilę spokoju pańskiemu nieszczęsnemu pacjentowi.

Chory oparł się na łokciu i z fascynacją obserwował rozgrywającą się przed nim scenę.

- Nie przeszkadzajcie sobie - wybełkotał ledwie zrozumiale. Marchant przeniósł wzrok na nią.

- Piękna i taka pogodna. O mój Boże, ja naprawdę mam szczęście.

- Takie uroczе rodzinne spotkania zawsze budzą w nas najlepsze uczucia, prawda? - Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. W progu zatrzymała się i jeszcze raz odwróciła. Dokładnie tak jak się spodziewała, wszyscy mężczyźni gapili się na nią otwarcie, włącznie - serce zabiło jej z zadowolenia - z jej narzeczoną, nie wspominając o pacjencie.

- Doktorze?

- Zdaje się, że muszę odegrać swoją rolę - odpowiedział. Nagle uświadomiła sobie, że cały czas wspierał się na lasce, którą zaciskał w prawej dłoni. Patrzyła, jak idzie w jej stronę. Dziwne, ale.

jego potężne ciało poruszało się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobraziła, gdy powiedziano jej, że utyka.

Skradał się jak ranny, dziki lew, rozdrażniony zadaną mu raną i przez to jeszcze bardziej groźny.

- Nie mów mi tylko, że Jego Wysokość zapomniał powiedzieć ci, że twój przyszły mąż jest kaleką - rzucił, gdy był już przy drzwiach. Minał ojca obojętnie, udając, że nie widzi jego dłoni, która uniosła się na powitanie i po chwili opadła.

Linnnet postanowiła nie korzystać na razie z rodowego uśmiechu.

- Owszem, wspomniał o tym - odparła. - Może nie powinnam brać pana pod rękę, żeby pan nie upadł? - spytała, jakby nie zauważyła, że wcale nie podał jej ramienia. Zmrużył oczy. Oboje wiedzieli, że jest potężny jak dąb i że jej dłoń na jego ramieniu nie będzie mu ciążyła.

- Ostro grasz - powiedział.

- Zgaduję, że ci trzech młodzi panowie to pańscy studenci? - zagadnęła, gdy szli korytarzem. Za nimi księżę wymieniał powitalne uprzejmości z pozostałymi lekarzami.

- Aha, umiesz liczyć do trzech - odparł z aprobatą. - To dobrze wróży naszemu potomkowi.

- A ja, naiwna, myślałam, że nie będziemy mieli dzieci.

- Prawdą jest, że odpowiedzialność za to spocznie całkowicie na twoich barkach - powiedział, poruszając się w płynnym rytmie, jakby się skradał. Wyprzedził ją. - Choć muszę przyznać, że ojciec w liście sugerował, że pod tym względem okazałaś się mniej opieszala, niż się wydaje.

Nie chciała biec, by dotrzymać mu kroku. To by było najgorsze. Był wyraźnie przyzwyczajony do tłumu młodych lekarzy depczących mu po piętach.

Odwrócił głowę.

- Słyszałaś, co powiedziałem?

- Niestety, na swoje nieszczęście - odparła słodko - nie rozumiem, co znaczy słowo „opieszala”, więc ominął mnie pański niewątpliwy komplement.

- Mówiłem o tym ochłapku królewskiej krwi, który jakoby nosisz w łonie - warknął.

Linnet spojrzała przez ramię. Księcia ani lekarzy nie było widać.

- No i co z tego? Zatrzymał się.

- W tym brzuchu nie ma dziecka, panno Thrynne. Poduszka, którą się pani obwiązała w pasie, wystarczy, żeby oszukać mojego ojca, ale nie mnie. - Wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Linnet popatrzyła na jego plecy i stwierdziła, że musi ukrócić to jego przyzwyczajenie do wyprzedzania innych, bo w przeciwnym razie przez resztę życia będzie musiała za nim biegać.

- Czy to z powodu urazu tak pan chodzi? - spytała, podnosząc głos.

- A jak ci się zdaje? Że dla przyjemności zataczam się jak pijany marynarz?

- Nie miałam na myśli utykania, ale to, że gna pan korytarzem jak dziewczka kuchenna zmykająca przed kucharzem. Zamarł na moment, a potem, ku jej zdumieniu, wybuchnął śmiechem, nieco chrypliwym, jakby zardzewiałym, bo długo nie używanym.

- Irytuje mnie przyglądanie się cudzym plecami - wyjaśniła.

Jego oczy zalśniły niezwykłym blaskiem w półmroku korytarza. Nie odziedziczył urody po ojcu, ale Linnet zaczęła dostrzegać w nim jego własny urok. Był przystojny, choć brutalny i dziki -w jego oczach kryła się męska siła.

- Psiakrew. Nie spodziewałem się, że będziesz taka.

- Widać nie jestem równie sławna jak pan - odpowiedziała, stając u jego boku. Nie podał jej ramienia, ale mimo to oparła na nim czubki palców, w nadziei, że dzięki temu nie będzie tak pędził.

- Z taką urodą socjeta na pewno panią zauważyła.

- A co pan wie o socjecie?

- Nic a nic - odparł i ruszył przed siebie. Nie skomentował tego, że wzięła go pod rękę, ale mimo wszystko zwolnił kroku.

- Chwilowo cieszę się raczej złą sławą niż dobrą - stwierdziła, postanawiając wziąć byka za rogi.
  - Z powodu dziecka, którego wcale nie poczęłaś - zauważył. -To dziwne, zawsze wydawało mi się, że ludzie z towarzystwa starają się raczej tuszować ciążę niż jej brak. Czy ta poduszka to miał być jakiś dowcip?
  - Owinęłam się nią dopiero dziś rano, dla pana - powiedziała.
  - Jak udało ci się wykombinować, że w tej sytuacji mój ojciec ci się nie oprze? Bardzo inteligentnie zagrałaś na jego obsesji przedłużenia rodu. - Po raz pierwszy w jego głosie zadźwięczał podziw.
  - Dziękuję - odparła.
  - Szkoda, że ci się to nie udało.
- Linnet pomyślała to samo, ale uznała, że za nic się do tego nie przyzna.
- Och, a mnie się wydaje, że doskonale do siebie pasujemy - odpowiedziała, tylko po to, żeby się z nim podrażnić.
  - Stuknięty lekarz, który wrzeszczy na wszystkich, czyli ja, i przebiegła piękność - to ty - wkraczają, kulejąc, w nowe szczęśliwe życie? Nie wydaje mi się. Chyba czytujesz za dużo bajeczek.
  - A kto mówi, że umiem czytać? Przecież ledwie potrafię liczyć, zapomniałeś?
- Spojrzał na nią, a ona po raz kolejny postanowiła nie poczęstować go rodowym uśmiechem.
- Zdaje mi się, że myliłem się co do twoich talentów. Prawdopodobnie potrafisz doliczyć do dziesięciu, w tę i z powrotem.
  - Och, jak miło usłyszeć coś takiego od słynnego lekarza... i w ogóle - zagruchała.
- Kącik jego ust powędrował do góry.
- Zdradź więc, kiedy planowałaś poinformować swego męża, że dziecka nie będzie?
  - Mogłam je przecież stracić.
  - Jestem lekarzem, nie zapomniałaś przypadkiem?
  - Myślałam, że tylko chirurgiem.
  - Jestem wszechstronny - odparł i przyspieszył kroku.

Zacisnęła palce na jego ramieniu, czując, jak napina mięśnie, by utrzymać równowagę pomimo utykania. Mocniej oparł się na lasce. Spojrzał na nią z ukosa i zwolnił bez słowa.

- Więc jednak jesteś chirurgiem - stwierdziła i powtórzyła pytanie: - Czy ci młodzi ludzie to twoi studenci?

- Nie mam studentów - odparł z niesmakiem. - Zostawiam takie zajęcia durniom z Londynu. Ci, których widziałas, to beznadziejni idioci, którzy przyjechali tu chyba tylko po to, żeby zmienić mi życie w piekło. Może zauważyłaś największego barana z nich wszystkich, tego blondyna przepychającego się przed innymi. On jest najgorszy.

- Chyba jest za stary na studenta - oceniła.

- To Sébastien. Mój kuzyn. Właściwie całkiem nienajgorszy chirurg. Podobno nawet pisze podręcznik chirurgii, ale tak naprawdę to się przestraszył i przyjechał tu, żeby się ukryć.

- Przed czym?

- Uznał, że Napoleon zwariował. Wcale mnie to nie dziwi. Poza tym jest markizem Latour de l'Affitte, więc właściwie to cud, że przetrwał ostatnich dziesięć lat i nie stracił tej swojej przystojnej łepetyny.

Dotarli do schodów wiodących na parter.

- Jeśli chcesz dalej trzymać mnie pod rękę, przejdź na lewą stronę - polecił Marchant. - Chociaż w zasadzie mogłabyś zejść z tych schodów samodzielnie.

Linnet przeszła na lewo, tylko po to, żeby go nieco zirytować, i tym razem chwyciła jego ramię od spodu. To nawet jej się podobało, te prężące się mięśnie. Poczowała się jak pogromca dzikiego zwierzęcia. Bestii.

- Zdaje się, że chcesz mnie w sobie rozkochać - stwierdził.

- Czemu nie.

- Ile czasu sobie dajesz? - W jego głosie brzmiało autentyczne zainteresowanie.

- Nie więcej niż dwa tygodnie - odparła. I wtedy posłała mu ten swój uśmiech - dołeczki, urok, zmysłowość... wszystko naraz.

Nawet nie mrugnął.

- To wszystko, co masz w zanadru?

Nie wytrzymała i zachichotała, raz, a potem drugi.

- Zazwyczaj to zupełnie wystarcza. Aż nadto.

- Pewnie powinienem teraz upewnić cię, że się nie mylisz - stwierdził i nadał swemu głosowi płaczliwy, przepraszający ton: - To nie moja wina, to wszystko przez ciebie. - A potem wykrzyknął: - Nie, powinno być na odwrót. To nie twoja wina, to wszystko przeze mnie.

- Pewnie jesteś odporny na moje sztuczki ze względu na ten uraz - stwierdziła. Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Przeliczyła się, uznając, że jego niesprawność będzie zaletą. Niestety, był przez to niepodatny na jej wdzięki. Oznaczało to porażkę ich małżeństwa.

Jego ojciec będzie musiał się pogodzić z brakiem dziedzica. Błękitne, chłodne oczy Marchanta omiotły spojrzeniem jej twarz.

- Coś w tym stylu - mruknął.

- Nie będę o tym wspominać, jeśli to bolesny temat - odparła, zdecydowana rozdrażnić go do granic możliwości. - Na pewno ciężko jest żyć ze świadomością, że jest się... jak to się mówi? Sa-fandulą? Śniętym węgorzem?

- Śniętym węgorzem? - Ku jej rozczerowaniu nie rozzłościło go to, tylko rozbawiło. - Raczej myślałbym o sobie jako o...

- Tak?

- Muszę się zastanowić. Poszukać odpowiedniego wyrażenia.

- Nie przejmuj się zanadto - uspokoiła go. - Weźmiemy ślub, a potem bez trudu uporam się z naszym wspólnym kłopotem. Walia jest pełna zdrowych parobków, gotowych wyświadczyć przysługę swemu panu.

- Nie mamy żadnego wspólnego kłopotu - warknął. Z trudem ukryła uśmiech.

- Ależ mamy - odparła. - Twój ojciec obiecał mi ślub z tobą, a ogłoszenie już poszło do „Morning Post”.

- I zdaje ci się, że bardzo się tym przejąłem?

- Ty nie, ale twój ojciec tak.

- Ojciec, którego spotkałem pięć minut temu po raz pierwszy od dwudziestu sześciu lat?

- Cóż... Oto cała ja. Twoja narzeczona. Pewnie jedyna, jaka ci się w ogóle trafi.

W jej tonie musiało być coś, co ją zdradziło, bo znowu wybuchnął tym schrypniętym śmiechem.

- Nie zamierzam się z tobą żenić i wygląda na to, że ty też za mnie nie chcesz wyjść. Ale, do diabła, w innej sytuacji nie puściłbym cię tak łatwo.

- Spokojnie, spokojnie - szepnęła, zaciskając mocniej palce na jego ramieniu. Posłała mu kolejny uśmiech.

- Och, przestań - mruknął. - Przecież nie chcesz za mnie wyjść, a ja też nie mam ochoty się żenić. Właściwie, jak ty się nazywasz?

- Jestem panna Thrynne, córka Corneliusa Thrynne, wicehrabiego Sundon.

- Ja jestem hrabią - poinformował. - Ale pewnie doskonale o tym wiesz, bo wyraźnie uwzięłaś się na mojego ojca, oczarowując go opowieściami o królewskiej krwi. Skąd się dowiedziałaś o tej jego słabości?

- Moja ciotka słyszała, jak chlubił się pochodzeniem od Henryka VIII - odpowiedziała, prześlizgując się wzrokiem po jego smukłej sylwetce. - Ale ja nie widzę żadnego podobieństwa. Henryk był zdecydowanie mocniej zbudowany od was obu.

W drzwiach czekał majordomus.

- To Prufrock - oznajmił hrabia. - Wie o wszystkim, co dzieje się w tym zamku i poza nim. Prufrock, naprawdę powinienesz mnie ostrzec, że ojciec planuje napad na naszą fortecę. Mógłbym wtedy wyjechać na jakiś czas.

- Doszedłem do identycznego wniosku, milordzie - stwierdził majordomus, kłaniając się Linnet. - Pani pokojówka jest w sypialni, panno Thrynne. Może zechce pani się tam udać na odpoczynek.

Na szczycie schodów rozległy się męskie głosy. Lekarze schodzili na dół; na czele kroczył książę.

- Och, do diabła ciężkiego - zirytował się Marchant. Popatrzył na drzwi wejściowe.
- Hej, ty, otwieraj - rzucił w stronę stojącego przy nich lokaja, który natychmiast spełnił polecenie. Linnet przyglądała mu się z pewnym rozbawieniem. Odwrócił się.
- A ty pójdziesz ze mną - oznajmił. Roześmiała się.
- A ty uciekaj i schowaj się w jakąś dziurę! Słyszę, jak nadchodzi wielki, zły wilk! Nachmurzył się i zmrużył oczy w grymasie, który był wręcz przerażający. Ale po chwili wyciągnął rękę.
- Proszę cię - powiedział.
- Właściwie, czemu nie, pomyślała. Ale nie przyjęła podanej jej dłoni. Wyszli przez potężne drzwi prosto w jasny dzień.
- Słońce jeszcze się nie schowało za chmurami- stwierdził Marchant, spoglądając w niebo. - Mieliliśmy je przez cały ranek, co stanowi rekord. Tu, w Walii, ciągle pada.
- Czy możemy pójść w stronę morza? - Czuła w powietrzu pobudzającą, słoną świeżość; z oddali dochodził szum fal. Wprawdzie nie miała kapelusza, co mogło oznaczać, że dostanie od słońca piegów, ale jakoś jej to nie obchodziło. Pani Hutchins wprawdzie twierdziła, że piegi są nieatrakcyjne, ale na szczęście została daleko, w Londynie.
- Tędy - wskazał hrabia. - Możesz mnie wziąć pod rękę, jeśli chcesz. Wiedziała, że na pewno nie pozwoli jej pójść po kapelusz, więc nawet nie poruszała tego tematu.
- Jesteś bardzo uprzejmy. Jeszcze trochę i będziesz się nadawał nawet do Almack'sa - powiedziała, zaciskając palce na jego ramieniu.
- Do Almack'sa? Co to takiego?
- Miejsce, w którym socjeta bywa na tańcach w każdą środę.
- Brzmi okropnie.
- To prawda, bywa tam nudno - powiedziała po zastanowieniu.



Spojrzał na nią z ukosa.

- Nie lubisz tańczyć?

- Lubię - odparła bez specjalnego entuzjazmu.

- Co robią panie, które nie tańczą? Moja matka nie wyobraża sobie bez tego życia. Jest na mnie wściekła, że nie może teraz potańczyć.

- Dlaczego? .

- Wszystko przez Seba. Wysłał swoją matkę razem z moją do Andaluzji, żeby nic im się nie stało w Paryżu, na wypadek gdyby Napoleon postanowił zaatakować Anglię. Naturalnie, mc takiego się nie stało i obie damy gorąco tęsknią za salą balową.

Linnet nie odpowiedziała. Marzyła o podróżach, o zwiedzaniu takich miejsc jak Andaluzja, Grecja i jeszcze dalej. Z radością zrezygnowałyby z tańców do końca życia za możliwość zwiedzenia

Partenonu.

- Jak się nazywasz?

- Już ci mówiłam - nachmurzyła się. - Panna...

- To wiem. Powiedz, jak masz na imię.

- Linnet. Ale nie wypada, żebyś się do mnie tak zwracał, skoro nie zamierzasz się ze mną zenić.

- Ale „Morning Post” jeszcze o tym nie zawiadomiłem - zapewnił - Czyli, z towarzyskiego punktu widzenia, jesteśmy zaręczeni. Tak przy okazji, ja mam na imię Pierś. Nie nazywa, mnie Marchantem, bo to mnie doprowadza do szału.

Ścieżka skręciła, a potem poprowadziła ich obok niedużego domku.

- Co to takiego? - spytała Linnet.

- Wartownia. Zdaje się, że był taki moment w nie do końca sławnej historii tego zamku, że mieszkał tu człowiek zajmujący się nadzorowaniem przemytu.

Linnet już chciała zadać kolejne pytanie, gdy nagle ścieżka wyprowadziła ich na otwartą przestrzeń. U stóp urwiska morze lśniło w słońcu jak olbrzymi szafir.

- Jakie piękne! - szepnęła, puszczając jego ramię. - Nie wiedziałam, że aż tak.

- Nigdy nie widziałaś morza? Pokręciła głową.
  - Ojciec woli Londyn przez cały rok. Czy to basen<sup>1</sup>?
  - Tak. Wykuto go w skale. Przyptyw go napełnia, a odpływ opróżnia.
  - Hodujecie w nim ryby?
  - Ależ skądże, ja tu pływam. Jeśli uda mi się wytrzymać w bliskość! tatusia jeszcze parę dni, to cię tu zaproszę, żebyś spróbowały - Ruszył w dół urwiska. - Ale pewnie będziesz się bała.
- Zmrużyła oczy i wbiła wzrok w jego plecy. Po chwili odwrócił się do niej. Założyła ręce na piersi i czekała.
- Ale z ciebie maruda - mruknął niecierpliwie. Czekala dalej.
- Oparł się o łaskę i jęknął.
- Co za koszmarny ból.
- Ale wrócił do niej. Wiatr od morza rozwiewał jego ciemne włosy, które fruwały wokół głowy. Linnet zaśmiała się, bo było w nim coś, co budziło w niej uczucie...
- Słabości.
- Wydało jej się to żalodne. Zaciśnęła palce na jego ramieniu
- Damy nie pływają - poinformowała go.
  - Właśnie, że tak. Sam posłałem kilka pacjentek nad morze Szczególnie tych, których problemy biorą się z umiłowania słodczy. No i tych, które mają kobiece bolączki. O ile się orientuję, wjeżdżają do morza w powozie, a panny służące pomagają im unosić się na wodzie.
- Zastanowiła się.
- Przecież ciężar ubrania na pewno ściąga je na dno. W jego oczach zabłysła złośliwa radość.
  - Nago, głuptasie. Służąca rozbiera swoją panią, a ta wślizguje się do wody jak ryba.
  - Och...
  - Ja też pływam nago - powiedział. - I nie potrzebuję do tego żadnych urządzeń.

- Czy to nie jest nieprzyzwoite?

Schodzili skalistą ścieżką do basenu. Pierś radził sobie z tym z łatwością, znajdując oparcie dla laski.

- Szczerze mówiąc, jest mi wszystko jedno, ale Prufrock przysyłał mi tu pacjentów, więc postanowiłem zadbać o moją prywatność. Widzisz ten znak? - Wskazał na słupek wbity w ziemię, do którego przytwierdzono czerwoną poprzeczkę. - Jeśli ustawię ją pionowo, o tak - przekreślił drewnienko - nikt ze służby nie odważy się iść dalej.

Skinęła głową.

Ustawił poprzeczkę w poziomie.

- Jeśli wybierzesz się popływać, koniecznie pamiętaj o tym znaku.

Linnet już otwierała usta, żeby powiedzieć „ależ ja nie mogę”, ale w porę je zamknęła. Właściwie czemu nie?

Przestała być debiutantką, która musi zważać na każdy ruch w obawie, by jej nie uznano za niemoralną.

Miała zszarganą opinię. A takim kobietom prawdopodobnie wolno było pływać w morzu.

Ta myśl kazała jej się złośliwie uśmiechnąć.

- Co cię tak bawi? - zirytował się Pierś.

- Myśl o tym, jak wijesz się w tej wodzie - odparła. - Lordzie Marchant - dodała, żeby się z nim podrażnić trochę bardziej.

- Wcale się nie wiję - odparł. - Mogę ci pokazać, jeśli chcesz. Byli już przy samym brzegu basenu, więc puścił jej ramię.

- Zwykle stąd wskakuję do wody. - Wskazał płaską skałę nad taflą basenu.

Linnet pochylila się. Cudownie chłodna woda przeciekała przez palce, jakby była obdarzona życiem.

- Też możesz się wykąpać - poradził jej Pierś. - Widać, że jesteś spocona i zgrzana. Twarz ci poczerwieniała. Pewnie przez tę poduszkę, którą wypchałaś sobie talię.

- To niegrzecznie mówić komuś o kolorze jego twarzy - napomniała go Linnet, nieco urażona. - Poza tym nie zamierzam się kąpać w twojej obecności!

- Dlaczego nie? Jestem śniętym węgorem, pamiętasz chyba! A na wypadek, gdybyś się zastanawiała, czy na widok twojego cudownego ciała zakocham się w tobie, informuję cię, że nie. Jako lekarz ciągle oglądam kobiece ciała i jak do tej pory żadne z nich mnie nie pobudziło.

Wyprostowała się.

- Jakże mi przykro - odparła z przekąsem.

- Dlaczego? Bo nie ulegnę twoim niewątpliwym wdziękom? Rozumiem, że to dla ciebie zaskoczenie.

- To prawda. Ale też dlatego, że mężczyźni... - przerwała, nie wiedząc, jak to powiedzieć.

- Że mężczyźni są tacy pożądlivi, a ja nie? Większość kobiet też ulega żądzy.

- A ja nie - odpowiedziała pogodnie. Uniósł brew.

- Książę August musiał być wielce rozczarowany.

- Prawdopodobnie - odrzekła. - Choć szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego ze mną flirtował. Oboje wiedzieliśmy, że nic z tego nie wyniknie.

- Pewnie lubi się pośmiać - stwierdził hrabia. To były pierwsze miłe słowa z jego strony.

- Powinnam wrócić do zamku - mruknęła. - Za chwilę na nosie wyskoczą mi piegi.

Wzruszył ramionami.

- Piegi często dodają uroku. Chociaż kiedyś miałem pacjentkę, która kupiła w aptece płyn na piegi i spaliła sobie spory kawałek skóry na prawym policzku.

Linnet wzdrygnęła się i ruszyła pod górę.

- Nie czekasz na mnie? - zadrwił. - Już mi się zaczęło wydawać, że nie potrafisz zrobić kroku bez oparcia.

Mielibyśmy przynajmniej coś wspólnego: podporę pięknej przyjaźni.

Podał jej ramię, które przyjęła.

- Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle wspominałem o pływaniu - dokuczał jej dalej. - Przecież dama nie zanurzyłaby nawet czubków palców w oceanie. Taka zimna woda...

- A ja bym zanurzyła - odparła Linnet. Nie dbała o zimno; marzyła, by rzucić się w tę szafirową toń. - Czy mieszkańcy zamku naprawdę przestrzegają tego twojego znaku?
- Boją się mnie.
- Naprawdę?
- Ty też powinnaś. Uśmiechnęła się.
- Musisz się lepiej postarać.
- Może rzeczywiście powinnaś za mnie wyjść - zauważył. W odpowiedzi wybuchła serdecznym śmiechem.

## 8

Kiedy Piers wszedł wieczorem do salonu, okazało się, że zjawił się w nim pierwszy. Właśnie o to mu chodziło. Sébastien krzywo patrzył na jego zwyczaj popijania brandy, a ponieważ Piers nie miał ochoty z nim się spierać, wolał wychylić szklaneczkę przed przyjściem kuzyna.

Jak prawdziwy pijak, pomyślał.

Odstawił szklankę na kredens. Prufrock otworzył drzwi, zaanonsował:

- Panna Thrynne - i zamknął za nią drzwi.

Jego narzeczona wyglądała jeszcze promienniejsz niż rano, o ile to było możliwe.

Była cholernie piękna. Naprawdę. Ojciec przeszedł samego siebie. Najpierw znalazł Prufrocka, a potem ją.

Wyglądała jak księżniczka, z tymi wszystkimi zachwycającymi krągłościami, słodką buzią i kremową cerą. Była zdecydowanie piękniejsza niż słońce i księżyc. I miała fantastyczny biust. Choć przecież to tylko funkcjonalne gruczoły mleczne, przypomniał sobie z naciskiem.

- Moja narzeczona - powitał ją dwornie. - Napijesz się brandy?

- Damy nie piją brandy - odparta. Miała na sobie białą wieczorową suknię z plecionką przy dekolcie i pianą przezroczyстых falban na dole, z ornamentem w kwiaty. Bardzo sprytnie, bo człowiek miał wrażenie, że jeśli wysili wzrok, to zobaczy jej nogi.

- Ładna - powiedział, wskazując na suknię laską. - Choć zdaje mi się, że w zielonym byłoby ci bardziej do twarzy.

- Wszystkie moje wieczorowe suknie są białe - wyjaśniła. - Możesz mi nalać szampana?

- Ja nie, ale Prufrock może. Jak tylko wróci. Dlaczego białe?

- Niezameężne damy wieczorem ubierają się na biało.

- Aha, jako dziewice! - zrozumiał. - W ten sposób reklamujecie na małżeńskim rynku swój brak doświadczenia w sprawach seksu?

- Dokładnie tak - odparła. Ujęła butelkę szampana i zaczęła walczyć z korkiem.

- Na litość boską - powiedział. - Oddaj mi to. Nie wiedziałem, że jesteś w takiej potrzebie. - Wyjął korek i nalał jej kieliszek. - Co zrobiłaś z tą poduchą, którą nosiłaś w talii przez całe rano?

Wyraźnie nie miała jej na sobie. Jej ciało wyglądało jak ideał kobiecej figury. Szczupłe tam, gdzie trzeba, a zaokrąglone i miękkie we wszystkich właściwych miejscach.

- Wyrzuciłam ją. Miałeś rację. Gorąco mi w niej było.

- Ojciec będzie przerażony. Ledwie przyjechałaś, a już straciłaś dziecko. Ma zupełnego fioła na punkcie historii naszego rodu, wiesz?

- Kiedyś się i tak dowie, więc czy to nie wszystko jedno? Nie miałam pojęcia, że tak troskliwie dbasz o jego uczucia.

- Hm - pociągnął łyk brandy.

- Dlaczego dopiero teraz spotkaliście się pierwszy raz po tylu latach? Przecież mieszkasz w Anglii od dłuższego czasu, inaczej nie wyrobiłbyś sobie takiej zachwycającej reputacji.

Bliskość tak pięknej kobiety była nieco niepokojąca. Miała błękitne, ogromne oczy, w takim odcieniu błękitu, jaki ocean przybiera tuż przed burzą.

- Zasłużyłem sobie na nią jeszcze w Oksfordzie - wyjaśnił. - Miałem też praktykę w Edynburgu, więc plotki o mojej uroczej osobowości rozeszły się szeroko. Ludzie nie mają wyraźnie lepszych tematów do rozmowy. Dlaczego nie masz rudych rzęs? Malujesz je?

- Oczywiście, że tak. Rozumiem, że nie spotkałeś się z ojcem, ponieważ...

Nie odpowiedział, czekając, co sama wymyśli.

- Ponieważ całe dzieciństwo spędziłeś we Francji?

- Pojechałem tam jako sześciolatek. Dorastałem razem z kuzynem, tym blond durniem, który błędnie zdiagnozował gorączkę. Widziałas go.

- Czy we Francji wielu arystokratów zajmuje się leczeniem? - spytała. - U nas to rzadkość.

Wzruszył ramionami.

- I mnie, i Sebastiena od dziecka fascynowało krojenie stworzeń i obserwowanie, co mają w środku i jak to działa. Żaden z nas z tego nie wyrósł, a poza tym, jak może pamiętasz, większość francuskiej arystokracji zginęła podczas rewolucji.

Spojrzał na nią.

- Pamiętasz? Byłaś już wtedy na świecie?

- Oczywiście, że tak. Czy wam także groziła śmierć?

- Francuskie uniwersytety medyczne zamknięto w 1792 roku, więc przenieśliśmy się do Oksfordu.

- Udało wam się uniknąć najgorszego. Mieliście szczęście. Dopięła szampana. Pierś obserwował jej szyję, gdy przełykała

płyn. Ludzkie ciało to fascynująca rzecz.

- W dziewięćdziesiątym czwartym moja matka straciła męża. Na szczęście, ocaliła głowę - dodał.

- Dlaczego nie zobaczyłeś się z ojcem po powrocie do kraju?

- Nie chciałem. Miałem złe wspomnienia o nim. To słabeusz i dureń.

- Tak jak mój - odparła, zaskakując samą siebie. - Ale kocham go, bo jest moim ojcem. Poza tym twój wcale nie jest durniem. Po drodze rozmawiałam z nim co wieczór przy kolacji i zapewniam cię, że jest dwa razy mądrzejszy od mojego.

- To może wyjdiesz za niego? - spytał żartem, zanim zdążył się zastanowić, a po chwili aż się zatrząsł z obrzydzenia. Prędzej by popełnił ojcobójstwo, niż by do tego dopuścił.

Zmarszczyła nos.

- Chyba uda się znaleźć kogoś starszego ode mnie mniej niż o dwadzieścia lat. Wolałabym kogoś takiego, gdybym miała wybór.

- Ale decydując się na małżeństwo ze mną, nie miałaś wyboru, prawda?

- Kobiety rzadko kiedy mogą wybierać - odparła. - Rzadko kiedy pyta się nas o zdanie w takich sprawach.

- Gdybym cię poprosił o rękę, miałabyś wybór. Zaniósł się śmiechem.

- Przecież nie chcesz się ze mną ożenić.

- Wyjdiesz za mnie? - spytał.

- Nie.

- Sama widzisz. Czujesz się teraz silniejsza? Odrzuciłaś zaloty hrabiego jeszcze przed kolacją. Na pewno przed pójściem spać uda ci się skłonić do oświadczeń któregoś z tych nieszczęsnych doktorków. Najlepsze koneksje ma Bitts; jest drugim synem wicehrabiego, albo jakoś tak.

Znowu się zaśmiała. Poczł niepokój, bo jej śmiech zaczął mu się niezwykle podobać. Naprawdę była niebezpieczną kobietą.

Drzwi otworzyły się znowu i Prufrock wprowadził trzech młodych lekarzy, którzy zawracali Piersowi głowę pod pozorem studiowania medycyny.

- Penders, Kibbles i Bitts - przedstawił ich, wskazując każdego skinieniem głowy. - Kibbles to jedyny spośród nich, który ma mózg w porządku. Bitts to szlachcic, więc nie miał po kim odziedziczyć rozumu. A Penders się powoli uczy i to jest dobry znak, bo gorzej już być nie mogło. Panowie, oto panna Thrynne, moja narzeczona.

Posłała im ten patentowany uśmiech, którym i jego wcześniej potraktowała. Rozpłynęli się jak masło na słońcu, a Penders nawet trochę się zachwiał na nogach.



- Bądź mężczyzną - napomniął go Pierś, wymierzając kuksańca. - Widywałeś już chyba w życiu piękne kobiety, prawda?

- Bardzo mi miło poznać - wygłosił formułkę Kibbles i skłonił się tak nisko, że o mało co się nie przewrócił.

Drzwi otworzyły się ponownie i Prufrock zaanonsował:

- Księżę Windebank. Markiz Latour de PAffitte.

Pierś oparł się o kredens, ciekaw, jak jego narzeczona poradzi sobie z rolą jedynej kobiety w salonie. Spojrzeniem ostrzegł ojca, żeby trzymał się z dala, a starszy pan usłuchał, podszedł do okna i zaczął spoglądać na morze.

Linnet miała więc u stóp tylko czterech adoratorów. Nawet Sébastien, który zdaniem Piersa miał swój rozum, zachowywał się, jakby go ze szczętem postradał.

Linnet zaśmiała się tym swoim gardłowym tonem i Sébastien przysunął się do niej, a oczy zaśniły mu takim blaskiem, jaki Pierś widywał wcześniej tylko na sali operacyjnej.

Ku swemu kompletnemu zdumieniu poczuł, że ma ochotę warknąć. To zazdrość, postawił szybką diagnozę. A do tego syndrom psa ogrodnika. Sam jej nie chce, ale nikomu innemu też nie pozwolę pobawić się moją śliczną nową zabawką.

Odsunął się więc od kredensu i pokuśtykał w stronę ukochanego rodziciela. Musiał w końcu się z tym uporać. Nie może przecież gościć go pod swoim dachem i jednocześnie kompletnie ignorować.

Księżę odwrócił się i stał biernie, jakby czekał na uderzenie. To było po prostu okropne.

- Myślałem, że zawarliśmy umowę - zaczął Pierś. Księżę kiwnął głową.

- Złamałem ją.

- Miałeś się do mnie nie zbliżać. W zamian za to zgodziłem się, że umieścisz swoich szpiegów w moim domu...

Ojciec chciał coś powiedzieć, ale Pierś uniósł dłoń.

- Przestań traktować mnie jak idiotę. Prufrock sam nie przedarł się przez nasze walijskie bezdroża. Zastanawiam się, czy nie obniżyć mu pensji, bo przecież ty też mu płacisz.

Milczenie.

Pierś przesunął spojrzeniem po jego postaci. Nie wiedzieć czemu, obrażanie ojca przestało go bawić. Nienawidził go od tylu lat... A teraz, gdy spotkali się twarzą w twarz, ze zdumieniem stwierdził, że to po prostu zwyczajny człowiek.

- Rozumiem, że skończyłeś z opium - powiedział. Jako lekarz, był tego pewny. Oznaki uzależnienia znał na pamięć, zanim jeszcze zaczął studiować medycynę; obserwował je z kolan matki. U własnego ojca.

- Dwanaście lat temu. Jak się czuje matka?

- Pewnie wiesz, że jej mąż został ścięty podczas rewolucji. Lubiała go.

Skinienie głową.

- Oczywiście, że wiesz. W jej domu też pewnie utrzymujesz szpiegów.

- Dobrze zrobiłeś, że wywiozłeś ją z Francji. - Księżę nawet nie próbował zaprzeczać. - Nie podoba mi się to, co tam się teraz dzieje.

- To pomysł Sebastiena - odparł Pierś. - Ja nie zawracałem sobie tym głowy. To on miesiąc temu wywiózł obie nasze matki za granicę, a potem sam pojawił się tutaj.

- Ja... ja zostanę tu aż do twojego ślubu, a potem dam ci spokój. - Księżę skłonił się nerwowo.

Pierś zastanowił się, czy powiedzieć mu o tym, że rezygnuje ze ślubu, ale postanowił się wstrzymać. To nie była sprawa jego ojca, choć przecież dostarczył mu pannę młodą. Spojrzał na nią przez ramię. Uśmiechała się właśnie do Seba.

- Jest cudowna - powiedział księżę z dumą.

- Nawet lepiej, poczęła przecież dzieciaka królewskiej krwi - odparł Pierś, przechodząc do sedna sprawy. - Zrobiłeś całkiem niezły interes: żona i dziecko. Dwa w jednym. Jakże uroczo.

- Księżę August ma nieodparty urok dla kobiet, szczególnie tak młodych i pięknych jak panna Thrynne. Ale na wypadek, gdybyś się niepokoił, ona go nie kocha. Wiem, bo pytałem.

Piers o mało co się nie roześmiał. Nie, Linnet nie była w księciu zakochana. Była pod tym względem trochę podobna do niego. Możliwe, że i ona nigdy nie zazna tego kłopotliwego uczucia.

- A jeśli urodzi dziewczynkę? W dalszym ciągu nie będziesz miał następcy.

- Zobacz, ilu synów ma nasz król - odpowiedział ojciec. - Jest duża szansa, że to będzie chłopak. A nawet jeśli urodzi dziewczynkę, twoją część majątku może dziedziczyć potomek dowolnej płci, a mój prawnik twierdzi, że część mojego też można będzie w ten sposób zapisać. Mała nie odziedziczy tytułu, ale dostanie większą część dóbr.

- No cóż, w takim razie pójdę do niej, zanim Sebastien porwie mi ją do Francji - odparł Piers, wiedząc, że zbyt szybko przerywa rozmowę. Nie mógł już dłużej znieść tęsknego spojrzenia oczu starego człowieka.

Ojciec ściągnął brwi.

- LAffitte to twój kuzyn. Przecież nie skradnie ci narzeczonej.

- To prawda, jesteśmy kuzynami. Ale spójrz, tato - powiedział to ostatnie słowo z przekąsem - na kobietę, którą dla mnie kupiłeś. Nie ma takich wielu we Francji ani nawet w Anglii.

- To prawda - odparł ojciec. - I nie chodzi o samą urodę. Piers powoli obrócił wzrok na Linnet. Bez wątpienia była pięknnością, ale jej uroda nie potrafiła przysłonić błysku inteligencji w oczach. Jego zdaniem, cień cynizmu w głosie przydawał jej jeszcze wdzięku... była połączeniem Afrodyty z Ateną.

- Idź. - Ojciec gwałtownie machnął ręką. - Udawaj, że mnie tu nie ma. Nie musisz się patyczkować.

Piers przeszedł przez salon i włączył się do rozmowy Linnet z kuzynem.

- Moja narzeczone - warknął, rzucając Sebastienowi znaczące spojrzenie.

Francuz uśmiechnął się do Linnet z tym swoim galijskim wdziękiem, z którym się bezwstydnie obnosił.

- Nie wolałabyś raczej wyjść za mnie? Pierś jest nieznośny jak sam szatan. Mieszkam z nim od lat, więc wiem. Linnet zmierzyła Sébastiena takim spojrzeniem, jakby poważnie rozważała jego propozycję, a Pierś nabrał nagle ochoty, by strzelić kuzyna w szczękę.

Co się ze mną dzieje, do diabła, pomyślał. Dawno już postanowiłem, że lepiej mi będzie samemu. Nie będę się musiał nikim przejmować.

- Rzeczywiście, wybierz raczej jego. - Zmusił się do wypowiedzenia tych słów. - Jest sympatyczniejszy. Ale ja mam więcej pieniędzy.

Sébastien wzruszył ramionami.

- Moje majątki zostały skonfiskowane. Ale mimo to jestem wystarczająco bogaty.

- Na tyle, żeby ubierać się jak pajac - dokuczył mu Pierś. - Podobno miałeś dziś zająć się jakąś amputacją.

- Już skończyłem.

- Co ty właściwie odcinasz ludziom? - zainteresowała się Linnet.

- Ręce i nogi - odpowiedział Sébastien.

- Mógł zostać drwalem, ale wybrał łatwiejszą robotę - włączył się Pierś.

- Myślałam, że przecinasz ludzi od góry do dołu - powiedziała. Nie wyglądała na przerażoną albo pełną obrzydzenia, w odróżnieniu od wszystkich innych młodych dam, które Pierś miał okazję poznać.

- Za duże ryzyko zakażenia - wyjaśnił Sébastien.

Już otwierał usta, pewnie po to, żeby uraczyć ją krwawymi opowieściami o zgonach na stole operacyjnym, ale Prufrock wezwał wszystkich na kolację. Przy stole Linnet posadzono po prawej stronie Piersa, a Sébastien, dzięki Bogu, został zesłany na drugi koniec stołu, obok księcia.

- Miałaś szczęście, że zadzwonili na kolację - powiedział Pierś do niej. - Mój kuzyn zanudziłby cię historiami o zakażeniach i śmierci.

- To bardzo miło, że zapewniłeś mi towarzystwo markiza do flirtu, tym bardziej, że prawdopodobnie niedługo zamieszkam na kontynencie.

- Będziesz musiała wyjechać z kraju? Z powodu tego nieistniejącego dziecka?

Wzruszyła ramionami.

- Ślub z tobą był genialnym pomysłem mojej ciotki, żeby zapobiec nieuchronnej katastrofie.

Prawdziwy dżentelmen pewnie zareagowałby na te słowa natychmiastowymi oświadczeniami. Pierś natomiast skwitował je milczeniem.

- Życzy pani sobie wina? - Prufrock nachylił się nad Linnet tak, że zapuszczał żurawia prosto w jej dekolt.

- Zjeżdżaj stąd - warknął Pierś. - To prywatna rozmowa. Kiedy się ożenię z Linnet, będziesz musiał zacząć się zachowywać jak prawdziwy lokaj. Nie możesz wpadać nieproszony do małżeńskiej łóżnicy, nie mówiąc już o podsłuchiwaniu małżeńskich zwierzeń.

- Jak pan sobie życzy - odparł Prufrock i odpłynął, nie oglądając się za siebie.

- Chyba zraniłeś jego uczucia - stwierdziła Linnet i dodała: -Dziwny ten twój majordomus.

- To szpieg mojego ojca - wyjaśnił Pierś. - Prufrocka nie stać na zranione uczucia, bo pobiera pensję od dwóch pryncypałów. Słuchaj, jutro rano pójdziemy popływać.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał:

- Jeśli zanurkujesz i utoniesz, ludzie zaczną plotkować. Powiedzą, że cię specjalnie utopiłem, żeby mieć frajdę podczas sekcji zwłok.

Linnet zmarszczyła nos.

- A kto inny nauczy cię pływać, jak nie ja? Chociaż obawiam się, że i tak nie dasz sobie rady w wodzie. Jak tylko poczujesz wodę, zaczniesz piszczeć i uciekać z powrotem do zamku.

- To nieprzyzwoite. Pierś przewrócił oczyma.

- Jak na młodą damę, która ostatnio zadawała się z księciem krwi, jesteś okropnie pruderyjna. Nie zagrozę twojej cnocie. Poza tym pójdziemy tam wcześniej rano, kiedy twoja przyzwoitka będzie jeszcze smacznie spała. Nie, czekaj! Ty przecież nie masz przyzwoitki!

Uśmiechnęła się, nie tym cudownym uśmiechem z dołączka-mi, który służył jej do manipulowania wszystkimi tymi nieszczęsnymi gamoniami, ale ukradkowym, prawie tajemnym uśmieszkiem. Tylko lekkie wygięcie kącików ust i radość lśniąca w oczach.

- Dobra - powiedział, wstając od stołu.

- Przecież jeszcze nie było drugiego dania...

- Ale pacjenci konają na piętrze - rzucił i uciekł. Od patrzenia w te oczy zaczął tracić głowę.

Trzeba było zastosować strategiczny odwrót. Przecież nie zamierzał się żenić. Nigdy w życiu.

## 9

Linnet położyła się do łóżka, mając przed oczyma głęboką zmarszczkę między brwiami Piersa. Czy pojawiła się tam z powodu nieustannego bólu, czy też przez ten jego okropny charakter? Wbrew zdrowemu rozsądkowi coś w tych dzikich oczach i bolesnym grymasie ust kazało jej drażnić się z tym mężczyzną, rozśmieszać go i budzić jego zainteresowanie.

Co za absurd. Widać było wyraźnie, że Piers postanowił przejść przez życie samotnie i nie wracał już więcej do tego tematu.

A jednak wciąż myślała o tych brwiach i zasnęła, mając przed oczyma twarz Piersa, którą śmiech wygładził ze zmarszczek bólu. Piersa, który nie był Piersem.

Obudziła się, widząc nad sobą właśnie ową zmarszczkę.

- Chryste Panie - warknął. - Nawet nie drgnęłaś, kiedy wszedłem do twojej sypialni, stukając laską. Odzywam się do ciebie raz

i drugi, a ty dalej leżysz jak długa z tym swoim uśmiechem na twarzy.

- Która godzina? - mruknęła, odsuwając włosy z twarzy.

- Właśnie świta.

Usiadł na skraju łóżka, jakby przyjaźnili się od niepamiętnych czasów.

- Noga mnie boli jak jasna cholera, więc czy możesz się uprzejmie ogarnąć, żebyśmy mogli wreszcie pójść popływać? Tylko w ten sposób mogę uporać się z bólem.

- Popływać... - powiedziała i przeturlała się na bok, opierając policzek na dłoni. - Naprawdę myślisz, że będę z tobą pływać?

Wbił palce w udo.

- Pośpiesz się. Słońce już wstaje.

- Naprawdę cię tak boli?

- Masaż pomaga - powiedział. Miała wrażenie, że cedzi słowa przez zaciśnięte zęby. - Ładnie pachniesz.

- To wiciokrzew - odparła, zadowolona z komplementu. Powoli zaczęła się budzić. - Wiesz co, chyba nie powinieneś wchodzić do mojej sypialni.

- Dlaczego nie? Jeśli nas nakryją, to najwyżej będziemy musieli wziąć ślub, nic gorszego się nie zdarzy. Zresztą i tak mamy to zrobić. Poza tym, w tych okolicznościach... - Wzruszył ramionami.

Pomyślała, że owe „okoliczności” to prawdopodobnie utrata przez niego męskiej potencji. Miał rację - nikt nie powie, że impotent zrujnował jej reputację. Przeturlała się na plecy i przeciągnęła rozkosznie.

- Właściwie, to nawet zabawne - powiedziała.

- Co takiego? Mężczyzna w twojej sypialni? Z twoją reputacją przysięgłbym, że to dla ciebie codzienność.

- Twoja reputacja skłaniała mnie do sądu, że jesteś bystry, więc zaskoczenie jest obustronne. - Usiadła na łóżku obok niego.

- Ilu ich rzeczywiście było? - spytał z ciekawością.

- Ani jednego. Nawet domniemanego ojca mojego nieistniejącego dziecka. Szczerze mówiąc, nie lubię być sam na sam

z mężczyznami. Kiedy tylko się trochę odprężysz i zaczyna się robie miło, mężczyzna natychmiast się na ciebie rzuca.

- Nie dane mi było tego doświadczyć - odparł sucho. - Może byś się ubrała? Obiecuję, że się na ciebie nie rzucę.

- Po co ten pośpiech?

- Bo jest wysoka woda. Basen się napełnił, a słońce właśnie wstało. Najlepsza pora na pływanie, słowo daję.

- Nie zamierzam się rozbierać. Znowu wzruszył ramionami.

- Jak wolisz. Tylko pamiętaj, że jeśli wejdiesz do wody w sukni, nie będę nurkował, żeby wyciągnąć cię z dna.

- Włożę koszulkę - postanowiła, czując, że ogarnia ją podniecenie. - Ty też będziesz musiał mieć coś na sobie.

- Mogę być w gatkach, jeśli ci bardzo zależy - powiedział, zupełnie nie zainteresowany tematem.

Linnet ukryła się za parawanem w kącie pokoju, zachwycona tym, jak dobrze się czuje w obecności Piersa.

Wiedziała, że nie będzie się rwał do całowania, nie rzuci się na kolana albo - co byłoby najgorsze - nie straci nad sobą kontroli i nie zacznie jej obłapiać To było wspaniałe.

- Wiesz co - odezwała się zza parawanu, nakładając przez głowę poranną suknię. - Nie chcę cię straszyć, ale z przyjemnością wyszłabym za mąż za kogoś takiego jak ty.

Mruknął coś pod nosem.

- Ty jeden nie ślinisz się na mój widok - wyjaśniła. - Wiem że nie zaczniesz oblizywać się od ucha do ucha i odgrywać Czerwonego Kapturka.

- Chyba powinienem być w roli wilka, a nie małej dziewczynki!

- Wiesz, o co mi chodzi. - Wyjrzała zza parawanu. - Czy mógłbyś mi pomóc zapiąć suknię do końca? Nie sądziłam, że tak trudno jest ubierać się bez pokojówki. - Odwróciła się, żeby zapiąć guziki. Znowu ogarnęło ją nieznanne przedtem poczucie wolności

- Nikt mi nie mówił, że utrata reputacji to taka frajda - powiedziała wesoło. - W ogóle się nie boję, że zerwiesz ze mnie tę suknię



- Mam wrażenie, że utrata reputacji to znacznie lepsza zabawa niż to, co teraz robimy. Czy ty zawsze tyle gadasz? - warknął. - Zabierajmy się już stąd, na litość boską.

Po drodze Pierś przekreślił poprzeczkę na słupku, potem wyszli z zakrętu i spojrzeli przed siebie.

Morze było dziś bardziej błękitne. A basen wyglądał jak idealnie utrzymany trawnik, tyle że odbijało się w nim błękitne niebo. Promienie słońca padały z ukosa na wodę, ślizgając się po niewielkich falkach, powstających przy skalnej ścianie, oddzielającej basen od morza.

- Jak tu pięknie - wykrzyknęła Linnet.

- O tej porze woda jest zimna jak cycki czarownicy - stwierdził Pierś i zdjął surdut. Linnet zmusiła się, by patrzeć na wodę. Nie powinna się na niego gapić, ponieważ on, naturalnie, nawet na nią nie spojrzy. Ale już po chwili jej wzrok mimo woli powędrował ku niemu.

Zdjął koszulę. Zdjął. Koszulę. Była w towarzystwie prawie nagiego mężczyzny. Nie w takiej sytuacji, jaką sugerowały te słowa, ale zawsze... Pierś był naprawdę przystojny. Po raz pierwszy w życiu musiała przyznać, że matka miała rację, przynajmniej w tych sprawach. Jego mięśnie...

Odwrócił się tyłem i wtedy zobaczyła potężne ramiona, i szczupłą talię, i...

Zdejmował buty!

Linnet nie potrafiła odwrócić wzroku. Co gorsza, jakiś cichy głosik w jej głowie zaczął opowiadać, co widzi, zupełnie jak narrator powieści. Pochylił się... Tak! Zaraz ściągnie spodnie... Zsuwa je z bioder. Hm... jego pośladki...

- tu głosik nieco się zakrztu-sił - są takie inne. Inne niż moje. Umieśnione. I... - Znowu przerwa. .. - Czy on się teraz odwróci?

- Do cholery, mówiłem ci przecież, że będę w gatkach!

Na te mrukliwe słowa Linnet podskoczyła, jakby ktoś wypalił jej nad głową z pistoletu. Trzeba szybko oprzytomnieć. Na

szczęście, on był niesprawny. A ona gapiła się na niego bezwstydnie... jakby była w tym zamtuzie, o którym opowiadała jej ciotka.

Cóż z niej za okropna osoba. Wręcz perwersyjna.

Zsunęła pantofelki, nie rozwiązując kokard, zwinęła pończochy. Postanowiła myśleć o tym pływaniu jak o kąpieli z kimś z rodzeństwa. Normalna rzecz. Poza tym ona będzie w koszulce, a on w gatkach. Spojrzała na niego ukradkiem.

Były białe i chyba zasłaniały to miejsce.

- Możesz mi pomóc z guzikami? - zawołała.

Staął z tyłu. Miała wrażenie, że skóra płonie od jego dotyku. Gdyby to wyczuł, umarłaby chyba ze wstydu.

- Powiedz mi, jak się pływa? - wykrztusiła. - Czy mam wskoczyć do wody, a potem sama będę wiedziała, co robić?

- Pokażę ci - powiedział. - Pamiętaj, woda będzie zimna. Zanurzysz czubki palców i zaraz zwiejesz do zamku.

Za nic. W tym momencie wszystko, co zimne, wydało jej się mile widziane. Coś dziwnego stało się z temperaturą jej ciała, miała wrażenie, że cała jest czerwona jak burak. A jednocześnie się trzęsła.

- To co, mam od razu wskoczyć?

Zaczął coś mówić w odpowiedzi, ale ona już była na płaskiej skałce, którą pokazał jej poprzedniego dnia. Odbiła się i skoczyła do wody. Przez chwilę czuła pęd powietrza, od którego zakreśliło jej się w głowie. Koszulka frunęła do góry i nagle - o Boże! - nigdy w życiu nie czuła takiego zimna. Otoczyło ją całą, gdy szła na dno. Miała wrażenie, że zanurza się w lodzie, zamarza aż do szpiku kości.

W chwilę później mocne ramię objęło ją w talii i poczuła ruch wody w przeciwnym kierunku. Wynurzyła się na powierzchnię, kompletnie oszołomiona, i wciągnęła w płuca haust powietrza, nie dowierzając, że wciąż jeszcze żyje.

- Ty wariatko! - krzyknął Pierś. A więc jednak żyła. Przynajmniej częściowo, bo nigdy w życiu nie było jej tak zimno.

Jedyną ciepłą rzeczą na całym świecie było to ciało tuż obok niej.

- Strasznie mi z-zimno - wyjąkała, obejmując go za szyję i przywierając do niego całym ciałem. Zrobiło jej się przyjemnie. Znowu coś krzyczał, ale w uszach miała pełno wody i me za dobrze go słyszała. Otoczyła jego ciało nogami i ramionami. On także ją obejmował ramieniem.

Nagle zrozumiała, co do niej wołał.

- Za nic cię nie puszcze - odpowiedziała, otrząsając z twarzy mokre włosy, bo nie zamierzała go puszczać nawet na chwilę. -Zamarznę. Albo się utopię. A ty jesteś taki ciepły.

- Mieliliśmy pływać, pamiętasz? - wysyczał przez zaciśnięte zęby. Pewnie też mu było zimno. Chociaż powinien być do tego

przyzwyczajony.

- T-tak, wiem, że mamy pływać - z trudem wystękała. - Powiedz mi, jak to się robi, to się zastanowię.

Prawdę mówiąc, nie zamierzała go puścić ani na chwilę, aż do

wyjścia z basenu.

Pierś bezlitośnie odsunął ją od siebie. Westchnęła urywanie, bo znowu zrobiło jej się zimno. Zadzwoiła zębami.

- Najpierw naucz się unosić na wodzie - warknął. W jego głosie brzmiała dziwnie ponura nuta.

Przyszło jej to bez trudu.

- Teraz sobie spokojnie umrę, prawda? - powiedziała, zanurzona w lodowatej wodzie, dzwoniąc zębami jak kastametami.

- Chyba powinnaś już wyjść - stwierdził zdesperowany.

- A-ale najpierw mnie rozgrzej - poprosiła.

Zaklął pod nosem i przyciągnął ją do siebie. Było tak samo cudownie jak przedtem. Westchnęła z ulgą, oparła głowę na jego ramieniu i pozwoliła, by wniknęło w nią ciepło z jego ciała, rozgrzanego jak palenisko. W sekundę później mocne ramiona otoczyły ją w talii i posadziły na obramowaniu basenu. Podniosła stopy nad wodę.

- Ręczniki są tam - mruknął.

Spojrzała na niego z góry. Była tak oszołomiona, że z początku nie zrozumiała, co powiedział. Pierś czuł się w wodzie jak w swoim żywiole. Patrzyła, jak obraca się jak fryga, odbija od skalnej

ściany i wynurza w połowie basenu. Taflę wody przecięła najpierw jedna, a potem druga ręka i już był na drugim końcu, zostawiając spieniony ślad na powierzchni.

Na skałę leżały trzy ręczniki. Dygocąc, owinęła się jednym, potem wzięła drugi i zawinęła weń włosy. Wróciła na skałę i patrzyła, jak Piers przecina wodę, pokonując jedną długość basenu za drugą. Wyglądało na to, że nieprędko przestanie, więc poszła po trzeci ręcznik, usiadła na obramowaniu i otuliła nim stopy.

Siedziała tak, zawinięta w ręczniki po czubek nosa, i patrzyła na szerokie ramiona i plecy Piersa, który niestrudzenie pływał dalej.

Poranne promienie słońca powoli ogrzewały jej owinięte ręcznikami ciało. Pani Hutchins chyba zemdłałaby na ten widok. Zemdłała? Dostałaby apopleksji. Nie dość, że Linnet siedziała nad samą wodą, ubrana wyłącznie w moką koszulkę, to jeszcze ledwie na wyciągnięcie ramienia od niej pływał nagi mężczyzna.

W tej sytuacji kilka piegów naprawdę nie miało znaczenia, więc przechyliła głowę do tyłu i chłonęła słoneczne ciepło, rozkoszując się błękitem nieba nad głową. Było tak wysoko, że nie potrafiła sobie wyobrazić, gdzie się kończy. Gdzieś tam leniwie krążył jakiś morski ptak. Pewnie wypatrywał ryb.

Piers dotknął obramowania. Pięćdziesiąty basen. Nie zatrzymał się - zawrócił i popłynął dalej. Jego ciało musiało uporać się z gorączkową energią, której naturę mógł z łatwością określić każdy laik bez medycznego wykształcenia. Sześćdziesiąt długości. Był wyczerpany, ale wciąż czuł, jak pod skórą pulsuje wrząca lawa.

W końcu wyszedł na brzeg i jego oczy natychmiast pobiegły w jej stronę. Odrzuciła głowę do tyłu, a jej szyja lśniła kremową bielą w promieniach słońca. Ręcznik zsunął się z rudych loków, które odcinały się od białego płótna.

Ledwie zdążył dojsć do siebie, przeciągnęła się i otworzyła oczy.

- Przepraszam, że cię o mało co nie utopiłam - powiedziała, posyłając mu ten sekretny uśmiezek, który tak go...

Który tak mu się podobał.

- Naprawdę nie chciałam - tłumaczyła się dalej. - Tylko że ty byłeś o wiele cieplejszy ode mnie.

Zwłaszcza kiedy tuliło się do niego to cudowne, kobiece ciało, przywierając tak mocno, jak wodorosty do okrętowej liny.

- Teraz jest ci już chyba cieplej - zauważył, słysząc swój szorstki głos. Na szczęście, ona nigdy nie odgadnie, skąd ta złość. Bogu dzięki za tę okropną reputację.

Zamrugła.

- Ojej, nie masz czym się wytrzeć! Pewnie jest ci strasznie zimno.

Wstała niezgrabnie i wtedy wszystkie ręczniki opadły na ziemię.

Świątokradztwem byłoby nazwać te piersi gruczołami mlecznymi. Były cudowne, wydatne, prężne... Mokra koszulka stała się zupełnie przezroczysta. Przykleiła się do jej ud i do pięknego, ciemnego trójkąta między nogami.

- Proszę, weź ten - stwierdziła. Rzuciła mu ręcznik. Jakoś go złapał i pośpiesznie owinał się w pasie.

- Wiesz co? - Spojrzała na niego, a na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec.

- Co takiego? - odparł, układając sobie dyskretnie to i owo i mocniej obwiązując się ręcznikiem.

- Jesteś lekarzem, więc pewnie będziesz się śmiał, ale moja matka powiedziała mi kiedyś, że...

- Że co? - Zawsze potrafił panować nad swoim ciałem. Zawsze. To był po prostu przypadek.

- Powiedziała, że mężczyznom zwisa.

- Zwisa? - powtórzył. Jeśli popatrzy prosto w jej twarz, nie będzie widział tej koszulki, przyklejonej do piersi i do bioder. Nie będzie myślał o strasznym głodzie, który zapłonął nagle w lędźwiach. To tylko popęd biologiczny, nic ponadto.

- Że zwisa - powtórzyła i zachichotała. - Z przodu. Ale tobie nie zwisa, prawda? - Machnęła ręką w kierunku okolicy jego pasa. - Nie krępuje cię, że to mówię, prawda? Wydawało mi się to

take okropne, że coś tam zwisa. Ale... ale u ciebie nic nie zwisa. U ciebie stoi.

Nie wytrzyma! i wybuchnął śmiechem.

Zawtórowała mu.

- Tak, wiem - powiedziała. - Głuptas ze mnie. Pierś zaczął mieć niepokojące wrażenie, że z ich dwojga kto inny jest głuptasem.

## 10

Linnet przez godzinę moczyła się w ciepłej kąpieli, popijając gorącą czekoladę i kończąc czytać *Camille* pióra panny Fanny Burney. Gdy skończyła się i gorąca woda, i książka, wyszła z wanny.

- Ciekawe, czy tu jest biblioteka - powiedziała do swojej pokojówki Elizy. - Zabrałam ze sobą tylko pięć książek i wszystkie przeczytałam po drodze.

- A nie może pani przeczytać ich jeszcze raz? - spytała Eliza, podając jej ręcznik. - To okropne marnotrawstwo, oglądać je tylko raz. Lepiej kupić sobie wstążkę, bo można jej używać bez końca.

- Tę chyba rzeczywiście przeczytam po raz drugi - Linnet kiwnęła głową w stronę *Camilli*. - Była całkiem niezła. *Pannę Butterworth i szalonego barona* czytałam już dwa razy. A właściwie nawet trzy.

Usiadła przy toaletce.

- Dziwne, że panna tyle czyta - powiedziała Eliza, zabierając się do czesania jej mokrych włosów. - Szkoda, że panowie w Londynie nie wiedzieli, że z panny taka mądrała!

- A co to za różnica? Eliza wydeła wargi.

- Nikt nie lubi, kiedy kobieta ma rozum dłuższy niż włosy, ale z drugiej strony damy z towarzystwa nie czytają tyle, co panna.

Może by to trochę otrzeźwiło tych wszystkich bałwanów, co tak gadali, że książę się z panną zabawiał.

- Wątpię - odparła Linnet. - Obawiam się, że dziecko królewskiej krwi to ciekawszy temat niż moje lektury.

- Oni mają tu bibliotekę. Pan Prufrock wspominał mi o tym wczoraj przy kolacji.

- Wygodnie wam tu? - Ojciec, czując wyrzuty sumienia, że sam z nią nie jedzie do Walii, wyprawił Linnet nie tylko z Elizą, ale dał jej także do obsługi czterech lokai, dwóch stangretów i jeszcze chłopca na posyłki.

- Bardzo, proszę pani. Mieszkamy w zachodnim skrzydle, razem z chorymi, co umierają na te raki i inne choróbki. Zabronili nam chodzić do wschodniego, bo tam leżą różni zarażeni. I można coś od nich złapać. W każdym skrzydle jest osobna gospodyni i jeszcze zarządca zamku. Wczoraj w nocy ktoś tak strasznie jęczał, że bałam się, że nie zasnę, ale w końcu przestał. Pan Prufrock mówi, że jeśli to się powtórzy, to mam się poskarżyć i oni go uciszą.

- Jakim niby sposobem? Bo domyślam się, że jęczał z bólu, prawda?

- Pewnie dadzą mu jakieś lekarstwo. Może pani posiedzi przed kominkiem, aż jej wyschną włosy?

Linnet jęknęła.

- Nie chcę, bo nie mam co czytać. Mogłabyś skoczyć do tej biblioteki i mi coś przynieść?

- Poproszę lokaja, żeby powiedział, gdzie to jest. Jeden jest całkiem przystojny, tylko strasznie śmiesznie się nazywa. Wczoraj mi opowiadał, jak doktor go straszył, że mu utnie głowę i będzie patrzył, czy on potem będzie mógł chodzić. W dziesięć minut była już z powrotem, ze stosem książek pod pachą.

- Strasznie dużo ich tam jest - wysapała. - Tylko że nie mogłam znaleźć nic podobnego do tych powieści, co pani lubi czytać.

Książki rzeczywiście nieco się różniły się od jej zwykłych lektur, ale zdesperowana czytelniczka nie cofnęła się przed niczym.

- Wiedziałaś, że po zjedzeniu melona znika opuchlizna? - spytała Elizę jakiś czas potem.
  - Naprawdę? Może jak się ktoś uderzy w palec, to tak. Ale na co innego chyba nie pomaga. Mój tatko miał okropnie spuchnięty nos od picia. Niech panienka odłoży wreszcie tę książkę. Trzeba wdziać gorset.
- Linnet z niechęcią odłożyła książkę.
- Piszą tu także, że cebula odświeża oddech.
  - A to już czysta głupota - stwierdziła Eliza, sznurując gorset, a potem wkładając jej suknię przez głowę i uważając, by nie zburzyć fryzury, którą upięła wysoko i ozdobiła lśniącymi emaliowanymi kwiatuśkami. Kiedy zaczęła zapinać guziczki, Linnet znowu złapała książkę.
  - Moja ciotka pije mnóstwo eliksiru Daffy'ego, żeby nie przybrać na wadze - powiedziała. - A oni tu radzą duszony policzek wołowy.
  - To obrzydliwe - skrzywiła się pokojówka, ale po namyśle dodała: -1 pewno dlatego działa.
  - Ciekawe, co lord Marchant myśli o tych wszystkich cudownych eliksirach - zamyśliła się Linnet. - Wiesz może, gdzie go znaleźć?
  - Pewnie o tej porze siedzi u pacjentów. Niech panienka stoi spokojnie. Jeszcze tylko ten ostatni guzik. Gotowe. Ma panienka godzinę do drugiego śniadania.
- Linnet obejrzała się pospiesznie w lustrze, tym razem z przodu i z boków.
- Dzieciaka nic a nic nie widać - zaśmiała się Eliza. - Ciekawe, kiedy książę to zauważy. Podobno ma fioła na punkcie królewskiej rodziny. Całkiem mu odbiło. Będzie strasznie rozczarowany, jak się okaże, że z panienki żadna ładaczka.
- Linnet westchnęła.
- Czy służba zawsze musi wszystko wiedzieć?
  - Tutejsi nic nie wiedzą - oburzyła się Eliza. - Choć muszę przyznać, że pod schodami zaczęły się już zakłady. Pan Prufrock



nie jest taki nadęty jak nasz pan Tinkle. Pan Tinkle nigdy by na coś takiego nie pozwolił.

- Zakładacie się, czy jestem w ciąży, czy nie?

- Skądże znowu! My wszyscy wiemy przecież, że kazała panienska Stubbinsowi obwozić się po Londynie i żaden książę się do panienki nie dosiadł po drodze. Zakład idzie o to, czy lord Marchant się w paniencie zakocha.

- Mam nadzieję, że nie postawiłaś na to wszystkich pieniędzy - stwierdziła Linnet, kierując się ku drzwiom.

- My wszyscy z naszego domu obstawiamy panienkę. A tutejsi stawiają na jego lordowską mość, wszyscy co do jednego. Boją się go jak samego diabła. Myślą, że to jakiś odmieniec.

- I pewnie mają po temu niejedyn powód - przytaknęła Linnet. - W końcu pracują u niego nie od dziś. Przegrasz ten zakład, Elizo. Oboje uznaliśmy, że do siebie nie pasujemy.

Eliza odpowiedziała szerokim uśmiechem.

- Może niech panienska pójdzie do niego i popyta o ten marynowany policzek, czy co tam to jest? - Podskoczyła ku Linnet i nieco obciągnęła jej suknię. - Teraz może panienska już iść.

Linnet trafiła do infirmerii na trzecim piętrze, ale kiedy zajrzała do środka, nie zastała tam ani Piersa, ani żadnego z pozostałych lekarzy. Pacjent, którego poznała wczoraj, uniósł głowę i powiedział coś, czego nie zrozumiała, więc do niego podeszła.

Przypominał trochę psa - takiego kosmatego kundla, który włóczy się po ulicach z miną zarazem żalną i zawadiacką.

- Chyba cię boli ta wysypka - powiedziała. - Wczoraj nas sobie nie przedstawili. Jestem panna Thrynne.

- A ja Hammerhock - wykrztusił pacjent. Rzeczywiście miał okropnie spuchnięty język.

- Mogę ci jakoś pomóc? - spytała. - Może przynieść wody?

- Doktor mówi, że jemu już nic nie pomoże - odezwał się jakiś głos za jej plecami.

Odwróciła głowę. W sąsiednim łóżku leżał mały chłopiec. Wyglądał nie lepiej niż Hammerhock - same kości i zęby - i tak sa-

mo jak on trochę przypominał bezdomnego, zaniedbanego kundla. Rozczochrane włosy sterczały na wszystkie strony, otaczając bladą buzię. Drgnęła, zaniepokojona. To niemożliwe, żeby ten dzieciak był jednym z pacjentów czekających na śmierć, o których wspominała Eliza.

- To, że nic mu nie pomoże, nie znaczy, że nie chce mu się pić - stwierdziła. - Jak masz na imię?

- Gavan - powiedział, opierając się na łokciu. - Wczoraj mówili, że Hammerhock ma jakąś tam gorączkę. Więc pielęgniarka przychodzi tu od czasu do czasu, kładzie mu mokrą ścierkę na twarz i daje mu jakieś leki.

Hammerhock pokiwał głową.

- Gdzie ta pielęgniarka? - spytała Linnet. Szczerze mówiąc, czuła się trochę nieswojo.

- Poszła odpocząć - odpowiedział Gavan. - Ma chandrę, jak za długo siedzi z nami, umarlakami.

- Z umarlakami? Ty też umierasz? Gavan skrzywił się.

- Doktor mówi, że wszyscy kiedyś umrzemy. Hammerhock zaczął się krztusić na łóżku. Linnet odwróciła się do niego. Pokazał na kubek z wodą, więc pomogła mu się napić. Położył się potem na wznak i zamknął oczy.

Linnet popatrzyła na pozostałych pacjentów, ale wszyscy byli nieprzytomni. Usiadła na łóżku Gavana.

- Skąd się tu wzięłeś?

- Mama mnie przywiozła - powiedział, pochmurniejac. - I zostawiła.

- Mieszkacie daleko od zamku?

- Nie bardzo. No, ale na targ mamy bliżej.

- Doktor się tobą zajął - pocieszyła go. - Niedługo będziesz mógł wrócić do domu.

- Nic z tego - odpowiedział chłopiec. - Nie mogę, bo jestem chory, a tu przynajmniej mam łóżko, co nie? Więc mama powiedziała, że mam zostać, bo nawet prześcieradło mi dali, widzisz? I jedzenie. Ile tylko zechcę.

Drzwi otworzyły się cicho i weszła przez nie grupka mężczyzn. Zanim Linnet zdążyła się odwrócić, dobiegł ją mrukliwy głos Piersa:

- Patrzcie panowie, kto tu siedzi i poleruje sobie aureolkę. Linnet patrzyła na Gavana, który wyprostował się na łóżku i uśmiechnął od ucha do ucha.

Po chwili usłyszała stuk laski. Piers stanął po drugiej stronie łóżka.

- Zadajesz się z umarlakami albo z noworodkami, co?

- Z jakimi noworodkami? - spytał Gavan. - Znasz tę panią, doktorze? - dodał natychmiast, wskazując na Linnet.

Piers uniósł brwi.

- Trochę ją znam. Co o niej myślisz? Zastanawiam się, czy by się z nią nie ożenić.

Gavan skinął głową.

- Tatko mówią... - Zawahał się.

- Śmiało - zachęcił go Piers. - Ona tylko wygląda jak dama, ale wcale nią nie jest.

Linnet posłała mu gniewne spojrzenie.

- Tatko mówią, że najlepsze kobity mają duże jabłuszka - oznajmił Gavan i popatrzył prosto na biust Linnet, więc Piers, oczywiście, zrobił to samo. - Bierz ją, panie, póki czas - poradził dzieciak. - Utykasz, no to mało która będzie cię chciała.

Nie dbając o krzywą minę Linnet, Piers pochylił się, żeby przyjrzeć się bliżej omawianym fragmentom jej anatomii.

- Jesteś pewny? Zawsze podobały mi się brunetki, takie trochę cygańskie z urody.

Gavan rzucił mu spojrzenie pełne niesmaku.

- Doktorze, czy ty się w ogóle nie znasz na babach?

- Może trochę mniej od ciebie.

- Dziewucha, co wygląda jak Cyganka, pewnie nią jest. Więc jak ją sobie weźmiesz za ślubną, to będziesz musiał spać po rowach, bo ona długo w jednym miejscu nie usiedzi.

- A nie mógłbym jej puścić samopas?

- Po ślubie nie wolno - odparł chłopiec. - Ludzie są wtedy związani ze sobą. Jak łańcuchem. Tak mówi tatko.

- Jak się dziś czujesz? - Pierś zmienił temat. - Wstawaleś już?
  - Siostra chciała, żebym sikał do nocnika, no to udałem, że nie trafił, i obsikałem jej buta. Powiedziała że jestem gorszy od szatana, i kazała mi wracać do łóżka. - Zaśmiał się jasno, radośnie, jak dzieci w parku.
  - Gdzie ta siostra? - spytała Linnet, podnosząc wzrok na Piersa. - Gavan twierdzi, że ma depresję.
  - Za dużo tu ludzi umiera - potwierdził pogodnie chłopiec.
  - Pewnie podpija moją brandy - stwierdził Pierś. - Też bym to zrobił, gdyby Gavan obsikał mi kapcie. Gavan, powiesz mi, jeśli siostra Matylda wtoczy się tu pijana jak bela, prawda?
- Chłopiec energicznie pokiwał głową.
- Lubisz ją? - spytała Linnet.
  - Nie pozwala mi wstawać. Mówi, że jak wstanę, to położy kogoś obcego na moim łóżku.
- Z sąsiedniego łóżka rozległ się zduszony kaszel. Pierś i jego niewielka świta przeszli już dalej, więc Linnet pochyliła się do pana Hammerhocka.
- Tak?
  - Na litość boską, kobieto, odsuń się od niego - rozległ się ryk za jej plecami. - Może jeszcze zaraża, ty tępą idiotko!
- Linnet zlekceważyła go kompletnie, wsłuchując się w bełkot Hammerhocka.
- Ta siostra to wiedźma - wykrztusił w końcu, ciężko oddychając z wysiłku.
  - Naprawdę chcesz wyjść za doktora? - dopytywał się Gavan. - Wiesz, bo on nie jest miły. Ciągłe wyzywa ludzi, a siostra też go przezywa. Mówi, że to diabeł wcielony.
- Jak na zawołanie, z drugiego końca sali rozległ się wściekły ryk. To Pierś złościł się na jednego z lekarzy.
- Moja mamuśka dałaby mu w ucho - powiedział Gavan. - Jeśli za niego wyjdiesz, też będziesz musiała go od czasu do czasu natłuc.
- Oboje popatrzyli na potężną postać hrabiego.
- Może nie być łatwo - zreflektował się chłopiec.

- Racja - zgodziła się Linnet. - Mówisz, że chciałbyś wstać z łóżka?
  - Nie mogę - odparł Gavan. - Bo oddadzą moje miejsce. Strasznie dużo chorych ludzi chce tu być, wiesz?
  - Nie pozwolę im na to - obiecała Linnet, widząc, że Hammerhock kiwa głową na potwierdzenie słów Gavana. - Chyba szybko się teraz męczysz, więc może lokaj zanieś cię na dwór. Pewnie przed chorobą byłeś bardzo żywym dzieckiem.
  - Wczoraj nie dałem rady dojść do kibla - stwierdził Gavan z powątpiewaniem. - Czepiałem się siostry jak pijany płotu.
  - To okropne - odpowiedziała. - Ale jakoś sobie z tym poradzimy.
- Wstała i zadzwoniła na lokaja. Pierś był daleko, dręczył kolejnego pacjenta i nie zwrócił uwagi, kiedy sympatyczny młody lokaj Neythen owinał Gavana kocem i wyniósł go z sali.
- Linnet ruszyła za nimi.
- Dokąd idziemy, panienko? - spytał Neythen przez ramię.
  - Nad basen - powiedziała.
  - Co to takiego basen? - zaciekał się Gavan. Oczy błyszczały mu z podniecenia. - Jakaś sadzawka dla ryb? Kiedyś taką widziałem. Ja...
- Gadał nieprzerwanie, gdy schodzili po schodach i szli ścieżką. Zamilkł dopiero, gdy znaleźli się nad basenem, i to tylko dlatego, że otworzył szeroko buzię ze zdziwienia.
- Pięknie tu, prawda? - powiedziała Linnet z uśmiechem. - Neythen, czy możesz go posadzić na tym płaskim kamieniu?
  - Ale ogromniasty - wykrzyknął chłopiec. Linnet spostrzegła, że wpatruje się w ocean. - Nie wiedziałem, że jest aż taki. Cała ta woda... Gdzie ona tak płynie?
  - Odpływa i potem wraca - wyjaśniła Linnet. Siedzieli we trójkę, wpatrując się w fale.
  - Ile masz lat, Gavan? - spytała.
  - Sześć i trzy ćwierci - odpowiedział. - Widzisz, jaką ścieżkę robi słońce na tych falach? Rzeczywiście, złocista smuga wiodła w dal aż po horyzont.

- Wygląda jak droga - powiedział Gavan. - To pewnie ta droga do nieba, o której mówiła mi mamusia.

Neythen poprawił się na kamieniu.

- Musisz już wracać do pracy? - spytała go Linnet.

- Pan Prufrock nie będzie się gniewał. To porządny człowiek - odparł Neythen i ściślej owinął Gavana kocem.

- Tylko że ja chyba nie pójdę do nieba - stwierdził chłopiec. Nie wyglądał na zaniepokojonego tą perspektywą.

- Oczywiście, że pójdziesz - odparta Linnet. - Ale nie od razu.

- Pewnie nie wpuszczają tych, co nie wierzą w te wszystkie ozdóbki. Harfy, chmurki i tak dalej.

- Wcale nie trzeba w nie wierzyć - zapewniła go stanowczo Linnet. - Drzwi do nieba same wiedzą, kiedy się mają otworzyć.

Popatrzyła na chłopca. Czy naprawdę umierał na jakąś okropną chorobę? Serce jej pękało na samą myśl o tym.

Gavan westchnął.

- Są tu jakieś psy? - zapytał. Linnet popatrzyła na Neythena.

- W stajni jest pies. Stary kundel, który do nikogo nie należy.

- To znaczy, że może być mój - ucieszył się Gavan. - Mój brat ma psa, ale ja nie mam takiego, co by był mój na zawsze.

Wyraźnie nie miał ochoty na dalsze filozoficzne rozważania na temat życia po śmierci.

- Chodźmy tam! - zawołał.

- Pielęgniarka będzie się o ciebie martwić - upomniała go Linnet.

Ale Gavan przekonał ją, że pielęgniarka pewnie nawet nie zauważy jego nieobecności, a nawet jeśli, to tylko się ucieszy.

- Mówi, że jestem jak zadra w boku - wyjaśnił. - Proszę, możemy tylko popatrzeć na tego psa?

Poszli więc do stajni i próbowali zwabić do siebie małego szarego kundelka, który wyróżniał się jedynie

błyszczącymi czarnymi ślepiami i ogólnie zaniedbanym wyglądem. Po chwili Linnet usłyszała stukanie laski Piersa.

- Tu jesteście - odezwał się niezbyt przyjemnym tonem. - Na litość boską, pielęgniarzka histeryzuje, że ktoś wykradł chłopaka.

- Ale nie oddała jeszcze nikomu mojego łóżka, prawda? - wykrzyknął Gavan, podniósł się i o mało się nie przewrócił, ale Neythen zdążył go podtrzymać.

- Nie może go oddać, bo całe jest zapchlone - odparł Pierś.

- Ja nie mam pcheł - zirytował się Gavan. - Czy myślisz, że...

- Oczywiście, że nie - warknął Pierś. - Co ty chcesz zrobić z tym brudnym kundlem?

- To będzie mój pies - odpowiedział Gavan. - Oswoję go i będzie spał na moim łóżku.

Udało im się zagonić psa w kąt stajni, ale wcale nie chciał do nich podejść, choć Gavan w nieskończoność wołał: „Burek, do nogi!”.

- Pewnie nie nazywa się Burek - wymądrzył się Pierś.

Prawie nie patrzył na Linnet. A ona poczuła się bardzo zaniepokojona tym, jak jej serce zabiło, kiedy wszedł do stajni. Niedługo zacznie nadśłuchiwać, czy skądś nie dobiega stukot jego laski, jak jakaś zakochana idiotka.

- A jak? - spytał Gavan z przejęciem. - Kiedyś był twój, doktorze?

- Oczywiście, że nie. Jak chcesz, żeby do ciebie przyszedł, daj mu mięsa. - Pierś skinął głową w stronę Neythena. - Prufrock cię szuka. Zamelduj się u niego, a potem wróć i zanieś tego smarkacza na górę.

- Jeśli nie jest twój, to go sobie wezmę - powiedział Gavan. - Będzie się nazywał Rufus.

- Lepiej Jabłuszko - zaproponował Pierś, posyłając Linnet złośliwe spojrzenie. - Będziesz wtedy zawsze pamiętał o radach twojego tatki.

- To głupie imię. Jakieś takie dziewczyńskie. Rufus lepiej pasuje. - Gavan potrząsnął głową i rzucił patyk. - Przynieś, Rufus!

Linnet wyprostowała się, widząc, że Gavan ma ochotę namówić psa do zabawy w aportowanie.

- Co ty do cholery wyczyniasz? - spytał ją Pierś. - Nie było cię na drugim śniadaniu.

Pochylił się nad nią tak, że aż się przestraszyła.

- Ja tylko zabrałam Gavana na dwór - wyjaśniła. - Nie mam nic do roboty, chyba że zacznę czytać twoje medyczne traktaty.

- Masz robić to, co inne damy. Trzymaj się z dala od moich pacjentów!

- Dlaczego?

- Dlaczego? Bo ja ci każę! Parsknęła śmiechem.

- Boisz się swojej pielęgniarki.

- Wcale się nie boję siostry Matyldy. Ona doskonale zaprowadza i utrzymuje dyscyplinę.

- To po co przykuśtykałeś po nas aż do stajni?

- Może się w tobie zakochałem, zgodnie z wyobrażeniami całej tutejszej służby.

- Twoi ludzie wcale tak nie myślą - sprostowała. - To moi na to liczą.

- Mój lokaj powiedział mi o ich zakładach. Twoja służba straci mnóstwo pieniędzy - stwierdził z satysfakcją. - Mam nadzieję, że im dobrze płacisz, bo zbankrutują.

Linnet wykrzywiła się do niego, a potem spojrzała w dół, na ziemię. Gavan czołgał się na czworakach, a Rufus ostrożnie obwąchiwał jego palce.

- Nie możesz trzymać dzieciaka pod strażą tej herod-baby, w otoczeniu ciężko chorych ludzi.

Pierś zaśmiał się urągliwie. Odpowiedziała mu gniewnym spojrzeniem.

- Jestem wrednym draniem, co?

- Właśnie.

Oparł się mocniej na lasce.

- Będziemy tu stali, w stajni, prowadząc poważną dyskusję o opiece nad pacjentami, czy mogę już wracać do domu?

- Może usiądziesz na tej ławeczce? - zaproponowała.

- Dlaczego nie miałbym iść do siebie?



- Bo chcę z tobą porozmawiać o pacjentach, którzy leżą plackiem i czekają na śmierć.
- Po co, do diabła ciężkiego, chcesz ze mną o tym rozmawiać? Uroda to za mało, żeby zostać medykiem.
- Nie trzeba być medykiem, żeby wiedzieć, że nie powinno się zostawiać chorego dziecka z tymi wszystkimi umierającymi ludźmi. Całymi dniami leży w łóżku. Pielęgniarka nie pozwala mu wstać nawet na chwilę.
- Bo jej zabroniłem - odpowiedział uprzejmie. - Zazwyczaj mnie słucha, bo płacę jej pensję.
- Przecież to śmieszne - rozzłościła się Linnet. - Powinieneś zobaczyć, jaki był szczęśliwy na widok oceanu. A teraz, z tym... -popatrzyła znowu na dziecko. Rufus właśnie podniósł nogę i obsi-kiwał gołe stopy Gavana.
- Siostrze Matyldzie to się nie spodoba - stwierdził radośnie Piers. - Powie, że to twoja wina. Linnet wzruszyła ramionami.
- Neythen opłucze mu nogi w poidle dla koni po drodze do infirmerii. .
- Więc co twoim zdaniem powinienem zmienić w zachodnim skrzydle?
- Wprowadzić tam pogodne akcenty.
- Chodzi ci o śmierć, prawda? - Piers przysunął się do niej. - Boisz się jej!
- Nie chodzi o śmierć - westchnęła.
- To dobrze - ucieszył się Piers. - To była fascynująca konwersacja, ale moja noga ma już dość tych emocji - stwierdził i zaczął zbierać się do wyjścia. Linnet zmrużyła oczy. Ogarnął ją gniew.
- Zamierzasz sobie tak po prostu odejść ode mnie? Piers spojrzał przez ramię.
- Czy zamierzam? Co ja zamierzam? Odejść? Od ciebie? -Parsknął śmiechem. - Tak, taki mam zamiar. Śmignęła obok niego i stanęła w drzwiach.
- Dlaczego nie chcesz mnie słuchać?
- Bo jesteś oślicą.

- Powinieneś widzieć twarz Gavana, kiedy mówił o niebie -krzyknęła gniewnie. - Powiedział, że słońce na falach wygląda
- A niech sobie nawet wygląda jak konająca krowa - przerwał jej Pierś. - Jaki to ma związek?
- Przecież on umiera, ty idioto - wybuchnęła.
- Wszyscy umieramy.
- Ale nie tak jak Gavan. Nie tak szybko, nie tak młodo.
- A kto go tam wie, kiedy on umrze? - Wzruszył ramionami -Szczerze mówiąc, są duże szanse, że ty odejdziesz pierwsza. Choć mby kobiety są bardziej długowieczne, ale on ma zaledwie sześć lat, a ty pewnie już ze dwadzieścia pięć.
- Tylko dwadzieścia jeden - odparła pochmurnie.
- Sądząc po wyglądzie matki, dzieciak dożyje późnej starości. To twarda kobieta i miała dość rozumu, żeby go tu przywieźć, kiedy spadł ze stogu siana i doznał skomplikowanego złamania z przemieszczeniem.
- Skomplikowanego...
- Złamania. Kości - wyjaśnił. - Czy mogę teraz wreszcie pokuśtykać z powrotem do domu i donieść siostrze, że pacjent został odnaleziony, choć jest obsikany przez psa i pewnie zapchlony? Niezbyt jej się to spodoba.
- Myślałam, że jest umierający. Mówił, że kazałeś mu leżeć.
- Jesteś głupsza, niż myślałem - odparł niegrzecznie. - Rzeczywiście kazałem mu leżeć. Zastosowaliśmy innowacyjną technikę leczenia poprzez unieruchomienie kończyny w gipsie, z doskonałym skutkiem, nie chwaląc się. Ile razy mam ci powtarzać, że noga mnie boli jak jasna cholera?
- Czy ty koniecznie musisz być taki...
- Chamski? Wtargnęłaś do mojej infirmerii. Zabrałaś z łóżka chłopaka, któremu ledwie trzy dni temu zdjąłem gips. Kazałaś go zanieść nad morze, a potem do stajni, a teraz pełza na czworakach po ziemi. Przecież on nawet nie może stać o własnych siłach Nie dałby rady dojść do łóżka, gdybyś...
- Patrzcie! - zawołał Gavan zza ich pleców. - Patrzcie tylko!

Odwrócili się.

Stał wyprostowany, z Rufusem w ramionach. Pies lizał go po brodzie.

- Już mnie polubił!

## *II*

Linnet ubierała się na kolację w ponurym nastroju. Jak się okazało, zachodnie skrzydło wcale nie było umieralnią. Wyszła na kompletną idiotkę, ale nie ostudziło to jej bojowego nastroju. Pierś doskonale dbał o ciała swoich pacjentów. Ale nie obchodziło go, jak ciężko jest im leżeć w łóżku dzień za dniem.

Właściwie nie powinna zajmować się nie swoimi sprawami. Nie pasowali do siebie, a pomyśl, że Pierś się w niej zakocha, i to przed upływem dwóch tygodni, był po prostu śmieszny. Małżeństwo było poza dyskusją.

Napisała więc do księcia liścik z prośbą, by następnego dnia ruszyli w drogę powrotną. Musiała zdecydować, co ma zrobić ze swoim życiem. Postanowiła wrócić do ojca. Potem gdzieś wyjedzie. Najlepiej na kontynent. Samotnie. Brzmiało to żałośnie, ale od śmierci matki Linnet stale była samotna.

Zirytowana, że rozczuła się nad sobą jak dziecko, wzięła do ręki książkę, ale jakoś nie potrafiła zapomnieć o bożym świecie, zaczytując się opisami remedium na ból zęba. Zaczęła się obawiać, że księżę nie będzie chciał tak szybko wyjechać.

Nie miała pojęcia, dlaczego Pierś od tylu lat nie rozmawiał z księciem, ale mina jego ojca powiedziała jej prawie wszystko. Obecność syna była dla niego wielkim szczęściem, nawet jeśli Pierś przez większość czasu zachowywał się jak kompletny idiota.

W końcu usiadła przy toalecie i zaczęła czytać na głos fragmenty medycznego traktatu Elizie, która zręcznymi ruchami palców

układała jej włosy w skomplikowaną fryzurę. Nagle na dziedzińcu rozległ się jakiś hałas.

- Co się tam dzieje, do licha? - zdziwiła się Linnet. Eliza odłożyła inkrustowany grzebień i skoczyła do okna:

- To jakiś powóz! Właśnie się zatrzymuje. Wygląda kubek w kubek jak dynia, taki żółty i błyszczący.

Linnet podeszła do okna, akurat na czas, by dostrzec, jak z powozu wysuwa się szczupła damska stopa w eleganckim, obszytym klejnotami buciku na wysokim obcasie. Stopa należała do damy odzianej w śliwkowy podróżny kostium i uroczy kapelusik ozdobiony nie jednym i nie dwoma, ale aż trzema piórami.

- Cudowny - westchnęła Eliza. Na pewno z *La Belle Assemblée*. Ma w sobie coś takiego. Od razu widać.

Linnet usiadła przy toaletce.

- Pewnie przyjechała jakaś moja rywalka do ręki lorda Mar-chanta.

- Raczej pacjentka - uspokoiła ją Eliza, z powrotem biorąc się za grzebień. - Tutejsi mówią, że zjeżdżają się do niego ludzie z całej Wielkiej Brytanii, wie panienka? Z całej Anglii i nawet z zagranicy. I ze Szkocji, choć to taki kawał drogi.

Linnet nie zamierzała zastanawiać się, czy Pierś jest dobrym lekarzem. Nie po tym, jak zaczął się z niej naśmiewać. Miał diabelskie oczy, po prostu diabelskie. Podły. Doskonale wiedział, że uznała Gavana za umierającego, i pozwolił, żeby zrobiła z siebie idiotkę.

- Mam szczerą nadzieję, że to kolejna kandydatka na księżnę - powiedziała. - Z przyjemnością popatrzę, jak przymierza się do spędzenia reszty życia z tym człowiekiem.

- Gotowe - stwierdziła Eliza, wsuwając ozdobny grzebień w jej włosy. - Fryzura jak się patrzy.

Linnet wstała i ruszyła ku drzwiom, ale po chwili się zawahała. Nie miała ochoty schodzić na dół. Nie teraz, kiedy Pierś ją wyśmiał i wystrychnął na dudka.

- Może...

- Nie - odparła twardo Eliza. - Może ma panienka rację i ten człowiek to szatan wcielony, ale nie wolno się panience chować

przed nim w sypialni. Proszę iść do salonu i rozkochać go w sobie.

Linnet jęknęła.

- Wszyscy liczymy na panienkę - dodała służąca i wypchnęła ją za drzwi.

Linnet powoli schodziła po schodach, ponuro licząc w myśli każdy kolejny stopień. Myślała, że przeżyła największe upokorzenie w swoim życiu tego dnia, kiedy wszyscy goście na balu odwrócili się od niej plecami. Kto by pomyślał, że poczuje się o wiele gorzej, kiedy jakiś głupi doktorek roześmieje jej się w twarz?

Z salonu dochodził ożywiony gwar. Prufrock stał tuż obok otwartych drzwi i nawet nie próbował wyglądać jak lokaj.

- Mów, mów - odezwała się do niego, gdy zeszła z ostatniego stopnia.

- Księżna przyjechała w odwiedziny do syna. To znaczy, była księżna - wyjaśnił.

- Masz na myśli matkę lorda Marchanta? Ale ona przecież mieszka za granicą, prawda? - Linnet poczuła dreszczyk ciekawości.

- Zdaje się, że była przez kilka miesięcy w Andaluzji, ale znudziło jej się tam i postanowiła przyjechać do Walii, żeby zrobić niespodziankę synowi.

- Aż tu się okazało, że właśnie gości u niego księżę. Bardzo ciekawe!

- Księżę był na górze, kiedy przyjechała, więc *madame* jeszcze nie wie, jaka przyjemność ją czeka - odparł Prufrock, otworzył szeroko drzwi, wszedł do środka i zaanonsował: - Panna Thrynne.

Wszyscy w salonie zamilkli i zwrócili się ku drzwiom. Bezwstydnie naśladując Zenobię, Linnet zatrzymała się na chwilę w drzwiach w eleganckiej pozie, po czym weszła do salonu.

Wszyscy ruszyli ku niej: markiz Latour de l'Affitte, trzech młodych lekarzy... tylko nie Pierś.

Podła dłoń jego kuzynowi Sebastienowi, który pochylił się w dwornym ukłonie, jak przystoi francuskiemu szlachcicowi. Ale ona nie patrzyła na niego, tylko strzelała oczyma w bok. Aha, tam

jest. Piers stał oparty o fortepian, z przymkniętymi oczami, jakby nie chciał widzieć tego, co dzieje się w salonie. Oczywiście, spojrzał na nią. Był równie śpiący jak lew na łowach, czatujący na niewinną gazelę. W jego spojrzeniu była przekora... i coś jeszcze.

To „coś jeszcze” sprawiło, że Linnet cała się spięła. Zwróciła się w stronę markiza i posłała mu uroczy uśmiech.

- Proszę mi opowiedzieć, co się dzisiaj z panem działo. Czy lord Marchant mówił panu, markizie, jak doprowadziłam go do szau, bo zabrałam jednego z jego pacjentów na świeże powietrze?

Sébastien zaśmiał się serdecznie i odparł z prawdziwie francuskim wdziękiem.

- Tak często sam doprowadzam Piersa do szau, że przestałem zauważać, kiedy się wścieka. Przedstawię panią jego *maman*, a mojej ciotce, bo on sam ma za mało obycia, żeby się tym zająć. Chodźmy do niej. Przyjechała ledwie godzinę temu.

W chwilę później Linnet dygała przed drobniutką, nieskazitelnie elegancką damą.

- Lady Bernaise, czy mogę pani przedstawić pannę Thryn-ne? - Zwrócił się do owej damy Sébastien. - Jak pani wiadomo, przyjechała do Walii, żeby poznać pani syna.

Matka Piersa wydawała się w ogóle niezmeńczona podróżą. Była piękna, a jej promienna cera i lśniące włosy sprawiały, że nie wyglądała na swoje lata.

- *Enchantée* - odpowiedziała z lekkim uśmiechem, który natychmiast przywiódł Linnet na myśl jej syna. Mówił zarazem wszystko i nic.

- Dowiedziałam się od drogiego Sébastiena, że przeznaczono panią na żonę dla mojego syna.

- Nie przeznaczono - poprawiła ją Linnet. - Zaproponowano.

- Nie byłam w Anglii od wielu lat - Lady Bernaise machnęła ręką. - Proszę mi wybaczyć przejęzyczenia. Chce pani wyjść za mojego syna?

- Jeśli nie, to chętnie zajmę jego miejsce - zaoferował się Sébastien. Niby żartował, ale w jego głosie dźwięczał poważny ton.

Linnet, uśmiechając się, rzuciła mu spojrzenie spod rzęs. Był całkowitym przeciwieństwem Piersa: uprzejmy, wymowny, troskliwy. I elegancko ubrany.

- Obawiam się, że nie pasujemy do siebie z pani synem -zwróciła się do lady Bernaise.

Dama z trzaskiem otworzyła wachlarz i spojrzała sponad niego na Linnet:

- Skąd ta pewność, moja miła?

- Spędziła z nim nieco więcej niż pięć minut - wtrącił Sébastien.

- Lord Marchant sam mi to powiedział - wyjaśniła Linnet. -A ja się z nim zgodziłam. Obawiam się, że doprowadzam tego biedaka do szału, a to źle wróży małżeństwu.

- Od kiedy to jestem biedakiem? - spytał Piers, stając za jej plecami.

- Trudno uznać cię za kogoś innego, kiedy masz na sobie takie ubranie, *mon cher* - odpowiedziała jego matka. -

Gdzie je znalazłeś, na wysypisku?

- Nie, na śmietniku - sprostował. - Więc, *maman*, czy ja ci już wspominałem, że mój drogi, godny pogardy tatko także bawi u mnie w gościach?

Lady Bernaise na ułamek sekundy zmrużyła śliczne oczy.

- Obawiam się, że radość z naszego spotkania po tylu miesiącach sprawiła, że zapomniałeś mi o tym powiedzieć.

- Prawdopodobnie - zgodził się z nią. - I do tego ta moja fatalna pamięć. No cóż, pewnie za chwilę do nas dołączy.

Lady Bernaise odchrząknęła.

- Nie, już nie bierze opium - uspokoił ją Piers. Sébastien posłał Linnet smętny uśmiech.

- Widzi pani? Już zaczęliśmy traktować panią jak członka rodziny.

Linnet próbowała się szybko zorientować, o co w tym wszystkim chodzi. Czyżby ksiązę brał opium z powodu jakiejś choroby? Wyglądał całkiem zdrowo jak na pięćdziesięciolatka.

- Jest uzależniony - wyjaśnił Piers, odczytując jej myśli równie szybko, jak obawy swojej matki. - Opium działa przeciwbólo-wo, co oznacza, że uzależnia. To znaczy, że księżę nie potrafił go odstawić. Pewnie zaczęło się od uśmierzenia jakiejś drobnej dolegliwości w rodzaju stłuczonego palca. Po pewnym czasie zaczął się snuć po domu jak błędny, dostarczając nam z *maman* nieustających rozrywek.

Lady Bernaise zamknęła wachlarz i trzepnęła nim syna po głowie.

- Nie mów przy mnie o ojcu z takim brakiem szacunku.

- A kiedy *maman* w końcu uciekła do Francji i zabrała mnie ze sobą, to dzięki Bogu ojciec się z nią rozwiódł - uzupełnił Piers. - Rozповідаł na prawo i lewo, że go zdradziła i uciekła z ogrodnikiem. Co, między nami mówiąc, było kompletną bzdurą. Nasz ogrodnik miał prawie osiemdziesiąt lat i nie przeżyłby takich emocji.

- Pierzesz publicznie naszą *lingerie*. - Lady Bernaise zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

- Linnet to nie publiczność - odparł Piers. - Jest moją narzeczoną, przynajmniej do czasu, kiedy któreś z nas zamieści odwołanie w „Morning Post”.

- Mój ojciec zajmie się tym natychmiast po moim powrocie do Londynu - poinformowała go Linnet. - Jutro wyjeżdżam.

- Czy to konieczne? Jest pani taka *ravissante* - odezwała się lady Bernaise. - Naprawdę. Doskonale by się pani czuła we Francji. I jeszcze lepiej by pani wyglądała w innych kolorach zamiast tej bieli. Może warto wyjść za Piersa choćby z tego powodu.

- Jako mąż z przyjemnością będę pani towarzyszył do wszystkich *modistes* - wtrącił Sébastien. - Natomiast Piers prędzej skona, niż wejdzie do magazynu mód.

- Tak, ale ty jesteś o rok młodszy od niego - osadziła go lady Bernaise. - Piers powinien ożenić się pierwszy.

Linnet otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, gdy nagle lady Bernaise otworzyła wachlarz i ukryła za nim twarz.



Wszyscy w salonie odwrócili się w stronę drzwi, nawet zajęci żywą rozmową młodzi lekarze i lokaj stojący przy kredensie.

Książę był blady i wyglądał dużo starzej niż kilka godzin temu. Ale od razu ruszył prosto ku nim, nie zwracając uwagi na nikogo innego.

Miał na sobie aksamitne spodnie i niezwykle elegancki aksamitny surdut, który podkreślał jego rzymski profil. Linnet pomyślała, że wcale nie wygląda na uzależnionego od opium. Z drugiej strony, cóż mogła wiedzieć o tych sprawach?

- Przystojny, prawda? - mruknął Pierś prosto w jej ucho.

- Bardzo - przytaknęła.

- Nie powtórzę tego *maman*. Nie powiem też, że miał plany co do ciebie, gdybym ja się przypadkiem nie zdecydował. Bardzo możliwe, że ona wciąż żywi jakieś uczucia do tego starego łobuza.

Książę właśnie pochylał się, składając pocałunek na dłoni swej byłej małżonki. Opuściła wachlarz, ale twarz miała kompletnie bez wyrazu.

- Boże, niech on nie patrzy tak prosząco - mruknął Pierś. - Przecież ten człowiek to zniewaga dla męskiego rodu.

Chyba będziesz musiała jednak wyjść za mnie. Albo za kogoś obcego. Byle tylko nie za niego.

- Może żałuje popełnionego błędu - odparła Linnet równie cicho. - Jak myślisz, czy twoja matka byłaby gotowa mu wybaczyć?

- Branie opium? Całkiem możliwe. Ale to, że przed całym Londynem zrobił z niej ladacznicę i nimfomankę? I zawłókł sprawę do sądów? Nie sądzę.

Lady Bernaise siedziała sztywno wyprostowana, mierząc księcia wzrokiem, który bynajmniej nie zachęcał do flirtów.

- Powiedz mi, Robercie, co porabiałeś przez te wszystkie lata od czasu mojego wyjazdu - powiedziała przenikliwym, czystym głosem, przypominającym odgłos gradu bijącego o marmurową powierzchnię.

- Oj - mruknął Pierś.

- Racja - zgodziła się z nim Linnet. - Nie patrzmy na to.

- Czemu nie? Jego zdenerwowanie sprawia mi przyjemność. Ten dureń rzucił ją w porywie opiumowego obłędu, ale podobno potem tego żałował.

Linnet spojrzała na Piersa.

- Jak zachowują się ludzie uzależnieni od opium? Oczy mu pociemniały.

- Taki człowiek w jednej chwili świetnie się bawi, tańczy w gatkach po całym domu i zachowuje się jak ofiara porażenia słonecznego. W następnej zaczyna wymiotować. Bardzo nieatrakcyjny, odpychający nałóg.

- Wiedziałeś, co się z nim dzieje, kiedy byłeś dzieckiem, jeszcze przed wyjazdem do Francji?

- Byłem za mały, żeby to zrozumieć. Ale nauczyłem się już wtedy rozpoznawać objawy narkotykowego oszołomienia. Dzieci narkomanów bardzo szybko uczą się bać spowolnionej mowy, utraty panowania nad sobą, przekrwionych oczu.

- Zauważałeś zmiany w oczach?

- Wtedy pewnie nie. Teraz bym zauważył. Uzależnieni od opium stale mają zwężone źrenice.

- To musiało być strasznie trudne dla małego dziecka. Tak mi przykro - powiedziała, kładąc dłoń na jego ramieniu. Spojrzał na nią z góry z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- A ja jestem za to wdzięczny - odpowiedział.

- Dlaczego? Bo matka wywiozła cię do Francji?

Jego ramię było ciepłe pod jej palcami. Nie wiadomo czemu -co za głupota - przypomniała sobie jego muskularne ciało, które widziała rano.

- Bo przez to zostałem lekarzem - odpowiedział spokojnie. -Gdyby ojciec nie był uzależniony, siedziałbym pewnie teraz w jakimś londyńskim klubie, grał w szachy i zastanawiał się, czy by sobie z nudów nie strzelić w łeb.

Lady Bernaise wyraźnie znużyła się rozmową z byłym mężem. Nagle pojawiła się u boku Linnet.

- Najdrożsi, ból głowy mi dolega - obwieściła.

- Małżeńska odmiana? - dociał jej Piers. - Myślałem, że trzeba być po ślubie, żeby cierpieć z tego powodu.
- Żartowny jak zwykle - odparła, grożąc mu wachlarzem. - Życie to nie żart, a ty żartujesz. Zapewniam cię, że przez twojego ojca potrafi mnie boleć głowa, nawet jeśli dzieli nas cały kontynent.
- Przepraszam cię - odezwał się książę, stając za lady Bernaise. - Nie odchodź. Ja pójdę do siebie.
- Nie, nie, zostań z naszym synem - odparła, nie patrząc na niego. - Straciłeś zbyt wiele lat bez niego. Zasłużyłeś sobie, ale zdaje mi się, że teraz rozumiesz, ile straciłeś.
- Tak.

Książę nie patrzył na Piersa. Zamiast tego wbijał wzrok w swoją byłą żonę, pochłaniając oczyma jej drobne kształty, cudowną figurę, lśniące włosy, elegancję, z jaką wyciągnęła dłoń najpierw do Piersa, a potem do Linnet.

- Zdaje mi się, że Jego Wysokość nie pomylił się, wybierając cię na żonę dla Piersa - powiedziała. - Tak. Wreszcie udało mu się zrobić coś dobrze.

Ton jej głosu zdradzał nieklamane zdziwienie z tego powodu. Z tymi słowy odwróciła się i wyszła.

- Weź się w garść - poradził Piers ojcu. - Wyglądasz jak pies oblizujący się na widok soczystej kości. Do diabła, dawno powinieneś wziąć sobie drugą żonę. Ona wyszła za męża drugi raz, więc czemu ty tego nie zrobiłeś?

Mielibyśmy nową księżną, która próbowałaby pomiatać *matnan*. To dopiero byłoby ciekawe.

Książę przełknął ślinę.

- Nikt inny się dla mnie nie liczy - odparł. - Zraniłem ją tak strasznie, dlatego że ją kochałem. Choć wtedy oczywiście tego nie rozumiałem. Teraz ponoszę konsekwencje moich decyzji z tamtych lat.

- Brzmisz jak bohater kiepskiego melodramatu - podsumował obojętnie Piers.

- Cicho - napomniała go Linnet.

- Panno Thrynne, dostałem od pani wiadomość z prośbą, żebyśmy wyjechali jutro z samego rana - powiedział książę. W jego głosie brzmiała rozpacz.

- Może zostanemy jeszcze kilka dni... pan i lady Bernaise moglibyście jeszcze ze sobą porozmawiać - zaproponowała Linnet. - Nie ma powodu do pośpiechu.

- Wiedziałem - wtrącił Pierś z dramatycznym gestem. - Przez cały czas udawałaś tylko, że mnie nie chcesz. Linnet rzuciła na niego okiem i wybuchła śmiechem.

- Tak, dziś uświadomiłam sobie dokładnie, jaki z ciebie skarb. Kobiety marzą o kimś takim.

- To bardzo miło z pani strony - ucieszył się książę. - Choć nie chciałbym jej rozgniewać jeszcze bardziej.

- Och, cudownie - stwierdził Pierś. - Niechciana narzeczona i jeszcze mniej mile widziany członek rodziny postanawiają...

Linnet wymierzyła mu solidnego kuksańca łokciem w żołądek, więc zamilkł.

- Zostaniemy tak długo, jak książę będzie sobie życzył - oznajmiła. - Mogę jeszcze raz przemyśleć moje małżeńskie plany. Może pański syn reprezentuje sobą więcej, niż by to się wydawało z pozoru. - Rzuciła Piersowi sardoniczne spojrzenie. - Nie powinnam go tak pośpiesznie odrzucać. Może on tylko wygląda jak nieznośny dzieciak. Albo tylko się tak zachowuje, a tam gdzieś w środku jest dorosły, który kiedyś się w końcu ujawni.

- I tak będę księciem, nieważne, dziecinny czy dorosłym - stwierdził Pierś. - Nie dostaniesz lepszej propozycji małżeńskiej, chyba że wyjdiesz za mojego ojca.

- Czy to znaczy, że mi się oświadczasz? - zapytała słodko.

- Nie, ojciec już to zrobił za mnie - odpowiedział. - Więc jak, Wasza Wysokość? Zostaniesz i będziesz z powrotem próbował się wkraść w łaski *maman*? Tylko z góry ostrzegam, że to niemożliwe.

Linnet uszczypnęła go.

- Oczywiście, że możliwe. Tym bardziej, że książę może liczyć na dobre rady swego własnego syna i spadkobiercy.

- Na hemoroidy może i mógłbym coś zaradzić - zgodził się Pierś. - Ale podobno małżeństwo to jeszcze gorsza dolegliwość.

Książę pokręcił głową.

- Ty nigdy się nie ożenisz, prawda? Linnet zlitowała się nad nim.

- Może się ożeni, ale tylko wtedy, gdy sam tego będzie chciał - powiedziała. - Sam musi sobie znaleźć żonę.

- W tej okolicy jest to niezwykle łatwe - wtrącił Pierś. - Nie wyobrażasz sobie, ile młodych dam przybywa tu z różnymi dolegliwościami, opuchliznami, ślepotą, wymiotami... wszystko to jest takie urocze.

- No cóż, będziesz musiał wybrać którąś z tej grupy - odparła, wzruszając ramionami.

- Może powinienem obstawać przy twojej kandydaturze - zauważył.

- Nie nuży cię ta dziecinada? - zirytowała się. - Proszę go nie słuchać - zwróciła się do księcia. - Pewnego razu zjawi się tu jakaś kobieta z dzieckiem w drodze i on się z nią w końcu ożeni z rozsądku.

- To wcale by nie było rozsądne, chyba żebym wiedział na pewno, że urodzi chłopca - włączył się Pierś. - A z tego, co wiem, nie ma sposobu, żeby to sprawdzić.

- Zawsze przecież możesz przekazać majątek jednemu z jej kolejnych dzieci - poradziła Linnet.

Pierś ryknął śmiechem. Książę uśmiechnął się sztywno.

- Kwestia pierworództwa może się wydawać zabawna, i to dla obojga z was, jak widzę, ale moja rodzina nosi tytuł od setek lat.

- Do chwili, kiedy go zhańbiłeś, uzależniając się od opium - stwierdził Pierś i odwrócił się od niego. - Chyba już czas na kolację. Prufrock, na co czekasz, do diabła? Dzwon, zanim zaczniemy nadgryzać się nawzajem.

Linnet wzięła księcia pod ramię.

- Trudny dzień - powiedziała. Poklepał jej dłoń.

- Cieszę się, że cię wybrałem. Rozumiem, co miałaś na myśli.

Piers wyszedł już z salonu, nie dbając w ogóle o to, że dobre maniery nakazywały mu przepuścić przed sobą Linnet, a przede wszystkim ojca, który pierwszy powinien wejść do jadalni.

- Być może zauważył księżę, że nie spodziewam się dziecka - odważyła się wreszcie przyznać. Czuła się winna za wprowadzenie go w błąd, co zaowocowało wyjazdem do Walii.

Księżę, niezmiernie zakłopotany, pokręcił głową na znak, że niczego nie dostrzegł.

- Naprawdę uważam, że syn księcia kiedyś znajdzie sobie żonę - dodała, choć szczerze mówiąc, wcale tak nie myślała. Nie wyobrażała sobie kobiety, która nie tylko zaakceptowałaby zachowanie Piersa, ale także potrafiła mu się sprzeciwić.

- Może i tak. Może i tak. Miałem nadzieję... ale teraz widzę, że jesteście bardzo podobni do siebie.

- Przepraszam za szczerść, ale to brzmi jak obelga - stwierdziła Linnet, uśmiechając się do niego.

- Absolutnie nie miałem tego na myśli. Co zamierzasz dalej robić, moja droga?

- Wrócę do Londynu, a potem być może wyjadę za granicę. Albo pójdę od razu do lady Jersey i pokażę jej się, żeby się przekonała, że żadnego dziecka się nie spodziewam. A potem zmuszę księcia Augusta, by przyznał, że nie dałam mu okazji do niewłaściwego zachowania. Potem wyjdę za mąż.

- Doskonale - odparł księżę. - Możesz liczyć na moje poparcie. Jestem przekonany, że moje zdanie wywrze znaczący wpływ na lady Jersey.

- Dziękuję - odpowiedziała z uśmiechem.

## 12

Linnet przyśniła się matka. Siedziała w nogach łóżka, śmiała się do niej i rzucała jej wiśnie. Trochę niecelnie, bo jedna odbiła

się od ramienia Linnet i spadła na podłogę, a druga trafiła w łóżko.

- Mamo! - zaniepokoiła się Linnet. - Wszystko pobrudzisz. Prześcieradło będzie całe w plamach.

Matka dalej się śmiała.

- To tylko zabawa, kochanie. Musisz...

Nie usłyszała ostatnich słów, bo ktoś ją brutalnie wyrwał ze snu. Zamrugała pod kurtyną rozpuszczonych włosów i zobaczyła, że w nogach łóżka rzeczywiście ktoś siedzi. Tylko, że nie była to matka, ale Pierś, który zachowywał się tak swobodnie, jakby był jej bratem, którego zresztą nigdy nie miała.

Wystarczyło jedno spojrzenie na jego szczupłą twarz pokrytą zarostem, by jej ciało powiedziało, że to na pewno nie brat. Był bez surduta, a przez białe płótno koszuli wydać było węzły mięśni. Poczwała rumieniec na policzkach.

- Dzień dobry - szepnęła.

Co za absurd! Ten... ten impotent naśmiewałby się z niej do upadłego, gdyby zorientował się, jak bardzo jej się podoba. Właśnie. Po prostu podobało jej się fizyczne piękno jego ciała. Nic poza tym.

- No i co, wstaniesz wreszcie? - spytał napastliwie, jak zwykle. - Przyniosłem ci gorącej czekolady. Czuję się trochę jak twoja pokojówka albo raczej jak jeden z tych eunuchów, którzy kiedyś biegali na posyłki różnych cesarzowych. Wcale nie wyglądał jak eunuch, choć właściwie nie miała pojęcia, jacy oni są. Wzięła w dłonie gorącą filiżankę i objęła ją palcami. Płyn był gęsty i ciemny, niemal korzenny.

Teraz zrozumiała, dlaczego ludziom podoba się małżeństwo, przynajmniej tym, którym się ono naprawdę podoba.

Wspaniale jest obudzić się rano obok kogoś bliskiego i pogadać z nim nad filiżanką gorącej czekolady. Poza tym widok Piersa sprawiał jej przyjemność. Ponieważ on w ogóle nie zwracał na nią uwagi, mogła cieszyć oczy grą jego mięśni, obserwując je spod rzęs.

Męskie ciało wyglądało zupełnie inaczej niż kobiece, ale było na swój sposób pociągające. Posłała w myślach przeprosiny matce.

Miałaś rację, mamó. Pierś wyciągnął rękę, aż bicepsy napięły się pod rękawem koszuli.

Wtedy po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego oczy matki lśniły takim blaskiem, gdy wyruszała na spotkanie z którymś z jej kochanków.

Nagle uświadomiła sobie, na co właściwie patrzy. Pierś trzymał w ręku laskę i pochylał się coraz bardziej do przodu. Spojrzała na jej drugi koniec i usiadła gwałtownie, wydając przenikliwy okrzyk. O mało co nie rozlała czekolady.

- Przestań natychmiast! Znowu dźgnął laską.

- Tak trudno cię obudzić, że musiałem przeprowadzić mały atak artyleryjski.

Kasetka z biżuterią była już na skraju toaletki. Jeszcze jedno pchnięcie i spadnie.

Linnet pośpiesznie odstawiła czekoladę na nocną szafkę.

- Dawaj! - wykrzyknęła, złapała laskę i położyła się na plecach. - Przestań się wygłupiać jak jakiś smarkacz, zniszczysz mi kasetkę. Dostałam ją od matki. To wenecka robota, wzór z macicy perłowej.

Pierś pochylał się ku niej, opierając drugą dłoń z jednej strony jej bioder.

- Już drugi raz nazwałaś mnie dzieckiem. Za mniejsze rzeczy wyzywa się ludzi na pojedynek.

- Ale nie ty - odparła, mierząc go wzrokiem. - Przecież jesteś kaleką.

Na moment zapadła cisza.

- To było okrutne - powiedział cicho, pochylając się jeszcze bardziej.

- Ty mówisz ludziom jeszcze gorsze rzeczy - odparła, słysząc radość i satysfakcję w swoim głosie.

Poprawił się i nagle jego obie dłonie znalazły się tak blisko jej talii, że poczuła płynące od nich ciepło. Ścisnęła laskę, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Uwielbiała się z nim drażnić... choć wiedziała, że to ryzykowne.



Słowa Piersa potwierdziły jej myśli.

- Nikt ci jeszcze nie powiedział, że przezywają mnie Bestią? Zmarszczyła nos.

- Niania cię tak nazwała, jak miałaś dwanaście lat? I co teraz zrobisz, znajdziesz dla mnie jakieś przezwisko? Nic ci to nie da, bo i tak cały Londyn wyzywa mnie już od najgorszych.

- No cóż, to samo przytrafiło się mojej matce - odparł. - Tuląc się do takiej ladacznicy, czułbym się jak w domu.

Z niejakim trudem zamachnęła się laską i dziabnęła go w pierś.

- Możesz się trochę odsunąć? Zachowujesz się nieprzyzwoicie.

Nie ruszył się. W oczach błysnęło mu coś o wiele gorszego niż zwykła nieprzyzwoitość. Linnet nagle uświadomiła sobie, że się myliła co do niego. Wydawało jej się, że niesprawny mężczyzna jest - no tak - jest niezdolny do odczuwania pożądania.

Pierś wyraźnie nie miał z tym problemu.

Natychmiast odgadł jej myśli. Powoli przesunął wzrokiem po jej twarzy, zatrzymał go na wargach, przesunął na szyję, zatrzymał...

I zamarł.

Spojrzała w dół i spostrzegła, że delikatna płócienna koszulka nocna owinęła się ściśle wokół ciała, odsłaniając dekolt. Piersi były ledwie zakryte, a różowe sutki widać było całkiem wyraźnie. Odłożyła laskę i skrzyżowała ramiona.

- Nie gap się tak na mnie - powiedziała.

- Jesteś przecież moją narzeczoną.

Jego głos był niski i schrypnięty, bez ironicznego tonu, który zwykle towarzyszył każdemu jego słowu.

- Już nie - odpowiedziała, oblizując dolną wargę.

- Wiesz co, zdaje mi się, że powinniśmy się dokładniej zastanowić nad tym całym narzeczeństwem. Nie można tak wylewać dziecka razem z kąpielą.

Znowu się do niej przysunął. Tym razem oparł dłonie na poduszce, a jego twarz znalazła się tuż nad Linnet.

- Książę August mnie całował - uprzedziła. Niestety, jej głos nie był gładki jak miód, tylko po prostu piskliwy.

- Rywalizacja - powiedział, a oczy zabłysły mu jeszcze bardziej. - Mówili ci, że uwielbiam rywalizować?  
Pochylił się i przelotnie musnął ustami jej dolną wargę. Linnet zamrugła, czując, jak całe ciało ogarnia fala emocji.

- Jeden zero dla księcia - wykrztusiła.

- Jeszcze nawet nie zacząłem - odparł. - Wiesz co? Dajmy sobie na razie z tym spokój. Muszę poprawić technikę. Poczytam jakieś książki. Zastanowię się nad strategią.

Linnet oddychała urywanie. Przymknęła oczy, czekając na dotyk jego warg, na to, by on...

- Co? - zapiszczała. Dlaczego ten człowiek z taką łatwością zbijał ją z tropu?

- Smakujesz czekoladę - mruknął. Jego wargi były tuż przy jej wargach. Oczy Linnet same się zamknęły. Błagam... tak... Żołądek zacisnął jej się, gdy poczuła jego zapach - aromat mięty i czekolady.

- Gdybyś była cukierkiem, to bym cię najpierw nadgryzł. Pochylił głowę i lekko ugryzł jej dolną wargę. Wbrew rozsądkowi, poczuła, jak fala ciepła spływa w dół jej ciała.

Otworzyła oczy.

- Chyba rzeczywiście powinieneś najpierw poczytać to i owo - mruknęła. - Pierwszy raz w życiu całujesz się z kobietą? Jeśli to miał być pocałunek.

Pierś wyprostował się i postukał palcem w podbródek.

- Niech się zastanowię... chyba coś sobie przypominam... Nie! Nie jesteś pierwsza. Rozczarowałem cię?

- I tak wszystko mi jedno. Wstał.

- Do diabła, co zrobiłaś z moją laską? Aha, jest. Czy mogłabyś w końcu wstać z tego łóżka i włożyć coś na siebie, żebyśmy mogli wreszcie iść popływać?

Tylko że teraz wszystko się zmieniło. Wprawdzie Pierś wyglądał dokładnie tak samo jak przedtem, obojętny i sardoniczny jak zwykle, ale Linnet była już kimś innym. Nie mogła tak po prostu

wyjsc z lozka i przejść przez pokój w samej koszuli. Nie po tym pocałunku. A raczej wstępie do pocałunku. Spojrzał na nią i odgadł jej myśli.

- Po pierwsze, nawet cię nie pocałowałem. Po drugie, o ile pamiętasz, nie mógłbym cię po tym pocałunku zdeflorować, nawet gdybyśmy doszli tak daleko. Po trzecie... po trzecie już nic nie mam do powiedzenia, ale punkt drugi chyba w zupełności wystarcza, prawda?

Linnet odchrząknęła.

- Wstanę, tylko przesiądź się tam. - Wskazała krzesło. - Twarzą do ściany.

- A jak będziemy pływać? Jeżeli w wodzie będę musiał patrzeć w drugą stronę, to się utopisz - powiedział spokojnie.

- W takim razie idę sobie. Muszę pływać co rano, bo w przeciwnym razie boli mnie noga.

- Nie! - odpowiedziała. - Chciałabym pójść nad morze i chcę się nauczyć pływać.

Wieczorem przygotowała sobie suknię, koszulę i pończochy, na wypadek, gdyby jednak przyszedł.

- Tak myślałem. Więc ubieraj się, do cholery, i zbierajmy się, zanim słońce stanie wysoko. Niedługo będę musiał iść do pacjentów. Mają paskudny nawyk umierania w nocy.

Blask jego oczu już przygasł. Był teraz równie obojętny jak zawsze. Linnet spokojnie wyszła z łóżka i ukryła się za parawanem.

- Zaczęłam czytać jedną z książek z twojej biblioteki - powiedziała. - Jakiś medyczny podręcznik.

- Tak? Który? - spytał obojętnie.

- *Medyczne obserwacje i badania doktora Fothergilla*. Bardzo ciekawa lektura.

- Kompletne bzdury. Nie wierz w ani jedno słowo. Szczerze mówiąc, nie wierz w nic, co wyczytasz w tych książkach. Większość z nich to dzieła bezmózgich idiotów.

Wysunęła głowę zza parawanu.

- Chcesz powiedzieć, że sok z żonkila jednak nie powoduje impotencji? Co za rozczarowanie!

- Rozumiem, że snujesz już plany na przyszłość - powiedział, odsuwając kosmyk włosów znad oczu. - Dla tego szczęściarza, który będzie twoim kolejnym mężczyzną.

- Powiedz, czy to zadziała? - spytała, chowając się z powrotem za parawan.

- Mało prawdopodobne. Pończocha ci upadła. Rzucić ci?

- Poproszę.

Jedwabna pończocha przeleciała nad parawanem i wylądowała na jej ramieniu.

- Po co zawracasz sobie głowę tymi pończochami? - zapytał. - Przecież za pięć minut i tak je zdejmiesz

Właśnie zapinała podwiązkę.

- Przecież nie mogę wyjść na dwór bez pończoch!

- Za minutę będziesz miała na sobie tylko koszulkę.

- Ale nie mogę wyjść bez pończoch - upierała się, choć i tak postanowiła wyjść bez gorsetu. Sznurowanie było zbyt kłopotliwe. - Możesz mi pomóc pozapinać guziki?

Podeszła do Piersa, który wyglądał przez okno.

- Słońce już wstało. Powiniennem pójść na górę.

- Nie. Najpierw pływanie - stwierdziła twardo. - Zapnij mi suknię i idziemy.

Dotyk lodowatej wody na twarzy i ciele, choć mniej niespodziewany, był równie brutalny.

Piers podciągnął ją do góry, a ona przywarła do niego, krzycząc - O Boże, o Boże! - i krztusząc się. Jego silne, ciepłe ramię obejmowało ją mocno.

- Możesz złapać oddech? - krzyknął jej do ucha. Pokręciła głową. Nie chciała go puścić, ale bezlitośnie oderwał ją od siebie i przewrócił na plecy.

- Unoś się na wodzie! Zrobiła, co kazał.

- Dobrze. A teraz to samo na brzuchu.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, więc obrócił ją jednym ruchem.

Natychmiast opadła na dno, ale wyciągnął ją na powierzchnię wody.

- Na brzuchu - powtórzył. - Masz zamknąć oczy i unosić się w wodzie na brzuchu. To jest równie łatwe, jak unoszenie się na plecach.

- Najpierw mnie r-rozgrzej - zaszczekała zębami.

Przyciągnął ją do siebie i przytulił. Trzymał ją tuż pod piersiami i pomimo lodowatej wody poczuła, jak ogarnia ją fala gorąca, opadając aż do stóp. Poczowała gęsią skórkę, aż nazbyt świadoma umięsnionego męskiego ciała tuż obok, i tej twardej części, którą jej matka...

Myśli o matce w tej sytuacji wydały jej się nagle niewłaściwe, więc odegnała je od siebie.

- Dobrze - mruknęła i wzięła głęboki oddech. Puścił ją i zaczęła się unosić na wodzie.

- Prawie pływasz - krzyknął jej do ucha.

Otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć i pociągnęła solidny łyk morskiej wody.

- Pfuj! - splunęła. - Pfuj!

- Wychodź już. Usta ci posiniały, nie wspominając już o palcach. Mnie też marznie to i owo. Muszę się poruszać. Trzęsąc się na całym ciele, niezgrabnie podeszła do ręczników i zawinęła się w nie od stóp do głów. Potem wróciła nad basen i usadowiła się na płaskiej skale, by popatrzeć, jak Piersź przecina wodę, robiąc kolejne nawroty.

Było jeszcze cieplej niż poprzedniego dnia. Nie mogła się powstrzymać i uniosła twarz do słońca, choć niemal na pewno oznaczało to piegi. Dopiero po dłuższej chwili słoneczne ciepło zaczęło wsączać się w jej szyję i ramiona. Powierzchnia skały promieniowała ciepłem, więc zdjęła ręcznik z włosów, żeby wyschły. A potem ręcznik z nóg, żeby wysuszyć koszulkę.

Kiedy Piersź podciągał się na obramowanie basenu, prawie już zasypiała, otulona ręcznikami i rozgrzana słońcem. Zamrugwała. - Już skończyłeś?

- Na to wygląda. A ty znowu zużyłaś wszystkie ręczniki. Usiadła.  
- Przepraszam. Weź ten - podała mu ten, który miała na włosach. - Jest tylko trochę mokry.  
Wziął go bez słowa i zaczął się wycierać, a Linnet ułożyła się wygodnie i patrzyła. Nie miała pojęcia - naprawdę - że mężczyźni tak wyglądają. Tak... tak... pociągająco. Tak...  
Może była bardziej podobna do matki, niż jej się wydawało. Nie podobało jej się to. Usiadła.  
- Nie wstawaj - powiedział. - Przewróć się na brzuch.  
- Nic z tego!  
- Chcę cię nauczyć pływać na sucho, zamiast cię przekrzykiwać w wodzie, kiedy piszczysz, że ci zimno.  
- Aha.  
Przetoczyła się na brzuch, układając się wygodnie na ręcznikach i rozgrzanej skale. Spojrzała na niego przez ramię.  
- I co dalej?

### **13**

Piers spoglądał z góry na absolutnie cudowne ciało swojej narzeczonej - ewentualnej narzeczonej - wiedząc, że właśnie wpadł w poważne, głębokie kłopoty.  
Równie głębokie, jak ta śliczna szparka między jej zachwycającymi...  
Przecież to ojciec ją wybrał. Więc on za nic nie może się z nią wiązać, nawet gdyby była najpiękniejszą kobietą w całej Anglii.  
Jest najpiękniejsza, szepnął cichy głos w jego myślach. Nigdy nie widział kogoś tak pięknego. Szczerze mówiąc, nawet sobie kogoś takiego nie wyobrażał.  
Ukląkł obok niej i brutalnie poskromił tę część siebie, która pragnęła głaskać piękne, gładkie plecy, krągłe pośladki i szczupłe nogi.

- Ułóż ręce wzdłuż tułowia - polecił głosem, zachrypniętym jak u nałogowego palacza kiepskiego tytoniu. Pochylił się i pokazał jej prawidłowy ruch.

- Najpierw jedna ręka, potem druga. Kiedy ręka jest w górze, przekreślasz twarz w przeciwną stronę, żeby wziąć oddech.

Posłusznie obróciła głowę i poruszyła rękami.

- Bardzo dobrze - pochwalił, z powrotem kierując wzrok na jej pośladki. - Nogi powinny być wyprostowane i mają spokojnie uderzać wodę.

W końcu spojrzenia nic nie znaczą. To normalne, że na nią patrzy. Chociaż właściwie była to okrutna tortura. Miał przed sobą najcudowniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkał, a widział ich przecież setki. Może nawet tysiące.

Obnażały przed nim piersi, pośladki, pokazywały najbardziej intymne miejsca, a on nawet nie drgnął.

A teraz całe jego ciało pulsowało, dosłownie szalało z pożądania. Wstał i mocno obwiązał się ręcznikiem w pasie, jakby chciał się ukarać. Do diabła, nie pozwoli ojcu sobą manipulować! Nigdy nie zgodzi się na żonę, jaką podsuwa mu ten żaloszny typ.

Patrzył, jak Linnet ćwiczy, i starał się ignorować podszepty zmysłów. Miała całkiem niezłe wyczucie rytmu.

Ależ oczywiście, mruknął cichy głosik w jego głowie. Nauczyłybyś ją swojego rytmu, a ona...

Odepchnął od siebie te myśli.

- Czas na nas - powiedział energicznie, odwracając się od Linnet. - Cały tłum pacjentów już czeka, niektórzy może nawet już zeszli z tego świata. Nie zwlekajmy ze zwłokami, to byłoby wbrew dobrym manierom.

Wstała i po chwili usłyszał, jak wkłada suknię.

- Zaczekaj! - zawołała, gdy żwawo ruszył przed siebie. - Musisz mi pomóc się pozapinać, zapomniałeś?

Odwrócił się. Stała na skraju basenu, ciemnorude, wilgotne włosy opadały na jej ramiona, otaczając buzię zaróżowioną z wysiłku. Uśmiechała się - prawdziwym, naturalnym uśmiechem, a nie tym wystudiowanym, którym hipnotyzowała jego biednych studentów.

- Nie mogę tak wrócić do zamku - powiedziała. - Fakt, nie mam przyzwoitki. Ale pomóż mi się zapiąć, chyba że chcesz, żeby cała moja służba zaczęła gadać, że spotykamy się na golasa.

- Nie bądź głupia. Służba i tak doskonale wie, co my tu robimy. I co z tego?

- Twój ojciec byłby zgorszony.

Mruknął coś pod nosem, nie chcąc wyjaśniać, jak mało liczy się z jego zdaniem.

- Chodź tutaj. Nie będę łaził po tej skale o lasce. Zamrugła i już była przy nim.

- Przepraszam. Kiedy pływasz, jest w tobie tyle siły, że zapominam o tej nodze. Jak to się w ogóle stało? - Odwróciła się, żeby mógł pozapinać guziki.

Kobiece plecy są bardzo delikatne. Oczywiście, wiedział o tym wcześniej, przyglądał się niejednemu okaleczonemu kręgosłupowi. Plecy Linnet wyginały się w idealnych miejscach, jak bezbłędnie wykonane dzieło sztuki: wybrzuszenia kręgow ustawione idealnie jedno nad drugim. Kości, o których uczył się na wykładach, wyglądały zupełnie inaczej, kiedy obciągała je ta perłowa skóra.

- Gdzie masz koszulkę? - spytał nagle.

- Och, zdjęłam ją. Mokre płótno jest strasznie zimne, wiesz? Odsunęła włosy, żeby nie zaplątały się w guziki, a jej kremow-

wobiała szyja pochyliła się przed nim jak łodyga delikatnego kwiatu. Słowa docierały do niego w zwolnionym tempie. Pewnie zdjęła koszulkę, kiedy był odwrócony tyłem. Stała zupełnie naga pod gołym niebem... choć tylko przez sekundę.

- Pierś? - zapytała. - Co się stało z twoją nogą?

- To było tak dawno, że już nie pamiętam - odpowiedział, przetykając ostatni guzik przez dziurkę.

Prychnęła z niedowierzaniem, schyliła się po wilgotną koszulkę, a potem wzięła go pod rękę. Nawet nie zauważył, że na nią czeka, dopóki delikatna dłoń nie ujęła jego ramienia.

- Czy wczoraj pojawili się jacyś nowi pacjenci? - zaciekała się. - Opowiesz mi, w jaki sposób rozmieszczasz swoich chorych



w salach? Eliza mówiła mi wczoraj, że urządziła sale w obu skrzydłach zamku.

- Według chorób, jakie u nich diagnozuję - odpowiedział, wciąż myśląc o tym, jak to jest, że raz wpojone maniery zostają człowiekowi na całe życie.

- Więc jak?

- Chorzy na zakaźne gorączki leżą osobno. I dzielę też ludzi według płci. Kobiety w jednej sali, mężczyźni gdzie indziej. Nie mogę pozwolić, żeby fikali ze sobą po nocach, kiedy przyjdzie im na to ochota.

- Masz więcej kobiet czy mężczyzn?

- Kobiety zdecydowanie wygrywają.

- Dlaczego? Jesteśmy bardziej chorowite?

- Nie, ale macie więcej rozsądku i potraficie poprosić o pomoc. Mężczyźni zazwyczaj pracują w polu, aż padną, szczególnie tutaj w Walii. Ładna, czysta śmierć. Polecam każdemu.

- A dzieci?

- Czasami. Influenca zbiera spore żniwo, więc zwykle umierają, zanim tu dotrą.

Poczuł, jak zadygotała.

- To straszne, Pierś.

- Samo życie.

- Wiem o Gavanie, a czy są tu jeszcze jakieś inne dzieci?

- Dwie dziewczynki.

Byli już przy domku strażnika. Nie powiedziała nic więcej, ale doskonale wyczuwał jej emocje.

- Nie rób tego - powiedział ostrzegawczo.

- Czego?

- Tego, co zamierzasz. Otoczył cię taki kwakerski nimb. Nie wiem, o co ci chodzi, ale już mnie to denerwuje.

- Nie mam tu nic do roboty - zapewniła go takim racjonalnym tonem, że natychmiast wzbudził w nim czujność. -

Prawie już kończę *Obserwacje doktora Fothergilla*, a w dodatku według ciebie to stek bzdur. Byłam w twojej bibliotece i nie znalazłam tam żadnych powieści.

- Czy tym się zajmujesz na co dzień? Czytujesz powieści?

- Tak, ale jest ich za mało, więc czytam też przewodniki podrózne i sztuki teatralne. - Wzruszyła ramionami.

Odwrócił się i popatrzył na nią, nie dostrzegając kremowej skóry i długich rzęs - no cóż, dostrzegął, ale starał się skierować wzrok w inną stronę. Nie do końca mu się to udało, ale przecież nie mógł nie widzieć u niej wszelkich oznak wybitnej inteligencji.

Jak ojciec dokonał tego cudu? Skąd on ją wytrzasnął?

- Jednym z najlepszych lekarzy, jakich kiedykolwiek spotkałem, była pewna Katalonka - powiedział.

- Jak jej się to udało? - spytała Linnet. - Czy w Hiszpanii kobiety mogą studiować medycynę?

- Wiesz, gdzie jest Katalonia?

- Mówiłam ci przecież, że czytam przewodniki - odparła z lekką irytacją.

- Jej ojciec jest wspaniałym lekarzem, mistrzem w swoim fachu - ciągnął. - Sam ją uczył, a potem zmusił profesorów, żeby ją przyjęli na uczelnię. Podejrzewam, że już wtedy umiała więcej niż oni, ale studia dały jej dyplom.

Milczała aż do drzwi zamku, które Prufrock szeroko otworzył przed nimi.

- Czekaliście na nas, co? - spytał Pierś.

- Ja nie, ale troje pacjentów tak. Dwójka jest na górze, a jeden w pokoju myśliwskim. Markiz i młodszy doktorzy już tam są.

- W pokoju myśliwskim? - spytała Linnet.

- Wyrzuciliśmy strzelby i przerobiliśmy go na ambulatorium - wyjaśnił Pierś, uwalniając jej ramię. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wdrap się sama na te schody. Muszę się brać do roboty. Przede wszystkim chcę zdążyć do pokoju myśliwskiego, zanim Sébastien wykończy mojego nowego pacjenta.

- Jeśli ktoś bardzo źle wygląda, kładę go tam - wyjaśnił Prufrock. - To znaczy, jeśli zdradza objawy zakaźne.

- Ale jak...

Drzwi zamknęły się, zanim zdążyła skończyć zdanie.

## 14

Kiedy jakiś czas później Linnet zajrzała do infirmerii, Gavan siedział na łóżku.

- Cześć, panienko! - powitał ją z szerokim, szczerbatym uśmiechem.

Z łóżka obok rozległ się jęk.

- Jak pan się czuje, panie Hammerhock? - spytała Linnet.

- Gorączka minęła - odpowiedział chłopiec. - Ale twarz ma dalej okropną i język też nie najlepszy. Przyszedł doktor i kazał mu powtarzać słowo „tak”, bo mu się podobało, jak je wymawiał.

- Co? - spytała zdziwiona.

- Mówi „chah”, prawda, panie Hammerhock? - wyjaśnił Gavan. - Doktor się strasznie śmiał. Ja też.

Pan Hammerhock mruknął coś pod nosem.

- Doktor powiedział, że przeżyje.

- Cieszę się - odpowiedziała Linnet. - Widzisz, Gavan, nie każdy zaraz...

- Zabierze mnie pani na dwór? - przerwał. - Czekam i czekam. Kto wie, co porabia teraz mój Rufus! Muszę do niego iść!

- Wydaje mi się, że nie wolno ci wstawać.

- Doktor powiedział, że może od dziś zacząć chodzić - zabrzmiał surowy głos za jej plecami.

Linnet skoczyła na równe nogi.

- Siostra Matyllda?

Przy łóżku stała kobieta odziana w skórzany fartuch, który sięgał jej za kolana. Włosy upięła w koczek, który wyglądał jak czarna kulka, jej nos dla odmiany przypominał białą kulkę. Długi podbródek nadawał twarzy wyraz surowości.

- Pani Havelock - odparła tamta lodowatym tonem.

- Bardzo przepraszam - jąkała się Linnet. - Lord Marchant mówił mi o siostrze Matyldzie, ale pewnie chodziło mu o kogoś innego. Macie tu tylu pacjentów, że pewnie jest też więcej pielęgniarek.

- Doktor nazywa mnie tak za plecami, bo jest impertynencki i niepoważny - odparła pani Havelock. Nie musiała dodawać, że nie życzy sobie, by Linnet zwracała się do niej w ten sposób. - Nie jestem pielęgniarką. Zarządzam tym skrzydłem. Jeśli zamierza panna zabrać Gavana na dwór, proszę nie chodzić z nim do stajni. Nie życzę sobie znaleźć na nim ani jednej pchły. Ten chłopak przyciąga je jak magnes.

Gavan przytaknął natychmiast:

- Nie będziemy chodzić tam, gdzie są pchły. Panienska zabierze mnie tylko nad basen, popatrzeć na fale. - Oczy mu błyszczały jak misjonarzowi, który stanął u perłowych bram raj.

Pani Havelock mruknęła coś pod nosem. Wyraźnie nie zauważyła aureoli nad jego głową.

- Nie zgodziłabym się na to, ale ten dzieciak doprowadza resztę pacjentów do szału. Niech się stąd zabiera.

- Tylko niech pani nie odda mojego łóżka - powiedział Gavan, pochmurniejąc.

Linnet skinęła na Neythena, który czekał przy drzwiach.

- Weź, proszę, Gavana na ręce i zejdziemy z drogi pani Havelock. Na pewno ma dziś bardzo dużo pracy.

Pani Havelock posłała jej mordercze spojrzenie, pod którym Linnet nagle uświadomiła sobie, jak wielka jest różnica między starym skórzanym fartuchem a bładożółtą poranną suknią ozdobioną wiśniowymi wstążkami.

Mimo to celowo odpowiedziała pewnym siebie uśmiechem. To nie jej wina, że urodziła się w rodzinie, która uważała, że człowiek powinien spędzać poranki na składaniu wizyt znajomym, wieczory na porządkowaniu wstążeczek i kupowaniu kolejnych, a noce na parkiecie sali balowej.

Pani Havelock też nie wybierała sobie rodziny i pochodzenia, które pozwalało jej na pracę - albo zmuszało do niej - w szpitalu Piersa. Zazdrość z tego powodu była zupełnie absurda.

- Czy pani sama zajmuje się wszystkimi pacjentami w tym skrzydle?

- Oczywiście, że nie. To byłoby całkiem niewłaściwe. Pomagają mi służące i posługacze.

Widać uznała Linnet za kompletnie bezwartościową osobę, bo odwróciła się i odeszła bez pożegnania.

Oczywiście, nawet nie zajrzeli nad basen. Neythen zostawił Gavana w stajni i wrócił do swoich obowiązków, obiecując, że wróci za godzinę. Linnet siedziała na topornej ławce sklejonej z desek i patrzyła, jak Gavan bawi się z Rufusem.

- Wygląda jakoś inaczej - powiedział chłopiec. - Chyba teraz, kiedy ma mnie, jest szczęśliwszy, prawda?

Linnet popatrzyła na psa. Rufus nie miał zbyt wiele sierści, ale ta, która mu pozostała, sterczała sztywno jak szczotka. Jedno ucho stało, a drugie, w połowie odgryzione, opadało w dół. Ogon łamał się na prawo, więc merdał tylko z jednej strony ciała.

- Nie jest zbyt piękny.

- Właśnie, że jest - sprzeciwił się chłopiec. - Panienska źle na niego patrzy.

- A jak mam patrzeć, żeby było dobrze? - spytała.

- Tak, żeby zobaczyć w nim psa. Rufus ziajał z wywieszonym językiem.

- Ma bardzo długi język - stwierdziła Linnet.

- Prawda? I taki różowy. To bardzo dobrze. Chyba powinniśmy go wykąpać. Pani Havelock nie znosi pcheł. Widzi panienska, jak on się drapie?

Pies rzeczywiście drapał się po całym ciele.

- Trzeba go wykąpać - stwierdził Gavan. - I to koniecznie, panienska.

Jeszcze tego brakowało. Już sobie wyobrażała, jak to będzie wyglądało.

- Na tym etapie rekonwalescencji nie możesz się zmoczyć. Chyba poprosimy któregoś lokaja.

- Dzień dobry, panno Thrynne.

To nie był Piers. Oczywiście, to nie mógł być Piers, który miał przecież tyle ważnych rzeczy do zrobienia. Dziwne, jak podobnie

brzmiał głos jego ojca, choć tak bardzo różnili się z wyglądu. Dziwne też, a raczej kompletnie idiotyczne było to, że serce Linnet aż podskoczyło na dźwięk tego głosu. Wstała i skłoniła się przed księciem.

- Witam, Wasza Wysokość. Czy mogę przedstawić Gavana i jego psa Rufusa?

Gavan podniósł wzrok.

- Wasza kość? Dziwne imię!

- To nie imię, tylko tytuł. Ten pan jest księciem - wyjaśniła Linnet.

Gavan skinął głową i znowu zaczął drapać Rufusa po brzuchu.

- Obawiam się, że poza tą ławeczką nie ma tu gdzie usiąść - powiedziała Linnet i sama usiadła. Była zmęczona po lekcji pływania. - Przyszedł księżę zajrzeć do koni?

Księżę przycupnął na drugim końcu ławki.

- Musiałem wyjść z domu.

Linnet odgadła, że lady Bernaise zeszła do salonu, ale nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Księżę ukrył twarz w dłoniach. Dotknęła jego ramienia.

- Tak mi przykro - powiedziała.

- Wszystko to moja wina. Spomiędzy palców spłynęła łza.

Nagle powietrze przeciął ostry głos, od którego Linnet aż podskoczyła.

- Urocza scenka, co?

Jak mogła choć przez chwilę pomyśleć, że Pierś ma głos podobny do głosu księcia? Był zupełnie inny - niższy, mocniejszy, bardziej męski i pełen gniewu.

- Gavan zdobywa nowe pchły, a mój drogi tatko zdobywa nowych przyjaciół. I wszyscy są tacy szczęśliwi. Wszystko to dzięki tobie, Piękna.

- Nie mów tak do mnie! - rozgniewała się.

- Wszystko to dzięki tobie - powtórzył, stukając laską.

- Nie rób z siebie idioty - odparowała.

Książę westchnął głęboko i opuścił dłonie. Oczy miał czerwone i błyszczące.

- Nie chcesz, żebym cię przeproszał. Ale...

- Myślisz, że zmieniłem zdanie? - Gdzieś się podziela jego obojętność. Wpadł teraz w istną furię.

Linnet rzuciła pośpieszne spojrzenie w stronę Gavana, ale chłopiec wpełzł w kąt stajni, wziął Rufusa na kolana i szeptał jakieś sekrety prosto w kosmate ucho. Nie zwracał uwagi na nic innego.

- Wiem, że nic się nie zmieniło - odpowiedział książę łamiącym się głosem. - Ale nie potrafię przestać cię przeproszać. Patrzyłem wczoraj na ciebie i na twoją matkę, i wiedziałem, że kiedyś miałem wszystko, czego człowiek może oczekiwać od życia. Wszystko, co się liczy. I że to zniszczyłem. Zniszczyłem moje małżeństwo.

Gorzej jeszcze. Spowodowałem twoje kalectwo...

- Zamknij się. - Głos Piersa był zimniejszy od fal oceanu. - Powiedziałem ci już, że nigdy ci nie wybaczę. Zresztą, nawet gdybym to zrobił, nie odmienisz przeszłości żadną magią.

Książę otarł kolejną łzę.

- Nie zniszczyłeś nas. Podjąłeś racjonalną, choć błędną decyzję, że wolisz narkotyczną euforię od życia w rodzinie. Kto wie, może miałaś rację? Nigdy nie kusilo mnie sypianie z tą samą kobietą przez całe życie. Nie wspominając o stworzeniu miniaturowej, sikającej pod siebie kopii mnie samego.

- Przestań! - Linnet skoczyła na równe nogi. Piers zmrużył oczy.

- Och, cudownie, teraz będziemy mieli pokaz kobiecego współczucia.

- Kto tu mówi o współczuciu? Widzę, jak robisz z siebie kompletnego durnia, a ponieważ w domu patrzyłam na identyczną sytuację, nie budzi to we mnie szczególnego współczucia. Prędzej pogardę.

- Jeśli twój ojciec to beksa, to mogę ci tylko przyklasnąć.

- Jesteś idiotą. Twój ojciec nadużywał opium. Stracił rodzinę. Zranił twoje uczucia. - Przerwała.

- Oho ho - skomentował Pierś.
- Z ust mi to wyjąłeś - posłała mu uśmiech, który miał go zirytować. - Czy te wszystkie dyplomy uderzyły ci do głowy i uznałeś, że masz prawo zachowywać się jak rozpaskudzony smarkacz?
- Proszę, proszę. Możesz mi to wyjaśnić? Książę wstał i zachwiał się lekko na nogach.
- Nie, nie, to wszystko moja wina - jęknął.
- Jesteśmy tego samego zdania - przytaknął Pierś. - Więc przestań nam już tym zawracać głowę.
- Pewnie, po co się wysilać, syn z radością będzie budził w panu poczucie winy przy każdej okazji - mruknęła Linnet.
- Zawsze bywasz taka sarkastyczna? - Pierś wyglądał na nieco zdziwionego.
- Nie. Zazwyczaj jestem całkiem sympatyczną młodą damą - odparła Linnet. - To ty budzisz we mnie wszystko, co najgorsze.
- Wyjeżdżam - powiedział książę smętnym głosem. - To znaczy, wyjedziemy razem. Nie chciała ze mną w ogóle rozmawiać dziś rano. Ja... odwiozę panią do Londynu, panno Thrynne. Nie wiem, czemu dopiero teraz do mnie dotarło, że mój syn nigdy nie zgodzi się na żonę z mojego wyboru.
- Naprawdę? - Linnet oparła dłonie na biodrach. Pierś uniósł brew.
- A co, wolałabyś sama sobie zasłużyć na moją rekuzę?
- To nic nie da - zwróciła się do księcia. - Zostańmy tutaj, aż będę całkiem przekonana, że nie mam ochoty na ślub z tym wrednym, samolubnym sześćioletnim satrapą.
- Panienska mówi o mnie? - włączył się nieoczekiwanie Gavan.
- Nie. Idź się bawić z psem - odpowiedziała i zerknęła na niego.
- Uczę się na nowo chodzić - oświadczył chłopiec. - Rufus mi pomoże.
- Świetny pomysł - odparł Pierś. - Siostra Matylda nie będzie w nieskończoność trzymać dla ciebie łóżka, wiesz? Gavan wstał, zachwiał się, a potem dzielnie wyszedł ze stajni, z psem u nogi. Patrzyli, jak pokonywał przejście między stajennymi budynkami.



- Przejdź tam i z powrotem, a potem wracaj pod czułą opiekę Matyldy - polecił Piers.
- Jeśli pozwolicie, wrócę do zamku - powiedział książę. Wyprostował się i skłonił uprzejmie, ale oczy wciąż miał zapuchnięte.

Linnet odczekała, aż odejdzie dalej, a potem powiedziała:

- Musisz mu w końcu przebaczyć.
- Czemu? - spytał Piers z połowicznym zainteresowaniem.
- Bo to niszczy was obu.
- Bredzisz, wiesz? Tu, w Walii, nie używamy takiego języka: „Niszczy was obu”. Zaczekaj! Słyszałem już gdzieś taki zwrot. Od jednego wariata, który przystał do Rodziny Miłości.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Nie spytasz, co to za rodzina, żebyś mogła popędzić tam czym prędzej i się do nich przyłączyć?
  - Nie sądziłam, że czekasz na odpowiedź. Kiedy Hamlet monologuje, to gada i gada, bez żadnych wtrętów.
- Piers rzucił jej spojrzenie pełne niesmaku i odwrócił się, by odejść.

Podniosła głos.

- Musisz wybaczyć ojcu, ponieważ gniew to niszczące uczucie, które przeszkadza ci w pracy lekarza.
- Szczerze mówiąc, raczej mi pomaga. Od razu spostrzegam, kiedy ktoś kłamie. Uwierz mi, ludzie nikomu nie kłamią tak jak lekarzom.
- Bujda - odparła. - Mężom bardziej. Wybuchnął śmiechem.
- Twój ojciec żałuje, że brał opium. Żałuje, że wygnał matkę do Francji, a potem się z nią rozwiódł.

Jego uśmiech stał się niemal drapieżny.

- Uzależnieni często żałują tego, co się stało. Nieraz to widziałem.
- A członkowie rodziny sobie przebaczą - odparła.
- Naprawdę? A co ty o tym wiesz?
- Moi rodzice często miewali do tego okazję. Pokuśtykał ku niej i ujął ją pod brodę.

- A ty im wybaczyłaś? Na pewno?

Zamrugła, zaskoczona jego słowami. Opuścił rękę.

- Nie wydaje mi się. Łatwiej udzielać rad, niż samemu z nich korzystać.

- Oczywiście, że wybaczyłam - odparła, ale w jej głosie brzmiała niepewność.

- Czy twój ojciec nie powinien przyjechać tu razem z tobą? - spytał, trafiając od razu w najczulsze miejsce. - Przecież nie szczędziłem wysiłku, by wszyscy uznali mnie za bestię. A on tak po prostu posłał cię samą w tę walijską dzicz?

- W towarzystwie twojego ojca - odparła. - Który jest księciem.

- Oboje mamy kompletnie nieodpowiedzialnych rodziców, żeby nie powiedzieć, obojętnych na nasz los - stwierdził z zadowoleniem. - A teraz kończmy tę uroczą pogawędkę. Przyszedłem zawołać cię na drugie śniadanie.

- Nieodpowiedzialność nie oznacza braku miłości, a jeśli myślisz inaczej, to jesteś naprawdę głupi. Mój ojciec mnie kocha. On po prostu nie umie, albo nie jest w stanie, rozstać się z wygodami Londynu. Twój ojciec ewidentnie cię kocha, bo wytrzymuje z tobą, choć jesteś wybuchowy i nieprzyjemny.

- Rozumiem, że ostrzegasz, żebym nie robił sobie nadziei opartych na tym drobnym podobieństwie między mną a tobą?

Nie spostrzegła, że podszedł blisko niej. Nagle poczuła zapach czystego, męskiego ciała, który ogarnął ją jak pieszczota i sprawił, że serce zaczęło szybciej bić.

- Mamy chyba więcej wspólnego niż nieodpowiedzialnych rodziców - powiedział i przełożył laskę do lewej ręki.

Czekała bez ruchu. Musnął dłonią jej policzek, dotknął włosów. Czekała dalej, bez jednego słowa.

Wydawało jej się, że cały świat czeka razem z nią, bo odgłosy stajni, nierówne kroki Gavana w korytarzu, tupanie koni, skrzyp drewna oddaliły się nagle i zostało tylko wyraziste spojrzenie jego oczu.

- Masz oczy... - zaczęła, ale przerwał jej w pół słowa.

Jego wargi były jak brandy... cudowna fala emocji spłynęła jej po plecach i odebrała oddech. Kiedy książę August po raz pierwszy wsunął język w jej usta myślała, że oszaleje ze złości. Tylko dobre maniery wpojone jej przez najsurowsze guwernantki, jakie ojciec mógł znaleźć na brytyjskiej ziemi, powstrzymały ją przed wymierzeniem mu policzka. Za to teraz... . W odróżnieniu od Augusta Pierś nie wpychał języka tam, gdzie go nie proszono. Zamiast tego, przesunął nim po jej złączonych wargach, a jego dotyk był tak słodki, że sama je rozsunęła, zapraszając go do środka. Ale nie skorzystał z zaprosin. Zwlekał, smakował ją, drażnił dotykiem. Serce tłukło jej się w piersi i pragnęła... tak bardzo go pragnęła... Wyszła mu na spotkanie, dotykając go swoim językiem, smakując jego aromat. Wreszcie .. wreszcie mocna dłoń przyciągnęła jej głowę bliżej twardego męskiego torsu. Pochylił głowę o ułamek cała, ale wyczulone zmysły Linnet natychmiast wyczuły ruch i zmianę jego zamiarów.

Pocałunek nie był czułą adoracją. Był drapieżny, głodny, pełen dzikiego pożądania i szaleństwa, jak napad na prostej drodze. Instynktownie otoczyła ramionami jego szyję. Smakował dymną herbatą, którą pił na śniadanie, i jeszcze dzikszym aromatem -męskim pożądaniem. r

Żaden dżentelmen nie powinien w ten sposób całować damy. Linnet była w siódmym niebie.

15

*Wieczór*

Linnet myliła się, twierdząc, że ojciec rozprasza go w pracy. Największą przeszkodą była ona sama. Pierś wpatrywał się w nowo

przybyłą pacjentkę, prawie nie zauważając jej spuchniętego brzucha. Zamiast tego widział pociemniałe oczy Linnet, w których pełen irytacji błękit zastąpiło coś... innego.

To oczywiście było tylko pożądanie seksualne. Uczucie, z powodu którego miliony mężczyzn robiły z siebie kompletnych durniów. Linnet była oszałamiająco piękna, a on... Bóg jeden wie, dlaczego go pragnęła, ale tak było. A w każdym razie na to wyglądało.

Nagle dotarł do niego głos Sébastiena:

- Ma pani bardzo duży brzuch jak na piąty miesiąc, pani Otter. Czy w pani rodzinie były kiedykolwiek bliźnięta? - Mówiąc to, postukał w brzuch z jednej, a potem z drugiej strony.

- Wyglądasz, jakbyś wybierał dojrzałe melony - zirytował się Pierś, odsuwając kuzyna na bok. - Przecież to oczywiste, że nie nosi jednego dziecka, chyba że zadała się z niedźwiedziem!

- Nigdy w życiu! - jęknęła pani Otter.

- Doktor żartuje - uspokoił ją Sébastien. - Ma takie dziwne poczucie humoru.

- Tu są pośladki - Pierś wskazał na małe wybrzuszenie. - A tu drugie, choć być może to główka. Trudno powiedzieć. Czy w pani rodzinie były bliźniaki, pani Otter? Jeśli tak, to proszę sobie sprawić dwie kołyski.

- Mama poroniła kiedyś bliźniaki. Ciotka też - powiedziała kobieta drżącym głosem. - Dlatego tu przyszedłem. Ich dzieci urodziły się martwe.

- Od razu martwe, czy umarły potem? - uściślił Pierś.

- Potem - odparła. - Tak mi się zdaje. Były strasznie małe. Pamiętam, jak matka wspominała, że miały rączki wielkości orzecha. W skorupce.

- Te na razie żyją - powiedział Pierś. - Niech pani wraca do domu i kładzie się do łóżka. Na resztę ciąży.

- Co?

- Do łóżka - powiedział, przesadnie akcentując słowa. - Wolno wstawać tylko na siku, a i to lepiej nie.

- To niemożliwe! Mąż mnie potrzebuje. I teść, co u nas mieszka. Jest już stary, a ja...

- Proszę powiedzieć pani Havelock, że ma pani dać łóżko w zachodnim skrzydle. Przynajmniej na parę miesięcy. Spróbujemy przeprowadzić rączki pani dzieci przez ten niebezpieczny orzechowy etap.

- Łóżko? - spytała piskliwym głosem. - Mam tu zostać?

- Będzie pani zachwycona - zapewnił ją Piers. - Wszyscy moi pacjenci uwielbiają tu być. Mam gospodynię, która zajmuje się nimi jak święta. Niedługo będą ją kanonizować. Naprawdę.

- Nie mogę się położyć na kilka miesięcy! Mąż mnie potrzebuje, jestem przewodniczącą kółka szwaczek i prowadzę dobroczynne... - ucichła na widok miny Piersa.

- Rozumiem, że jest pani niezmiernie wartościową osobą, wsparciem dla całego hrabstwa. Tylko że jeśli pani chce dać swoim dzieciom szansę, żeby przyszły na świat jeszcze żywe, musi się pani położyć na cztery miesiące. Naturalnie, bliźnięta to straszny kłopot, więc jeśli postanowi pani wrócić do domu, wszyscy to zrozumimy. Założę się, że pani matka lepiej się wysypiała z jednym dzieckiem, a nie z dwójką urodzoną w tym samym czasie. Potrząsnęła głową.

- Jest pani pewna? Matce wyraźnie udało się druga ciąża. W takim razie proszę pójść na górę - dokończył, widząc, że kobieta wpatruje się w niego w milczeniu. Odwrócił się do drzwi i wyrzucił ją z myśli. - To już wszyscy? Nie zawracałem sobie głowy przebieraniem się do kolacji, żeby móc od razu pójść na obchód.

- Nie podoba mi się pacjent z gorączką, który pojawił się dziś rano - powiedział Sébastien, idąc w ślad za nim.

- Pewnie gorączka wybroczynowa - odparł Piers. - Mamy teraz na nią sezon. Myślał tylko o pływaniu. Jutro rano.

- Nie wydaje mi się. Wygląda gorzej.

- To może być jeszcze gorzej? Połowa chorych na wybroczyny mi umiera, nawet im nie puszczałam krwi. Poza tym obaj wiemy, że nie jesteś najlepszym diagnostą, prawda?

Sébastien pokręcił głową.

- Ten człowiek naprawdę jest chory. Powiedziałem, żeby gospodyni dała mu osobny pokój.
  - Doskonale. - Pierś zatrzymał się na moment, żeby uśmierzyć nieco ból przed schodzeniem ze schodów.
  - Jak tam noga? - spytał kuzyn. Rzucił mu wściekle spojrzenie.
  - A jak tam ta witka, co ją nosisz w spodniach?
  - Nic a nic nie boli - odparł radośnie Sébastien. - W odróżnieniu od twojej nogi, co wnoszę po tym, że zataczasz się jak pijak w Boże Narodzenie.
  - Bredzisz - rzucił Pierś, z hukiem kuśtykając po schodach. - Widziałeś moją matkę?
  - Kręci się po zamku, szukając twojego ojca, żeby go podręczyć tym, że się do niego nie odzywa. Ubrała się jak na audiencję u królowej.
- Pierś zatrzymał się i ciężko oparł o poręcz.
- Przesadzasz z tym pływaniem - poradził Sébastien. - Ogranicz wysiłek i pływaj co drugi dzień.
- Nic z tego. Nie teraz, kiedy ma z kim figlować w basenie.
- Zastanowię się nad tym - powiedział, ruszając przed siebie. - Myślisz, że matka chce do niego wrócić?
- Sébastien zamyślił się.
- Ma na sobie jeden z tych gorsetów, które podnoszą piersi tak wysoko, że nie sposób ich nie zauważyć.
  - Zboczeniec z ciebie, kiedy widzisz takie rzeczy u własnej ciotki.
  - Przecież jej nie pożądam - sprzeciwił się Sébastien. - W odróżnieniu od twojego ojca.
  - Tylko go dręczy - stwierdził Pierś, ale jego głos brzmiał niepewnie. Sam to widział.
  - Myślę, że raczej go pragnie. Ib by było dobrze. Miałaby z powrotem tytuł księżęcy i została w bezpiecznej Anglii, a ja przywiózłbym tu moją matkę.
  - Dlaczego... - zaczął Pierś, ale Sébastien nie zwracał już na niego uwagi. Schodził godnie po schodach, w dumnej pozie, ni-

czym kogut piejący o świcie. Bez wątpienia lepiej znał się na kobietach. Cóż, jeśli sądzić po wymyślnych haftach na kamizelce, sam był kobietą.

- Ona nigdy nie pogodzi się z twoim ojcem, jeśli ty mu nie wybaczysz - rzucił kuzyn przez ramię. - Chowa do niego urazę nie tylko ze względu na siebie, ale przede wszystkim na ciebie.

- Bredzisz - powtórzył Pierś.

Sébastien zszedł na dół i wkroczył do salonu. Po chwili dobiegł stamtąd jego głos:

- Ach, *ma tante*, wyglądasz olśniewająco, jak osiemnastolatka!

- Bredzi! - kolejny raz powiedział Pierś, teraz już do Pruf-rocka, który stał przy drzwiach z taką miną, jakby się świetnie bawił.

Rzeczywiście, matka wbiła się w suknię, którą wyraźnie uszyto dla kogoś z biustem o połowę mniejszym.

- *Maman* - uklonił się i ucałował koniuszki jej palców. Rozejrzał się, ale obiektu jej kobiecych zabiegów nigdzie nie było widać. - Gdzie jest książkę?

- Kto taki? - spytała z pogardą.

- No wiesz: orli nos, wysokie kości policzkowe, nieprzytomne spojrzenie? Kiedyś mieszkaliśmy z nim razem.

Pociągnęła łyk wina.

- Pewnie nie ma ochoty na wino przed kolacją. Podobno jutro rano wyjeżdża, więc będziemy mieli cały zamek dla siebie.

Uśmiechała się wesoło, ale Pierś dostrzegł cień w jej oczach. Psiakrew, Linnet miała rację. Sébastien pewnie też.

- Gdzie moja narzeczona? - spytał, rozglądając się wokoło. Młodzi lekarze skupili się naturalnie wokół butelki sherry. Sébastien kopał polana na kominku, nie bacząc, że może zniszczyć wyglansowane buty.

- Nie wiem - odparła matka. - Może wydaje polecenia pokojówkom pakującym kufry.

- Nie wyjeżdża - zakomunikował, przyjmując z rąk Prufrocka kieliszek brandy. - Próbuje doprowadzić mnie do szału, drażniąc

się, że przyjmie moją rękę. Tylko że ja jej niczego nie obiecywałem.

W oczach matki błysnął żal.

- Ona nigdy za ciebie nie wyjdzie, kochanie. Samym pojawieniem się w drzwiach wywołałaby sensację na dworze Napoleona. A te bzdury o jej reputacji... nikt nie będzie zwracał na to uwagi.

- Chcesz powiedzieć, że jest dla mnie za dobra?

- Dobra? O tym nie wiem - odparła, poruszając wachlarzem. - Ale z pewnością zbyt piękna. Powinieneś ją poślubić od razu, gdy przyjechała, zanim miała okazję lepiej cię poznać.

Prufrock ruszył kłusem ku drzwiom. Pierś odwrócił się, doskonale wiedząc, kto się w nich zaraz pojawi.

Wieczorowa suknia Linnet była skrojona na klasyczną modłę. Pierś słyszał pogłoski, że rzymskie matrony podobno nie nosiły koszulek pod tunikami. Linnet wyraźnie wzięła sobie do serca tę prawdę historyczną.

Muślin jej sukni był tak cienki, że kiedy stanęła w progu, czekając, aż Prufrock ją zaanonsuje, Pierś dostrzegł pod fałdami kształt jej kolana. A tkanina wokół dekoltu... no cóż, niewiele jej było. Trochę koronki tu i tam, i sznurek pereł, który subtelnie kierował uwagę ku jej piersiom.

Poczuł, że nieznany dotąd rodzaj uśmiešku wykrzywia mu wargi. Matka nie wiedziała wszystkiego. Ta suknia była wyraźnie dla niego.

Zaczął kuśtykać przez salon, ale Sébastien wyprzedził go i ustawił się z przodu, mrużąc pod nosem:

- Przepraszam. Śpieszę się.

Więc Pierś zwolnił tempo. Francuska galanteria Sébastiena była bezkonkurencyjna. Nie miał sobie pod tym względem równych. W przelocie Sébastien wziął od Prufrocka kieliszek szampana, żeby podać go Linnet z ukłonem. Widok kuzyna całującego palce Linnet zniesmaczył Piersa. Odwrócił się i pokuśtykał z powrotem do kredensu, gdzie zostawił swój kieliszek.

Przyjdzie do niego sama. Zresztą nie ma to znaczenia, bo przecież oni tylko toczą ze sobą grę. Najbardziej fascynowało go to,



że nie łączył ich flirt, tylko niesamowite podobieństwo charakterów.

W pewnym sensie Linnet stanowiła jego kobiecy odpowiednik - nie dawała się polubić. Była zbyt piękna, zbyt inteligentna i zbyt wygadana.

Z tym, że on nie był nawet przystojny.

Nie przyszła do niego. Zamiast tego, zdawała się zachwycać gadaniną Sébastiena, co doprowadzało Piersa do szału.

W pięć minut później do salonu wszedł ojciec, przegrany i znużony, jak człowiek, który się poddał. Okazało się, że Piers nienawidzi tego jeszcze bardziej niż tęsknych spojrzeń Jego Wysokości.

W końcu Sébastien sam doprowadził Linnet do niego.

- Zdaje się, że nie zauważyłaś swojej narzeczonej.

- Dobry wieczór, narzeczono.

- Witaj, Belzebubie - odparła, pochylając głowę. W jej oczach tańczył sekretny uśmiezek.

- Och, zostałem zdegradowany - odpowiedział leniwie, opierając się o kredens. - Zdaje się, że do tej pory nazywano mnie wcielonym Lucyferem. Czy Belzebub nie jest przypadkiem diabłem niższego rzędu?

- Demony ci się pomyliły. Belzebub to po prostu inne imię Złego.

- To dobrze - odparł Piers. - Jak ci już mówiłem, uwielbiam wygrywać.

- Dość tych uprzejmości - przerwał Sébastien. - Jeśli najdzie mnie ochota popatrzeć na warczące na siebie psy, pójdę oglądać ich walki.

- Tylko spokojnie - odparł Piers. - Nie wolno wyzywać Linnet od warczących psów. Pamiętaj, że kiedy tylko rzuci mi w twarz oświadczyzny tatusia, będziesz mógł ją dopaść. Chyba, że ją obrazisz.

Naturalnie Sébastien skorzystał ze sposobności, by skłonić się znowu, ująć dłoń Linnet i oświadczyć, że skądże, że jest przecież najbardziej uroczą, sympatyczną, wręcz cudowną ozdobą swojej płci, że nie spotkał jeszcze nikogo takiego, i tak dalej. Piers obser-

wował go, dziwiąc się, że Sébastien nie widzi, jak bardzo Linnet gardzi taką unізonością.

Och, oczywiście, że się uśmiechała i podawała mu dłoń. Ale w jej oczach błyszczała obojętność, choć na wargach igrał ten uroczy uśmiech, który traktowała jak broń palną.

Sébastien wyraźnie padł ofiarą owego uśmiechu. Pierś pierwszy raz w życiu widział go w takim stanie.

- Wystarczy - uspokoił Linnet. - Gdyby to rzeczywiście była walka psów, byłabyś mastyfem postawionym naprzeciw małego spanielka. Zachowaj amunicję dla mocniejszych przeciwników.

Sébastien nachmurzył się.

- O czym ty mówisz, Pierś? Nigdy nie słyzałem większych bzdur.

Linnet wzięła go pod ramię i zaśmiała się perliście.

- Jest po prostu zazdrosny - stwierdziła, choć jej oczy mówiły wyraźnie, że doskonale zdaje sobie sprawę, o co mu chodziło. - Jesteś niezwykle elegancki, milordzie. Aż trudno uwierzyć że dorastaliście w tym samym domu.

- Jestem przecież uosobieniem mody - oświadczył Pierś. Sébastien i Linnet przez chwilę przyglądali się jego ubiorowi.

Miał na sobie to, co zawsze: prosty surdut ze zwykłymi guzikami, byle jakie spodnie, a na szyi fular, którego zawiązanie zajęło mu nie więcej niż pięć sekund. W dodatku surdut był w koszmarnym, musztardowym odcieniu.

Dla porównania, fałdy surduta Sébastiena były szersze w obwodzie niż suknia Linnet.

- Oszukujesz sam siebie - uświadomił go Sébastien.

- Właśnie że jestem uosobieniem - upierał się Pierś. - Gdyby nie moja osoba, nie wyróżniałbyś się tak bardzo na korzyść, wiesz?

- Wyjątkowo naciągany dowcip - podsumowała Linnet. - Ale rozumiem, o co chodzi. Przy zwykłym kundlu wyścigowy chart wygląda bardziej królewsko, prawda?

- A pudel bardziej absurdalnie - odparował Pierś.

- Możesz mnie obrażać do woli - stwierdził Sébastien, wpatrując się w Linnet z miną wyrażającą kompletne zauroczenie. Ona była z kolei tak przyzwyczajona do takiego zachowania męż-

czyżn, że nawet go nie zauważała. W jej zachowaniu nie było ani odrobiny triumfu.

- Trudno spotkać ludzi, którzy bardziej różniliby się ubiorem niż wy dwaj - stwierdziła.

- Powinnaś nas zobaczyć w dzieciństwie - odparł Pierś. - Ja ledwie chodziłem, a Sebastien biegał dwa razy szybciej ode mnie. Potem, kiedy trochę podrośliśmy, zaczął ubierać się dwakroć tak elegancko jak ja. Pewnie chciał zrównoważyć moje niechlujstwo.

- Za to obaj interesowaliście się medycyną - uzupełniła. - Jak, u licha, udało wam się rozwijać te zainteresowania? Nie znam w Londynie ani jednego dżentelmena, który mógłby się pochwalić umiejętnościami w tej dziedzinie.

- W jakiegokolwiek dziedzinie - poprawił ją, unosząc brwi.

- Potrafią tańczyć - stwierdziła.

- Może to jest wyjaśnienie. Ja nie umiem tańczyć, więc zająłem się krojeniem ludzi.

- Ale nie szło mu najlepiej, więc zacząłem to robić za niego - dołączył się Sebastien.

Linnet się roześmiała. Ten śmiech był o wiele bardziej czarujący niż jej wystudiowany uśmieszek. Był szorstki i słodki zarazem, jak ciepła brandy z miodem.

- To nie był żart - wyjaśnił Pierś, pociągając łyk z kieliszka, żeby uodpornić się przeciwko temu śmiechowi.

- Myślałam, że to ty jesteś znanym lekarzem.

- Ja jestem dobry w odgadywaniu, na co ludzie chorują. Problem w tym, że najlepiej mi to wychodzi, kiedy już są martwi. Natomiast Sebastien jest niezły w tej bardziej eleganckiej odmianie chirurgii. Biorą się za żywych pacjentów, którzy chcieliby jeszcze trochę pobyc na tym świecie.

Linnet posłała Sebastienowi kolejny uśmieszek, a Pierś miał wrażenie, że nieszczęśnik zachwiał się na nogach.

- Jak to dobrze, że w razie potrzeby zawsze będę mogła poprosić pana o pomoc chirurgiczną - zagruchała.

- Tak. Jak będziesz potrzebować amputacji nogi, wal do niego jak w dym - stwierdził Pierś.

- To byłaby zbrodnia - szepnął Sébastien gołębim głosem.

Psiakrew. Pierś poczuł ukłucie winy. Sébastien nie miał pojęcia, jaka to kusicielka ujęła go pod ramię i igrała z jego słowami. Jak tak dalej pójdzie, złamie mu serce.

- Przestań - mruknął do Linnet. Posłała mu ten swój uśmiech.

- Nigdy więcej nie uśmiechaj się do mnie w ten sposób - warknął. - Rzygać mi się od tego chce, a ponieważ, jak mi się wydaje, masz pantofelki obszyte perłami - idiotyczna strata pieniędzy - to kwasy żołądkowe mogą ci je nieodwracalnie zniszczyć.

Sébastien nachmurzył się.

- Kuzynie, czy naprawdę uważasz, że to jest temat do kulturalnej rozmowy? Jeśli tak, to jesteś gorszy, niż myślałem. Panna Thryne to delikatny kwiatuś i należy ją traktować z najwyższym szacunkiem. A ty opowiadasz jej o amputacji nóg i grozisz, że zwymiotujesz jej na pantofelki.

Pierś uniósł brew i spojrzał na nią wymownie. Westchnęła i poklepała Sébastiena po ramieniu.

- Przepraszam - powiedziała. - Jego lordowska mość całkiem słusznie zauważył, że jestem mistrzynią flirtu, w przeciwieństwie do niego.

- Ładnie - stwierdził Pierś z autentycznym podziwem. - Jesteś też jedną z największych mistrzyń konwersacji, jakie udało mi się spotkać w życiu. Tym bardziej, że masz tę swoją broń.

- Uśmiech? - spytała. - Bardzo mi się przydaje. Też powinieneś kiedyś spróbować.

Sébastien skrzywił się kwaśno. Właśnie zaczęło do niego docierać, że Linnet jest nie tylko delikatnym kwiatuśkiem.

- To nie twoja liga - wytłumaczył mu Pierś. - Jest prawdziwą mistrzynią. Nic dziwnego, że cały Londyn uznał, że owinęła sobie księcia Augusta wokół małego palca.

- To u nas rodzinne - tłumaczyła Linnet, jakby trochę zawstydzona. - Ale naprawdę chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o chirurgii - powiedziała do Sébastiena. - Mówił pan, że nie da się uniknąć zakażenia. Jakich sposobów pan próbował?

Zdaniem Piersa, Sébastien często bywał gapowaty, ale nigdy w sprawach zawodowych. Był doskonałym chirurgiem o niesamowitej koncentracji, szybkich i nieprawdopodobnie zręcznych palcach.

- Gdyby nie obawa przed zakażeniami - zaczął - moglibyśmy sobie pozwolić na interwencje, jakich w dzisiejszych czasach nie sposób sobie nawet wyobrazić. Na przykład, mam w zachodnim skrzydle kobietę ze spuchniętym brzuchem. To prawie na pewno jakiś rodzaj raka, który spowodował powstanie guza, czyli takiej narośli. Jest pewnie wielkości jabłka albo nawet większa.

- Jestem pewien, że to guz - wtrącił Piers. - Ale jego rozmiar poznamy dopiero za kilka miesięcy.

Linnet zamrugła, ale trzeba przyznać, że nawet się nie skrzywiła ani nie pisnęła, w odróżnieniu od większości dam, które miały okazję usłyszeć o szczegółach praktyki medycznej, a szczególnie o jego fascynacji sekcjami zwłok.

- Gdybyśmy znali metodę opanowywania zakażeń, mógłbym otworzyć jej brzuch i wyciąć ten guz - wyjaśnił Sébastien. - Mogłaby wrócić do domu i dalej spokojnie żyć.

Piers musiał przyznać, że kuzyn wyglądał szczególnie atrakcyjnie, kiedy rozprawiał o chirurgii. Kosmyk włosów opadł mu na czoło, oczy błyszczały. Może jednak należało zmienić temat. Linnet była wyraźnie zafascynowana.

- Czy alkohol pomaga? - spytała. - Czytałam, że żołnierze w polu polewają rany brandy, bo alkohol zmniejsza ryzyko infekcji.

- Niewystarczająco - odpowiedział Piers. - Kiedy byliśmy młodszy i mniej rozgoryczeni, próbowaliśmy wszystkiego, co się tylko da. Ale pacjenci aż nazbyt często umierali.

- Odeszli prawie wszyscy - przytaknął Sébastien. Jego twarz przybrała słodko-smutny wyraz, tak pociągający dla kobiet. Piers nie potrafiłby zrobić takiej miny, nawet gdyby jego życie od tego zależało. Naturalnie, Sébastien mówił serio. Naprawdę śmierć pacjentów była dla niego ciężkim przeżyciem.

- Więc przestaliśmy eksperymentować - podsumował Piers. - Sébastien nie mógł się pogodzić z tak wysoką śmiertelnością.

- Kończyny to inna sprawa - stwierdził Sébastien. - Ale wewnątrz ciała to za duże ryzyko.

- Biedna kobieta - stwierdziła Linnet.

Pierś już zapomniał, od czego zaczęła się ta rozmowa.

- Aha. No cóż, przynajmniej przyszła tutaj. Dostała tyle opium, że nie czuje już bólu.

- Jest przytomna?

- Prawie nigdy. I bardzo dobrze. Rak żołądka - jeśli na to cierpi - wydaje się szczególnie bolesny.

- Co z jej rodziną? Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może nie ma bliskich.

- Nikt z pacjentów nie ma rodziny? Wcale nie widać tu odwiedzających.

- Tym zajmuje się siostra Matylda. Naprawdę nie mam pojęcia.

Linnet zmrużyła oczy.

- Mam wrażenie, że pani Havelock jest bardzo surowa. Pewnie powiedziała pacjentom, że nie zgadza się na odwiedziny.

- Na pewno nie - zaprzeczył Sébastien. - Jest szorstka, ale ma dobre serce.

Cały Sébastien. Widział w ludziach tylko dobro.

- Szczerze mówiąc, wcale nie ma dobrego serca, jeśli rozumiesz przez to zdolność odczuwania współczucia. Dlatego ją tu trzymam, choć jest taka niesympatyczna. Potrafi przytrzymać wrzeszczącego dzieciaka i nawet nie mrugnąć okiem.

- Wrzeszczące dziecko? - Linnet aż zadygotała. A więc jednak miała jakieś czułe miejsce.

- Gavan wrzeszczał wniebogłose, kiedy składaliśmy mu nogę - powiedział Pierś. - A spójrz na niego teraz. Już nie krzyczy i zaczął znowu chodzić. Niedługo wróci do domu.

- Tak, ale jak długo był tutaj bez matki? Sébastien zmarszczył czoło.

- Przyjrzę się temu, panno Thrynne - obiecał, rzucając jej beznadziejnie rozkochane spojrzenie. - Jakie pani ma dobre serce.

My z Piersem od miesięcy zajmujemy się tym chłopakiem i w ogóle nie przyszło nam to do głowy.

- No cóż, wystarczy, że zajmujecie się pacjentami i tymi kaczetami - powiedziała z eleganckim gestem dłoni. - Sama porozmawiam z panią Havelock na temat odwiedzin.

- Kaczętami? - zdziwił się Sébastien. Pierś śmiał się w kulak.

- Tymi głuptasami - wyjaśnił, wskazując na Pendersa, Kibble-sa i Bittsa, którzy tłoczyli się wokół lady Bernaise, zafascynowani jej odważnym dekoltem.

- Ach, rozumiem - pojął żart Sébastien. - Chodzą za Piersem jak młode za kaczką. Za słodką, kochaną kaczą mamą.

- Rzeczywiście, trudno to sobie wyobrazić - zgodziła się z nim.

- Ten uśmiech podoba mi się bardziej - oświadczył Pierś. Uśmiech zniknął.

- Był taki wredny i sarkastyczny - wyjaśnił. - Pokazywał twój prawdziwy charakter.

Zmrużyła oczy. Przez chwilę myślał, że szampan z jej kieliszka wylądował mu na twarzy. W tym momencie Prufrock zadzwonił na kolację, więc Linnet po prostu odwróciła się od niego i odpłynęła godnie u boku Sébastiena, demonstracyjnie ujmując go pod ramię.

Po posiłku matka Piersa wstała i z uroczym uśmiechem, który objął wszystkich w towarzystwie, włącznie z jej byłym mężem, zaproponowała:

- Może przejdziemy teraz wszyscy do salonu? Prufrock był tak miły, że zorganizował dla nas odrobinę rozrywki.

Piersowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby odgadnąć szatański plan *maman*.

- Tańce! - wykrzyknął w chwilę później, widząc, że poodsuwano meble, a Prufrock zasiadł przy fortepianie, w towarzystwie tyczkowatego lokaja, który dzierżył skrzypce. - Jak to miło z twojej strony, mamusiu. Marzyłem o tym. Matka przypląnęła ku niemu w obłoku jaśminowych perfum.

- Kochanie, świat nie kręci się wokół ciebie i przykro mi, jeśli kiedykolwiek wyrobiłam w tobie przekonanie, że jest inaczej. Usiądź sobie i odpocznij. Naturalnie, Sébastien zatańczy ze mną.

- Ależ naturalnie - potwierdził. Jeśli matka postanowiła odegrać komedię, dlaczego miałby rezygnować z zabawy? Ojciec usiadł na prostym krześle obok kanapy i patrzył. Nawet nie udawał, że nie jest zainteresowany. Po prostu pożerał wzrokiem swoją byłą żonę, która krążyła po parkiecie w rytm walca, śmiejąc się do siostrzeńca.

- Ma tak samo lekki krok jak dawniej - powiedział Pierś po chwili. Uznał, że woli rozmawiać, niż patrzeć na tańczących. Denerwowało go, że Bitts ciągle uśmiecha się do Linnet. Wolał go w roli lekarza, nawet kiepskiego lekarza, niż młodego galanta.

- Twoja matka? - Ojciec skinął głową. - Szkoda, że jej nie widziałeś, gdy miała siedemnaście lat. Była wiotka jak młoda brzoźka, a w oczach miała taki błysk, że wszyscy wokół się w niej kochali.

- Poprosisz ją do tańca?

Ojciec spojrzał na niego z lekkim grymasem. Pierś nagle uświadomił sobie, wstrząśnięty, że ten grymas od czasu do czasu pojawia się i na jego twarzy.

- Ależ oczywiście. Zorganizowała całą zabawę, więc byłbym podły, gdybym nie dał jej okazji do odmowy. Wtedy, naturalnie, nie tańczyło się walca.

- Wtedy? - powtórzył Pierś z głupią miną.

- Naruszyłem wszelkie zasady dobrego wychowania - odpowiedział ojciec. - Nie czekałem z zaproszeniem do tańca, aż ktoś nas sobie przedstawi. Po prostu pociągnąłem ją za sobą na parkiet.

- No to ruszaj - odparł Pierś. - Porwij ją do tańca.

- Ona nie życzy sobie porywania. Chce tylko odrzucić moje zaproszenie.

Tak, Pierś zdecydowanie rozpoznawał ten sardoniczny uśmieszek. Taki sam, jak jego.

- Ze względu na moje przewinienia nie mogę jej odmówić tej przyjemności - dodał ksiązę.



Matka może i miała ochotę odmówić tańca ojcu, ale za to Sébastien nie zamierzał przepuścić okazji zatańczenia z Linnet. Do diabła, Piers nie zamierzał spokojnie siedzieć na kanapie i patrzeć, jak ten fircyk szepce komplementy prosto w ucho jego narzeczonej.

Wstał i już miał odejść, ale zatrzymał się na moment.

- Powodzenia - powiedział ojcu.

- Na to już za późno - odparł księżę. - Dobranoc.

## 16

Podły jesteś - powiedziała Linnet do Piersa. Obudził ją, łaskocząc w nos wstążeczką.

- Przyniosłem ci gorącą czekoladę.

- To w jakimś stopniu zmazuje twoje winy - odparła, opierając się o zagłówek, żeby napić się aromatycznego płynu i ukradkiem popatrzeć na Piersa, choć licho wie, dlaczego wciąż pociągał ją ten nieokrzesany typ.

Ale kobieta, która przez całą noc śniła o tym, że całuje się z pewnym lekarzem - i nie tylko całuje - nie powinna udawać nawet przed sobą samą, że nie jest nim zafascynowana.

- Przestań się tak znęcać nad Sebastienem - poprosił. Nie patrzył jej w oczy, tylko bawił się wstążką jak dziecko, zawiązując ją na supełki i próbując, ile wytrzyma.

- Zniszczysz mi wstążkę. To moja ulubiona.

- Jedwabna? - zawiązał kolejny supełek.

- Oczywiście. Czemu pytasz?

- Potrzebujemy czegoś lepszego do przywiązywania pacjentów na stole podczas operacji. Na razie używamy sznurów i wszyscy narzekają z powodu obtarć. Może jedwab by się nadał. - Obwiązał wstążką słupek łóżka i mocno szarpnął. Od razu rozerwała się na pół.

- Na litość boską, po co ją zniszczyłeś? Owiń sznury jedwabiem.
  - Niezły pomysł. Słyszałaś, co mówiłem na temat Sébastiena?
  - Tak. Boisz się, że stracisz towarzysza zabaw. Pierś parsknęła.
  - Czasem żałuję, że nie jestem małym chłopcem.
  - Dlaczego?
  - Za trzydzieści albo czterdzieści lat, nie więcej, będziemy umieli zapanować nad zakażeniami. Nadejdzie rewolucja w chirurgii.
  - Ile masz lat, trzydzieści? Może jako siedemdziesięciopięcioletek będziesz dalej operować, jeśli się mocno oprzesz o stół.
  - I będę obcinał ludziom nosy trzęsącymi się rękami.
  - Nazywam cię chłopcem, bo zachowujesz się jak sześciolatek, który jest zły na swoich rodziców i chce się na nich zemścić.
  - Kocham matkę - powiedział, jakby rzeczywiście zwracał uwagę na jej słowa. W tym momencie uświadomiła sobie, że Pierś zawsze słucha tego, co się do niego mówi. Taki już ma charakter.
  - To oczywiste, że ją kochasz. Ojca też. A on kocha ciebie.
  - Takie czułe emocje wczesnym rankiem sprawiają, że robi mi się niedobrze.
  - Ciągłe masz jakieś problemy z żołądkiem - zauważyła złośliwie. - Może Sébastien weźmie cię pod nóż za jakieś trzydzieści lat.
  - Daj spokój, mam nadzieję, że nie. Jest świetny w swoim fachu, ale operacja to nie zabawa. Chodźmy już, dobrze? Nie lubię intymnych pogawędek, szczególnie z kobietą, z którą jeszcze nie spałem.
- Linnet dopiła czekoladę i wstała. Smutno jej było, że Pierś nigdy nie będzie mógł się z nią kochać.
- Opowiedz mi o tym wypadku, w którym zraniłeś się w nogę... i tak dalej - poprosiła, idąc w kierunku parawanu. Wczorajem poprzedniego dnia przygotowała sobie suknię.
- Kiedy nie odpowiedział, odwróciła się i zobaczyła, że Pierś wpatruje się w jej plecy.
- Co się stało? Pobrudziłam się czekoladą?

- Ta koszula nocna jest praktycznie przezroczysta - powiedział niskim, chrapliwym głosem. - Widzę twoje pośladki. Jednym susem znalazła się za parawanem, czując falę gorąca w podbrzuszu. Ogarnął ją smutek. Szczerze mówiąc, do tej pory nigdy nie miała ochoty na seks z mężczyzną, a teraz, kiedy wreszcie jej się to zamarzyło, wybrała Piersa. Piersa, który był niesprawny. Co za okrutna ironia.

- Nie podoba mi się określenie „pośladki” - powiedziała, pilnując się, by w jej głosie nie zabrzmiała nuta pożądania.

- To taki medyczny termin.

- To jak mam mówić? Pucia? Zadek? Tyłeczek?

- Najlepiej pupa.

- A mnie się podoba tyłeczek. Brzmi uroczo.

Linnet narzuciła suknię przez głowę i odczekała, aż fałdy ułożą się na jej sylwetce. Potem pogłaskała się po pupie.

Rzeczywiście, była okrągła i - miejmy nadzieję - urocza.

Podeszła do toaletki.

- Muszę tylko wyszczotkować włosy. Chcę je zapleść, żeby się nie płątały. Eliza ma z nimi straszny kłopot.

Stanął za nią i pozapinał guziczki sukni bez proszenia. Linnet przeciągnęła szczotkę po włosach, a potem pochwyciła jego spojrzenie w lustrze i znieruchomiła.

- Jakbyśmy byli małżeństwem od co najmniej dziesięciu lat - powiedział z krzywym uśmiechem.

- Nie zamierzasz się żenić, prawda?

- Nie widzę sensu.

- Dlaczego? - Nagle sama zrozumiała powody. - Aha, bo nie możesz... nie możesz mieć dzieci?

- Przecież małżeństwo wynaleziono tylko po to - odpowiedział. - Inaczej nie miałoby sensu.

Otworzyła usta, ale doszła do wniosku, że nie ma po co stawać w obronie miłości albo choćby przyjaźni, rozmawiając z takim mizantropem. Tym bardziej, że też uważała, że miłość i małżeństwo rzadko idą w parze.

Związała warkocz połową wstążki i wstała.

- Idziemy?

Zlustrował ją wzrokiem.

- W tym warkoczu wyglądasz na czternastolatkę. I nie włożyłaś pończoch.

- Doszłam do wniosku, że to rzeczywiście nie ma sensu. Przecież i tak nikogo nie spotykamy po drodze.

- Prufrock nie należy do tych majordomusów, którzy uważają, że służba musi być w pełnej gotowości od świtu do świtu.

- Bardzo nietypowy ten twój majordomus - powiedziała, wsuwając dłoń pod jego ramię i dostosowując się do jego kroku.

- Już ci mówiłem. To nie majordomus, tylko szpieg mojego ojca.

- Tylko po co ojcu szpieg w twoim domu? Pierś wzruszył ramionami.

- Przestań to robić... taki gest zdradza, że próbujesz uniknąć odpowiedzi na pytanie. Po co twojemu ojcu szpieg w twoim domu?

- Pewnie chce wiedzieć, co tu się dzieje.

- Mówisz, że u matki też ma swoich ludzi.

- Tak.

- Dalej ją kocha, prawda? Z wzajemnością.

- Sébastien też tak twierdzi. Muszą się zdecydować, co chcą z tym zrobić.

Linnet spojrzała na niego. Miał tak zacięty wyraz twarzy, że wołała nie rozwijać tematu. Poza tym to właściwie nie była jej sprawa.

- Mówiłeś, że przydzielasz pacjentów do różnych sal w zależności od schorzenia.

- I płci - uzupełnił, strącając łaską kawałek zwietrzałej skały. - Strasznie się przejmują przyzwoitością i manierami.

- To dlaczego Gavan leży koło pana Hammerhocka? Powiedziałeś mi, że pan Hammerhock może zarażać.

- Mało prawdopodobne. Ta gorączka przestaje być zakaźna, kiedy na skórze pojawiają się wyrzuty. Po prostu bałem się, że się w nim zakochasz. Takie krosty przyciągną każdą kobietę. Nie

wspominając o tym uroczym bełkocie. Niestety, przeszedł mu całkiem zeszłej nocy.

- Dzisiaj chyba jest cieplej - powiedziała, gdy minęli domek strażnika. Widać już było basen.

- Nie podoba mi się to niebo - odparł Pierś, mrużąc oczy.

- Dlaczego? Nie ma ani jednej chmurki. Odwróciła się, żeby rozpiął jej suknię.

- Taki poszarzały odcień oznacza burzę. Być może.

- Być może? Przecież ty diagnozujesz choroby, a nie pogodę. - Zdjęła suknię. - Rozbieraj się, dobrze? Ćwiczyłam pływanie wczoraj wieczorem...

- Naprawdę?

- Na podłodze. Wtedy weszła Eliza i utwierdziła się w przekonaniu, że do reszty zwariowałam.

Wbiegła na skalną płytę nad basenem.

- Zwolnij. Zaczynam się przy tobie czuć jak kaleka.

- Ranię twoje nieistniejące uczucia? - docięła mu. Stanęła na brzegu skały. Znad morza wiał lekki wiatr, niosąc ze sobą niepokojący, słony aromat.

Pierś zdejmował buty. Rzucił na nią okiem, a potem dalej się rozbierał. Bardzo, ale to bardzo chciała, żeby znowu spojrzął w jej stronę, bo wiedziała, że wiatr przykleił koszulkę do ciała tak, że widać było wszystkie krągłości.

Chciała...

Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest okrutna. Zrobiło jej się przykro. Naprawdę, nie powinna roztaczać swoich wdzięków przed człowiekiem, który nigdy z nich nie skorzysta.

Usiadła, podciągając kolana do piersi. Pierś właśnie zdejmował koszulkę. Obserwowała go, udając, że wpatruje się w wodę. Miał taki piękny tors... kędzierzawe, czarne włosy schodziły w dół, kryjąc się pod tkaniną spodni. Palce jej drżały z niecierpliwości, żeby go dotknąć, pogłodzić pierś, plecy, a potem zsunąć się aż na...

Pupę. Choć może właściwszym słowem byłyby jednak pośladki, pomyślała, patrząc, jak Pierś odkłada spodnie i koszulkę na bok.

W chwilę później byli już oboje w wodzie. Nie przerażało ją już zimno; uwielbiała wskakiwać do basenu i czuć zapierający

dech w piersiach, lodowaty chłód. Miała wrażenie, że budzi się dopiero w chwili, gdy wpada do wody. Uwielbiała też, gdy Pierś przyciągał ją do siebie. Ale tym razem nie pozwolił jej na zbyt długie przytulanie.

- Poruszaj rękami! - warknął. - Spróbuj popłynąć.

Wzięła głęboki oddech i odepchnęła się od krawędzi basenu. Natychmiast poszła na dno.

Wyciągnął ją i podholował do brzegu.

- Połóż się na wodzie, a potem zacznij pracować rękami - polecił. - I nie zapominaj o nogach.

Tak się trzęsała, że ledwie była w stanie się ruszyć... ale jednak się udało. W chwilę później poruszała się w wodzie.

Powoli, niezgrabnie, ale jednak płynęła, zamiast jak zwykle pójść na dno. Pierś był przy niej i wykrzykiwał polecenia, których prawie nie słyszała. Ale w końcu zrozumiała, o co chodzi, i zaczęła poruszać rękami na przemian, do góry, a potem okrągłym pociągnięciem w dół, głowa na bok, nogi...

Złapał jej nogi tymi wyćwiczonymi dłońmi chirurga i wyprostował je, pokazując, jak powinny pracować.

Jak ostatnia idiotka, natychmiast zapomniała o pływaniu i pomyślała, że mógłby przesunąć te dłonie wyżej... a potem jeszcze wyżej.

Nie wpadł na to.

W pięć minut później była po drugiej stronie basenu. Serce biło jej jak młotem, a twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Dasz radę przyplnąć z powrotem? - zawołał Pierś.

Bez słowa odepchnęła się od krawędzi i zaczęła mozolnie przebijać się przez wodę. W połowie drogi pociągnęła solidny łyk gorzkiej morskiej wody. Ramiona jej omdlewały.

Fala zalała jej twarz, więc zawałała się i natychmiast zaczęła tonąć.

Pierś otoczył ramionami jej talię.

- Wystarczy tego dobrego - stwierdził. - Chodź tutaj. Przyciągnął ją do siebie. Wtulila się w niego naturalnym ruchem, jak dziecko przytulające się do matki. Z tą różnicą, że jego

mocne, twarde ciało w żadnej mierze nie przypominało matczynego.

- Serce ci bije jak młotem - powiedział. - To za duży wysiłek dla kogoś, kto nie robi nic poza tańcem.

Nie zamierzała wyjaśniać, że to nie z wysiłku. Pozwoliła się posadzić na obramowaniu basenu i nie spojrzała nawet, kiedy odpłynął, przecinając spore fale z taką łatwością, jakby to była wanna, a nie morski basen.

Nogi się pod nią uginały, jakby były z waty. Może i miał rację. Znalazła ręczniki przyniesione wcześniej na polecenie Prufrocka i znowu zawinęła się we wszystkie.

W końcu powinna powiedzieć Prufrockowi, żeby przynosił jeden więcej, dla Piersa. Wyciągnęła się na słońcu i przyznała sama przed sobą, że z przyjemnością zdejmowała z siebie ręcznik, żeby go oddać Piersowi. Albo nawet dwa ręczniki.

Musiał wtedy na nią spojrzeć. W takich chwilach czuła, że żyje, i że krew śpiewa w jej żyłach.

Pewnie jej matka z taką samą radością pędziła na swoje schadzki. Pełna energii i siły. Biedna mamusia.

Linnet odwróciła się na bok. W uszach brzmiał jej śmiech matki. Pewnie była uzależniona od tego rozkosznego uczucia, które w Linnet budził Piers. W ten sam sposób, w jaki ojciec Piersa był uzależniony od opium.

Proste jak drut.

Piers miał rację. Nie potrafiła wybaczyć matce tych schadzek z obcymi mężczyznami. I obojętności dla własnej córki. Mało tego. Pewnego deszczowego dnia wyruszyła na spotkanie z kochankiem i zginęła w wypadku, kiedy powóz wpadł na słup.

Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła, pomyślała Linnet. Nie zrobiłabym, ale to nie znaczy, że tego nie rozumiem.

Szczególnie teraz, kiedy każdy dotyk Piersa rozpała we mnie krew.

Ta myśl zdawała się wypełniać lodowatą pustkę, którą do tej pory Linnet czuła w okolicy serca.

- Kocham cię - szepnęła wiatrowi, nagrzanemu słońcem skale, rybom i morzu... i wspomnieniu matki.

Pierś wyszedł z wody i prysnął jej lodowatymi kroplami w twarz.

- Podzielisz się ręcznikami? Nie zauważyłaś jeszcze, że jestem dużo większy od ciebie?

Podawała mu ręcznik zsunięty z włosów.

- Jeszcze jeden - powiedział, wycierając się energicznie. Dała mu ten, którym owinęła sobie stopy.

- Wiesz, ilu ludzi cierpi na choroby, od których odpadają palce u nóg? Daj mi inny.

Zamrugła.

- Moje palce są jak najbardziej na swoim miejscu.

W jego oczach dostrzegła jakąś niecną przekorę, jakiś pierwotny ogień, który pobudził całe jej ciało. W jednej chwili. Poczła się jak niewolnica u stóp radży, bezwładna i bezwolna.

- Inny ręcznik - polecił.

Nie spieszyła się. Odsloniła ramię, przetoczyła się na bok, od-wijając ręcznik, jakby była opakowanym weń prezentem. Nie musiała patrzeć niżej, by wiedzieć, że sutki naprężyły jej się pod wilgotną koszulką. Nie musiała patrzeć wyżej, by wiedzieć, że Pierś chłonie ten widok.

Rzuciła mu ręcznik i ułożyła się z powrotem na skale, z rękami pod głową. Wytarł się starannie, nie spuszczać z niej wzroku, bez cienia przyzwoitości.

- Jesteś... - zaczął w końcu, owijając się ręcznikiem w pasie. - Jesteś jak...

Nagle poderwał głowę do góry.

- A niech to jasny szlag!

## 17

Linnet usiadła i spojrzała tam, gdzie on. Horyzont pociemniał, jakby nadciągała noc; fale oceanu lśniły stalowo i...



Pierś podniósł ją na nogi jednym szarpnięciem, a potem schylił się po laskę. Puścił jej dłoń i krzyknął:

- Biegnij do zamku! Najszybciej, jak potrafisz.

Spojrzała przez ramię na wał chmur, który kłębił się niemal nad ich głowami, tworząc niesamowity kontrast z niebem po drugiej stronie, które wciąż było błękitne i rozjaśnione słońcem.

Pierś ruszył ścieżką.

- Linnet! - ryknął, nie oglądając się do tyłu. - Rusz się, skończona idiotko!

Popędziła w jego stronę. Szedł całkiem szybko, rozkołysanym, nierównym krokiem w rytmie na trzy. Uważnie obserwował, gdzie stawia laskę, by nie zaklinowała się między skałami. Linnet dopędziła go i odwróciła się ponownie.

Chmura wcale nie była czarna, tylko ciemnozielonobłękitna; wzdymała się i falowała jak żywe stworzenie. Strach ustąpił miejsca fascynacji. Linnet znowu pobiegła za Piersem.

- Co to jest? - zapytała. - Co to takiego?

- Pogoda - odparł z niesmakiem. - Cholerna walijska pogoda i tyle. Mogłabyś się wreszcie ruszyć?

- Nigdzie nie idę bez ciebie - odparła. Dopadł ich pierwszy podmuch wiatru, wrywając jej słowa z ust.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, że nie zdążą dobiec do zamku. Chmura dosłownie pożerała błękit oceanu, pędząc ku wybrzeżu jak drapieżne zwierzę. A nad nimi wciąż lśnił spokojny błękit nieba.

Pierś jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Dopiero teraz było widać, jaką siłą dysponuje w zdrowej nodze.

- Domek strażnika! - usłyszała jego słowa pomimo wycia wiatru. Dochodzili już prawie do zakrętu, przy którym stał domek.

Wiatr dał im w plecy. Nagle Linnet poczuła ukłucia tysiąca igieł na ramionach. Z trudem chwytła oddech. Pierś ruszył w takim tempie, że wyprzedził ją nieco. Otworzył szarpnięciem drzwi, chwycił ją za rękę i wciągnął do środka z taką siłą, że jej stopy na moment oderwały się od ziemi.

I zatrzasnął drzwi za nimi.

Przez sekundę spoglądali na siebie w półmroku panującym w domku. A potem - jakby nagle rozpętała się strzelanina

- drewniane drzwi zatrzęsły się od uderzeń.

- Boże wielki - szepnęła Linnet. - Co to takiego?

- Grad - odpowiedział i pokuśtykał do pokoju. - Dlatego zawsze zostawiamy tu zamknięte okiennice.

Przechylił głowę i nadśluchiwał chwilę.

- Sądząc po odgłosie, wielkości piłek tenisowych.

- Nigdy w życiu nie słyszałam o czymś takim - wykrzyknęła i zafascynowana wpatrywała się w drzwi, dygocące jakby uderzały w nie setki pięści rozgniewanego tłumu, który chciał gwałtem wedrzeć się do wnętrza.

- Ale o walijskiej pogodzie musiałaś chyba słyszeć, prawda? To potrwa dwie-trzy godziny. Powiedziałaś swojej pokojówce, że idziesz pływać?

Linnet skinęła głową.

- Prufrock ją uspokoi. Burze przechodzą tu tak często, że zabroniłem mu wysyłać ludzi na pomoc. Pacjenci będą musieli radzić sobie sami, pod czułą opieką Sebastiena.

- Kaczęta na pewno mu pomogą - zaśmiała się Linnet. Jej głos niemal tonął w huku gradu, miotanego wiatrem o dach domku. Poczowała, że dygoce na całym ciele, z emocji i zimna. - Są tu może jakieś ubrania albo koce? - spytała, dzwoniąc zębami.

Piers łypnął na nią okiem.

- A co, zapomniałaś ręczników?

- Umieram z zimna - odparła, krzyżując ramiona, żeby się choć trochę ogrzać. - Co z tymi kocami?

Wskazał laską drzwi po lewej stronie kominka.

- Rozpal ogień - poprosiła.

- Rozkaz - odparł sarkastycznie, ale odłożył laskę i wziął krzemień z półki. Na szczęście, w palenisku ktoś ułożył gotową rozpałkę i kilka polan.

Za drzwiami była niewielka sypialnia, w której mieściło się tylko spore łóżko. Okno wychodziło na drugą stronę domu, więc grad nie hałasował tu tak mocno.

Otworzyła komodę pod oknem. Na jednej z półek leżało jakieś zawiniątko. Rozłożyła je palcami trzęsącymi się z zimna. Okazało się, że to męska koszula z grubego lnu, znacznie grubsza od koszul z białego płótna, jakie zazwyczaj nosił Pierś.

Obwąchała ją ostrożnie i ku swej uldze przekonała się że jest czysta, tylko pognieciona. Mokra, lodowata koszulka w jednej sekundzie znalazła się na podłodze. Linnet była cała mokra, więc wysunęła głowę przez drzwi.

- Pierś, czy mogę...

Nie przewidziała tylko jednego. Pierś Yelverton, hrabia Marchant, był zupełnie goły.

Siedział w kucki przed kominkiem i krzesał ogień.

- ...wziąć twój ręcznik? - dokończyła.

- Wiatr go porwał.

- Twoje gatki też?

- Pewnie zapomniałem je włożyć. Zwykle pływam nago. Popatrzył na nią, wzrokiem tak palącym jak łyk francuskiego

koniaku. Fala ciepła spłynęła jej do gardła, ogarnęła piersi, brzuch i zeszła niżej, zupełnie jakby napiła się tego szlachetnego trunku. Nie mogła się powstrzymać i opuściła wzrok. Był taki umięśniony: nogi, plecy, ramiona...

- Mam wstać, żebyś mnie mogła sobie dokładnie obejrzeć? - spytał z rozbawieniem, ale w jego głosie brzmiała dzika, głęboka, męska i niebezpieczna nuta.

Całe ciało Linnet zareagowało na ten ton. Łagodne ciepło, miękkość brandy nagle zmieniły się w pożar. Nogi się pod nią ugięły.

- Lepiej nie, jeśli nie masz ręcznika.

Zaczął się odwracać, więc instynktownie, jednym susem znalazła się w sypialni i zamknęła drzwi.

Oparła się plecami i pośladkami o szorstkie, drewniane deski. Jestem naga, pomyślała. Jestem naga, w jednym domu z nagim mężczyzną, więc powinnam...

Błyskawicznie wciągnęła przez głowę koszulę, która sięgała jej ledwie do kolan, co było i tak skandaliczne. Grube płótno dobrze

maskowało jej figurę, choć naprężało się nieco na piersiach. Koszulę uszyto dla szczupłego mężczyzny, co oznaczało, że Piersowi na nic się nie przyda. Zdecydowanie się by w nią nie zmieścił.

Podeszła do łóżka przykrytego szorstkim kocem. Pod spodem było lniane prześcieradło, wystarczająco duże, by mógł się w nie owinać postawny mężczyzna.

Ściągnęła prześcieradło z łóżka, otworzyła drzwi i wrzuciła lnianą płachtę do środka pokoju, nie patrząc.

- Co to ma być? - Głos Piersa słycać było wyraźnie mimo wycia wiatru.

- Okryj się tym - krzyknęła.

- Nie ma potrzeby.

- Wręcz przeciwnie! - Drzwi poruszyły się pod jej dłonią. - I nie wchodź tu, dopóki się w to nie owiniesz.

Drzwi otworzyły się, odpychając ją w tył.

- Znalazłem serwetę.

Rzeczywiście, był owinięty w pasie niebieską serwetą.

- Prześcieradło byłoby lepsze - powiedziała, instynktownie przesuwając wzrokiem po jego szerokiej piersi. Spojrzała niżej i gwałtownie wciągnęła powietrze.

- To nieprzyzwoite!

Zawiązał serwetę na węzeł na lewym biodrze, więc ledwie zasłaniała to...

- Nie możesz tak chodzić!

- Nie mogę zawinąć się w prześcieradło, chyba że zamierzasz siedzieć na tym kocu - powiedział z krzywym uśmiechem. - Pewnie jest w nim tyle pcheł co na Rufusie, a to duże osiągnięcie.

Linnet z przerażeniem spojrzała na łóżko.

- Nie zamierzam na nim siadać!

- Nie ma tu nic innego - odpowiedział. - Nie wiem czemu, ale praktycznie nie ma tu żadnych mebli. Domyślam się, że sąsiedzi je sobie wypożyczyli. WaliJCzycy to oszczędny ludek. Pewnie doszli do wniosku, że skoro nikt tu nie mieszka, to stół i krzesła tylko się niepotrzebnie marnują. Mamy szczęście, że nikt nie wyniósł tego łóżka.

Linnet zerknęła do drugiego pokoju ponad jego ramieniem. Rzeczywiście, stał tam tylko solidny kredens. Spojrzała na łóżko.

- Z tego, co wiem, żadna pchła nie przeżyje bez jedzenia, czyli krwi, dłużej niż kilka tygodni - powiedział, rzucając prześcieradło z powrotem na łóżko. - Czy mogłabyś je z powrotem rozłożyć? Mojej nodze nie spodobał się ten bieg pod górkę, więc albo usiądę, albo upadnę. Sam bym się tym zajął, ale trzymam się na nogach tylko dzięki lasce.

Linnet zaczęła pracowicie wtykać krawędzie prześcieradła pod materac.

- To nie takie łatwe, jak mi się wydawało - spróbowała zacząć zwyczajną rozmowę. Z trudem powstrzymywała się od patrzenia na Piersa.

- Chcesz powiedzieć, że powinienem płacić pokojówkom po dwa pensy ekstra za każde łóżko? - spytał znudzonym głosem.

Linnet doszła do krańca posłania i poddała się. Wsunęła za dużo prześcieradła pod materac przy wezglowiu i teraz zabrakło tkaniny przy nogach łóżka.

- Możesz siadać - wskazała łóżko. Jęknął i opadł na materac.

- Lepiej ci? - spytała. Po chwili sama przycupnęła na krawędzi łóżka, żeby zostawić jak najwięcej miejsca pomiędzy nimi. Nie zamierzała stać przez dwie godziny, aż do końca burzy, choć nawet siedzenie na jednym łóżku z mężczyzną było niewłaściwe.

Piers wbił palce w mięśnie prawej nogi, żeby je rozmasować.

- Wszystko jest lepsze, niż stać na niej po takim biegu - powiedział, nie patrząc na Linnet.

- Od jak dawna masz te bóle? - spytała.

- Prawie całe życie.

- Dlaczego to nie chce się goić? Pokręcił głową.

- Nie będę wiedział, dopóki nie zrobię sobie sekcji zwłok. Zamrugła, ale milczała.

- Głupi dowcip. Przypuszczam, że zanikł mi jakiś mięsień, tam w środku. Miałem pacjentów z zanikami po wypadkach. U niektórych ból z czasem ustał. U innych... nie.

- Nie ma żadnej szansy? - Przez moment wpatrywała się w jego palce. - Przecież nawet nie widać blizny.

Odwrócił nogę nieco na zewnątrz. Westchnęła z przerażeniem na widok okropnej, nierównej szramy ciągnącej się od pachwiny aż za kolano.

- Jakim cudem to przeżyłeś?

- Nie mam pojęcia - odparł chłodno. - Przede wszystkim groziło zakażenie. Twardy drań ze mnie, i tyle.

Podniósł na nią wreszcie wzrok i uśmiechnął się szeroko.

Nie potrafiła odpowiedzieć uśmiechem. Była wstrząśnięta na myśl o straszliwym bólu, jaki musiał towarzyszyć takiej ranie. Instynktownie pogładziła brzegi blizny.

- Czy to blizna cię boli, czy mięśnie w nodze?

Pierś nie odpowiedział, więc spojrzała na niego. Przyglądał się jej palcom.

- Jesteś pierwszą kobietą, która dotknęła tego miejsca - powiedział powoli, z nieprzeniknioną twarzą. - Dziwne.

Oczywiście, że kobiety go nie dotykały. Przecież był niesprawny. Jej kremowe palce odcinały się od jego ciemnej skóry. Nagle uświadomiła sobie, że trzyma dłoń na wewnętrznej stronie męskiego uda, bardzo blisko...

Natychmiast cofnęła rękę.

- Miło było - powiedział gardłowym, głębokim głosem.

Linnet tak się zawstydzila, że policzki miała na pewno czerwone jak piwonia. Zaryzykowała ukradkowe spojrzenie na twarz Piersa. Już wiedziała, co wyraża ten wzrok. Pożądanie. Wzięła głęboki oddech.

- Chciałam tylko... - zaczęła i przerwała.

Widać było, że ten nieznośny łobuz z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

- Nie wiem, co cię tak bawi - oburzyła się. - Chciałam ci tylko okazać trochę współczucia.

Pierś oparł się o wezglowie łóżka i założył ręce za głowę. Coś dziwnego zaczęło się dziać z serwetą. Nie sposób było tego nie zauważyć. Jakoś przestała go zasłaniać.

- Jeszcze żadnej kobiecie nie pozwoliłem się tam głaskać - powtórzył.

Skinęła głową.

- To zrozumiałe.

Zacisnęła dłonie w pięści i ułożyła je na podolku, ale jej palce wciąż czuły dotyk jego skóry.

- Było bardzo przyjemnie. Powinienem sprowadzić sobie kokotę Co o tym sądzisz? Mogłaby mieszkać w zachodnim skrzydle z Gavanem i umierającymi pacjentami, tymi, którym nie dolega nic zakaźnego.

Linnet oparła się o słupek łóżka. Wiatr wył na zewnątrz małego domku. Miała wrażenie, że na całym świecie byli tylko oni

dwoje.

- Po co? - spytała z autentycznym zainteresowaniem. - Zęby od czasu do czasu ta dama głaskała cię po bliźnie?

- To wcale nie byłaby dama - zaprotestował Pierś. - Właśnie o to chodzi. - Oczy mu się śmiały. I lśniło w nich...

To tylko pożądanie, pomyślała Linnet. Zwyczajne pożądanie. Podciągnęła nogi i usiadła bokiem. Wpatrywał się w nią uważnie.

- Czy taka kokota może zrobić dla ciebie coś, czego nie zrobiłaby dama? . ,

- Damy nakładają na człowieka zbyt wiele zobowiązań - odpowiedział, przesuwając się tak, że dotknął nogą jej stóp.

Przeszył ją dreszcz.

- Masz na myśli małżeństwo? - wykrztusiła, dumna z siebie, że nie zareagowała na ten dotyk.

- Coś w tym stylu - przytaknął. - Dzielenie życia z tą samą osobą przez wiele lat. Nie mów, że sama się nad tym nie zastanawiałaś.

Owszem, zastanawiała się. Nikt chyba nie flirtuje z księciem przez dwa miesiące, nie myśląc o tym, jak by to było, gdyby widywało się tę twarz codziennie przy śniadaniu przez resztę życia.

A jeśli tym księciem jest August, nie sposób nie popaść w depresję w wyniku takich myśli.

- Zastanawiałaś się! - zaśmiał się. - Jesteś takim samym samotnym wilkiem jak ja!

Pokręciła głową.

- Wcale nie. Naprawdę chcę wyjść za mąż. Chciałabym się też zakochać, choć wiem, że to nie zawsze idzie w parze.

Parsknął ironicznie.

- Jesteś romantyczką, nawet jeśli bez mrugnięcia okiem zastanawiasz się nad zdradą małżeńską.

- Nic dziwnego, skoro czytam tyle powieści.

- Powieści nie mają nic wspólnego z życiem.

- Są lepsze od życia. Miło jest czytać o tym, jak źli ludzie ponoszą zasłużoną karę.

- Może usiądziesz obok mnie? Ten słupek jest chyba bardzo twardy, a o zagłówek można się wygodnie oprzeć.

To prawda, było jej niewygodnie. Tylko, że... spojrzała na niego czujnie.

- Burza jeszcze nie przechodzi - wyjaśnił. - Będziemy tu uwięzieni przez kilka godzin. Poza tym twoja wiedza o

życiu wydaje się niepełna i chciałbym na ten temat z tobą porozmawiać. Zawsze chciałem poznać cudzołożnicę.

Tylko że wszystkie, które do tej pory spotkałem, były już chore na syfilis, więc wołałem nie odsłaniać szczegółów ich rozwiązłej przeszłości.

- Nie jestem żadną cudzołożnicą, przecież nawet nie mam męża. Choć może warto wspomnieć, że w realnym świecie nasze sam na sam podczas tej burzy byłoby skazą na mojej reputacji i musielibyśmy wziąć ślub - powiedziała, sadowiąc się obok niego.

- Nie trać nadziei - odparł uprzejmie. - Tytuł książęcy wciąż jest w twoim zasięgu. Tylko że nie w związku ze mną.

My tu w Walii mało dbamy o takie rzeczy. Mój ojciec siedzi pewnie w zamku i modli się o cud. Twój czeka w

Londynie, przekonany, że jesteś już hrabiną, na dobrej drodze do zostania księżną.

- O jakim cudzie marzy twój ojciec? - spytała.



- Żeby czas się cofnął. Żeby matka mu wybaczyła. Żeby moje kalectwo zniknęło.

Skinęła głową.

- Jest zrozpaczony.

- Nie ma wnuka. Co za rozczarowanie. Linnet dała mu kuksańca.

- Przestań marudzić. Wiesz równie dobrze jak ja, że twój ojciec nie jest żadnym potworem. Głupio robisz, że przypisujesz mu

taką rolę.

- Nie powiesz, że jestem dziecinny?

- To nie robi na tobie wrażenia. Natomiast nie lubisz, gdy cię ktoś uważa za głupka. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Niemożliwe, żebyś nie zauważył jego cierpienia.

- Skoro tak mówisz...

- Tak mówię. Cierpi, bo kocha ciebie i twoją matkę.

- Teraz ty zaczynasz tę samą starą śpiewkę - odparł znudzony. - Cmoknę tego dziada w policzek. Wystarczy?

Uśmiechnęła się do niego. .

- Nie' - zadygotał i zasłonił oczy ramieniem. - Nie próbuj osłabiać mojej woli tą twoją minką. Arystoteles wierzył w wolną wolę i ja też w nią wierzę!

Linnet wybuchła śmiechem i odsunęła rękę, którą się osłaniał.

- Popatrz tylko. - Uśmiech rozświetlił całą jej twarz. - Jesteś teraz na moje rozkazy.

- Fatalnie - zażartował. - Tym razem nie zadziałało. Może zaczynasz tracić moc.

I jednym płynnym ruchem przygwoździł ją ciałem do łozka. Linnet otworzyła usta ze zdziwienia. Nagle znalazła się na plecach z rękami w jego dłoniach ponad głową.

Uśmiechnij się jeszcze raz, to sprawdzimy, czy twoja magia działa z opóźnieniem, czy też ja stałem się na nią odporny - powiedział niby to z przekorą, ale w jego głosie brzmiała pieszczota. Szorstka, bezwstydną pieszczota.

Uśmiechnęła się. Ale tym razem to nie był rodowy uśmiech. Był głodny, pełen tęsknoty i dzikiego pożądania.

Pierś milczał.

Czuła każdy cal jego muskularnego ciała.

- Jesteś teraz na moje rozkazy?

- Nie do końca - odparł, patrząc na nią z góry. - Ale do licha... niezła jesteś.

Linnet rozchyliła usta i koniuszkiem języka oblizwała dolną wargę.

- Chciałabym cię pocałować. Poczuela, jak wciągnął haust powietrza.

- Albo raczej... wolałabym pocałować twoje udo - dodała, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zwariowała.

- Ty... - zaczął.

- Tak?

- Zrobisz wszystko dla wygranej, prawda? Lekko się uśmiechnęła.

- Lubię rywalizację. Myślałeś, że tylko ty tak masz?

- Już nie - mruknął, a potem powoli, bardzo powoli pochylił głowę nad jej twarzą.

Poczuela smak morskiej soli na wargach. Pocałunek był taki jak sam Pierś: szorstki i władczy, bez śladu dobrych manier. Znowu poczuela się jak niewolnica leżąca u stóp pana i władcy. Nie, nie u stóp, bo przecież całe jej ciało wibrowało pod jego ciężarem.

Czuła ciężar swego pana, poddawała się jego...

- Cholera - Pierś oderwał wargi od jej warg i wlepił w nią wzrok. - Dlaczego nagle zaczęło mi się wydawać, że kocham się ze szmacianą lalką? Wczoraj miałem wrażenie, że umiesz się całować.

Uwolniła ręce i objęła go za szyję.

- Wcale się nie kochamy.

- Racja. Zapomnijmy o tym i przejdźmy do rzeczy. Po co mam się wysilać dla jakiejś przywiedłej...

Słumiła jęk.

- Zamknij się, Pierś.

Przez moment toczyli pojedynek na spojrzenia. Potem jego oczy pociemniały, a wargi znów wzięły w posiadanie jej usta.

Zapomniała o roli niewolnicy i skupiła się na jego smaku, ognistym i męskim. Na ciężarze twardego, muskularnego ciała, które ją przygniatało. Na jego żarłocznym pocałunku i swojej chciwej odpowiedzi. .

Kiedy go całowała, jej ciało topniało z rozkoszy, a dłonie zaczęły wędrować w dół jego pleców, zatrzymując się przez moment na niebieskiej serwecie.

Jego noga znalazła się między jej nogami, a koszula... co się właściwie z nią stało? Pewnie...

Pierś oderwał wargi od jej ust i przesunął nimi po policzku. Jego dotyk palił jak ogień.

Linnet wpatrywała się w sufit niewidzącym wzrokiem, oszołomiona jego dotykiem i zapachem. Podsunał koszulę jeszcze wyżej i przytulił do niej jeszcze bardziej. Czowała całe jego gorące ciało.

Opuścił głowę niżej i jęknął.

- Do diabła, Linnet, masz najcudowniejsze piersi, jakie kiedykolwiek...

Nie słyszała, co mówi, bo ujął jedną z nich w dłoń i objął sutek ustami. To było cudowne, oszłamiające i... zaczął ssac. Westchnęła. Albo nawet krzyknęła. Choć gardłowy jęk trudno nazwać krzykiem. Nie powinna wydawać takich odgłosów, powinna ra- Przestań - powiedział, uniósł głowę, odchylił się i zajrzał jej w oczy.

- Nie przerywaj - prosiła.

- Znowu zaczęłaś myśleć. Cała zeszywniałaś.

- Nie - przesunęła palcami po jego piersi, tak jak sobie wymarzyła. Po szerokich mięśniach i płaskich, brązowych sutkach. - Jesteś piękny.

- A ty jesteś stuknięta, skoro tak myślisz - odparł obojętnie. Musnęła palcami sutek, a z jego gardła wydarł się ochryply jęk. Dotknęła jeszcze raz, ale mocniej. Pochylił się nad nią, więc dotknęła wargami tego miejsca, które przedtem pieściła palcami.

Poczuła, jak zadygotał, więc zaczęła próbować innych pieścizot liźnięcie, nawet delikatne gryzienie. Cokolwiek, byle znowu

poczuć ten dygot. Połową umysłu wybiegła do niego, połową skupiała się na swoich doznaniach.

- Wystarczy - powiedział. Przetoczył się na plecy i pociągnął ją na siebie.

- Twoja noga! - szepnęła. - Przepraszam, ja...

Wsunął kolano między jej uda. Nagle zabrakło jej słów. Wszystkie doznania skupiły się w tym jednym, wrażliwym miejscu.

- Och - jęknęła. - Proszę cię...

Usłyszała jego śmiech i poczuła, że znowu dotyka jej sutka wargami, ssąc, liżąc, smakując i sycąc się tą pieśzczotą.

Potem dotknął drugiego i ssął go tak długo, aż z przytłumionym krzykiem zacisnęła nogi na jego kolanie.

Oparła się o szerokie ramiona, zamykając oczy.

- Chcesz dojść? - zapytał głuchym, chrapliwym szeptem. Potarł znowu kciukiem jej sutek. Jęknęła.

- Zdaje mi się, że mógłbym cię zaraz doprowadzić do szczytu - powiedział.

Pochwyliła w jego głosie chłodny, lekarski, ton i natychmiast zorientowała się, co się dzieje. Pochyliła się i delikatnie ugryzła go w wargę.

- Znowu robisz z siebie idiotę.

- Dlaczego? - bawił się jej piersiami, aż cała dygotała.

- Obserwujesz - szepnęła. - Zawsze tak robisz, kiedy czujesz się niewygodnie. Och!

- Nie czuję się niewygodnie. Ty też nie.

Przesunął dłonią po jej brzuchu i wsunął ją między nogi. Odsunął Linnet nieco do tyłu.

- Ale zdaje mi się, że mogę sprawić, żeby ci było jeszcze wygodniej.

Linnet otworzyła usta, ale nie odezwała się ani słowem. Cała się trzęsła.

- Wygodniej ci będzie na plecach - powiedział, obracając ją bez trudu. - Wygodniej ci będzie, jeśli pocałuję cię tu... - dotknął wargami jej piersi - i dotknę tutaj. - Zaczął pieścić miejsce między nogami.

Linnet nie wiedziała, czy Piers ją teraz obserwuje, czy nie. Ledwie zauważyła, że jego usta pieściły teraz jej brzuch. To, co wyczyniał palcami, sprawiało, że wyginała ciało coraz wyżej i cicho, gardłowo jęczała.

Wtedy szerzej rozsunął jej nogi.

Oszołomiona pieszczotami, uniosła głowę i spostrzegła jego ciemną czuprynę między swymi nogami.

- Co ty wyprawiasz? - zawołała, próbując odepchnąć go od siebie. - Przecież to... co ty... przestań natychmiast!

Za późno. Dotknął wargami delikatnego wnętrza uda, czule łaskocząc je językiem, który coraz bardziej się zbliżał do...

- Cudownie pachniesz - mruknął rozmarzony. - Esencja Linnet z lekką nutą oceanu. A smakujesz...

Westchnęła.

- Smakujesz najśłodszym miodem - dodał i znowu zaczął ją pieścić. Zgiął jej nogi w kolanach i wziął w posiadanie językiem. Jej ciało płonęło. Toczyła głową po łóżku i napinała się coraz mocniej, coraz bliżej niego, jęcząc przy każdym delikatnym muśnięciu.

Wsunął w nią palec i wtedy wybuchła, krzycząc z rozkoszy tak głośno, że zagłuszyła nawet wiatr.

Potem znowu usłyszała szum burzy i szept Piersa, który całował ją czule.

- Taka delikatna - mruknął. - Wszystko działa jak w zegarku.

- Znowu stawiasz diagnozę! - wykrzyknęła, z trudem unosząc głowę z poduszki, by zmierzyć go gniewnym spojrzeniem.

Odpowiedział jej przekorny błysk jego oczu.

- Stawiam diagnozę dla najbardziej różowej... - ucałował ją znowu, aż zadrżała - najśłodziej - kolejny pocałunek... - najbardziej rozkosznej części Linnet.

## 18

Linnet odsunęła się i usiadła, opierając się o zagłówek. Pierś zdjął dłonie z jej ud, więc zsunęła nogi, podciągając je pod brodę, żeby osłonić swoją intymność.

Nie mogła uwierzyć, że pozwoliła sobie na coś takiego. Aż skręcało ją ze wstydu.

- To było bardzo niewłaściwe - powiedziała, by i on poczuł się choć trochę winny. - Jestem pewna, że nikt nie...

Gdzie ty się tego wszystkiego nauczyłeś?

- Skąd wiesz, co ludzie robią, a czego nie robią? - Pierś ułożył się na boku i podparł łokciem. - Jako lekarz, mogę ci powiedzieć, że ludzie wyprawiają mnóstwo rzeczy, których jeszcze nie spróbowaliśmy. Czy ktoś kiedyś wtajemniczał cię w sekrety alkowy?

Pokręciła głową.

- Tak myślałem - stwierdził z satysfakcją. - Masz poważne braki w edukacji.

- O co ci chodzi?

Wbrew zdrowemu rozsądkowi, jej ciało wciąż drżało, wciąż...

- Wiesz, co ci się właśnie przydarzyło? Zaśmiała się, zanim zdążyła się powstrzymać.

- Traktuję to jako potwierdzenie - stwierdził. - Pierwsza zasada głosi, że między kochankami nie ma rzeczy niewłaściwych.

- Mówisz, jakbyś pouczał swoje kaczęta - zirytowała się. - Widziałam, jak zadrezczasz tych nieszczęśników pytaniami, żeby zbić ich z tropu i zmusić do wygłaszania głupot.

- Uwierz mi, na pewno nie rozmawiałbym z nimi o tak intymnych sprawach. Przede wszystkim, mają za bardzo owłosione piersi jak na mój gust.

Objęła kolana ramionami.

- Mówisz zupełnie bez sensu!

- Jeszcze bardziej bezsensowne jest to, że pewna znana mi młoda dama nie ma najmniejszego pojęcia o ludzkim systemie rozrodczym.

Nie mogła temu zaprzeczyć.

- Domyślam się, że twoja matka umarła, zanim zdążyła ci opowiedzieć o najważniejszych rzeczach.
- Wiem o najważniejszych rzeczach - mruknęła.
- Tak? To dlaczego myślałaś, że męskie narządy są zawsze obwisłe? Jak według ciebie miałyby to działać? Jak nadziewanie kielbaski?
- Drobną poprawką - powiedziała, przesuwając wzrok w tamto miejsce. Serweta dawno już zginęła w ogniu walki. - Matka oczywiście mówiła w przerośni.
- To jest erekcja - powiedział, przesuwając dłonią po swoim ciele. - Tak przy okazji, wcale nie jestem niesprawny, co powinnaś pojąć natychmiast, kiedy zobaczyłaś, jak mi staje, zamiast zwisać. Linnet ścisnęło w gardle. Wolałaby sama go tam pogłaskać.
- Mężczyzna dostaje erekcji, kiedy chce spać z kobietą. Jeśli nie chce, to zwisa.
- Aha. Czyli matka miała rację. Czy możesz sprawić, żeby zwisnął, bo chciałabym zobaczyć, jak to wygląda? Znowu przesunął po nim ręką.
- Nic z tego. Niemożliwe.
- Nie panujesz nad nim?
- W tej chwili nie. W twojej obecności bardzo rzadko, ku mojemu zdziwieniu. Linnet poczuła się nieco lepiej, słysząc te słowa.
- Jeśli chcesz wiedzieć, nie jestem prawiczkiem - powiedział, jakby to był najzwyczajniejszy temat rozmowy. - Ale nie powiedziałbym, że naprawdę kochałem się z kobietą. Byłem z jedną... czy też z dwoma, a raczej z kilkoma. Na tym koniec. Ale ty ewidentnie jesteś dziewczyną i to zdumiewająco niedoinformowaną. Czy możesz mi powiedzieć, jak twoim zdaniem to wszystko się odbywa? - spytał z prowokacyjnym błyskiem w oku. - Będę mógł cię wtedy poprawić.
- Czyli nakrzyczeć na mnie tak, jak krzyczysz na swoje kaczątko, kiedy się pomylą? - Pokręciła głową. - Nic z tego.
- Czy to znaczy, że chcesz pominąć wykład i przejść od razu do zajęć praktycznych? Teraz sam się dotykam. - Spojrzała na jego rękę, obserwując jej ruch. - Przydałaby mi się pomoc.

- Naprawdę myślałam, że jesteś niesprawny - szepnęła. - Byłam pewna, że nie możesz tego zrobić.
- Zastanów się dobrze - powiedział. - Podejrzewam, że starczy ci wiedzy, by odgadnąć, co zamierzam zrobić z tym narzędziem. Jest całkiem sprawne.
- Wzięła głęboki oddech, nie spuszczać wzroku z jego dłoni.
- Może się nie zmieścić - stwierdziła. - Tak mi się wydaje.
- A mnie się wydaje inaczej.
- Byłam przekonana, że ty... to znaczy, twój ojciec mówił... Chodziło o to, że nie możesz mieć dzieci?
- Pytałaś mnie raz czy nawet dwa razy, w jaki sposób zraniłem się w nogę - powiedział, spoglądając jej w twarz. Oczy miał mroczne jak czarny aksamit.
- Pytałam trzy razy - sprostowała. - Albo nawet cztery.
- Pewnego dnia mój ojciec był w stanie euforii wywołanej przez opium. Wszedłem do pokoju - miałem wtedy sześć lat - a on wyobraził sobie, że to diabeł po niego przyszedł. I że zaraz skradnie mi duszę.
- Wziął cię za diabła? Sześciolatnie dziecko?
- Dziwne, prawda? Teraz parę osób pewnie by się z nim zgodziło, ale zapewniam cię, że dawno temu byłem ładnym chłopczykiem i wcale nie cuchnąłem siarką. Choć być może mierzyłem tyle, co najmniejsze diabełki, czego do dziś nie mogę odżalować. W każdym razie ojciec wrzucił mnie do kominka, żeby ocalić swoją duszę. Pewnie powinienem się cieszyć, że jest takim dobrym chrześcijaninem.
- Linnet gwałtownie wciągnęła powietrze i zasłoniła usta ręką.
- Na szczęście ogień się nie palił, ale w palenisku był żeliwny stojak na polana. Nadziałem się na jeden z prętów i stąd ta urocza pamiątka.
- Przysunęła się do niego.
- To straszne. Musiałeś być przerażony, na pewno bardzo cierpiełeś. Okropne przeżycie. Dla dziecka... właściwie dla was obu.
- Niewiele pamiętam - odparł Pierś. - Leciłem w powietrzu, jakiś tam ból... Ale to, co działo się potem, pamiętam aż za dobrze. Bo ból nie chciał mnie opuścić.



- Więc matka zabrała cię do Francji,
  - A potem do Bawarii. Do najlepszych lekarzy. Niestety, nikt z nich nie potrafił powiedzieć, dlaczego noga nie chce się goić. Bo się nie goiła. Przez ten czas, kiedy nas nie było, ojciec złożył pozew o rozwód. Kosztowało go to co najmniej ćwierć mojego dziedzictwa, ale w końcu w majestacie prawa uznano jego żonę, a moją matkę, za degeneratkę.
  - Nie był sobą - odparła Linnet, gładząc go po nodze. Palce przesuwały się po nierównej skórze. - Powinieneś to wiedzieć jako lekarz.
  - Ale jako syn... - pokręcił głową.
  - Więc powiedziałeś mu, że jesteś impotentem! Dlatego, że tak chlubi się historią rodu. Doskonale wiedziałeś, co go najbardziej zaboli - świadomość, że sam doprowadził do wygaśnięcia swojej linii.
  - Rzeczywiście, nie wygląda to najsmakiej, kiedy o tym mówisz. - Piers też położył dłoń na jej nodze, rysując palcem kółeczka na udzie. - Może zastanowię się nad pojednaniem.
  - Myślę, że warto.
  - Przede wszystkim chciałem ci powiedzieć, że nie jestem impotentem. Wybacz, że nie zaleję się teraz łzami i nie popędzę do zamku pogodzić się z tatusiem.
- Linnet skupiła się na jego nodze. Jej palce przesunęły się z blizny na zdrową skórę, porośniętą włosami, elastyczną, pokrywającą mocne mięśnie. Nie patrzyła na jego twarz.
- Przecież postanowiliśmy zrezygnować z naszego dziwnego narzeczeństwa.
- Skinął głową.
- To znaczy, że powinnaś się teraz dobrze zastanowić. Ja nie mam nic do stracenia, a twoje dziewictwo wisi na włosku.
- Typowe dla Piersa. Kto inny starałby się ją okłamać albo zwodzić nadziejami na małżeństwo, tylko po to, żeby się z nią przespać. Ale nie on.
- Co byś powiedział, gdybym odmówiła? - Położyła otwartą dłoń na twardym umięśnionym udzie. Dobrze wiedziała, że nie

odmówi. Być może nigdy więcej w życiu nie będzie miała okazji, by kochać się z mężczyzną, którego naprawdę pożądała. Wzruszył ramionami.

- Jesteś inteligentną kobietą. Masz na zbyciu towar, który wysoko ceni się na rynku, szczególnie cenny ze względu na twoją urodę. Dlaczego miałabyś mi go oddać, i to za darmo?

- Mówisz, jakbym miała oddać się temu, kto da najwyższą cenę. Milczał.

- Może i tak było - powiedziała. - Ale aukcję odwołano, bo wszyscy są przekonani, że straciłam mój cenny towar. Pierś nie odzywał się ani słowem.

- Jeśli ci go oddam, możesz zagwarantować, że nie będzie z tego dziecka?

- Nie - odpowiedział. - W tym domku nie ma pewnych niezbędnych akcesoriów.

Usłyszała ton rozbawienia w jego głosie.

- A jeśli zajdę w ciążę?

- Weźmiemy ślub.

Skinęła głową, czując nagłe skrępowanie. Pierś przyciągnął ją do piersi.

- Uważam, że powinniśmy się dokładnie zastanowić nad tym wszystkim - powiedział i nagle jego usta wzięły w posiadanie jej wargi, czule i pożądlwie.

- W końcu - szepnął w kilka minut później, muskając oddechem jej skórę - kwestie małżeńskie wymagają wielkiej rozwagi. Zastanowienia. Upewnienia się, że żadne z nas nie będzie miało najmniejszych nawet wyrzutów sumienia.

Wygięła ciało, tuląc się do niego, niezainteresowana żadnymi przemyśleniami. Nie miała nawet dość sił, by go dotknąć. Czuła się oszołomiona, bezwładna, jakby w jej żyłach płynęła brandy i gromadziła się między udami.

Pragnęła więcej.

Ta jedna, jedyna rzecz, która przykuwała jej uwagę, uciskała teraz jej udo. Pierś wciąż coś mówił z przekąsem i miała już tego dość. Więc przesunęła dłoń w dół i zamknęła ją na nim.

Zamilkł w jednej chwili. Był gorący, gładki, pulsujący życiem pod jej palcami, i o wiele za duży. Piersć cofnął się.  
- Trzymasz go jak dorodny ogórek na chwilę przed zerwaniem - mruknął, ale ton jego głosu zdradzał, że wcale nie jest aż tak zblazowany, jak można by sądzić z tych słów.

Delikatnie przesunęła palcami w górę i w dół, jak on przedtem. Jęknął głucho. Skóra poruszała się w fascynujący sposób... Linnet zacisnęła palce, a Piersć odrzucił głowę do tyłu.

Był zarazem miękki i twardy - dziwne połączenie, lepiej zrozumiałe dla ciała niż dla umysłu. Zacisnęła palce silniej i znowu go gładziła. Zadrżała z emocji, a Piersć stracił na moment oddech i z jego gardła wyrwał się chrapliwy jęk.

Pożądanie narastało w niej aż do utraty tchu.

- Chyba wystarczy - szepnęła, odsuwając dłoń i przyciągając Piersca do siebie. Na pewno.

- Wystarczy? - zaśmiał się znowu, ale ona zbyt była zajęta pieszczaniem jego mocnej szyi językiem i ocieraniem się o jego biodra.

- Chodź tu - pociągnęła go na siebie.

- Powoli - szepnęła, przesuwanając językiem po jej wargach, a palcami sięgając niżej, ku jej kobiecości. - Jesteś dziewicą. Wewnątrz może być mała przeszkoda. Na pewno słyszałaś, że utrata dziewictwa może boleć.

Linnet prawie go nie słyszała, zafascynowana jego pieszczotami. Pragnęła jednak czegoś więcej niż głaskanie, czułości i słodkie pocałunki. Mocniej objęła jego ramiona.

- Teraz - powiedziała zdecydowanie.

Czuła go tam, w tym miejscu, i instynktownie wygięła się ku niemu.

- Powoli - szepnęła znów.

Nie chciała czekać. Była zgłodniała. Pragnęła żaru, ruchu, całkowitej bliskości. Tak bardzo, że słowa zamierały jej w gardle, Zatkąła cicho w jego ramionach. A on wiedział... nie wiadomo skąd wiedział, czego pragnęła. Silna dłoń uniosła jej biodra wyżej,

palce wbiły się w miękkie ciało. Potem szepnął w gęstwinę jej włosów:

- Na pewno chcesz?

Nie zwracała sobie głowy odpowiedzią, tylko zamruczała coś w jego ucho, jakby utraciła zdolność mowy.

Znowu wiedział, o co jej chodzi, bo wszedł w nią gładkim, zdecydowanym ruchem, napierając lędźwiami, a potem pchnął.

- Boli? - spytał sekundę później, z wargami na jej policzku. Żadnego bólu. Napięcie, nacisk, oddanie się, bezgraniczna uległość... szaleństwo.

Wygięła biodra jeszcze bardziej i przyjęła go w siebie głębiej.

- Czy możesz... - słowa znowu zamarły jej na ustach, gdy się w niej poruszył, przesywając jej ciało iskrami.

- Mogę się zatrzymać - szepnął - żebyś się przyzwyczaiła. Twoje ciało się rozciągnie, jeśli dasz mu na to czas.

Nigdy przedtem nie mówił tak głębokim głosem, ale ona ledwie go słyszała. Wygięła się w łuk jeszcze bardziej, szukając nowych doznań, płomienia emocji. Było przyjemnie, ale...

Chwyła go za ramiona.

- Czy to wszystko? - spytała i nagle uświadomiła sobie, co powiedziała. - Było miło - pośpieszyła go zapewnić. - Bardzo, bardzo miło. Naprawdę... - umilkła nagle, kiedy ponownie poruszył lędźwiami.

Znowu się śmiał, głębokim, bezgłośnym śmiechem. Opierał się łokciami tuż przy jej głowie i czuła, jak całe jego ciało dygoce. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego z irytacją.

- Ten śmiech jest zupełnie nie na miejscu.

- Aha - powiedział i skubnął jej wargę. Ruch jego ciała znowu wywołał falę doznań, która dotarła aż do stóp.

Zamknęła oczy.

- Dobrze ci? - spytał

Czy to naprawdę już wszystko? - pomyślała. Owszem, było miło. Ale przecież chyba to nie koniec?

- Tak, dobrze - powiedziała, całując go w podbródek.

- W takim razie mogę już ruszyć?

- Ruszyć? Jak to? - Instynktownie chwyciła go za ramiona. Wprawdzie seks ją nieco rozczarował, ale nie zamierzała pozwolić Piersowi, by odszedł. - Już jest po wszystkim?

Wtulił twarz w krzywiznę jej ramienia, ale nadal słyszała jego śmiech.

- Przestań się ze mnie śmiać! - krzyknęła, zastanawiając się, czy by go z siebie nie zepchnąć, zanim sam nie zejdzie. Da mu nauczkę. Podciągnęła kolana, oparła stopy o łóżko i nagle zapało jej dech w piersiach. Rozkosz ogarniała ją fala za falą, przepływając przez całe ciało.

Pierś oddychał gwałtownie. Bez słowa uniósł się lekko i podciągnął jej lewe kolano do góry.

- Och - westchnęła, od razu rozumiejąc jego niemą komendę, i objęła go w lędźwiach nogami. Znaleźli się jeszcze bliżej siebie, a on zagłębił się w niej jeszcze bardziej. Spodobało jej się to. Było wspaniale, a jeszcze wspanialej się poczuła, gdy się lekko zakołysała, by lepiej się do niego dopasować. Dopasowanie było idealne.

- To jest bardzo przyjemne - szepnęła, całując go w podbródek. - Podoba mi się.

- Muszę się ruszyć - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Koniec czułości dla dziewczyc.

- Trudno - odpowiedziała rozczarowana, odsuwając od niego nogi. Naprawdę było wspaniale. Jej całe ciało aż drżało.

Wysunął się z niej. Poczowała obezwładniającą pustkę. Instynktownie przywarła do niego, pełna żalu i zawodu. Wtedy znowu w nią wtargnął.

Jęknęła i ponownie objęła go nogami, wyginając biodra, by się z nim spotkać.

- Co to... - wykrztusiła.

Nie odpowiedział. Zamiast tego wycofał się nieco i znów pchnął. Pchnięcie za pchnięciem. Raz za razem...

Przywarła do niego jak skorupiak do skały, ogarnięta dziką rozkoszą, która przenikała ją do szpiku kości.

Słyszała własne jęki i urywany oddech Piersa. Powoli, powoli zaczął wzbierać w niej żar, tak przeogromny, że wbiła palce w jego ciało.

- Linnet - mruknął nieswoim głosem i przerwał. Gdzieś przypadło jego opanowanie i dystans. Przytuliła go do siebie, całując ramiona, szyję i podbródek.

- Powinniśmy...

- Co? - szepnęła, wyrwana z oszołomienia. - Czy zrobiłam coś źle? Trzeba inaczej? Czy mam...

- Cicho bądź - odpowiedział prosto w jej ucho.

Mógł być grzeczniejszy. Powinna go skarcić, ale właśnie w tej chwili wsunął dłoń tam, gdzie byli połączeni, i zaczął ją pieścić. Jeden powolny ruch kciuka i całe jej ciało eksplodowało jak ogień polany brandy.

Wydała zduszony okrzyk. Jego obecność w niej, potężnego, gorącego i władczego, była jak gorączka we krwi.

Mruknął z zadowoleniem i pchnął znowu. Zobaczyła gwiazdy. Naprawdę. To, co wyprawiała jego ręka, w połączeniu z gwałtownymi pchnięciami, doprowadzało ją do wrzenia.

- Pierś! - krzyknęła. - Pierś!

Stracił całkowicie nad sobą kontrolę i pchnął z taką siłą, że łóżko stuknęło o ścianę głośniej niż grad bijący w dach domku.

Żar eksplodował w jej ciele, zalewając ją szaloną, niewyobrażalną rozkoszą. Nieprzytomna, niczego nie widziała, niczego nie słyszała, czuła tylko, jak się rozplywa w wyzwalającym, gorączkowym spazmie szczytowania.

Do jej uszu dotarł zduszony jęk, zwierzęco chrapliwy. Otworzyła oczy i jak przez mgłę ujrzała twarz Piersa, który odrzucił głowę do tyłu i pchnął po raz ostatni.

Widok tej twarzy, twarzy mężczyzny w miłosnym zapamiętaniu, u szczytu rozkoszy, przeszył ją kolejną kaskadą palących iskiei, i wtedy zacisnęła się wokół niego, dokładnie w tym momencie gdy zakrzyczał głośno i przenikliwie. A potem opadł na nią.

**19**

***Późnym popołudniem***

Lady Bernaise poszła do siebie, wymawiając się bólem głowy.

- Księżę gra w szachy z markizem - relacjonował Prufrock, idąc po schodach. - Położyłem nowego pacjenta w izolatce. Są u niego kaczęta.

Piers uniósł brew.

- Kaczęta? Przejąłeś to od niej!

Prufrock jak na zawołanie przybrał minę urażonej niewinności.

- Gdzie jest siostra Matylda? - spytał Piers.

- W porannym salonie, z panną Thrynne - poinformował go majordomus. - Wedle pana życzenia, młoda dama rozmawia z panią Havelock o opiece nad pacjentami. Kiedy do nich zajrzałem, nie szło im to najlepiej.

Piers zawahał się na moment, a potem w duchu wzruszył ramionami. Czy to ma jakieś znaczenie? Gdy tylko Linnet wyjedzie, pozwoli gospodyni z powrotem zaprowadzić swoje porządki. Wszystko jedno, czy pacjenci będą się widywali z bliskimi, czy nie. I tak będą umierali, chyba że on z Sebastienem wymyśli jakiś sposób, by zatrzymać ich na tym świecie przez jakiś czas.

Wszedł do pokoiku, w którym izolowali nowych pacjentów przed postawieniem diagnozy. Jeśli w ogóle udało się ją postawić.

Kaczęta - psiakrew, on też przejął od Linnet to przezwisko -skupiły się wokół łóżka, wiodąc gwałtowny spór.

Uderzył laską o słupek łóżka. Natychmiast umilkli.

- Bitts, co to za pacjent?

Bitts wyprostował się jak struna.

- Pan Juggs, sześćdziesięcioośmioletni właściciel pubu z Londynu.

- Sześćdziesięcioośmioletni? - zdziwił się Piers i odsunął Kib-blesa, żeby przyjrzeć się choremu. - Niezłe się już narobiłeś w tym

pubie, człowieku. Zostaw i dla nas parę piw. Dlaczego nie zakręcisz kranów i nie odejdziesz w spokoju?

Pacjent był krępy i łysy, ale za to miał parę niesamowitych, krzaczastych brwi, ruchliwych jak żywe stworzenia.

- Do krośset! - rzucił ze wspaniałym cockneyowskim akcentem. - Mój ojciec dożył dziewięćdziesięciu dwóch i nie zamierzam pójść pod bratki wcześniej od niego. To znaczy, jeśli jesteś tak dobry, jak mówią.

- Raczej nie jestem - odparł Pierś. - Objawy, Bitts?

- Głuchota.

- Bzdury, właśnie uraczył mnie odpowiedzią. Niezbyt uprzejmą. Mam nadzieję, że zaraz wspomni coś o „całej naprzód”. Długo służyłeś w marynarce, Juggs?

- Dwanaście lat jako kapral w czternastym regimencie, panie. Od czasu do czasu tracę słuch. Czasami wszystko łapię wyraźnie, a potem coraz ciszej, aż w końcu nic.

- Starość - stwierdził Pierś. - Wyskakuj z łóżka i oddaj je komuś innemu.

- To samo mam czasem ze wzrokiem. Po prostu wszystko gaśnie - dodał Juggs. - Ale potem wraca.

- A to już nie starość. Co masz do powiedzenia na ten temat, Bitts?

- W płucach nie ma żadnych szmerów. Zastosowałem osłu-chiwanie, którego się nauczyliśmy. Kończyny silne, reakcje normalne.

- Macie coś do dodania, wy dwaj? - spytał Pierś Pendersa i Kibblesa.

- Utracił czasowo wzrok trzy razy - uzupełnił Kibbles. - Po raz pierwszy, kiedy obserwował wjazd króla Norwegii do Londynu, potem w sześćdziesiąte urodziny żony, a potem na paradzie wojskowej. Wydaje się, że to znaczące okoliczności.

- No, no, ślub z kobietą młodszą od siebie... wykradasz miód młodzieży?

- Tylko o osiem lat - bronił się Juggs.

- Twoja diagnoza? - Pierś zwrócił się do Kibblesa.



- We wszystkich trzech przypadkach nadmierne podniecenie przyspieszyło bicie serca.

- A od kiedy to przyspieszone tętno powoduje utratę wzroku? - wtrącił Penders. - Myślę, że to było zatrzymanie pracy serca.

- Atak serca też nie powoduje utraty wzroku - zaproponował Bitts.

- Powoduje, jeśli nastąpi czasowe zatrzymanie dopływu krwi do głowy - odparł Penders. - Kręciło się panu w głowie przy tych okazjach, panie Juggs?

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

- Ale było mi strasznie gorąco.

Ktoś otworzył drzwi za plecami Piersa. Wiedział, że to Linnet bo wyczuł jej zapach: lekki kwiatowy aromat z nutą cytryny. Zaczął się zastanawiać, czy pobudzenie seksualne wyczula nerwy węchowe.

Uroczy głosik siostry Matyldy przywołał go do rzeczywistości

- Doktorze, jestem głęboko urażona tym, co się dzisiaj stało, wyraźnie za pana pozwoleniem, jeśli nie zachęta.

Głęboko urażona Przykro, że panu przerywam, ale to nie może czekać.

- We wszystkich przypadkach utraty wzroku pacjent miał prawdopodobnie gorączkę. Co to sugeruje? - spytał Piers swoje kaczątko. Potem niechętnie odwrócił się do obu kobiet.

Linnet naprawdę była piękna. Idealne policzki, idealne wargi, idealny...

Idealny, tajemniczy uśmiech w idealnych oczach. Irytujące.

Zmusił się, by nie odpowiedzieć uśmiechem.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? - zapytał. Uśmiech zniknął.

- Chcę się dowiedzieć od gospodyni zachodniego skrzydła zamku, tego właśnie skrzydła, jak wygląda opieka nad pacjentami, łącznie z dietą i odwiedzinami rodzin.

- Rozumiem - odpowiedział. Skinął głową w stronę siostry Matyldy.

- Taki jest cel waszej rozmowy. Pani rola polega na odpowiadaniu na pytania, dopóty, dopóki jest pani gospodynią tego skrzydła.

Pierś siostry Matyldy wydeła się znacząco. Przypominało to nieco ropuchę, która za chwilę zacznie rechotać, siedząc na liściu wodnej lili.

- Czuję się głęboko urażona tymi impertynenckimi pytaniami. Jeśli doktor ma pytania dotyczące mojej pracy albo pacjentów, proszę się zwracać bezpośrednio do mnie.

Pierś odwrócił się do kacząt.

- Okresowa utrata wzroku i słuchu, ewentualna gorączka. Jakie jeszcze zadawaliście pytania?

Zapadło milczenie.

- Rozumiem, że żadnych - stwierdził. - Ty, tam w łóżku. Mówisz, że nie kręciło ci się w głowie. Ktoś ci powiedział, że poczerwieniałeś na twarzy?

Juggs pokręcił głową.

- Czułeś słabość w kolanach? Gorąco na zmianę z zimnem?

- Samo gorąco. I raz czy dwa wymiotowałem.

- Nie przyszło ci do głowy, żeby o tym wspomnieć, co? O czym jeszcze nam nie powiedziałaś?

- Żona mówi, że byłem pod dobrą datą. Ale to nieprawda. - Juggs tak się nachmurzył, że jego brwi złączyły się na środku czoła. Pierś uznał, że to niezmiernie interesująco wygląda, ale raczej nie znajdzie poklasku u londyńskich dandysów.

- Kupiłem nasz pub Pod Syreną dwadzieścia lat temu, więc dobrze wiem, kiedy człowiek jest zawiany. Trzeźwy byłem, jak mi się to zrobiło.

- Pijacy zazwyczaj ostatni przekonują się, że się spili - powiadomił go Pierś. - Większość przyznaje się do pijaństwa dopiero następnego dnia. Kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć, panie szynkarzu.

Odwrócił się do siostry Matyldy.

- Proszę powiedzieć maksymalnie w pięciu słowach, co siostrę tak zirytowało? Rozumiem, że nie podobają się siostrze pytania panny Thrynne.

Piers gospodyni znowu się wydeła.

- Ta młoda dama nie ma pojęcia o opiece nad chorymi. Sugeruje, że jestem okrutna...

- Powiedziałam tylko, że nieludzka - wtrąciła Linnet. Znowu użyła tego swojego uśmiešku, więc kaczęta już chwiały się na nogach. Nawet Juggs wychylał się z łóżka i chłonał ją wzrokiem.

- Tylko dlatego, że zabroniłam pacjentom odwiedzin na czas pobytu w szpitalu - wyjaśniła szorstko siostra Matylda.

- Wiesz równie dobrze jak ja, milordzie, że wielu naszych pacjentów nigdy stąd nie wyjdzie. Nie wytrzymam tych wszystkich łez i hysterii. Rodziny mogą się pożegnać, kiedy zostawiają pacjentów u nas. Nie ma sensu przedłużać bólu.

- Czyli robicie to dla ich dobra - nachmurzyła się Linnet, ale Piers ją zignorował. - Czy pani Juggs też została tak potraktowana?

Siostra Matylda skinęła głową.

- Oczywiście że tak. - Posłała Linnet spojrzenie pełne głębokiej niechęci. - Niestety, ta młoda dama sprzeciwiła się moim poleceniom i posłała tę kobietę do kuchni. Pewnie są tam z nią same kłopoty. .

- Co oznacza, że możemy poprosić ją na górę, żeby dokładnie opisała wygląd pana Juggsa w krytycznych sytuacjach

- wtrąciła Linnet. - Pani Havelock, czy mogłaby pani ją przyprowadzić?

Ciekawe, że choć Linnet ważyła co najmniej trzydzieści kilo mniej niż gospodyni, wyraźnie zdobyła nad nią przewagę, bo pani Havelock ciężkim krokiem wyszła z pokoju.

- Słodki Jezu, ja tam za nic bym nie drażnił waszej gospodyni - stwierdził Juggs i popatrzył na Linnet z podziwem. -

Dobra z pani kobieta. Moja stara okropnie by się czuła, jakby musiała odjechać i zostawić mnie tu samego.

Zamartwiłaby się na śmierć.

- To ten uśmiech, prawda? - spytał Piers.

- Mój uśmiech w ogóle nie działa na panią Havelock - odparła Linnet. - Od jak dawna jesteście małżeństwem, panie Juggs?

- Niedługo będą dwadzieścia cztery lata. Ta choroba dopadła mnie pierwszy raz w naszą dwudziestą rocznicę ślubu.

- Nie wspominał pan o tym wcześniej - stwierdził Bitts i zapisał coś w notesie. - A więc mamy już cztery przypadki.  
- Może było ich jeszcze kilka - przyznał się Juggs. - Długo się zbierałem z tą wizytą. Właściwie tylko moja stara się tym przejmuje.

Drzwi otworzyły się znowu i do komnaty weszła wściekła jak osa siostra Matylda, prowadząc okrągłą, wyraźnie zaniepokojoną kobietkę w kapeluszu przybranym wiśniami, które ktoś wydzierał z wełny.

- Jak pani mąż wygląda podczas tych jego ataków? - spytał Pierś, nie zadając sobie trudu, by się przywitać.

Pani Juggs zamrugła.

- Normalnie. Tak samo jak zwykle.

- Czerwony na twarzy?

- Nie bardziej, niż kiedy sobie podpije.

- Nigdy się nie upijam - upierał się Juggs z łóżka.

- Oczywiście że tak - jego żona pokiwała głową tak energicznie, że wiśnie na kapeluszu podskoczyły do góry i opadły. - Popijałeś jak zwykle przy święcie. Nie wymiguj mi się tu, panie Juggs.

- Wtedy w Yorku wypilem ledwie kufelek - oświadczył triumfalnie pacjent.

- Tak bełkotałeś, że ledwo można cię było zrozumieć. - Poklepała go po nodze. - Kufelek czy dwa to nic złego, ale jak ledwo mówisz, to od razu wiadomo, że wypileś dużo więcej. Ten atak w Yorku to była ostatnia kropla, która przepełniła czarę - powiedziała kobieta niby do Piersa, ale przede wszystkim do Linnet. - Już przedtem mi obiecał, że pójdzie do lekarza, jeśli znowu źle się poczuje.

- Do kroćset - zdenerwował się Juggs. - Nieraz piłem więcej i nic mi nie było!

- A co to była za okazja? - spytała Linnet. - Też założyła pani wtedy ten fantastyczny kapelusz, pani Juggs?

Kobieta rozpromieniła się.

- Pewnie, że tak. Jasne. To była parada wojskowa. Pan Juggs włożył mundur, choć ostatnio zrobił się trochę przyciasny. Ale zawsze go nosi przy takich okazjach. Zrobiłam sobie wtedy ten ka-

pelusz, specjalnie na ten dzień, choć było już lato i raczej za gorąco na taki kapelusz.

- Pan Juggs pewnie strasznie się pocił - stwierdził Pierś.

- Nie, on się nigdy nie poci. Nic a nic - odparła z dumą jego żona. - Przez to nie muszę tak często prać tego munduru, i bardzo dobrze. Ale jego koledzy dosłownie spływali potem.

- No i nagle straciłem wzrok aż do następnego dnia rano - dokończył smętnie pan Juggs.

- Nasz pastor powiedział, że to kara za grzechy - wyjaśniła pani Juggs.

- Wtedy uznałem, że czas iść do lekarza. Bo raczej nie grzeszyłem ponad miarę.

- No i co, Bitts? Kibbles? Penders? Wydaje mi się, że sprawa jest całkiem jasna, prawda? - Pierś machnął ku nim ręką, spoglądając na ich nieruchome twarze. - Skonsultujcie się ze sobą, barany.

Odwrócił się do siostry Matyldy. Linnet oglądała szydełkowe arcydzieło pani Juggs.

- Przegrała siostra bitwę - powiedział. - Pani Juggs właśnie rozwiązała zagadkę ślepoty swojego męża. Jestem idiotą, bo do tej pory nie rozmawiałem z rodzinami pacjentów.

Pani Juggs otworzyła szeroko usta.

- Ja rozwiązałam zagadkę? Chodzi o picie, prawda?

- Nie - odpowiedział.

Siostra Matylda syczała jak czajnik na ogniu.

- Który z objawów był najważniejszy? - spytała zaciekawiona Linnet.

- Wszystkie naraz. - Pochwycił wzrok kacząt. - Juggs ostatnio przybrał na wadze, jego mundur jest za ciasny i niewygodny, dolegliwości pojawiają się tylko przy święcie, kiedy jest mu gorąco i pije piwo, pewnie żeby się ochłodzić, choć po piwie wymiotuje. Do tego mundur jest z ciężkiej wełny, watowany na ramionach, a przy tym - co niezwykle ważne - Juggs się nie poci.

- Udar słoneczny! - wykrzyknął Kibbles. Penders i Bitts dalej się zastanawiali.

- Tak jest. Dobra wiadomość, panie Juggs, jest taka, że może pan wstać choćby zaraz i wracać do swojego pubu. Zła wiadomość jest taka, że niemożność pocenia się, wełniany mundur i upalny dzień to kombinacja, która może się źle dla pana skończyć. Może pan nawet umrzeć. Ma pan cholerne szczęście, że się pan do tej pory nie przekreślił.

- Dlaczego tak się działo? - pytała zdziwiona pani Juggs. - Przecież nie było aż tak gorąco.

- Mąż powinien pić więcej wody - wyjaśnił Kibbles.

- I ani kropli piwa, kiedy jest upał - zalecił Pierś. - Nawet jednego kufelka.

- Tylko o to chodziło? Żeby pił więcej wody? - Pani Juggs wciąż nie do końca rozumiała sytuację. Jej mąż usiadł na łóżku.

- Wiedziałem, że nie jestem tak naprawdę chory - powiedział z ulgą i wstał. - Na paradach nie piję wody, bo w szeregu nie można się odlać.

- Co pogorszyło sprawę - stwierdził Bitts, pośpiesznie robiąc notatki.

Pierś pozwolił Juggsom wyjść z sali razem z kaczetami.

- Pani Havelock, niech się pani zastanowi, czy woli pani wprowadzić zmiany zalecone przez pannę Thrynne, czy poszuka sobie pani nowej posady.

Pani Havelock spojrzała na Linnet tak ciasno sznurując wargi, jakby Sébastien zszył je nicią chirurgiczną.

- Dobra - powiedział Pierś. - Jest pani zwolniona.

Ujął Linnet pod ramię i chciał ją poprowadzić na dół, ale zatrzymała się w korytarzu, czekając na gospodynię.

- Jego lordowska mość tylko żartował - zwróciła się do pani Havelock i posłała jej swój uśmiech, mimo że podobno wcale nie działał na tę ponurą kobietę.

Pierś otworzył usta, by coś powiedzieć, ale uszczypnęła go tak mocno, że zamknął je bez słowa.

- Jutro porozmawiamy o organizacji odwiedzin - stwierdziła Linnet. - Oczywiście urządzimy to tak, by rodziny jak najmniej

przeszkadzały pani w pracy. Widziałam, jak doskonale gospodarzy pani w tym skrzydle, pani Havelock. Uśmiech rzeczywiście nie działał na Matyldę, ale mimo to gospodyni zatrzymała się na moment. Widać było, że rozważa, czy ma się poddać, czy walczyć dalej.

- Jakoś sobie radzę z kapryсами naszego doktora - mruknęła w końcu pod nosem.

- Do zobaczenia, pani Havelock - odparła Linnet i odpłynęła w głąb korytarza, ciągnąc za sobą Piersa.

## 20

*Ty* wiédźmo, wtrącasz się we wszystko - skarcił ją Piers. - Poczekaj chwilę. Noga mnie boli. Otworzył jakieś drzwi. -

Popatrz no tylko! Puste łóżko, czekające na pacjenta. - Pokuśtykał do środka. - Idealne miejsce na odpoczynek.

Linnet, oparta o framugę drzwi, wybuchnęła śmiechem.

- Dwuosobowe - stwierdził Piers, uważając, by w jego głosie nie znać było nadziei. - Czy może za bardzo cię boli?

Rzuciła mu pochmurne spojrzenie.

- Nie twoja sprawa.

- Ależ oczywiście, że moja. Chodź tu i zamknij drzwi. Nie możemy narażać biednej siostry Matyldy na kolejny wstrząs. Wystarczy jej jak na jeden dzień.

Linnet spełniła prośbę.

- No chodź do mnie. - Poklepał łóżko. - Czas na prywatną konsultację u twojego ulubionego doktora. Opowiedz mi o tym nieprzyjemnym uczuciu, że wszystko cię w środku obciera z winy tego rozwiązłego diabła, który cię podle wykorzystał.

Zaśmiała się.

- Mam usiąść na łóżku tylko po to, żeby ci o tym opowiedzieć?

- Jak mam postawić diagnozę bez badania? - spytał spokojnie. - Bez dokładnego badania.

- Aż tak mnie nie boli. Poza tym nie możemy tego zrobić drugi raz.

- Dlaczego nie? - Wyciągnął do niej laskę. - Weźmiesz ją?

Podeszła i ujęła jej koniec w dłoń, a Piers w tym samym momencie pociągnął ją w swoje objęcia, jak rybę na wędce.

Upadła na niego, miękka, delikatna, pachnąca słodyczą i kobieca.

Objął ją mocno.

- Do licha, ładny zapach - mruknął.

- Ty pachniesz mydłem - odparła, wciągając powietrze. - Nieprzyjemnym mydłem.

- Szarym. Próbuje się pozbyć szpitalnej gorączki.

- A co to znowu takiego?

- Po szpitalach czasami rozprzestrzenia się taka czy inna gorączka, zabijając pacjentów, którzy przedtem nie mieli umówionej randki z grabarzem - wyjaśnił, dmuchając jej we włosy, by dotrzeć do delikatnego uszka. - Ten zamek to idealne miejsce na szpital, bo ma tak cholernie dużo komnat, że większość pacjentów można położyć osobno i poczekać, aż dojdą do siebie.

- Chciałabym nająć kilka kobiet ze wsi, żeby przychodziły i czytały książki pacjentom, którzy są przytomni i nie zarażają - oznajmiła Linnet.

- Wiejskie kobiety i czytanie. To może być problem.

- Wiejskie kobiety, które potrafią czytać - poprawiła się, lekko zirytowana. - Na pewno są takie. I jeszcze ze dwie do zabawy z dziećmi. Może będą mogły je też uczyć czytania.

- Do zabawy? To jest szpital, a w każdym razie coś w tym rodzaju. Nie zamierzamy zatrudniać wędrownej trupy komediantów.

- Pacjenci szybciej zdrowieją, jeśli mają czym zająć myśli. Popatrz choćby na Gavana.

Umilkła natychmiast, ale Piers pochwyił w jej głosie ton, który kazał mu mocniej skubnąć płatek jej ucha.

- Co ty znowu knujesz?



- Nic takiego. Dziś po obiedzie Gavan pięć razy przeszedł przez całą stajnię tam i z powrotem. Noga bardzo się wzmocniła.

Wciąż zastanawiając się nad tonem jej głosu, pogładził cudowną pierś.

- Boli cię?

- Trochę - potwierdziła nieśmiało, rumieniąc się jak pensjonarka.

- Chcesz, żebym tam zajrzał i sprawdził, czy wszystko jest w porządku? Będę zachwycony. - Naprawdę tak myślał.

Na wypadek gdyby się zgodziła, już zaczął całować podstawę jej szyi i wypukłość piersi. Coraz bliżej sedna problemu, jakkolwiek by na to patrzeć.

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie.

Błądziła dłońmi po jego odzianej w koszulę piersi. Wyciągnął koszulę ze spodni, by było jej wygodniej.

Ściągnęła ją z niego z uroczą, łakomą minką i zaczęła głaskać skórę. Miał wrażenie, że przypieka go żywym ogniem.

Przetoczył się na bok, by mogła bez przeszkód badać jego ciało.

Pochyliła głowę eleganckim, wdzięcznym gestem, jak czapla, która przygląda się czemuś w toni wody.

- Proszę - powiedział, wpatrując się w nią z przejęciem, niemal zawstydzony gardłowym, przepełnionym pragnieniem tonem swego głosu. Ale wstyd szybko minął.

Tym bardziej, że po chwili różowy jęczyczek musnął jego sutek. Jęknął chrapliwie.

- Dlaczego zamykasz oczy? - Zmusił się do zadania tego pytania, by myśleć logicznie.

- Smakuję cię - odparła marzycielsko. - Taki przyjemny smak. I zapach też, choć wciąż jest trochę słony i mydlany. Ale to przyjemne mydło, nie to okropne, szpitalne.

Drobne ząbki skubnęły jego ciało, które wygięło się w łuk, błagając o to, czego nie mogło dostać.

Pocałunki przeniosły się niżej, na brzuch, na gładką skórę, której jeszcze nikt przed nią nie pieścił. Pierś zamknął oczy, ale w chwilę później otworzył je natychmiast, gdy spytała:

- Czy nie powinieneś zdjąć spodni? Uniósł głowę.

- Po co? Przecież i tak nie możemy zrobić niczego na serio, Linnet. Twoja biedna kuciapka nie znieś kolejnego najazdu tego...

- Tego? - spytała, gładząc to miejsce. - Ale chciałabym mu się przyjrzeć. Dokładnie. Oczywiście, jeśli masz chwilę czasu.

- Chwilę czasu? - spytał, nie wierząc własnym uszom. - Och, tak. Raczej mam. Tylko lepiej zamknijmy drzwi na zasuwę.

Linnet wstała więc i poszła je zamknąć, dzięki czemu Piers zauważył, że się uroczo zarumieniła, a jej oczy rozbłysły namiętnością. Jej pożądanie w jednej chwili rozpaliło i jego. Z trudem udało mu się zsunąć spodnie i bieliznę.

Położył się i czekał, co będzie dalej.

Wtedy ona...

Uklękła obok, a potem położyła się na boku. Miał przed oczami cudowne kształty jej ciała: piersi, szczupłą talię i piękną wypukłość bioder oraz tyłeczka.

- Półkule - powiedział, przesuwając dłonią po tych biodrach i dalej. - Tak się jeszcze mówi na pośladki. Bardziej poetycko.

Palce mu się trzęsły.

Linnet przez chwilę patrzyła na niego, a potem wyciągnęła rękę i otoczyła palcami jego męskość.

Dźwięk, jaki wydobył się z jego ust, był co najmniej nieelegan-cki. Szczerze mówiąc, był po prostu zwierzęcy.

Wydało mu się, że twarz Linnet jeszcze bardziej poróżowiała. Zmuszając się, by nie położyć się bezwładnie i czekać na to, co się będzie działo, mocniej przesunął dłonią po jej pośladkach, a potem wsunął ją w to cudowne miejsce między nogami.

Skrzywiła się.

- Bardzo obolałe - powiedział, wysuwając dłoń. - Przepraszam cię. Naprawdę.

W jej oczach błysnęło rozbawienie.

- Ale nie chciałbyś tego cofnąć?

Cofnąć najbardziej ekstatycznego przeżycia seksualnego, jakiego doświadczył przez całe życie?

- Za nic.

Chyba spodobała jej się ta odpowiedź, bo poprawiła się na łóżku, pochyliła nad tym, co trzymała w dłoni, i dotknęła językiem.

Odrzucił głowę do tyłu, gdy poczuł gorące, wilgotne muśnięcie.

- Linnet - wykrztusił.

- Tak? - Spojrzała na niego z namysłem. W głowie mu się zakręciło, gdy pomyślał, nad czym ona może się zastanawiać.

Odchrząknął.

- Czuję się w obowiązku wspomnieć, że...

Pochyliła się, liznęła znowu, a potem zamknęła na nim usta miękkie jak wilgotny jedwab. Wydał gardłowy okrzyk.

- Tak? - spytała znowu, wpatrując się w niego. W jej oczach tańczyły psotne chochliki, iskierki pożądania...

Wyglądała jak uosobienie poważnych kłopotów.

- Większość dam, to znaczy kobiet, którym nie płaci się za pewne rzeczy, nie zadowala mężczyzn w ten szczególny sposób - powiedział chrapliwie.

Zmarszczyła brwi.

- Naprawdę? Dlaczego? Kiedy mi zrobiłeś coś podobnego, powiedziałeś przecież, że to jest całkiem właściwe.

Przesunęła paluszkami po całej długości, lekko jak piórkiem.

- Podoba mi się ta część ciebie. Ma taki ciekawy kształt, jakby stworzony do pocałunków. Widzisz?

I zanim Pierś zdążył cokolwiek zrobić - choć prawdę mówiąc, ani mu w głowie było powstrzymywanie jej - pochyliła się znowu i ciasno objęła go wargami. To było jak delirium, jak gorączka we krwi, jak...

- Sądząc po odgłosach, nie jesteś niezadowolony - powiedziała, przerywając na chwilę.

- Ty jędo - odparł, unosząc głowę. - Tylko nie...

- Nie dotykać cię więcej? - odparła z udawanym smutkiem. - Szkoda, bo właśnie przyszło mi do głowy parę rzeczy, które mogłyby ci się spodobać. Na przykład...

Zrobiła to samo, tylko głębiej, obejmując go mocniej dłonią na dole. Szarpnął biodrami do przodu i uświadomił sobie nagle, że ma nie więcej niż pięć sekund, by uprzedzić Linnet, cudowną Linnet, o tym, co się zaraz stanie.

- Jeśli nie przestaniesz - wykrztusił - to zaraz dojdę. To znaczy, że moja sperma wypłynie prosto w twoje usta. Chociaż pewnie zdążę się wysunąć.

- Czy to szkodliwe? - spytała wyraźnie zaciekawiona. Wcale się nie bała. Coś w nim się uspokoiło, zniknęły jakieś potężne zahamowania.

- Nie - szepnął. Linnet ujęła w prawą dłoń jego jądra i zaczęła się nimi bawić, głaskać i pocierać. Rude włosy lśniły w promieniach słońca padających ukośnie przez żaluzje; jedwabiste włosy księżniczki. Ale żadna księżniczka na świecie nie potrafiłaby dać mu takiej rozkoszy.

Mógł się wycofać. Nakazywał to sobie. Nigdy jeszcze nie pozwolił żadnej kobiecie na taki intymny akt. Nigdy. Ale nie potrafił powstrzymać nawet jęków, które same płynęły mu z gardła. Jądra napięły się i całe jego ciało wygięło się w łuk, po raz ostatni. Figlarnie połaskotała go językiem, wzbudzając rozkoszne uczucie, które spłynęło aż do jąder i niżej, do stóp...

Zatracił się w tych doznaniach jak nigdy przedtem w życiu. Umysł zamknął się, jak zatrzaśnięty w pudełku, i zostawił go samego - zwykłego mężczyznę w dłoniach i ustach kobiety, która się nim bawiła. Nie ma na świecie potężniejszego afrodyzjaku, pomyślał mętnie.

A potem i ta myśl go opuściła, bo jej dłonie... jej usta...

Zapomniał, by się wycofać. Zapomniał, jak się nazywa. Zapomniał, że jest lekarzem. Zapomniał...

Zapomniał o wszystkim poza Linnet i łukiem jej szyi, wilgotnym ciepłem jej ust i cichym pomrukiem, który mówił mu, że jest zadowolona.

Szczerze mówiąc, jego umysł był wciąż pustą kartą, kiedy przysunęła się do niego i powiedziała gardłowym, namiętym głosem:

- Teraz jesteś mi dłużny. Miała rację.

## 21

Wieczorem, po kolacji, wszyscy spotkali się w salonie przy kieliszku brandy (dla panów) i filiżance herbaty (dla pań).

Linnet z trudem zachowywała się jak damie przystoi. Pragnęła dotykać Piersa, rozmawiać tylko z nim, uśmiechać się do niego z wyraźnym zaproszeniem. Dręczył ją przemożny głód, jakby pożądanie było jedyną emocją, jaka pozostała w jej ciele.

Od czasu do czasu przez jej umysł przepływała myśl o przyszłości - a raczej niepokojący dreszcz. W końcu straciła przecież cnotę, która była jej najcenniejszym majątkiem. Ojciec byłby przerażony, zwłaszcza gdyby wiedział, że Pierś obiecał ożenić się z nią tylko wtedy, gdyby zaszła w ciążę.

Ale wystarczyło jedno spojrzenie na szczupłe, choć muskularne, ciało Piersa, by rozdygotane serce zaczęło podchodzić jej do gardła, a od stóp w górę pełzła fala żaru. Nie było co się oszukiwać: mając ku temu okazję, oddałaby mu swą cnotę jeszcze raz. Raz, drugi i trzeci.

Ogarnęło ją szaleństwo. Była jak pijana, jakby ktoś dolewał jej brandy do herbaty. Ale już po kilku minutach przebywania w salonie zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem to nie lady Bernaise dołała sobie czegoś mocniejszego do herbaty. Dama uparła się, że pora na tańce, wybrała sobie markiza za partnera, a Linnet skazała na towarzystwo Bittsa. Potem, choć taniec się skończył, flirtowała radośnie. Oczy jej błyszczały, a wachlarz poruszał się nieustannie.

Linnet z westchnieniem spojrzała na swoją białą suknię. Lady Bernaise miała na sobie cudowną kreację z fioletowego muślinu, ozdobioną pod samym staniczkiem wstążkami o barwie świeżych

jeżyn. Choć właściwie trudno to było nazwać staniczkiem, bo dekolt sukni był tak głęboki, że odsłaniał niemal całe piersi.

Pierś, oparty o ścianę, obserwował z sardonicznym uśmieszkiem coraz bardziej wyzywające zachowanie matki, która flirtowała z młodymi lekarzami, poklepując ich wachlarzem i śmiejąc się tym swoim gardłowym, francuskim śmieszkiem.

Linnet pochwyciła jego wzrok i wskazała dłonią miejsce na sofie tuż obok siebie.

- Wzywałaś mnie? - zapytał w chwilę później.

Całe jej ciało zadygotało, gdy usiadł tak blisko, ocierając się o nią mocnym ramieniem.

- Czy twoja matka przypadkiem nie przesadziła z szampanem? - spytała cicho, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo się cieszy, że przyszedł do niej.

- Nie sądzę. Myślę, że znalazła sobie nową zabawę... nazywa się „pomęcz księcia”.

- Żeby był zazdrosny? - spytała Linnet, przenosząc wzrok na jego ojca. - Zdaje się, że to działa.

Książę siedział sztywno wyprostowany, nie spuszczał wzroku z byłej żony.

- Sprawa jest chyba bardziej skomplikowana - odparł Pierś. - Widzisz, ojciec rozwiódł się z nią, zarzucając jej, że była...

- Ach, rozumiem - westchnęła Linnet. - Mów ciszej, proszę. Ojciec cię usłyszy.

- No i co z tego?

- O ile cię dobrze rozumiem, lady Bernaise epatuje teraz swą niezależnością. Jako kobieta rozwiązała może bawić się ze wszystkimi, nawet z młodymi mężczyznami. Choć oczywiście nie jest przecież rozwiązła.

- Zdaje mi się, że głównym zawodnikiem jest szanowny pan Bitts - uzupełnił Pierś. - Kto by powiedział, że kryje się w nim taki dworny zalotnik? Choć podejrzewam, że jest szczerzy w tym, co robi, przecież to syn wicehrabiego czy jakoś tak.

- Tylko czy ona... - szepnęła Linnet.

- Nigdy w życiu - uspokoił ją Piers. - Mój ojciec też o tym dobrze wie. Matka uwielbia flirtować, w końcu jest Francuzką, ale była wierną, oddaną żoną mojego ojca i swego drugiego męża.
  - Jaki on był? - Zafascynowana Linnet obserwowała eks-księżną, która na prośbę Bittsa zasiadła przy fortepianie. Pozostali dwaj doktorzy dołączyli się do nich.
  - Przez ten dekolt mogą pewnie obejrzeć jej pępek - skrzywił się Piers. - Wracając do tematu, drugi mąż *maman* był doskonałym małżonkiem, dokładnym przeciwieństwem mojego ojca. Lojalny, nie za mądry, bardzo dobrze wychowany. Niestety, stracił głowę, dosłownie, po wybuchu rewolucji. Postanowił nie opuszczać majątku, upierając się, że jego chłopcy nie są aż tak rozgniewani i agresywni jak gdzie indziej. Księżna śpiewała. Oczy jej błyszczały, a palce fruwały po klawiszach.
  - Urocza melodia - zachwyciła się Linnet. - Przecież to po angielsku!
  - Inaczej byłoby bez sensu - odparł sucho Piers. - Ojciec nie zrozumiałby słów francuskiej piosenki. Linnet zaczęła się przysłuchiwać uważnie.
  - Figlarna była z niej dziewczynka - rozlegały się radosne trele byłej księżnej.
  - Fantastyczne! - wykrzyknęła Linnet i zachichotała. Piosenka pasowała jak ulał do jej ciotki albo matki, choć za nic by o tym nie wspomniała Piersowi.
  - Ojca to chyba nie bawi - skinął głową jej towarzysz.
  - Czuję się jak w teatrze - wyznała. Rzeczywiście, księżę tak się skrzywił, że wreszcie dało się zauważyć rodzinne podobieństwo między nim a synem.
  - Wczoraj czułem się tak samo. Gdybyśmy siedzieli w łóżku, byłoby dużo ciemniej - odparł Piers.
  - I wtedy co?
- Dolna warga księcia wyraźnie stężała. Przebierał palcami po kolanie.

- Objąłbym cię ramieniem - mruknął Pierś. - Ryzykując publiczne zgorszenie.

Po chwili zrobił to, o czym mówił, sadowiac się wygodniej na sofie. Linnet spojrzała na niego.

- Myślę, że gdybym była bardzo, bardzo zmęczona po różnych nieoczekiwanych trudach dnia, mogłabym oprzeć głowę na twym ramieniu - powiedziała i wprowadziła to w czyn.

Palce Piersa zataczały kółeczka na jej ramieniu, odwracając myśl od dramatu, który rozgrywał się przed ich oczyma.

Lady Bernaise skończyła pieśń i wstała od fortepianu, szeleszcząc jedwabiami. Kaczęta stłoczyły się wokół niej.

Wszyscy się śmiali, a właściwie zwijali się ze śmiechu.

- Fatalnie - skomentował Pierś. - Aktorzy nie powinni zapominać o publiczności, czyli o nas.

Właśnie wtedy matka wygłosiła swym jasnym, wysokim głosem uwagę, która przebiła się przez gwar i śmiech.

Rozłożyła wachlarz, a jej oczy niebezpiecznie lśniły tuż nad jego krawędzią.

- Panie Bitts, zawsze mi się wydawało, że twardego mężczyznę nie tak łatwo jest znaleźć.

Linnet zakrztusiła się ze śmiechu, ale Pierś patrzył na ojca.

- Wywabiła w końcu starego lwa z jaskini - szepnął prosto w jej włosy.

Rzeczywiście, księżę skoczył na równe nogi. Doktorzy rozbiegli się na boki jak plewy pod podmuchem wiatru, a on wziął lady pod rękę i wyciągnął ją za drzwi, zanim Linnet zdążyła choćby mrugnąć okiem.

- Wstyd - stwierdził Pierś, ale nawet nie drgnął. Linnet chciała wstać.

- Powinniśmy...

Pierś pochwycił wzrok Kibblesa i szybkim ruchem głowy wskazał mu drzwi. Po sekundzie kacząt już nie było w salonie.

- Koniec przedstawienia - oświadczył smętnie Pierś. - Tylko ty i ja w mroku teatralnej widowni.

- A gdzie twój kuzyn? - spytała Linnet, nagle uświadamiając sobie, że nigdzie nie ma markiza.



- Prufrock wyciągnął go stąd kilka minut temu. Pewnie pojawił się jakiś pacjent ze złamaniem, bo to specjalność Sebastiena.

Linnet oparła się miękko o jego ramię, pozwalając, by przyciągnął ją bliżej do siebie, a potem przechyliła głowę i spojrzała na sufit. Nie było tam niczego wartego uwagi, ale w tej pozie Piers mógł obcałowywać jej szyję.

- Mmmm - zamruczała gardłowo.

- Uwielbiam, kiedy to robisz - powiedział Piers, całując kącik jej ust.

- Co takiego?

- Wydajesz ten pomruk, który oznacza, że jesteś chętna i gotowa.

- Sugerujesz, że jestem łatwa? - spytała, urażona.

- A ty sugerujesz, że bym cię nie szanował, gdybyś była? W końcu to nie ty opiewałaś uroki twardych mężczyzn - oświadczył. - Tylko moja matka, kobieta, która jest ze wszech miar godna mojego szacunku.

- Nie jestem łatwa - upierała się Linnet.

- Wiem o tym, najlepiej ze wszystkich mężczyzn na świecie - potwierdził, pieszcząc jej ucho. - Mimo wszystko, czy mogłabyś dziś wieczór przynajmniej trochę poudawać rozpustnicę?

Linnet poczuła, że dygoce. Piers trzymał ją mocno i lizał - naprawdę lizał! - koniuszek jej ucha.

- To bardzo dziwna pieszczota - powiedziała, unikając odpowiedzi na jego pytanie.

Skubnął ją w płatek ucha, a w jej wnętrzu natychmiast zapłonął żar.

- Bardzo dziwna! - wykrztusiła z trudem.

- Te twoje włosy wchodzą mi w drogę.

- Jeśli chodzi o wieczór... - zaczęła. - W tym momencie ktoś otworzył drzwi.

W progu stał Prufrock.

- Przepraszam, że przerywam, ale jego lordowska mość markiz prosi pana o pomoc.

- Trudna operacja? - spytał Piers, wciąż pieszcząc ucho Linnet.

Chciała usiąść prosto, ale jej nie pozwolił.

- Na to wygląda - potwierdził Prufrock, a potem, posłuszny niewidocznemu sygnałowi albo niepisanemu zwyczajowi, wycofał się na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

- Do licha - westchnął Piers.

- Czy trudno obcinać kończyny? - spytała Linnet. - Według mnie to raczej prosta robota, jak cięcie drzewa, tylko bardziej brudząca.

- Gdzie twoja panińska wrażliwość? - zirytował się Piers. - To brzmiało, jakbyś miała ochotę potrzymać drugi koniec piły.

- Czemu nie - odparła po chwili zastanowienia. - To by było interesujące. Daj mi wreszcie usiąść normalnie.

Zgorszyliśmy Prufrocka.

- Prufrocka? Jego nic nie zgorszy. Poza tym jesteś moją narzeczoną. Wolno nam się przytulać.

- Ale nie bez przyzwoitki w pobliżu - odparła twardo Linnet.

- Jasne. Nie uwierzę, że w trakcie sezonu nigdzie nie ruszałaś się bez przyzwoitki.

- Naprawdę nigdzie.

- I zobacz, do czego to doprowadziło... do ciąży z księciem i zaręczyn z maniakiem.

Ponieważ Linnet często nawiedzały podobne myśli, nawet nie próbowała protestować. Zamiast tego odwróciła twarz o ułamek cala, by jego wargi, które wędrowały po jej policzku, dotknęły jej ust.

Pocałunek był dziki, pożądliwy i wcale nie dżentelmeński. Rozchyliła wargi, pozwalając, a raczej zapraszając go, by nasycił głód. Pocałunek był pytaniem, na które zamierzała odpowiedzieć przecząco. Nie powinni tego robić po raz drugi.

Oderwała się od niego, nabierając tchu, tylko że Piers - ta bestia - zaczął się z niej śmiać i położył dłonie na jej piersiach. Staniczek Linnet nie był aż tak prowokujący jak dekolt lady Bernai-se, ale za to trzymał się tylko dzięki jednej marszczonej wstążce. Więc Piers, sprytny i przebiegły, rozwiązał kokardę na jej prawym ramieniu, uwalniając nagie piersi, które wpadły mu prosto w ręce.

- Jesteś taka piękna - szepnął. Potarł kciukami sutki, aż krzyknęła z zachwytu.

Nie wypuszczał z rąk tych piersi, gniótł je i ścisnął niemal do bólu, a potem pochylił głowę...

Linnet wygięła się instynktownie w tył i wydała cichy okrzyk. Na jego dźwięk oprzytomniała natychmiast.

- Przecież Prufrock stoi za drzwiami - mruknęła, odpychając

Piersa. . .

Puścił piersi dopiero po drugim odepchnięciu. Całe jej ciało ogarnęło podniecenie, gdy zobaczyła dzikie, niekontrolowane pożądanie w jego oczach.

- Nic z tego - powiedziała, biorąc głęboki oddech, co sprawiło, że piersi poruszyły się i napięły, a oczy Piersa przywarły do nich jak tonący do liny ratunkowej.

- Boże, jesteś doskonała - szepnął.

- Nie sądzisz, że są trochę za duże? - spytała, czując, że właśnie palnęła głupstwo. - Mój ojciec... to znaczy moja guwernantka powiedziała mi kiedyś, że wyglądam jak krowa.

- Gdyby krowy wyglądały tak jak ty... - zaczął Piers, ale sam nie wiedział, jak skończyć to zdanie. Zamiast tego wyciągnął dłoń, tym razem z nabożnym szacunkiem. - Twoje piersi, Linnet, są idealne. To marzenie każdego mężczyzny.

- Twoje też? - spytała.

- Nigdy nie śmiałem marzyć o kimś takim jak ty - odpowiedział, w końcu spoglądając jej w oczy.

Czuła, jak radość, którą czuła w sercu, rozjaśnia jej twarz. W nim natychmiast się coś zmieniło. Poprawił jej stanik, pociągnął za wstążkę i zawiązał kokardę. Linnet nawet nie drgnęła. Obserwowała jego spuszczone oczy i zastanawiała się, o co mu chodzi.

- To, że nigdy nie marzyłem o tobie, nie oznacza, że zamierzam się z tobą ożenić - powiedział w końcu.

- Wiem - odparła, desperacko próbując zebrać myśli. - Nie pasujemy do siebie. Już to ustaliliśmy.

- Słuchaj, przyniosłem ci coś - zmienił temat. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął nieduży muślinowy woreczek starannie zawiązany tasiemką.

- Co to?

- Sól Epsom. Weź dziś wieczorem długą kąpiel, a jutro będziesz mogła pójść popływać.

Wzięła woreczek.

- Jeszcze jedną kąpiel! Służba będzie narzekać, że znowu musi dźwigać gorącą wodę do mojej sypialni.

Wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz.

Wstał, trzymając w jednej ręce laskę. Drugą dłoń wyciągnął do Linnet, żeby pomóc jej wstać.

- Muszę już iść.

Wyglądał na zirytowanego, jakby obwiniał ją o coś. Ujęła jego ramię.

- Co się dzieje? - spytała.

- Nic takiego.

- Jeszcze przed chwilą było bardzo miło, a teraz jesteś zdenerwowany i nieprzyjemny.

Odwrócił się i warknął:

- Żaden mężczyzna nie lubi tracić głowy dla kobiety. Linnet nachmurzyła się.

- Nie widzę objawów utraty głowy.

- Wiele lat temu postanowiłem się nie żenić - odpowiedział, krzywiąc się. - Ledwie potrafię zadbać o siebie, nie wspominając już o nikim innym.

Linnet skinęła głową.

- Wprawdzie to głupi powód do rezygnacji z małżeństwa, ale to twoja sprawa. Przecież nie prosiłam cię, żebyś zmienił zdanie, prawda?

- Nie.

- To dlaczego mnie winisz za głupie myśli, które przychodzą ci do głowy? - zirytowała się. - Ja tam wcale nie myślałam o małżeństwie, kiedy się całowaliśmy.

Zaśmiał się gardłowo.

- Ja też nie.

- Więc skąd ta grobowa mina? - spytała i puściła jego ramię.

- Z głupoty? - odparł i złagodniał trochę. - Naprawdę muszę iść pomóc Sebastienowi, bo będzie na mnie wściekły.

W jego oczach z powrotem błysnął uśmiech, więc ujęła go pod ramię i razem wyszli z salonu. Zanim otworzył drzwi, zatrzymał się i pocałował ją w nos.

- Linnet, gdybym chciał się żenić, to tylko z tobą.

- Wiedziałam, że te piersi na coś mi się w życiu przydadzą - stwierdziła z satysfakcją.

Zaśmiał się na te słowa.

- Gdybym był inny, wszystko ułożyłoby się inaczej.

- Domyślałam się - odparła. - Miałabym narzeczonego, który nie atakuje mnie co chwila jak zmija z migreną.

- Z migreną! Robisz ze mnie ciotkę histeryczkę.

- Właśnie z migreną - odparła z beczelnym uśmieszkiem, a potem dodała spokojnie: - Naucz się kontrolować swoje emocje, Piers. Naprawdę nie uznałam cię za swojego wybranka, choć twoje pocałunki są bardzo przyjemne.

Zamrugnął i wbił wzrok w swoją laskę.

- Wyszędłem na głupka. W dodatku na próżnego głupka.

- Nie chodzi o nogę - wyjaśniła pośpiesznie.

Ale on uśmiechał się już, otwierając przed nią drzwi.

- To pewnie o mój niewyparzony język?

- Kobieta musi brać takie rzeczy pod uwagę - stwierdziła. - Może jej nie odpowiadać nieprzyjemna atmosfera przy każdym śniadaniu.

Zawahała się, ale w końcu stwierdziła, że powie to, co myśli:

- Przecież my się tylko bawimy. A mnie... mnie należy się trochę zabawy po tym, co niedawno przeszłam.

Skinął głową.

- To prawda. Osioł ze mnie. Masz rację.

I nagle, nie dbając o obecność lokajów, Prufrocka i kogokolwiek innego, kto akurat przechodziłby korytarzem, pochylił się i pocałował ją żarłocznie i władczo.

Żądał, a nie prosił.

A ona instynktownie dała mu to, czego chciał. Uczepiła się dłonią klapy jego surduta, przywarła do jego ciała, rozchyliła usta. Potem wyprostował się, pochylił i szepnął jej do ucha:

- Uwielbiam się z tobą bawić.

I już go nie było, tylko na schodach rozległo się echo jego ciężkich kroków.

Linnet zmusiła się, by spojrzeć w oczy Prufrockowi.

- Chciałabym się wykąpać.

Skinął głową w stronę jednego z lokajów.

- Oczywiście, panno Thrynne. Pokojówka już czeka w sypialni. - Odchrząknął i dodał: - Ten kundel, który teraz nazywa się Rufus, został wykąpany i przystrzyżony, choć moim zdaniem jego uroda niewiele na tym zyskała.

Zupełnie zapomniała o psie Gavana.

- Proszę go przyprowadzić do mojego pokoju - poleciła, wzdychając.

Prufrockowi niezbyt to się spodobało.

- Stajnia mu wystarczy. Ostatecznie przebieralnia, jeśli pani nalega.

Pokręciła głową.

- Obiecałam chłopcu. Boi się, że Rufus w nocy ucieknie.

- Nie, jeśli go zamkniemy w przebieralni.

- Ale ja obiecałam - upierała się. - Będę wdzięczna, jeśli ktoś go do mnie przyprowadzi, kiedy się wykąpię.

Naturalnie, majordomus traktował ją z wielką powagą, jakby nie zauważył tego pocałunku. Ale kiedy szła po schodach, czuła na ramionach spojrzenia całej służby, kłujące jak igły. Jesteśmy w Walii, powiedziała sobie w myśli.

Nikogo nie obchodzi, co tu się dzieje. Tu nikt się nie wymienia nowinkami, jesteśmy daleko od wszystkich sąsiadów.

Walijskie plotki na zawsze zostają w Walii.

Robert Yelverton, ksiązę Windebank, czasami myślał w desperacji, że Piers, jego syn i dziedzic, odziedziczył po nim tylko jedną cechę - skłonność do uzależnień. Nie był tylko pewny, czy o pracy - godnej pochwały pracy chirurga - można mówić jako o uzależnieniu. Mimo to szaleńcze, bezkompromisowe zaangażowanie Piersa w tę jedną, jedyną dziedzinę życia przypominało mu własne opętanie opium.

Być może ucieszyłby się więc na wieść, że przekazał Piersowi nie tylko skłonność do obsesji: gniewna mina, z jaką wyciągnął swoją byłą żonę, Marguerite, z salonu była idealną kopią grymasu, który tak często gościł na twarzy jego syna.

- *Alors!* - wykrzyknęła, na próżno próbując uwolnić nadgarstek z jego uścisku. - Robercie, nie masz prawa traktować mnie tak obcesowo, ty... ty... - wyraźnie nie mogła znaleźć odpowiednich angielskich słów, bo po chwili wybuchnęła potokiem epitetów po francusku.

Robert wpadł w otwarte drzwi biblioteki, ciągnąc swą dawną żonę za sobą. Gdy tylko znaleźli się wewnątrz, puścił jej dłoń. Zawirowała przed nim, błyskając gładką skórą piersi i szeleszcząc suknią. Przeszyła go taka tęsknota, że niemal upadł na kolana. Nie tylko fizyczne piękno byłej żony sprawiało, że trzęsły mu się ręce. Przede wszystkim uwielbiał jej urok i ciepło. Uśmiech, z jakim spoglądała na niego znad filiżanki herbaty lub jedwabnej pościeli, utracone szczęście, jakim było ich małżeństwo.

- Ty... ty... *cretin!* - wykrzykiwała, głosem łamiącym się ze złości: - Jak śmiesz traktować mnie w ten sposób! Jak śmiałeś mnie dotknąć?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział szczerze. - Czułem, że twoje popisy w salonie idą za daleko, więc powinienem się włączyć i odegrać swoją rolę.

- W moim życiu nie grasz żadnej roli. Wolałabym wziąć sobie męża z ulicy, z rynsztoku nawet, niż pozwolić ci zbliżyć się do mnie.

- Wiem.

Zamrugła, a w jej oczach zgasł ogień.

- To po co mnie tu przyciągnąłeś? Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Zmieniłem się, Marguerite. Nie jestem już tym mężczyzną, którego poślubiłaś.

- Nie byłeś tym, którego poślubiłam, już w pięć lat po naszym ślubie - oświadczyła, odwracając się ku drzwiom.

- Gdyby był jakikolwiek sposób, żeby cofnąć cierpienia, które sprawiłem tobie i Piersowi przez lata mojego uzależnienia, zrobiłbym to z radością - odpowiedział z rozpaczą w głosie. - Odciąłbym sobie rękę, oddałbym życie, żeby to odmienić.

Zatrzymała się z dłonią na klamce. Wąskie ramiona zeszywniały z napięcia. W brązowych puklach lśniły nieliczne, bardzo nieliczne pasemka siwizny.

- Nie jestem tym, którego poślubiłaś. Jestem starszy i o wiele mądrzejszy - przekonywał, modląc się, żeby została jeszcze choć kilka chwil. - Wtedy nie rozumiałem, jak bardzo powinienem cię cenić.

Marguerite odwróciła się bardzo powoli i oparła się o drzwi.

- Tyle razy mi obiecywałeś, że przestaniesz brać. Tyle razy...

- Wiem. Nie potrafiłem dotrzymać słowa.

- Rozumiem, że w końcu jednak przestałeś. Pierś twierdzi, że nie bierzesz od lat.

- Od siedmiu. Prawie od ośmiu.

- Dla mnie nie potrafiłeś przestać, ale przestałeś... dlaczego? Dlaczego właściwie przestałeś? Co pokochałeś bardziej niż swoje opiumowe sny?

- Życie. O mało nie umarłem. I ku mojemu zdziwieniu przekonałem się, że jednak pragnę żyć. - Zbliżył się do niej, nie za bardzo, ale na tyle, by poczuć cień aromatu francuskich perfum. Przez chwilę patrzyli na siebie. Dwoje ludzi w średnim wieku, rozdzielonych latami gniewu i żalu.

- Jesteś piękna jak zawsze - powiedział i odchrząknął.

- Zawsze mówiłeś tylko o urodzie i patrzyłeś tylko na to, co powierzchowne - odparła bez gniewu.



- Naprawdę? - Nie pamiętał tego. - Kochałem cię za coś więcej niż urodę. Podziwiałem twoją siłę, Marguerite, i twoją inteligencję. Sposób, w jaki przyjęłaś na siebie obowiązki księżnej i wywiązywałaś się z nich z takim taktem, twoje relacje z moją matką. Wychowanie naszego syna.

- Teraz tak mówisz.

- Teraz tak mówię. Przykro mi, że nigdy wcześniej ci nie mówiłem, jak cię uwielbiam i szanuję. Na świecie jest tylko jedna jedyna kobieta, którą szanuję tak jak ciebie i kocham tak jak ciebie.

- Kto? -Ty

- Och. Trochę zapomniałam angielskiego i nie zrozumiałam, co mówisz.

Starannie dobierał słowa.

- Wiem, że nigdy nie zgodzisz się ponownie wyjść za mnie, bo sprawiłem tobie i Piersowi zbyt wielki ból. Ale gdybyś mogła przebaczyć mi krzywdy, które ci wyrządziłem... - Przerwał, przełknął ślinę i podjął myśl. - Obawiam się, że to niewybaczalne, ale nie potrafię myśleć o niczym innym.

Wzruszyła ramionami typowo francuskim gestem.

- *Alors*, Robercie. Mam już za sobą etap, kiedy chciałam cię zamordować za to, że zrujnowałeś moją reputację, a nawet za to, że kochałeś opium bardziej ode mnie. Ale to, co zrobiłeś mojemu dziecku, mojemu synkowi... Tego nie mogę ci wybaczyć.

Podszedł o krok bliżej.

- Nie oczekuję tego od ciebie.

- Myślę jednak, że on powinien ci to wybaczyć - odpowiedziała ze smutnym spojrzeniem. Chyba nie zauważyła, że stoi tuż obok niej. - Piers ma w sobie za dużo goryczy. Nie powinno tak być.

- Wiem. Może... może kiedyś.

Nie myślał teraz. Nie potrafił się powstrzymać. Ręce jakby z własnej woli uniosły się i ujęły jej twarz. Zanim zdążyła go odepchnąć, pochylił się i ją pocałował. Ten pocałunek miał wyrazić wszystko: żal, miłość i tęsknotę. Długie, zimne lata spędzone bez

narkotyku, w trzeźwości, kiedy ona była żoną innego, a jemu nie pozostało nic poza roztrząsaniem swojej bezgranicznej głupoty.

Przez moment - błogosławiony, cudowny moment - oddała mu pocałunek. Smakowała jak morele: słodko-kwaśno i tak znajomo, że serce mu niemal pękło.

Potem pchnęła go w pierś i odsunęła od siebie. Odwróciła się bez słowa, otworzyła drzwi i wyszła, pozostawiając za sobą tylko ulotną smugę perfum.

Mimo to... w jej oczach, w jej miękkich wargach było coś takiego...

Nadzieja to ryzyko. Najprawdopodobniej obróci się w pył, w poczucie klęski i bólu. Od lat nie odważył się ulegać tak bezrozumnym emocjom. A jednak nadzieja wciąż wzbierała w najtajniejszym zakątku jego zbolełego serca.

## 23

Linnet miała cichą nadzieję, że pewien impulsywny doktor z laską pojawi się tej nocy w jej sypialni, ale niestety tak się nie stało. Zjawił się dopiero rano i zaczął kroić jej twarz ciepłą czekoladą. Ocknęła się ze snu.

- Co ty wyprawiasz? - spytała, a potem zaczęła zlizywać czekoladę.

- Chcę zobaczyć, jakbyś wyglądała z ospą - odpowiedział. - Jeszcze jedna kropka na lewym policzku. Tak, teraz jest koszmarnie. Wiesz, że królowa Elżbieta miała straszne dzioby po ospie?

- Fu! - wykrzyknęła Linnet, chwyciła chusteczkę i zaczęła energicznie wycierać twarz. - Jesteś okropny!

- Dlaczego? - zapytał, opierając się o słupek łóżka. - Czy blizny na twarzy to taka straszna rzecz?

- Oczywiście, że tak - nachmurzyła się. - Czy jestem już czysta?

- Jak łąza. Dlaczego myślisz, że to straszne?
  - Dlatego - odparła po prostu. - Bo to jest straszne.
  - Wiele kobiet nie jest tak urodziwych jak ty, a żyją sobie całkiem szczęśliwie. Nawet te z bliznami.
  - Tak, ale...
  - Z tego, co wiemy, królowa Elżbieta świetnie się bawiła - dodał.
  - Nigdy nie wyszła za mąż, prawda? - Linnet wyjęła Piersowi z ręki filiżankę z czekoladą i pociągnęła łyk.
  - Żaden przepis nie zabrania małżeństwa kobietom o złej cerze.
  - Ale są za to niepisane zasady, które mówią, co czyni kobietę godną pożądania. Piękna cera jest na pierwszym miejscu.
  - A ty spełniasz wszystkie warunki, prawda? - zmrużył oczy, jakby wypatrywał braków jej urody.
- Nie odpowiedziała. Jakikolwiek komentarz byłby zaproszeniem do drwin.
- Ciekawe, czy ospa byłaby większym przekleństwem dla pięknej kobiety, czy dla brzydkiej - zastanawiał się Piers.
  - Dla pięknej - stwierdziła Linnet bez wahania. - Ma więcej do stracenia.
  - Nie mogę dziś rano iść popływać - powiedział, zmieniając temat. - Sébastien musi operować pacjenta, który przyszedł wczoraj wieczorem, więc będę przy nim stał i go dręczył.
- Linnet posmutniała.
- Oczywiście.
  - Pomyślałem więc, że może pójdziemy po południu.
  - Może być - odparła pochmurnie. Nie patrzył na nią, tylko dźgał laską stosik książek na nocnej szafce po drugiej stronie łóżka.
  - Sprawia ci przyjemność spychanie ich? - spytała.
  - Wcale nie spycham. Chcę tylko sprawdzić, na ile procent uda mi się wysunąć tę z wierzchu, zanim wszystkie spadną na ziemię.
- Spadły.
- Około czterdziestu procent. Powiedziałem Prufrockowi, że trzeba wyremontować domek strażnika. - Wstał z łóżka.

Zamrugnęła. Zrobił krok ku niej, a potem pochylił się, by ją pocałować.

- Mhm - powiedział. - Kwintesencja Linnet z nutą czekolady. Siedziała, wpatrując się w zamknięte drzwi. Trzymała w ręku

wystygłą czekoladę i zastanawiała się, dlaczego kazał Prufrockowi przeprowadzić ten remont. Właściwie, dobrze wiedziała, dlaczego. Jej płonące policzki były tego dowodem. Podobnie jak drzenie, które przeszło jej uda.

Jeden, jedyny raz, obiecała sobie. Wtedy to nie będzie rozpusta. A ona nie będzie rozpustna.

Tylko, że kiedy znaleźli się już w tym domku, zmieniła zdanie. Była rozpustna.

Jej zachowanie można było określić tylko tym jednym słowem. Tego dnia i następnego, i jeszcze kolejnego.

A także tego dnia, gdy Pierś spotkał ją w holu, gdzie czytała *Camille* grupce pacjentów, wciągnął ją do alkowy, wsunął dłoń między jej uda i sprawił, że...

No cóż, to także było rozpustne.

To tylko zabawa, powtarzała sobie co wieczór przed zaśnięciem. Tylko, że z coraz większym niepokojem.

My się bawimy, a jednocześnie dajemy księciu okazję, by ponownie oczarował swoją byłą żonę. Albo ona jego. Nie sposób było nie zauważyć, że rozwiedzeni małżonkowie spędzają coraz więcej czasu na rozmowach, w coraz bardziej przyjaznym tonie.

Nadszedł wreszcie tydzień, kiedy Linnet uzyskała niepodważalny dowód, że nie poczęli dziecka. Mimo to Pierś uznał, że nie jest jeszcze gotów, by posłać do „Morning Post” zawiadomienie o rezygnacji z narzeczeństwa.

- Lepiej dmuchać na zimne - powiedział, a potem wyjaśnił jej szczegółowo, dlaczego kondomy czasem zawodzą.

- Może w takim razie powinniśmy przestać - stwierdziła, choć doskonale wiedziała, że żadne z nich nie ma na to ochoty.

- Przecież to tylko zabawa - odpowiedział Pierś.

- I rozpusta - uzupełniła Linnet.

- Wydaje mi się, że błędnie używasz tego rzeczownika - droczył się. Ani razu nie przyszedł do jej sypialni, żeby się kochać, nigdy nie sypiali ze sobą w jej łóżku. Ale tej nocy zajrzał do niej koło północy, wyciągnął ją z pościeli i zaprowadził do biblioteki, żeby pokazać jej pewien niezmiernie ważny tekst, specjalnie na zakończenie jej edukacji. Okazało się, że sam go napisał na skrawkach papieru rozsypanych na kanapie. Na każdym była inna propozycja.

- Przymiotnika właściwie też - dodał z powagą. Siedział na kanapie kompletnie nagi. Blask kominka odbijał się od skóry na jego torsie; muskularne nogi wyciągnął przed siebie.

- Na przykład, nie powiedziałbym, że moja *mamon* zachowuje się rozpustnie, paradując w stroju, który więcej odsłania, niż zasłania.

- Nigdy nie była rozpustnicą i teraz też nią nie jest - uzupełniła Linnet. - Więc lepiej posługiwać się tym słowem opisowo, w funkcji przymiotnika albo przysłówka.

- Ty nie jesteś rozpustnicą, bo taka kobieta często zmienia mężczyzn - stwierdził, łaskawie przychyłając się do jej zdania, ale w typowy dla siebie sposób, uzasadniając je innym argumentem.

- Szczerze mówiąc, na tę etykietkę zasługuje każda kobieta, która idzie z mężczyzną do łóżka - stwierdziła Linnet. - To wcale nie musi być więcej niż jedno łóżko. Zachowałam się zgodnie z tym, co sądzi o mnie większość londyńskiej socjety.

- Źle ci z tym?

Siedziała wtulona w drugi koniec sofy, na koszuli nocnej, która dawno zsunęła jej się z ramion.

- Spójrz na mnie tylko.

Spojrzał. Spodobał jej się błysk w jego oku.

- Nie o to mi chodziło - wyjaśniła pospiesznie. - Siedzę w bibliotece pewnego dżentelmena, goła jak mnie Pan Bóg stworzył. Dochodzę do wniosku, że naprawdę jestem nieodrodną córką mej matki. Mam tylko nadzieję, że nie zasłużę sobie na taką reputację jak ona.

W duchu wcale nie bała się utraty reputacji... tylko złamanego serca. Ale wolała się z takimi obawami nie zdradzać. Okazało się, że oboje lubią siedzieć nad basenem, w domku strażnika albo w bibliotece, i robić sekcję. Sekcję słów. Albo sekcję zwłok, choć tę ostatnią tylko w opowieściach Piersa. Analizowali zachowania znajomych i pacjentów. Ponieważ Linnet regularnie odwiedzała chorych na niezakaźne choroby, dzieliła się zabawnymi opowieściami o pani Havelock i jej potyczkach z nielicznymi podopiecznymi, którzy mieli dość odwagi, by się przeciwko niej buntować.

Piers o mało nie umarł ze śmiechu, gdy pewnego wieczoru Linnet odgrywała niejakiego pana Cuddly, którego żona prze-szmuglowała do szpitala flaszkę ginu. Cuddly upił się w sztok ku niezadowoleniu siostry Havelock.

- Nie wiem, czy powinienem słuchać takich opowieści - zamyślił się Piers.

- Czemu nie?

- Lepiej nie wnikać w życie pacjentów. To tylko przypadki chorobowe - stwierdził i machnął ręką. - Choroby mogę leczyć.

Linnet, owinięta w koc, siedziała na podłodze między jego wyprostowanymi nogami.

- Jesteś beznadziejnie głupi - poinformowała go. Pochylił się i ujął w dłoń pasmo jej włosów.

- Powinniśmy je sprzedawać.

- Nie ma chętnych do zakupu.

- W świetle kominka błyszczą jak prawdziwe gwinee. To znaczy, gdyby gwinee były czerwiejsze.

Oparła się o kanapę i pozwoliła mu się bawić włosami. Podnosił je do góry, a potem puszczał i patrzył, jak opadają. Zwykła zabawa, nic więcej.

## 24

Pewnego pięknego poranka, w kilka tygodni po pierwszym spotkaniu Linnet z Gavanem, Neythen zniósł chłopca na dół i zostawił na słońcu przed drzwiami frontowymi zamku, żeby czekał na rodziców, którzy mieli go zabrać do domu.

Linnet znalazła go tam i usiadła obok, żeby pogawędzić.

- Ojciec po ciebie przyjedzie? Wzruszył ramionami.

- Pewnie mama, bryczką. Tak mnie przywiozła. Tata jest ciągle w polu albo u owiec.

- Więc jesteś synem farmera - odgadła Linnet. - Też chcesz pracować w polu?

- Tata nie jest farmerem. Zarządza dużym majątkiem dla jednego pana, którego nigdy nie ma w domu. A ja będę doktorem - powiedział chłopiec z wielką pewnością siebie. - Będę lepszy niż ci dwaj - dodał, wskazując głową w stronę zamku.

- Całkiem nieźle sobie z tobą poradzili - odpowiedziała, ukrywając uśmiech. - Co rodzice myślą o tych planach?

- Jeszcze o nich nie wiedzą, co nie? No bo ta baba Havelock nie pozwoliła mamie mnie odwiedzać. Mieszkamy tu blisko, w Tydfil. - Wskazał ręką na wschód. - Mama chciała mnie odwiedzać, a wtedy Havelock jej zabroniła. Powiedziała, żeby tu nie przyjeżdżała za nic.

- Więc Tydfil jest niedaleko stąd? - spytała Linnet, ale Gavan właśnie próbował wstać. Linnet poderwała się i postawiła go na nogi.

- Jest bryczka! - wykrzykiwał, szalejąc z podniecenia. - To mama!

Bryczka podjechała pod drzwi, a powożąca kobieta zeskoczyła na ziemię, podbiegła i chwyciła chłopca w ramiona.

- Wszystko dobrze! - wykrzykiwała. - Zdrowszy jak ryba i wesoły jak szczygiełek!

Gavan mocno złapał matkę za szyję.

- Wcale nie płakałem - pochwalił się. Dopiero teraz łzy pociekły mu po twarzy. - Nawet jak mnie przytrzymali i... - słowa zginęły wśród łkania.

Linnet wskazała miejsce na ławce obok siebie i matka Gavana podeszła, by usiąść z chłopcem wciąż uczeplonym jej szyi. Z wyglądu była niewiele starsza od Linnet. Spod kapelusza lśniły czarne włosy.

Usiadła, głaszcząc syna po włosach.

- Płacz to nic złego - pocieszyła go. - Naprawdę.

Potem usiedli oboje w słońcu. Gavan wtulił twarz w jej ramiona, a ona kołysała go łagodnie.

Ktoś otworzył drzwi. Linnet usłyszała stukanie laski Piersa. Odwróciła się i rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. To nie był czas na szorstkie słowa. Pierś, jak na siebie, zachował się całkiem uprzejmie.

- Pani Wing - powitał kobietę. - Noga goi się idealnie. Przez najbliższy tydzień chłopiec powinien codziennie wstawać na godzinę, a potem stopniowo coraz dłużej być na nogach. Dostał laskę i koniecznie powinien jej używać.

Pani Wing skinęła głową.

- Dziękuję, milordzie. Nie wiem, jak się panu odwdzięczymy. Objęła Gavana trochę mocniej. W jej oczach zalśniły łzy, ale widać było, że to pełna siły kobieta, która niełatwo ulega słabościom.

Pierś odwrócił się na pięcie i chciał odejść.

- Proszę poczekać! - zawołała. Zatrzymał się w pół obrotu.

- Madam?

- Chcę jeszcze coś panu powiedzieć, milordzie - zaczęła. Odczepiła dłonie Gavana, wciąż obejmujące jej szyję, i naturalnym gestem podała go Linnet, która wyciągnęła ramiona. Chłopiec przestał zanosić się płaczem; pozostała mu tylko lekka czkawka.

- Te tygodnie bez Gavana, bez wiadomości o tym, co się z nim dzieje, były straszne dla jego ojca i dla mnie. Po prostu straszne. To nie było konieczne. Mieszkamy przecież po drugiej stronie wzgórza. Mogliśmy go bez kłopotu odwiedzać, nie przeszkadzając nikomu. Ta... ta pana gospodyni powiedziała mi...



- Zmieniamy już tę zasadę - przerwał jej Pierś. - Proszę porozmawiać z panną Thryne. To ta trzpiotka, która siedzi obok pani. - Z tymi słowami wyszedł, ciężko utykając.

- Niesamowite - skomentowała pani Wing, opadając na ławkę. - Mówiłam panu Wing, że chcę powiedzieć doktorowi, co o tym wszystkim myślę, i że mu się to pewnie nie spodoba. - Zdjęła kapelusz i zaczęła się nim wachlować. - Jak on na mnie spojrzał! Jak na szczura w paszarce!

- Nie jest aż taki zły - tłumaczyła go Linnet. Gavan nagle zsunął się z jej kolan.

- Mamo, muszę ci pokazać Rufusa, mojego psa!

- Psa? - Zdziwiona pani Wing zamrugwała.

- Ta pani znalazła dla mnie psa w stajni - wyjaśnił Gavan, wyciągając sennego Rufusa z cienia pod ławkę.

- Patrz, mamó, to najlepszy pies na świecie, prawda?

Rufus usiadł z wywieszonym językiem i nastawił swoje jedyne ucho.

- Na pewno dobry z niego szczurołap - powiedziała pani Wing, przyjrzawszy się psu. Potem odwróciła się do Linnet.

- Pani wynalazła mu tego psa?

- Tak, zabrała mnie do stajni, zanim jeszcze mogłem sam chodzić, i tam go znaleźliśmy - rozgadał się Gavan. Usiadł na trawie obok Rufusa, który polizał go po twarzy. - Trzymała go w nocy u siebie w sypialni, żeby nie uciekł. Zabrała mnie też nad morze.

Wargi pani Wing zadrżały. Wyciągnęła dłoń i, nie patrząc, poklepała Linnet po kolanie.

- Nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy - powiedziała łamiącym się głosem. - Co noc nie mogłam spać, myśląc o Gava-nie, samiuteńkim w tym wielkim zamku. Bałam się, że coś pójdzie źle i nigdy go już nie zobaczymy. - Sięgnęła po chusteczkę.

- Byłam tu tylko przez część jego rekonwalescencji - odparła Linnet - ale wyglądał na zadowolonego. To pogodny chłopiec.

- Bardzo pogodny, prawda? - pani Wing otarła oczy. - Powiem pani, że przez czas jego nieobecności zrobiłam cztery kapy na łóżko. Cztery. Skroiłam, zszyłam i wykończyłam.

Linnet nie miała pojęcia, ile czasu zajmuje zrobienie jednej kapy, ale domyśliła się, że jest to bardzo pracochłonne.

- Naturalnie, miałam pomoc - wyjaśniła pani Wing. - My tu wszystkie w Tydfil - wskazała głową kierunek - robimy razem narzuty. A kiedy coś się dzieje, jak ten wypadek Gavana, spotykamy się częściej. Żeby zająć czymś myśli.

Linnet wpadła na pewien pomysł.

- Do robienia narzut nie potrzeba krosien ani niczego takiego, prawda?

Pani Wing pokręciła głową.

- Nie, praca polega głównie na zszywaniu kwadratów. Siadamy w kręgu i szyjemy razem. I gadamy bez przerwy.

Dopiero później zakładam narzutę na ramię, żeby ją wykończyć.

- Zastanawiam się, czy nie mogłaby pani czasem przyjść tutaj, do zamku - zamyśliła się Linnet. - Widzi pani, w zachodnim skrzydle jest sala pełna kobiet, które strasznie się nudzą. Na przykład, jedna z nich jest w ciąży z bliźniakami i przez kilka miesięcy musi leżeć w łóżku. A pani Trusty miała okropne złamanie stopy i dopiero zaczyna kuśtykać.

- A ta gospodyni by się na to zgodziła?

- Załatwię to - stwierdziła stanowczo Linnet. - Zrobimy kółko szwaczek, tu w zamku. Mogłaby pani przychodzić do nas raz w tygodniu, pani Wing? Znalazłaby pani czas?

- Oczywiście. Doktor jest szorstki i nieprzyjemny, ale przecież uratował życie mojego Gavana. - Skinęła głową. - Szycie pomaga ludziom, których coś boli. Odwraca uwagę. Tylko nie przy bólach porodowych. Na to nic nie pomaga. Poza tym, nie widziałam jeszcze rodzącej kobiety, która zrobiłaby choć jeden prosty szew.

- Pani Wing, już widzę, że to się pani świetnie uda - stwierdziła Linnet z radosnym uśmiechem.

- Lubię doprowadzać sprawy do końca - odpowiedziała pani Wing. - Widzę, co trzeba zrobić, i robię to. Na szczęście, mój mąż nie zwraca uwagi na takie rzeczy. To by dopiero było, gdybyśmy oboje się wyklócali o wszystko, co jest według nas źle. Niedługo byśmy ze sobą wytrzymali! - Wybuchnęła śmiechem.

- Porozmawiam z panią Havelock, gospodynią z zachodniego skrzydła. Może umówimy się za jakiś tydzień albo dwa, kiedy Gavan będzie już pewniej chodził?

Pani Wing skinęła głową.

- Bardzo dobrze. - Spojrzała na chłopca. - Chyba nie powinien tak się turlać po ziemi, bo jeszcze urazi się w tę nogę.

- Chyba nic go nie boli - stwierdziła Linnet. - To kochany chłopak.

- Pani też jest kochana - odparła pani Wing i ujęła jej dłoń. - Nie potrafię wyrazić słowami, jak mnie pani uspokoiła.

To, że pani tu była, kochanie, że dała mu pani Rufusa i że pomoże mi pani odplacić się doktorowi tym szyciem.

- Linnet - odpowiedziała, serdecznie ściskając dłoń pani

Wing. - Mam na imię Linnet. Pani Wing zaśmiała się cicho.

- A ja Diana. To dziwne imię, po jakiejś tam zagranicznej bogini, która podobno nie była aniołkiem w pewnych sprawach. Rozumiem, że też się zaczniesz z nami uczyć szyc, prawda?

Uśmiech Linnet przygasł.

- Przyjechałam tu tylko z wizytą, za dwa tygodnie mnie już pewnie nie będzie, więc się nie spotkamy.

- Wielka szkoda - odparła Diana. - Naprawdę. No, ale jak dogadasz się z panią Havelock i zawiadomisz doktora, to tak czy owak przyjdę.

- Tylko się go nie bój. Tylko tak straszy, nikomu me zrobił jeszcze krzywdy.

- Przyjdę pomóc tym kobietom, żeby nawet był najgorszy - odparła Diana i roześmiała się znowu. - Gavan, wstawaj, ty gapo. . .

- Daj mi łaskę - powiedział chłopiec i wstał z jej pomocą. - Widzi panienka? Wyglądam teraz tak samo jak doktor, prawda?

Stał w słońcu, wsparty o łaskę, i uśmiechał się spod rozwichrzonej grzywki. Linnet nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu.

- Rzeczywiście wyglądasz jak prawdziwy doktor, Gavanie.

- Bo ja przecież będę doktorem. Najlepszym na świecie -oświadczył z przekonaniem.

25

### *Wieczór następnego dnia*

Przyjeliśmy do wschodniego skrzydła kolejnych dwóch pacjentów z tą gorączką - powiedział Sébastien.

- Jaką gorączką? - spytał Pierś.

- Tą, która według ciebie jest wybroczynowa, a według mnie nie. Chciałem rano, żebyś na nich spojrział, ale nie mogłem cię znaleźć.

Po śniadaniu Pierś zaciągnął Linnet do pustej sypialni, a kiedy potem zasnęła, przeleżał godzinę u jej boku, rozluźniony i zadowolony, lekko gładząc ją po ramionach. Słyszał, że go wołają, ale nie zareagował.

Myślał o ojcu, o Linnet, potem znowu o ojcu, o Prufrocku,

O matce, o Sébastienie. I znowu o ojcu. I o Linnet.

- Zajrzę do nich po kolacji - obiecał. Weszli razem do salonu. Kibbles i Penders stali przy kredensie, w bliskim sąsiedztwie karafki z winem. Linnet siedziała obok jego matki, a ojciec naprzeciwko nich i znowu patrzył na matkę tym swoim głodnym wzrokiem.

- Gdzie Bitts?

- Kiepsko wyglądał i przyznał się, że źle się czuje, więc wysłałem go na górę.

Pierś spojrział Sébastienowi w oczy.

- Źle się poczuł?

- Ból głowy, ale bez temperatury. - Kuzyn wruszył ramionami. - Nie sędzę, żeby to była szpitalna gorączka, ale lepiej trzymajmy go z daleka od zachodniego skrzydła, póki to się nie wyjaśni.

1 z daleka od twojej rodziny.

Od rodziny. Piersa przeszył zimny dreszcz.

- Aha, znam to spojrzenie - zakpił Sébastien. - Tak, ja też się napiję. Dziękuję, Prufrock.

- Co masz na myśli? - spytał Piers.

- Twarz, która wysłała tysiąc... ponurych grymasów - odparł Sébastien, wyraźnie rozbawiony. - To znaczy, że planujesz zrobić coś, czym w dłuższej perspektywie wyrządzisz sobie krzywdę. Nie raz to widziałem, nie raz jeszcze zobaczę.

- Myślisz, że ni stąd, ni zowąd nauczyłeś się stawiać diagnozy? I to mnie? Nie potrafisz sobie poradzić nawet ze zwykłą gorączką!

- Za to dobrze wiem, że lubisz być nieszczęśliwy - odparł Sébastien, przechylając kieliszek. - Paradoksalnie, jesteś szczęśliwy dopiero wtedy, gdy jesteś nieszczęśliwy. Osiągasz to, odrzucając ludzi, którym choć trochę zależy na twojej paskudnej osobie. Takich jak ja, tylko że mnie nie możesz się pozbyć, więc dałeś sobie spokój. Rodziców. - Odwrócił się i wskazał kieliszkiem Linnet. - I twoją niewiarygodnie piękną narzeczoną.

- Piękno to nie wszystko - odparł Piers.

- Ale Linnet jest spełnieniem wszelkich marzeń mężczyzny - uśmiechnął się Sébastien. Odstawił kieliszek. - Zawsze byliśmy nierozłączni, ty i ja.

- Po prostu powiedz mi prawdę. Chcesz uciec z jakąś pasterką?

- Nie. Nie.

Piers poszedł za jego wzrokiem.

- Chcesz uciec z Linnet. - Wszystkie mięśnie w jego ciele napięły się jak struny. Linnet była jego. Jego i tylko jego.

- Gdyby mnie zechciała, uciekłbym z nią choćby na kraj świata. Albo pognał tam za nią. - Sébastien z powrotem odwrócił się do Piersa. - Zawsze byłem od ciebie szybszy. Kochankiem też byłem lepszym, choć może nie powinienem teraz o tym wspominać.

- Nigdy nie zwracałem sobie głowy miłością - odpowiedział Piers.

Linnet wybuchnęła śmiechem. Brylanty lśniły w jej uszach, migotały wokół szyi. Wyglądała jak księżniczka z bajki, stworzona machnięciem czarodziejskiej różdżki.

- To prawda. Nigdy cię to nie obchodziło. Teraz też cię nie obchodzi, prawda? Chociaż ojciec zapakował ci ją jak prezencik i podał prosto do rąk.

Pierś skrzywił się, a Sébastien zaśmiał się urywanie.

- Więc to dlatego. Nie możesz zaakceptować Linnet, bo wybrał ją twój ojciec. Tak gorąco nienawidzisz go za jego dawne grzechy, że za nic nie przyznasz, że znalazł ci odpowiednią żonę.

Pierś złapał Sébastiena za blad różowy fular na szyi i przyciągnął do siebie.

- Noga mnie boli jak jasna cholera - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Kuzyn nawet nie drgnął. Patrzył mu prosto w oczy.

- Więc niech noga dotrzymuje ci towarzystwa co noc. W twoim łóżku nie ma miejsca dla kobiety, po tych wszystkich strasznych rzeczach, które przeszedłeś.

Pierś puścił fular. Sébastien miał rację, choć powiedział to w innym sensie, z sarkazmem.

Koniec kochania się z Linnet. I to już. W jego życiu nie ma dla niej miejsca. Nie teraz, kiedy czuł, że przez długie dni, a nawet tygodnie będzie mógł myśleć tylko o straszliwym bólu w nodze.

W takich okresach potrafił wybuchnąć gniewem, gdy ze stołu spadła choćby szpilka. Darł się na Prufrocka i resztę służby, gdy choćby drgnęli. Gdy ból przenosił się do głowy, Pierś zamykał się w zaciemnionym pokoju, drżąc na całym ciele.

- Masz rację - powiedział. - Masz absolutną rację. Sébastien, wciąż rozgniewany, spojrzał na niego uważnie.

- Nigdy tak łatwo nie ustępujesz. Więc jeśli zrozumiałeś, jakie głupstwo robisz, odrzucając Linnet, dlaczego się jej nie oświadczysz?

- Myślałem, że chcesz ją dla siebie.

- Chcę - mruknął kuzyn.

- No to idź, pokaż się z dobrej strony - zachęcił go ze znużeniem. Może powinien wychylić drugą szklankę brandy?

Dziś chyba jedna nie wystarczy.

- Nie mam po co.

- Tylko dlatego, że ojciec przywiózł ją z Anglii dla mnie? Bez sensu. Ona szuka męża, a ty będziesz dla niej dobry. Na myśl, że Linnet wyjdzie za innego, aż skreśliło go z bólu. Za innego mężczyznę. Za Sébastiena? Niemożliwe.

- Ale nie możecie tu zamieszkać.

Kuzyn rozparł się na kanapie, podniósł kieliszek brandy i przyjrzał się mu pod światło.

- Dlaczego nie? Dobrze mi tu. Zamek jest duży, miejsca wystarczy. A ty potrzebujesz moich chirurgicznych umiejętności, czy ci się to podoba, czy nie.

Pierś rzucił mu wymowne spojrzenie.

- Nie chcę jej - powiedział głośno i wyraźnie, by dotarło to wreszcie do jego romantycznego kuzynka. - Nie wezmę jej sobie.

Już nigdy więcej, dodał w myśli.

- Zanim znowu zaczniesz marudzić na temat mojego ojca -dodał - powiem ci tylko, że to już się zmieniło.

Zrozumiałem, Linnet pomogła mi zrozumieć, że robię z siebie kompletnego idiotę. Prufrock to król wszystkich lokajów, a Linnet...

- Królowa wszystkich kobiet - dokończył cicho Sébastien.

- Ale ja jestem zbyt schorowany jak dla niej. Nie tylko dla niej. Dla wszystkich. Bestia ze mnie, Sébastienie. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Kuzyn wzruszył ramionami.

- Ja cię lubię, nawet kiedy się wściekasz.

- Bo znamy się od dziecka. Nie masz wyboru, musisz ze mną wytrzymać. Nie ma co się oszukiwać, jestem po prostu podły. Może gdybym był inny, gdybym nie miał takiego charakteru, gdybym...

- ...nie folgował sobie i zaczął nad nim panować - dodał sucho Sébastian.

- Nie rozumiesz tego. - Jak na zawołanie, dostał skurczu mięśni, a ból przeszył mu nogę.

- Żaden rozsądny facet ze sprawnie działającym narządem by tego nie zrozumiał - odparł kuzyn. - Gdybym miał choć cień szansy u Linnet, nie dbałbym o ból, zaciągnąłbym ją do ołtarza,

wsadził obrączkę na palec i liczył na to, że wszystko się z czasem ułoży.

- Dlatego tak kiepsko ci idzie diagnozowanie - odparł Pierś, próbując wyprostować nogę, żeby ulżyć mięśniom.

- Jak to?

- Nie potrafisz połączyć objawów z obserwacjami. Jeden zbolały podlec z niewyparzoną jęczmieniem...

Uniósł rękę, gdy Sébastien otworzył usta.

- Taki właśnie jestem, a ty dobrze o tym wiesz. W każdym razie, taki ktoś jak ja, z kobietą taką jak Linnet, może oznaczać tylko jedno.

- Co takiego?

- Nieszczęście - odparł beznamyślnie, znowu opierając stopę na podłodze.

- Niekoniecznie.

- Nieszczęście dla niej.

Pierś pociągnął łyk złocistej, ognistej brandy, która spłynęła mu do gardła.

Sébastien milczał. Potem spytał:

- Nie potrafisz nad tym zapanować?

- Jestem, jaki jestem - odparł Pierś i przełknął płyn. - Nie chcę patrzeć, jak ona marnieje, kiedy ja dostaję obłądu z bólu. Albo zaczyna się mnie bać, tak jak matka ojca, kiedy zaczną nadużywać laudanum.

- Nie bierzesz go.

- Ale mógłbym. Mam je zawsze pod ręką, zawsze mnie to kusi. Jaki ojciec, taki syn. Nie mogę narazić Linnet na coś takiego.

- Do diabła, ty jesteś w niej zakochany - szepnął Sébastien, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma.

W drugim końcu salonu Linnet śmiała się cicho i postukiwała Pendersa po ramieniu wachlarzem. Tamten dosłownie wił się u jej stóp.

- A kto by nie był? - Pierś w końcu powiedział to na głos. -Kto by nie był?



Do salonu wszedł Prufrock i skierował się ku nim szybkim krokiem.

- Pielęgniarka ze wschodniego skrzydła ma wrażenie, że temu pacjentowi z gorączką, którego przyjęliśmy wczoraj, znacznie się pogorszyło.

- Pójdę tam - powiedział Pierś. Brzęknął odstawiany kieliszek. - I tak nie mam tu nic do roboty.

- Przestań - zaczął Sébastien, ale w odpowiedzi usłyszał tylko stuk laski i trzask zamykanych drzwi.

Pierś ze znużeniem popatrzył na schody. Z tyłu został świat wyperfumowanych kobiet i złocistej brandy. Tam na górze był prawdziwy świat, umierający pacjenci o napiętych bólem twarzach i przerażonych oczach.

Ruszył przed siebie.

Na szczycie schodów czekał pielęgniarka.

- Pacjent trzy dni temu dostał wysypki, w kilka dni po pierwszych objawach.

- Jakich?

Pielęgniarka przytrzymała drzwi do wschodniego skrzydła, żeby Pierś mógł przejść przodem.

- Zaczęło się od sztywności szyi i ramion. On jest młynarzem, więc myślał, że się po prostu przedźwigał, nosząc worki z mąką. W nocy dostał dreszczy na zmianę z gorączką. Według swoich własnych słów, po paru dniach zrobił się czerwony jak gotowany homar.

- A teraz?

- Od wczoraj nic nie jadł, zwymiotował, kiedy dostał trochę rosołu. Ma gorączkę i narzeka, że nie może oddychać. Poprosiłem pana Prufrocka, żeby pana przyprowadził, bo wyszły mu na skórę straszne pęcherze. I wargi mu jakby czernieją.

- Do diabła ciężkiego - zaklął Pierś, przejęty. Oczywiście, kiedy zbadał pacjenta, okazało się, że gardło ma pokryte brązowymi kropkami, a za uszami pojawiła się opuchlizna.

- Do diabła, i jeszcze raz do diabła. Kto z nim przebywał? Kto go badał?

- Wczoraj przyjął go doktor Bitts. No i ja się nim zajmowałem. - Pielęgniarz był zdenerwowany, ale się nie załamywał. - Potem milord polecił go trzymać w izolatce. Doktor Bitts kazał położyć go do pacjentów z gorączką wybroczynową.
- To nie gorączka - wyjaśnił Piers, zamykając drzwi. - To *scarlatina anginosa*. Czyli płonica albo szkarłatna gorączka. Albo gorzej, *scarlatina maligna*. To oznacza poważne kłopoty, chyba że mamy odosobniony przypadek. Gdzie położyliście tych dwóch pacjentów, którzy przyszli dziś rano?
- W głębi korytarza - odpowiedział pielęgniarz. - W jednej komnacie, bo to szewcy z tego samego warsztatu. Zachorowali jednego dnia.
- Skąd pochodzą?
- Z Little Millow.
- Jakież dwie mile stąd.
- Ten pierwszy pacjent jest z Aferbeeg.
- O milę, nie więcej. Czy szewcy mówili, że ktoś inny w warsztacie też choruje?
- Pytałem o to całą trójkę. Młynarz rozwoził mąkę przez dwa dni, zanim się rozłożył. Myślał, że to przeziębienie i że mu samo przejdzie.
- Rozwoził mąkę... Pewnie do wielu wsi wokół Aferbeeg. Weszli do komnaty, w której leżeli szewcy. Obaj mieli wysypkę, pęcherze i wrzody w gardle. Młynarz był u nich pięć dni wstecz, żeby naprawili mu buty.
- Coraz gorzej. Obawiam się, że to początek epidemii - stwierdził ponuro Piers. - Przede wszystkim musimy zadbać o mieszkańców zamku, którzy jeszcze nie stoją na progu śmierci. Zadzwoił po Prufrocka, a potem stanął u szczytu schodów i gestem ręki zatrzymał go w pół drogi.
- Pamiętasz plany, które przygotowaliśmy w zeszłym roku na wypadek epidemii? Prufrock skinął głową.
- Czas je wprowadzić w życie. Z zamku muszą wyjechać wszyscy mieszkańcy nie zajmujący się bezpośrednio opieką nad

pacjentami. Wszystkich rekonwalescentów należy natychmiast odesłać do domu, chyba że kogoś boli gardło, czuje sztywność kończyn albo ma gorączkę. Niech lokaje wypożyczą wszystkie pojazdy w obrębie paru mil i rozwieżą ludzi do domów. Wywieź stąd księcia i moją matkę. I naturalnie pannę Thrynne.

Prufrock szeroko otworzył oczy i bez słowa zbiegł na dół.

Pierś poczuł ukłucie w sercu na myśl, że już nigdy nie zobaczy Linnet.

Potem odwrócił się i wszedł do wschodniego skrzydła. Szkarlatyna była śmiertelną chorobą, w dodatku wyglądało na to, że młynarz zdążył zarazić całkiem sporo osób. Ale Pierś był znany z tego, że potrafił wyciągnąć pacjentów z każdej gorączki, nawet ze szkarlatnej, i zamierzał walczyć z chorobą wszelkimi dostępnymi sposobami. Niegdyś dowodził na forum Królewskiego Towarzystwa, że *anginosa* niekoniecznie musi przechodzić w bardziej zabójczą odmianę *maligna*, i oto nadarzała się okazja, by to udowodnić.

Po niespełna godzinie usłyszał turkot powozów na podjeździe, a potem znowu turkot, gdy odjeżdżały z pacjentami.

W międzyczasie obaj z Sebastienem przeprowadzili drobiazgowo badania we wschodnim skrzydle i ku swemu przerażeniu przekonali się, że choroba już się przeniosła pomiędzy pacjentami, co bardzo skomplikowało sytuację.

- To przez kaszel - stwierdził Pierś. - Ale zdaje mi się, że przenosi się także przez dotyk. Niech pod każdym pokojem stanie wiadro z mieszanką wody, mydła w płynie i alkoholu. Musicie bardzo często myć ręce - polecił pielęgniarzowi.

Część bardzo osłabionych pacjentów umrze, ale nie tak szybko jak ci, którzy znajdują się pod opieką konowałów w pobliskich miasteczkach, będą mieli puszczaną krew i dostaną środki wymiotne.

- Słaba herbata i bulion - polecił pielęgniarzowi. - Będziemy spędzać gorączkę, schładzając ciała pacjentów.

Pootwierajcie wszystkie okna i wlewajcie im płyny do gardła. Wyślijcie też zawiadomienie do wszystkich kościołów w odległości pięciu mil od Aferbeeg albo bliżej z ostrzeżeniem, że wszyscy chorzy z objawami

bólu gardła albo gorączki muszą natychmiast przejść kwarantannę.

- Upewnijmy się, czy Penders i Kibbles nie przegapili wczesnych objawów choroby w zachodnim skrzydle - powiedział w jakiś czas później. - Jak na razie mamy sześciu pacjentów, ale mam nadzieję, że nikt po tamtej stronie jeszcze się nie zaraził.

Niestety, mylił się, i to bardzo.

- Jak to się mogło stać? - spytał w desperacji po kilku godzinach. W całym skrzydle było pięć kolejnych przypadków z wczesnymi objawami *scarlatinae anginosae*.

Sébastien pokręcił głową.

- Tylko my odwiedzamy oba skrzydła na zmianę. Jak się czujesz?

- To Bitts! - wykrzyknął Pierś.

- Wielki Boże, to Bitts. Ciekawe, czy ktoś się nim zajął.

W dwie minuty później byli już na drugim piętrze, gdzie mieszkali goście. Bitts był cały rozpalony.

- Wszystko mnie swędzi - wykrztusił. Jego lokaj kręcił się w pobliżu z niespokojną miną.

- Przede wszystkim trzeba go schłodzić i podawać mu wodę - zalecił Pierś.

- Bitts?

Młody lekarz otworzył oczy.

- Wylizesz się. Masz biały nalot na migdałkach, a nie brązowy. Musisz dużo pić. Bóg jeden wie, ile razy wbijałem ci do głowy, że pacjenci muszą przyjmować dużo płynów, więc teraz wykorzystaj tę naukę dla własnego dobra.

Na ustach chorego pojawił się cień uśmiechu.

- Da sobie radę - powiedział Sébastien, idąc przodem. - Może pójdziesz się teraz przespać parę godzin, a potem mnie zmienisz?

Prufrock czekał na nich w połowie schodów.

- Jego Wysokość i lady Bernaise nie chcą wyjechać - powiedział.

- Nie załamuj rąk, Prufrock - uspokoił go Pierś. - Sam z nimi porozmawiam.

- Przecież nie wsadzę ich siłą do powozu. Panna Thrynne jest razem z nimi.

Pierś westchnął.

- Zajmę się tym - powiedział do Sébastiena. - Pamiętasz taki wykład, na którym zalecano, by stosować pianę ze sfermentowanego słodu do pędzlowania gardeł pacjentów chorych na szkarlatynę?

Sébastien pokręcił głową.

- Zapominam o takich szczegółach, gdy tylko wyjdę z sali wykładowej.

- Niech siostra Matylda się tym zajmie - stwierdził Pierś. - Warto spróbować. - Kiedy omawiał szczegóły terapii, ktoś zaczął uderzać pięścią we frontowe drzwi. Obaj umilkli. Lokaj otworzył bramę, przez którą weszło, pięcioro... nie, ośmioro pacjentów. Sześciu o własnych siłach, pozostałych wniesiono albo wciągnięto.

- Zajmę się nimi - powiedział Sébastien. - Ty porozmawiaj z rodzicami, a potem się prześpij. Będziemy się zmieniać.

Pierś skinął głową.

- Próbuj umieszczać przypadki *anginosa* w zachodnim skrzydle, a *maligna* we wschodnim.

Po chwili jego laska zastukała na schodach, a potem w korytarzu wiodącym do salonu.

Matka, ojciec i Linnet tworzyli uroczą grupę rodzinną. Od samego patrzenia Piersa ogarnęło wyczerpanie.

Rozmawiali

O Michale Aniele, a stół przed nimi był zastawiony talerzykami z ciastem i filiżankami herbaty. Wydawali się należeć do innego świata - świata porcelany, włoskich artystów, francuskich perfum

i łagodnych kobiecych głosów.

Na jego widok matka skoczyła na równe nogi.

- Nie wyjadę stąd, Pierś. Nie zostawię cię.

- Zwariowałaś? - Zdenerwował się, nie zbliżając się do niej. - Jesteśmy w samym środku poważnej epidemii szkarlatyny, *maman*. Jeśli tu zostaniesz, prawdopodobnie się zarazisz.

Potrząsnęła głową z typowo francuską wzdrganą.

- Mam gdzieś twoją szkarlatynę. Kto się tobą zajmie, jeśli zachorujesz? Muszę zostać.
- Chcesz skazać na śmierć swoją pokojówkę? Młodzi ludzie częściej zapadają na ostrą postać tej choroby.
- Już odesłaliśmy naszych pokojowych. Będą na nas czekać w zajeździe we wsi - wtrącił jego ojciec.
- Nie możecie tu zostać - upierał się Pierś. - Jeszcze mi tego brakuje, żeby się o was martwić.
- Nie ruszę się bez ciebie - burknęła matka. Dobrze wiedział, po kim odziedziczył impulsywne cechy swojego charakteru: widział je w jej porywczym spojrzeniu.
- Domek strażnika - odezwała się Linnet.

Odwrócił się do niej, ledwie rozumiejąc, o czym ona mówi.

- Co takiego?

- Lady Bernaise może zamieszkać w domku strażnika, a służba będzie zostawiać dla niej jedzenie pod drzwiami. To niedaleko, po drodze nad morze - zwróciła się do jego matki. - Będzie tam bezpiecznie i na tyle blisko, że będzie się pani mogła synem zająć, jeśli zachoruje.

- Po moim trupie - stwierdził Pierś.

Ale jego matka właśnie wstawiała z miejsca.

- Przenoszę się do domku strażnika - powiedziała stanowczo.

- Nie zbliżaj się do mnie - ostrzegł z rezygnacją. Miał do rozegrania inne, o wiele ważniejsze potyczki. - I nie wychodź frontowymi drzwiami. Na korytarzu jest pełno pacjentów i na pewno wszyscy kaszlą. Musisz wyjść oknem.

Odwrócił się do Linnet. Była cudowna i równie odległa jak królowa elfów. Niby ostatni głupek starał się ją taką zapamiętać: słodki, zgrabny nosek, stanowczy podbródek, podwinięte rzęsy, cera bez skazy. Co mu przypomniało o szkarlatynie.

- Musisz wyjechać - powiedział. - Natychmiast.

- Dobrze. - Zaplotła nerwowo palce. - Och, Pierś - zrobiła krok w jego stronę.

- Nie - ostrzegł ją z naciskiem. - Naprawdę musisz wyjechać. Nie mogę myśleć o tobie ani się o ciebie martwić.

Skinęła głową.

- Na zawsze - dodał. - Jedź sobie do Londynu, do Francji. Gdzie cię oczy poniosą.

- Nie! - jęknęła.

- Między nami wszystko skończone - powiedział. Ogarnęło go dziwne poczucie odosobnienia. Na piętrze umierali pacjenci, ale jego serce przeszywał ból. Łzy w jej oczach sprawiały mu nieopisane cierpienie.

- Wiedziałaś, że tak będzie - dodał łagodniej. - Nie ma dla nas żadnej przyszłości.

Zacisnęła zęby i nagle upodobniła się do jego matki. Pierś spojrzał na ojca.

- Wybierz to okno, dobrze? Zaprowadź matkę do domku strażnika. Linnet zaraz będzie gotowa do drogi, pojedziecie razem.

Oboje z Linnet wyglądali jak dwa marmurowe posągi. Księżę wypchnął szybę z framugi.

- Trzymaj się, kochanie - powiedziała matka, gdy księżę podał jej rękę pod oknem. - Uważaj na siebie.

- Ja się nigdy nie zarazam, *maman* - odpowiedział zgodnie z prawdą. Zawsze uważał, że natura wynagrodziła mu w ten sposób kalectwo.

W końcu poszli sobie.

- Nie wiesz na pewno, czy się nie zarazisz - powiedziała Linnet. W jej oczach lśniły łzy.

Wzruszył ramionami.

- Nawet jeśli, to będę miał najlepszą opiekę. Bardzo niewielu moich pacjentów umiera na tę chorobę, jeśli zdążą tu na czas. Zresztą, nie zamierzam ulec chorobie.

- Nie chcę od ciebie odjeżdżać.

- Nie chcę się z tobą ożenić.

W końcu powiedział to jasno i wyraźnie.

- Musisz poczekać na ojca na zewnątrz - oświadczył. - Nie zbliżaj się do nikogo, nawet do Prufrocka. Słyszysz?

Czekaj pod zamkiem. Wydaje mi się, że to się przenosi przez kaszel.

Linnet wzięła głęboki oddech. Pierś opierał się ciężko na lasce. Widać było jak bardzo jest znużony i wyczerpany.

- Nie chcę od ciebie odjeżdżać.

- Nie masz wyboru. Na Boga, Linnet, na ile sposobów mam ci to jeszcze tłumaczyć? Nie mam ochoty się z tobą żenić.

- Ale ja jeszcze nie zdecydowałam, czy cię chcę, czy nie -odpowiedziała, próbując żartować w obliczu koszmaru. -  
Może właśnie chcę.

- To nie wchodzi w grę. Zresztą nigdy nie wchodziło. Linnet popatrzyła na niego, na cień zarostu, podkrążone oczy, i poczuła, jak bardzo go kocha. Nigdy nie pokocha innego. Była zauroczona jego błyskotliwą inteligencją i poczuciem humoru, ale naprawdę podbił ją swoim pełnym namiętności sercem.

- Wynoś się - rzucił niecierpliwie. - Nie chcę cię. Nie ożenię się z tobą. Jasne?

- Nie.

Widziała ból w jego oczach i rozumiała, skąd się bierze.

- Pasujemy do siebie - powiedziała, wiedząc, że to absolutna prawda. - Nigdy nie pokochasz nikogo poza mną.

- Oślepią cię świadomość własnej urody - powiedział, unikając odpowiedzi na jej słowa. - Czy możesz wynieść się stąd wreszcie, zanim powiem coś, czego potem będę żałować.

Ale Linnet poniosła fala namiętności i miłości.

- Kocham cię! - powtórzyła. - A ty kochasz mnie.

- Mam to gdzieś.

Przez chwilę nie docierało to do niej. Potem wydawało jej się, że czegoś nie zrozumiała.

- Co takiego?

- To, co powiedziałem. Mam gdzieś twoje uczucia albo raczej wyobrażenia uczuć.

- Dlaczego jesteś taki okrutny?

- Nie jestem. W tej sytuacji bezmyślna grzeczność jest niewskazana. Natomiast uczciwość jak najbardziej.

Podbiegła i złapała go za klapy surduta. Odskoczył do tyłu.

- Mogę być zarażony. Cofnij się!



- Nie jesteś chory. Nigdy nie chorujesz. Wierzę ci.
- To dlaczego nie wierzysz, kiedy mówię: Linnet, nie chcę się z tobą żenić. Nie chcę! - krzyknął.
- Ależ chcesz - odpowiedziała, ujęła jego twarz i przysunęła do swojej. Jej wargi były głodne, witały go i zapraszały.
- Nie ożenię się dla seksu - powiedział i odepchnął ją od siebie.

Nie potrafiła go zrozumieć. Dlaczego on to jej robi? Jej dłoń sama złapała go za rękaw, kiedy się odwracał.

- Na litość boską, czy ty nie masz żadnej godności? Przeleciałem cię i było nam dobrze. Ale nie jesteś ani pierwsza, ani ostatnia.

Linnet ścisnęło w gardle.

- Dlaczego mówisz do mnie w ten sposób?
- Bo kiedy mówię inaczej, to mnie nie słuchasz - odpowiedział z wyraźnym niesmakiem. - Wiesz przecież, jaki jestem, Linnet. Świetnie się bawiliśmy, fikaliśmy, brykaliśmy, nazwij to sobie jak chcesz. Ale nigdy nie obiecywałem ci małżeństwa.
- To prawda - przyznała, czując, że ogarnia ją fala zimna. - Dałeś mi to jasno do zrozumienia.
- Powinienem cię odesłać od razu. Ale zostałeś i okazałaś się chętna do zabawy.

Linnet przełknęła ślinę.

- Dlatego, że byłam... chętna? - Chyba rzeczywiście była taka sama jak matka, przynajmniej w oczach Piersa. - Tylko dlatego?
  - Poza tym jesteś cholernie piękna - dodał, przeczesując włosy do tyłu. - Ale tak, byłaś chętna. Następnym razem w podobnej sytuacji powinnaś wykazać więcej opanowania.
- Serce ścisnęło się jej i stwardniało jak kamień.
- Słuchaj, muszę już iść. Powinienem się trochę przespać. Mamy z Sebastienem cały zamek pacjentów, a Bitts już leży, co oznacza, że pozostali dwaj też mogą w każdej chwili zachorować.
  - Mogłabym - zaczęła, ale słowa zamarły jej w krtani.
  - Idź - powtórzył ze znużeniem. - Nic nie możesz pomóc. Jesteś tu niepotrzebna.

- A ty mnie nie chcesz - powiedziała to na głos, dla potwierdzenia.
  - Jeśli chodzi o pożądanie seksualne, to owszem, tak. Z taką urodą i ogólnym entuzjazmem każdy mężczyzna cię zechce. Ale jako żonę, na całe życie, póki śmierć nas nie rozłączy? Nie I nigdy cię nie zechcę.
- Spoglądał na nią z życzliwością i to było najgorsze ze wszystkiego.<sup>3</sup>
- Nie chcesz się przyznać, że mnie kochasz, bo wtedy musiałbyś wziąć na siebie odpowiedzialność za to, czy jesteś nieszczęśliwy, czy szczęśliwy - odparła wojowniczo, zadzierając podbródek
  - Co takiego?
  - To, co słyszałeś - odpowiedziała. - Gdybyś się ze mną ożenił, gdybyś przyznał się do swoich uczuć, okazałoby się, że jesteś nieszczęśliwy z wyboru, a nie z konieczności.
  - Bzdura.
  - Kocham cię. I nie boję się tego powiedzieć. Pragnę cię
  - Ja nie...
  - Widzę - ucieła i odsunęła się od niego. Podeszła do okna - Mam nadzieję, że wszystko pójdzie po waszej myśli.
  - Na pewno - mruknął. Wydawało jej się, że słyszy ból w jego głosie, ale kiedy się odwróciła, miał twarz zaciętą, twardą.
- Zatrzymała się ostatni raz, bo była upartą kobietą.
- Będę na ciebie czekać w Londynie - powiedziała. - Przez jakiś czas. Na wypadek gdybyś zmienił zdanie.
  - Czy ty naprawdę nie masz poczucia godności? - zapytał - Jesteś równie żenująca jak mój ojciec.
  - Nie wstyd mi, bo robię to dla ciebie - odparła. - Bo cie kocham.
- Nie usłyszała odpowiedzi i zresztą nie spodziewała się jej Przełożyła nogę przez parapet.
- Wsiądź do tego powozu - odezwał się, wskazując gestem dużą karetę po prawej stronie. Konie niecierpliwiły się i parskaly. - Sądząc po herbie, należy do księcia.
  - Do widzenia - odpowiedziała. - Niech cię Bóg błogosławi.

Odeszła, zanim usłyszała odpowiedź, bo i tak Piers nie powiedziałby tego, co chciała. Poza tym oślepiały ją łzy.

## 26

Robert pomógł Marguerite zejść, a potem sam zeskoczył na ziemię, ale ona nawet nie drgnęła. Stała jak zaklęta i słuchała głosu Piersa, dochodzącego z salonu nad nimi.

- Chodźmy - powiedział cicho książę, ujmując ją za rękę. Pociągnął ją za sobą w chwili, gdy ich syn powiedział obojętnie:

- Nie chcę się z tobą żenić

- Jest taki głupi - szepnęła Marguerite. - Taki głupi. Linnet idealnie do niego pasuje. Nigdy nie spotka kogoś takiego jak ona.

Ale Robert pociągnął ją za sobą ścieżką do domku strażnika, słuchając w milczeniu, gdy mówiła o tym, co od dawna już wiedział: że Piers koniecznie chce być coraz bardziej nieszczęśliwy. Ze nie potrafi przyjąć uczucia kobiety, którą ewidentnie kocha i która kocha jego.

Ucichła dopiero, gdy znaleźli się w saloniku niewielkiego domku. Pomieszczenie nie przypominało mieszkania służby, tylko wiejski domek jakiegoś dżentelmena, tyle że w miniaturze. Na ścianach wisały obrazy, meble zdobiły barwne obicia, a kanapę przed kominkiem ktoś okrył szkarłatną kapą.

- Dziwne - powiedziała Marguerite, rozglądając się po pokoju. - Z zewnątrz wygląda raczej prostacko, a w środku jest tak uroczo. Popatrz na tę sofę. W zeszłym tygodniu widziałam ją chyba w salonie, prawda?

Robert domyślał się, dlaczego w domku urządzono przytulne gniazdko, ale wolał nie dzielić się tą wiedzą z matką Piersa.

- Możesz już iść, Robercie - powiedziała, otwierając drzwi do sypialni i zaglądając do środka. - Będzie mi tu bardzo wygodnie.

Służba się mną zajmie, a jeśli Pierś zachoruje, na pewno o niego zadbam. Możesz na mnie liczyć.

- Jak zawsze - odpowiedział, stając za nią.

Spojrzała z uśmiechem przez ramię. Pocałował ją tylko raz, w bibliotece, bo bał się, że go odepchnie na zawsze.

Ale często rozmawiali o minionych latach, o tym, jak powoli wynurzał się z oparów opium i jak zrozumiał, że stracił całą swoją rodzinę. O samotnych latach, które rozjaśniała tylko świadomość, że Marguerite zapewnia ich synowi najlepszą możliwą opiekę.

- To prawda - zgodziła się z nim spokojnie.

- A co będzie, jeśli ty sama zachorujesz? - objął ją od tyłu i pocałował w policzek. - Co wtedy?

Ku jego niezmiernemu zadowoleniu nie odsunęła się od niego.

- Nic mi nie będzie - odpowiedziała z niezachwianą pewnością siebie, tak samo jak Pierś. - Ja nigdy nie choruję.

- Pamiętam, że bywało inaczej.

- Nigdy!

- A kiedy byłaś w ciąży z naszym synem? Zapomniałaś już, jak wtedy chorowałaś?

Zaśmiała się na wspomnienie i oparła się o niego.

- Och, jakże ja nienawidziłam tej okropnej zielonej miednicy, którą trzymaliśmy w sypialni! Wyrzuciłam ją po jego urodzeniu.

- Więc jednak byłem przy tobie, kiedy chorowałaś. Objął ją mocniej i odważył się pocałować w ucho.

- Opiekowałem się tobą wtedy, pamiętasz? Kiedy chorowałaś w środku nocy. Zostanę tu, żeby się tobą zająć, jeśli zdarzy się najgorsze. A jeśli Pierś zachoruje, będziemy oboje u jego boku.

- Bez sensu - odpowiedziała, wysuwając się z jego objęć. Odwróciła się. - Co ty opowiadasz, Robercie?

Serce biło mu mocniej za każdym razem, kiedy wypowiadała jego imię z tym uroczym francuskim akcentem.

- Ze cię tu nie zostawię - odparł spokojnie. Ściągnęła brwi.

- Robisz głupstwo.

- Nie.

- Głupstwo - powtórzyła z naciskiem.

Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, a potem oświadczył z pełnym przekonaniem:

- Już nigdy cię nie zostawię.

- Co ty wygadujesz, do licha!

- Jeśli mnie stąd wyrzucisz, będę spał na ścieżce, na dworze. Jeśli wrócisz do Europy beze mnie, pojedę za tobą.

Zbuduję sobie szałas przy twojej bramie, będę spał pod twoim oknem, będę czekał na ciebie pod drzwiami.

Zasłoniła dłonią usta. Spomiędzy palców doszedł go cichy śmiech.

- Ty chyba straciłeś rozum, Robercie! Pokręcił głową.

- Wręcz przeciwnie, właśnie go odnalazłem. Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Nawet kiedy byłem oszołomiony, nawet w narkotykowych snach wiedziałem tylko jedno: że cię kocham.

- Szkoda, że zapomniałeś o uczuciach tego dnia, kiedy Piers nieoczekiwanie wbiegł do twojego gabinetu... - W jej głosie nie było surowości.

- Zawsze, do ostatniego tchu, będę błagał Piersa o wybaczenie. Ale Marguerite... W tej chwili nie o nim chcę rozmawiać. Jest dorosłym, wspaniałym mężczyzną, wyłącznie dzięki twojej opiece. Ale jesteś nie tylko jego matką. Jesteś moją żoną, jedyną kobietą, którą kiedykolwiek chciałem poślubić, moją ukochaną żoną. Kiedy wywiozłaś Piersa do Francji, zachowałem się jak idiota. Miałaś rację, że wyjechałaś.

- Byłeś *un idiot* - stwierdziła. Ale w jej oczach lśniła zachęta, by mówił dalej.

- Nikt nie będzie cię kochał tak jak ja - powiedział, unosząc jej dłonie do warg. - Nikt nigdy nie kochał cię tak jak ja. Jesteś moim sercem i moim życiem, Marguerite.

W kącikach jej ust igrał uroczy, kobiecy uśmiezek.

- Pozwól mi wrócić do ciebie.

Jego słowa zawisły w powietrzu, odbiły się echem od ścian domku.

- To, co zrobiłeś, jest niewybaczalne - powiedziała w końcu. -Wszyscy moi znajomi tak mówią.
  - Mają rację. Nie wybacza mi. Tylko... tylko pozwól mi wrócić. Zaciśnął mocniej palce na jej dłoniach.
  - A jeśli się nie zgodzę?
  - Opuścę ten dom.
  - I co dalej?
  - Nie pozwolę, żebyś została tu sama. Będę czekał na zewnątrz, na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała. Będę przejmował jedzenie od służby, żebyś się nie zaraziła.
  - Mógłbyś wtedy sam się zarazić - powiedziała miękko.
  - Z radością umrę dla ciebie w jednej chwili.
- Nadzieja wybuchła w jego sercu i wsączyła się w krwiobieg falą radości, strachu i pożądania.
- Marguerite podeszła o krok, uwolniła dłonie i objęła go za szyję, jakby stworzona, by zamknąć ją w objęciach.
- Zawsze tak było.
- Możesz zostać.
- Przytulił ją mocniej, dotknął policzkiem jej włosów i zamknął oczy.
- *Mon amour.*
  - Ale nie jestem pewna, czy chciałabym jeszcze raz za ciebie wyjść - dodała.
  - Nie zależy mi na tym. Możemy przez resztę życia tkwić w grzechu.
- Usłyszał gardłowy śmiech.
- Jestem przecież Francuzką. A my jesteśmy bardzo praktyczne.
  - Praktyczne i zachwycające - szepnął, powoli zsuwając dłoń w dół jej szczupłych pleców.
  - A jeśli to opium uszkodziło cię nieodwracalnie? Odsunął się i spojrzał na nią.
  - Ja nie...
- Uśmiechnęła się przekornie i popatrzyła na łóżko.
- Prawdziwa Francuzka nigdy nie przyjmuje najważniejszych rzeczy na wiarę.

Niebotycznie szczęśliwy Robert wziął swą byłą żonę - nie, po prostu swą żonę - w ramiona i przestąpił z nią próg sypialni.

- Z wielką przyjemnością upewnię cię co do tego. Wyprostował się, słysząc jej śmiech.

- Sprawdzę tylko, czy Linnet jest już w powozie, i wrócę tu tak szybko, że cała służba uzna mnie za wariata.

- Naprawdę wariat z ciebie - Marguerite chichotała jak pensjonarka.

- Właśnie że nie - odpowiedział schylając się, żeby ją pocałować. - Wreszcie jestem normalny. Po raz pierwszy od wielu lat.

## 27

Bardzo przepraszam - powiedział księżę Windebank do Linnet, gdy zobaczył, że łąka, wtulona w poduszki powozu. - Jest mi niezmiernie przykro, że panią tu przywiozłem, panno Thrynne.

- Linnet - wykrztusiła. - W końcu jesteśmy prawie rodziną. Ma pan może chusteczkę, milordzie? Moja jest całkiem mokra.

- Mój syn jest trudnym człowiekiem - odpowiedział, podając jej solidny kawałek haftowanego płótna ze swoimi inicjałami.

- Jest taki... głupi - poprawiła łamiącym się głosem.

- To prawda.

- Przecież mnie kocha, dobrze o tym wiem, a upiera się, że się ze mną nie ożeni. Że w ogóle nie chce się zenić.

Księżę milczał.

Linnet wydmuchała nos.

- Może jeszcze zmieni zdanie.

Z oczu księcia odczytała odpowiedź.

- Nie zmieni, prawda? - Łzy znowu pociekły jej po policzkach.

- Och, moja kochana, jakże chętnie udzieliłbym ci innej odpowiedzi.

- Rozumiem - zatkała. - Czy możemy już jechać? Zawahał się.

Natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi.

- Wasza Wysokość chce zostać z księżną, to znaczy z lady Bernaise, prawda?

- Nie mogę jej zostawić - odpowiedział cicho. W jego oczach lśniła spokojna pewność siebie, taka sama jak u jego syna. - Piersa też nie zostawię. Mimo wszystkich moich występków, są moją rodziną i zawsze nią będą.

Linnet nieelegancko pociągnęła nosem.

- Zrobiłabym to samo. Proszę się o mnie nie martwić. Dam sobie radę.

- Przepraszam za wszystko - odpowiedział książe. - Serdecznie, głęboko przepraszam. Powóz zabierze panią do wsi, gdzie czeka służba i pani pokojówka. Nie możemy dłużej zwlekać, bo poleciłem im ruszyć bez nas, jeśli nie pojawimy się przed wieczorem. Chcę, żebyście wszyscy znaleźli się jak najdalej od tej epidemii.

- Jestem gotowa do drogi - odparła Linnet z czkawką.

- Przykro mi, że czeka panią samotna podróż do Londynu. Zmusiła się do uśmiechu.

- Przyzwyczyłam się do samotności.

- Och. - Książe poczuł się jeszcze gorzej, o ile to było możliwe.

- Proszę nie zwracać na mnie uwagi - odparła z bladym uśmiechem. - Po prostu rozczulam się nad sobą. Zakochałam się w tym pańskim okropnym synu. I to beznadziejnie. Teraz muszę jakoś urządzić sobie życie bez niego. Jakoś sobie poradzę.

Choć na razie wydawało jej się to niewyobrażalne. Na samą myśl ból ścisnął jej serce.

- Nie będzie łatwo - powiedział książe i poklepał ją po kolanie. - Ale jeśli mnie się udało, to i ty sobie poradzisz.

- Może kiedy skończę sześćdziesiątkę - powiedziała z uśmiechem - przyjadę do Walii i zmuszę Piersa, żeby zamieszkał ze mną w domku strażnika na tydzień albo dwa.



- Koniecznie - odpowiedział książę. - Będzie mi lżej z nadzieją, że kiedyś wyciągniesz go w końcu z tego zamku.  
- Jeśli mu pan to powie, to po sześćdziesiątce nie będę miała tu nic do roboty - odparła szczerze.  
- Wiem. Nie wspomnę mu o tobie ani słowem. Gdybym wiedział, jak bardzo mnie nienawidzi, nie sprawiłbym ci takiego cierpienia. Głęboko nad tym boleję.

- Nie spotkałabym wtedy Piersa - stwierdziła i znowu otarła oczy. - Wyjeżdżam ze złamanym sercem.  
Uściskał jej kolano.

- Jesteś wspaniałą kobietą, wiesz?

Uśmiechnęła się nieśmiało, bez śladu rodzinnego uroku.

- Dziękuję. Życzę szczęścia Waszej Wysokości.

Brwi księcia podjechały do góry w identycznym grymasie jak u jego syna.

- Dziękuję. - Uchylił drzwiczki powozu. - Odwiedzę cię zaraz po powrocie do Londynu.

- Pewnie nie sam - powiedziała.

Zatrzymał się na moment na schodkach. Ledwie dotarła do niej odpowiedź, gdy zeskakiwał na ziemię.

- Mam nadzieję, że nie.

Zamknął za sobą drzwi. Rozległy się męskie głosy, a potem powóz ruszył przed siebie, coraz dalej od zamku, coraz dalej od oceanu i morskiego basenu, od Kibblesa i Bittsa, Prufrocka i pacjentów. Coraz dalej od Piersa.

Upuściła chusteczkę na podłogę. Od płaczu rozboleła ją głowa. Co za przeszywający ból. Nie mogła uwierzyć, że ten dzień jeszcze się nie skończył. Że właśnie jedzie powozem, a nie zasypia w swoim łóżku. Z trudem wyobrażała sobie drogę do Londynu, dzień za dniem w tym pudle.

Po chwili położyła się na miękkim siedzeniu, wpatrując się w rozkołysany sufit. Było jej niewygodnie. Chyba nadwyrężyła sobie szyję i plecy przy pływaniu. W końcu zamknęła oczy i pozwoliła, by łagodne kołysanie powozu zabrało ją daleko od szorstkich słów Piersa, choć wciąż powracały echem w jej śnie.

*W sześć dni później*

Umiera - powiedział Pierś, czując ukłucie bólu, które zawsze mu towarzyszyło w takich chwilach. Spojrzał na zażywnego sześćdziesięciolatka.

- Za każdym razem, gdy mu podaję wodę, wycieka mu z ust - odezwał się pielęgniarz.

- Zadbaj o niego najlepiej, jak się da - poprosił Pierś, ruszając korytarzem. - Możliwe, że przekrwione oczy to oznaka nadchodzącego końca.

- Wygląda jak łasica - przyznał Sébastien, opierając się o ścianę.

- Idź spać - poprosił go Pierś. - Całą noc byłeś na nogach. Jak tak dalej pójdzie, będziesz do niczego. Poza tym przynajmniej od dwóch godzin nie przywieziono nam nikogo nowego.

Jakby w odpowiedzi, ktoś załomotał do drzwi. Sébastien zaśmiał się sucho.

- Jak tam Bitts?

- Przyspieszony puls, ale gorączka ustąpiła. Powiedziałem jego służącemu, że może dać mu dzisiaj trochę bulionu. Najgorsze już za nim.

Sébastien odepchnął się od ściany.

- Mam wrażenie, że epidemia wygasa.

- To by było logiczne - odpowiedział Pierś. - Nakazaliśmy przecież izolowanie chorych. Dzięki Bogu, że ograniczyła się tylko do miejsc, które odwiedził ten młynarz.

- Idę spać - stwierdził kuzyn i przerwał na moment. - Wiesz, że twój ojciec wciąż tu jest?

Pierś gwałtownie poderwał głowę.

- Co takiego?

- Zamieszkał w domu strażnika, razem z twoją matką. Wczoraj wyszedłem się przewietrzyć. Siedzieli w ogrodzie. Pomachałem im, ale naturalnie nie zbliżałem się.

- Naprawdę? - Pierś był tak zmęczony, że czuł, jakby miał watę zamiast mózgu. - Zamieszkali razem w domku strażnika? - Na samą myśl o tym miejscu bolało go serce, jakby chciało pęknąć.
- Pewnie niedługo będziemy mieli nową księżną - potwierdził pogodnie Sébastien. - Twój ojciec obejmował ją ramieniem. Słodki obrazek.
- Zaraz! To znaczy, że wyprawił Linnet samą, bez żadnej eskorty - stwierdził Pierś, czując nagły przypływ gniewu. - Wysłał ją do Londynu zupełnie samą!  
Sébastien zmarszczył brwi.
- Nie licząc tłumu lokajów, panien służących i konnych. Razem trzy powozy ludzi. Na litość boską, Pierś, przecież to ty ją wyrzuciłeś. Zapomnij o niej. Nic jej się nie stało. Pomyśl, że twoja matka przyjechała tu sama aż z Andaluzji. Linnet była sto razy bardziej zagrożona niż jego matka. Ale Pierś ugryzł się w język i nic nie powiedział. U szczytu schodów pojawił się Kibbles.
- Jeden z nowych pacjentów kiepsko rokuje. Wioskowy lekarz przystawił mu pijawki.
- Weź się w garść - nakazał kuzynowi Sébastien chrapliwym ze zmęczenia głosem. - Linnet wyjechała. To już przeszłość.
- Idź wreszcie spać - warknął Pierś i odprawił go gestem dłoni. Odwrócił się do Kibblesa.
- Wydawało mi się, że tłumaczyliśmy, jak należy opiekować się chorymi.
- Żona mówi, że słyszeli o izolowaniu chorych, ale nie o sposobach leczenia.
- W której to było wiosce?
- Llanddowll.
- Mamy stamtąd troje pacjentów. Poślij tam Neythena, konno. Dobrze dogaduje się z ludźmi, traktują go jak swojego. Niech spróbuje przekonać tamtego konowała. A jeśli mu się nie uda, niech da mu w łeb i przywiezie tu do nas. Wsadzimy go do lochu.  
Kibbles pokręcił głową.

- Neythen zachorował, ale na łagodną odmianę. Jest w zachodnim skrzydle. Myślę, że Prufrock nie ma wolnych ludzi.

- W takim razie wioskowi muszą radzić sobie sami - odpowiedział Pierś ze znużeniem. - Zaprowadź mnie do pacjenta.

- Pan Connah ma bardzo wysoką gorączkę i słaby puls - objaśniał Kibbles w chwilę później, stojąc przy łóżku chorego.

- Gardło?

- Ciemna wysypka. Skóra łuszczy się do tego stopnia - Kibbles przekreślił rękę pacjenta - że zeszyły mu paznokcie. Pierś popatrzył na chorego. Mężczyzna miał zamknięte oczy, oddychał płytko i ciężko.

- Od jak dawna choruje? - Pierś spytał jego żonę.

- Szósty dzień - odpowiedziała. Stała obok łóżka, załamując ręce. - To się stało bardzo nagle. Położyliśmy go w osobnym pokoju, tak jak mówił pastor. Odesłałam dzieci z domu.

- Prawdopodobnie uratowała im pani życie - mruknął Pierś.

- A co z mężem? Co z moim Barrisem?

Uznał, że najlepiej będzie powiedzieć jej to wprost.

- Prawdopodobnie nie przeżyje. Oczywiście jest jakaś szansa. Jest silny, będziemy o niego walczyć. Wszystko okaże się jutro.

Zacisnęła dłoń na słupku łóżka.

- Czy przeżyłby, gdybym go tu wcześniej przywiozła, jak miał gorączkę? Proszę mi powiedzieć.

- Nie. - Pierś spojrzał jej prosto w oczy. - Przebieg choroby jest zawsze niezmienny. Nie potrafimy przewidzieć, kto przeżyje, a kto umrze.

- Czy to przez pijawki? Nie chciałam ich, ale doktor się uparł. Przyjechał aż z sąsiedniej wsi i wydawało mi się, że gdybyśmy odesłali go z niczym, byłoby to stratą jego czasu. Przyłożył je na gardle, tam gdzie męża najbardziej bolało, żeby wyssały zakażoną krew. Tak mówił.

- Żaden zabieg nic tu nie pomoże ani nie zaszkodzi. Jeden Bóg wie, kiedy przychodzi czas, żeby umrzeć.

- Bóg - szepnęła. - To prawda. Barris co niedzielę chodził do kościoła i zawsze pomagał biedniejszym od nas. Nawet jeśli umrze.

Pierś poczekał, aż kobieta weźmie się w garść.

- Nawet jeśli umrze, przeżył dobre życie. Kochał dzieci. I mnie. Jak tylko zachorował, powiedział mi to. Przeżyliśmy ze sobą dwanaście lat.

- Byliście szczęśliwi? - spytał Pierś.

- Czasem bywało ciężko, ale tak, byliśmy szczęśliwi - odpowiedziała przez łzy, które kapały jej na rękę. - To dobry człowiek. Naprawdę dobry człowiek.

- Więc macie powód do dumy - odpowiedział Pierś. - Wasze dzieci też.

W korytarzu powiedział ze znużeniem:

- Niech pielęgniarz podaje mu jak najwięcej wody. Poproście żonę o pomoc. Trzeba go schłodzić. Spróbujcie zawijania w mokre prześcieradła. Nie wydaje mi się, żeby ten słód coś pomagał, tylko śmierdzi jak cholera, więc dajmy sobie z nim spokój.

- Dlaczego jej nie powiedziałeś? - spytał Kibbles. - Że mogła postąpić inaczej? Nie straciliśmy ani jednego pacjenta spośród tych, którzy zjawili się tu odpowiednio wcześniej. Powinno się tłumaczyć ludziom takie rzeczy, żeby wiedzieli, że szkarlatynę da się pokonać. - Był wyczerpany, ale w jego głosie brzmiała duma.

- Musiałaby z tym żyć - odparł Pierś, odwracając się, by odejść. - I tak będzie żyła wspomnieniami. Jak na jedną kobietę to wystarczy.

- A po co wspominałeś jej o Bogu? - pytał dalej Kibbles, biegnąc w ślad za nim. - Nigdy czegoś takiego nie mówiłeś.

- Obserwuj ludzi, ty baranie - warknął Pierś. - Tłumaczę ci to bez przerwy. Miała krzyżyk na szyi.

- Pozostałych dwóch pacjentów jest w niezłym stanie. Powinieneś też się przespać.

- Właśnie wysłałem markiza na odpoczynek.

- Obaj z Pendersem przespaliśmy po pięć godzin. Wiemy, jak postępować. Damy sobie radę. Idź spać.

- Jesteś najlepszy z nich wszystkich. - Pierś zlustrował go wzrokiem. - Słuchasz, co się do ciebie mówi.

- Więc mi zaufaj i idź spać.

- Tylko zajrzę do Neythena. Zachorował ktoś jeszcze ze służby?

- Nikt, od czasu tych dwóch pokojówek parę dni temu. Wydaje mi się, że mycie rąk skutkuje.

Neythen spał, więc Pierś nawet nie wszedł do pokoju. Od drzwi było widać, że choroba ma łagodny przebieg. Twarz i ramiona przybrały równomierną, czerwoną barwę, co oznaczało w miarę szybką rekonwalescencję.

Potem poszedł do siebie, chwiejąc się ze zmęczenia. Opierał się mocno na lasce, jakby była trzecią nogą.

Jego kamerdyner zajrzał do pokoju w czasie jego nieobecności, bo prześcielił łóżko i przyniósł zimny posiłek. Pierś resztką sił zzuł buty i padł w chłodną pościel.

Natychmiast przyśnił mu się ten sen - jak co noc od chwili jej wyjazdu.

Roześmiana Linnet ściągnęła koszulkę, tak jak ostatniego dnia, gdy byli razem. Stała na skale nad basenem. Oczy jej błyszczały, a słońce opromieniało jej piękną sylwetkę jak anielską postać.

Zamachał do niej ręką. Schodził ścieżką, za chwilę miał ściągnąć ubranie i przyłączyć się do niej...

I nagle spostrzegł błysk zębów pod wodą. Niebezpieczeństwo.

Jakieś stworzenie czaiło się na nią w basenie, głodne i mordercze.

Krzyknął, ale go nie słyszała. Ruszył biegiem w jej stronę, ale nie mógł biec. Nogę przeszył ból, ale nie poddawał się, wymachiwał laską, odpychał się od ziemi, rozpaczliwie walczył, by do niej dotrzeć na czas.

Linnet pomachała mu ręką, a potem skoczyła do lodowatej wody z tą swoją szaloną radością, bez krzty lęku, tak jak pierwszego dnia, kiedy nawet nie umiała unosić się na powierzchni.

Obudził się roztrzęsiony. Serce waliło mu jak młotem, na twarzy perlił się pot. Przez dobrych pięć minut nie potrafił zebrać myśli, po prostu leżał, wpatrując się w sufit, tłumacząc sobie, że

przecież Linnet jest w drodze do Londynu, całkowicie bezpieczna. Służba ojca jest lojalna i godna zaufania. Sam się przecież przekonał, że książe doskonale potrafi dobierać pracowników. Bez wahania powierzyłby Prufrockowi własne życie.

Ten sen jest prawdopodobnie wynikiem epidemii. Wyobraźnia szaleje z powodu warunków panujących w zamku. Z powodu szkarlatyny. Z powodu jego głupoty.

A jednak, nawet gdy się uspokoił, coś go popychało do działania. Coś, czego nie potrafił sobie skojarzyć, coś związanego z Linnet. Na pewno nikt mu o niej nie wspominał. Od jej wyjazdu wszyscy o niej zapomnieli, jakby nigdy nie istniała.

Nawet Sébastien wygnał ją ze swoich myśli.

Tylko on o niej myślał, co pięć minut albo i częściej. Pochylał się nad pacjentem i zamiast złuszczonej skóry widział jej delikatną dłoń. Kiedyś siostra Matylda zawołała go po imieniu, a on odwrócił się jak fryga, bo myślał, że to Linnet.

To, że pomylił ich głosy, było niezbitą oznaką zbliżającego się obłądu.

Co to było? Co powinien sobie przypomnieć? Miał to w zasięgu ręki, a wciąż mu umykało. Coś o tańcu... co za bzdura. Przecież nigdy w życiu nie tańczył.

W końcu odwrócił się i znowu zasnął.

## 29

Leżenie na plecach sprawiało ból nie do wytrzymania, więc Linnet ułożyła się na boku, ale niewiele jej to pomogło. Przewróciła się na plecy i zaplątała w koce. Przykryli ją kocami. Mnóstwem koców.

- Wody - szepnęła, słysząc czyjś głos.

Podniosła wzrok na potężnie zbudowaną postać majaczącą wysoko ponad nią. Ten ktoś pochylił się i ujął przegub jej dłoni.

Patrzyła na własną rękę z fascynacją i przerażeniem. Skóra... to, co się z nią stało, było okropne. Obrzydliwe.

- Naturalnie, mogliśmy ją odwiedzić z powrotem do zamku - dobiegł ją głos skądś... z okolicy jej stóp. - Ale prawdę mówiąc, pan Sordido uznał, że szkoda pieniędzy. Nie wiemy przecież, kto to jest. Zajmuję się nią na własny koszt, doktorze. Na mój własny koszt.

- Zamek - zachrypiała. Ale chyba jej nie słyszeli. Gardło bolało ją niemiłosiernie, a język jakby nie mieścił się w ustach.

- Wody - spróbowała znowu.

Mężczyzna, który trzymał przegub jej dłoni, puścił go i wyprostował się.

- Nie przeżyłaby podróży, pani Sordido - powiedział. - Obawiam się, że to najgorsza odmiana choroby. Oczy ma otwarte, ale wyraźnie nie jest przy zdrowych zmysłach, *compos mentis*. Pewnie patrzy już na drugą stronę.

- Ale chyba ma mniejszą gorączkę.

- Przekonałem się, że ta gorączka przychodzi i odchodzi. Może kiedy już będzie po wszystkim, napiszę o tym traktat. Całkiem poważnie o tym myślę.

- Koniecznie, doktorze. Na pewno bardzo by pomógł ludziom.

- To będzie traktat o chorobach gorączkowych - zapowiedział doktor. - A w podtytule może coś takiego: *Gorączki nawracające, przerywane i ciągłe, oraz upławy*. Napiszę, że odnieśliśmy umiarkowany sukces, stosując pijawki w zatrutych miejscach, a ponadto rabarbar jako środek przeczyszczający.

Pani Sordido westchnęła z aprobatą.

- Czy są jakieś wiadomości od księcia? - spytał lekarz. - Bo to był książęcy pojazd, prawda?

- Tak by wskazywały herby na drzwiczkach. Posłaliśmy człowieka do Londynu, pewnie wróci za jakiś czas. Szkoda tego stangreta.

- Pochowaliście go, prawda?

- Nie wrócił do przytomności po tej pierwszej nocy. Rzucił się w gorączce, mającąc, że jest w Londynie.

Pochowaliśmy go od razu. Pan Sordido nie widział sensu, by z tym zwlekać.



- Ta kobieta to na pewno nie dama - stwierdził doktor z namysłem. - Podróżowała bez służącej i bez bagażu. Popatrzcie tylko na tę koszulkę. To na pewno jakaś służąca albo pokojowa. Dobra z pani kobieta, pani Sordido. Zajął się nią, choć większość oberżystek wyrzuciłaby ją na bruk.
- Nikomu tu nie przeszkadza. To stary, niepotrzebny kurnik - odparła skromnie pani Sordido. - Służąca daje jej wodę rano i wieczorem, zgodnie z pana zaleceniem, doktorze.
- Smród kurczaków na pewno jej nie przeszkadza - stwierdził mężczyzna. - Chorzy sami cuchną.
- Strasznie spuchła, prawda? - spytała pani Sordido. - Co jej wypływa z ucha, doktorze?
- Twarz lekarza zamajaczyła nad Linnet.
- Skażony płyn - powiedział, prostując się szybko. - Tu nic się nie da zrobić, pani Sordido. Wypełniła pani swój chrześcijański obowiązek wobec tych biednych podróżnych.
- Wyjdźmy na świeże powietrze, doktorze. - Echo kroków pani Sordido stąpającej po drewnianej podłodze oddaliło się w stronę drzwi. Podniósł się kurz, a po chwili zaczął opadać przed oczami Linnet jak pyłek ze skrzydeł wróżki. Lekarz wyprostował się i również ruszył do wyjścia.
- Książę na pewno nagrodzi panią za troskę.
- Tak, ale pan Sordido wcale nie jest zadowolony, że ją tu trzymam ani że chodzimy razem do tego kurnika. Ale powiedziałam mu, że musi pan ją jeszcze raz obejrzeć, bo nie chcę mieć jej śmierci na sumieniu.
- Bardzo dobrze pani postąpiła, bez wątpienia. Ale tu cuchnie, prawda?
- Nie! - Linnet udało się prawie usiąść. - Błagam, nie! Widziała jak przez mgłę, że pani Sordido zatrzymała się w progu.
- Co się z nią teraz dzieje, doktorze?
- Pewnie agonizuje - odpowiedział, spoglądając przez ramię. - Chodźmy stąd. Próbowaliśmy wszystkiego, co w ludzkiej mocy;

niestety, ona za chwilę odda ducha Bogu. Szczerze mówiąc, powinna pani powiadomić pastora.

- Och, nie będę wzywać pastora dla takiej... - Głos ucichł.

Drżąc na całym ciele, Linnet dotknęła twarzy dłonią, która ledwie zamajaczyła jej przed oczyma. Od jak dawna tu leży? Wydało jej się, że od długich tygodni... albo od miesięcy.

Powoli, bardzo powoli przesunęła dłoń w stronę szklanki stojącej obok siennika i przyłożyła ją do warg. Płyn spłynął jej do warg, chłodny i cudowny. Ale w chwilę później uświadomiła sobie, że zapomniała przełknąć i ma teraz mokną szyję. Spróbowała jeszcze raz i woda wpadła jej do nosa. Na policzku zalśniła łza.

Czuła, że za chwilę powróci gorączka. Woda, pomyślała. Tym razem udało jej się przełknąć. Ale kiedy odstawiała szklankę, przewróciła ją na bok i reszta płynu wylała się na podłogę.

Nie ma wody. Nie ma wody. Słowa dzwoniły jej w głowie w rytm uderzeń serca.

Straszliwy żar powracał, wciągając ją w gorączkowy wir, w którym nic już nie było słychać ani widać. Ale woda...

Powierzchnia basenu mieniła się błękitem, chłodna i zapraszająca. Obok stał Pierś, a jego szczupła, sardoniczna, ukochana twarz uśmiechała się do niej.

Zanim ogarnęła ją gorączka, posłała mu myśl pełną miłości, wspominając, jak dzielnie szedł przez życie pomimo cierpienia. Jego uśmiech. Błysk inteligencji w oczach.

On się nigdy się nie poddaje, pomyślała. Czarne punkciki zatańczyły jej przed oczami i przesłoniły widok poszarzałych ze starości desek prymitywnego posłania.

Potem napłynęła fala gorączki i Linnet zamknęła oczy.

*Następnego dnia*

Późnym rankiem stało się jasne, że epidemia wygasa. Do zamku dotarło tylko trzech nowych pacjentów, wszyscy w łagodnym stadium choroby.

Po raz pierwszy od wybuchu szkarlatyny Sébastien i Piers zrobili sobie prawdziwą przerwę na drugie śniadanie i usiedli w małym salonie, gdzie Prufrock podał pieczone kurczęta i wino.

- Wraca kultura - westchnął Piers. - Zaniósłeś posiłek moim rodzicom, Prufrock?

- Tak jest, milordzie - odparł majordomus. - Jego Wysokość odebrał naczynia, naturalnie, gdy oddaliłem się na bezpieczną odległość. - Odchrząknął i dodał: - Wyglądał na zadowolonego.

- Ma drań szczęście - odparł Piers. - Przebaczyła mu. - On także wybaczył ojcu. Takie jest życie. Przyszedł czas, żeby zapomnieć o gniewie na ojca i iść dalej, wprawdzie kulejąc, ale zawsze.

- Żyli długo i szczęśliwie - skomentował Sébastien, pociągając łyk wina. - Chryste, jak dobrze znowu być czystym. Myślałem, że nie wyjdę z tej wanny.

Prufrock podał Piersowi półmisek młodych, miękkich szparagów.

- Doktor Bitts wstał dziś z łóżka. Wciąż jest słaby, ale jego służący powtarzał, że już dopytuje się o pacjentów.

- Bitts - zadumał się Piers. - Nie najgorszy z niego lekarz, szczególnie dla wysoko urodzonych. Lepszy od Pendersa. Ten dureń przyszedł do mnie wczoraj z różanym naparem do przemywania języków pacjentów. Myślę, że to im nie zaszkodzi, ale raczej też nie pomoże.

- Moim zdaniem, najlepsi lekarze pochodzą ze szlachty -stwierdził Sébastien. - Chociażby my dwaj. - Uśmiechnął się. W jego zmęczonych oczach lśnił triumf. - Odwaliliśmy kawał świetnej roboty z tą szkarlatyną, Piers. A przy tej chorobie przecież niczego

się ludziom nie amputuje, więc to nie nasza specjalność. W każdym razie nie moja.

- My jesteśmy anomalią. - Pierś zakręcił winem w kieliszku, starając się nie myśleć o Linnet. Bez powodzenia zresztą, bo zapominał o niej na moment tylko podczas diagnozowania pacjentów. - Większość dżentelmenów, takich jak na przykład Bitts, najlepiej się czuje w sali balowej...

Przerwał.

Bitts... tańczący z Linnet, śmiejący się do niej. Pochylający się nad nią. Oddychający w jej stronę. Co wieczór, prawie co wieczór. Pierś wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

- Linnet!

Sébastien otworzył usta.

- Przecież ona tańczyła z Bittsem. Jestem kompletnym idiotą. Tańczyła z Bittsem wieczorem, zanim zachorował, a potem wyjechała, sama w powozie.

Krew odpłynęła mu z głowy; zrobiło mu się niedobrze.

- Gdzie ta cholerna laska!

Prufrock podskoczył i podniósł ją z podłogi. Sébastien również wstał, marszcząc czoło.

- Objawy u Bittsa pojawiły się następnego dnia - stwierdził Pierś chrapliwie. - Następnego dnia, Seb! Ona może teraz być gdziekolwiek. Chora. Może nawet...

Odwrócił się i odepchnął Prufrocka z drogi tak mocno, że tamten zatoczył się na kredens.

- Jadę jej szukać!

- Poczekaj! - krzyknął Sébastien. - Trzeba się zastanowić.

- Nie ma nad czym - odparł Pierś; panika płynęła w jego żyłach jak kulki rtęci. - Jadę za nią. Daj mi surdut, durniu - warknął na lokaja. - Prufrock, powóz. Najszybszy, jaki mamy. Dwukółkę.

- Nie wiesz przecież, gdzie ona jest - protestował Sébastien. - Ani którędy pojechała do Londynu. Nie pojedziesz przecież dwu-kółką do samego miasta.

- Spytam ojca o drogę. A jeśli umrze dlatego, że pozwolił jej jechać samej, to go zabiję.

- Pierś!

Nie zwracając uwagi na krzyki Sébastiena, zbiegł w dół ścieżką, uważnie stawiając laskę, żeby się nie przewrócić. Księżę wyszedł z domku i zbladł jak ściana, kiedy usłyszał, co się stało.

- Pojechali drogą do Swansea - wyjaśnił. - Poleciałem służbie czekać na nią w Llanddowll.

- W Llanddowll czy Llanddowrr? - dopytywał się Pierś. Księżę zbladł jeszcze bardziej.

- Wydaje mi się, że powiedziałem Llanddowll, ale nie jestem pewny.

- Llanddowrr wydaje się bardziej sensowne, bo jest przy drodze na północ, do Carmarthen. - Pierś zawrócił na pięcie i ruszył pod górę do zamku. Znowu przeżywał swój senny koszmar. Szedł wolno, za wolno, przez tę cholerną nogę. Nie zdąży, by ją uratować.

Powóz już czekał przed zamkiem, zaprzężony w czwórkę wypoczętych koni.

- Miała być dwukółka - warknął Pierś do Prufrocka, który czekał przy drzwiach.

Sébastien zbiegł po schodach.

- Przecież nie wiesz, gdzie ona jest. Jeśli złapała tę szkarlatynę od Bittsa - a przecież wcale nie jest to powiedziane - więc jeśli się zaraziła, to wczesne objawy wystąpiły pod koniec pierwszego dnia podróży. Albo nawet drugiego. Nie znajdziesz jej w pobliżu zamku, Pierś.

- Dlaczego? - warknął.

- Bo nie jest chora. Gdyby była, to służba natychmiast przywiozłaby ją z powrotem. Gdyby była zbyt chora, żeby ją przewieźć, przysłaliby konnego posłańca. Minęło już sześć dni. Nawet jeśli zachorowała drugiego dnia podróży, już byśmy o tym wiedzieli. Służba się nie pochorowała. Nie tańczyli przecież z Bittsem.

Pierś zatrzymał się z nogą na stopniu powozu.

- Wyjechała siedem dni temu, a nie sześć. Mogli odjechać daleko, zanim wystąpiły objawy. Niektórzy pacjenci...  
Aha, rozumiem.

Nie podstawiliście dwukółki, bo być może będę musiał dotrzeć aż do Londynu. Rozumiem.

Sébastien położył mu dłoń na ramieniu.

- Na pewno nie zachorowała, Pierś. Dojechali bezpiecznie do Londynu, i Linnet czeka tam na ciebie, cała i zdrowa.

- Tego nie wiesz na pewno - Pierś wskoczył do powozu.

- Nigdy nie będziesz wiedział, czy żyje, czy umarła, jeśli nie będzie stale przy tobie - stwierdził Sébastien logicznie, doprowadzając Piersa do szału tymi słowami.

Pierś rzucił się na siedzenie, a kuzyn podał mu przez drzwi jego lekarską torbę.

- Weź ją ze sobą, na wszelki wypadek. Są tam wszystkie maści, których używali nasi pielęgniarze, choć nie mam pojęcia, czy coś pomagają. Trochę słoju do zrobienia piany i buteleczka z różaną wodą Pendersa. Chcesz eskortę?

- Niech zostaną w domu - odparł Pierś. - Neythen jeszcze leży. Wystarczy mi Buller. - Położył torbę na siedzeniu obok.

- Jestem pewny, że Linnet ma się doskonale, ale jedź po nią - uśmiechnął się Sébastien. - Damy sobie radę bez ciebie.

- Nie po to jadę, baranie. Przecież ona może być chora - warknął Pierś.

- Jedziesz po nią, więc oszczędź sobie tych protestów - stwierdził kuzyn. - Wiedziałem, że tak się skończy. Nie dogonisz jej, ma zbyt dużą przewagę. Będziesz musiał się przed nią płaszczyć w Londynie.

- Nie zamierzam... - zaczął Pierś.

Sébastien wymierzył mu przyjaznego kuksańca, tak jak wtedy, gdy byli małymi chłopcami.

- Ja też ją lubię. Wszyscy chcemy ją mieć w rodzinie. A poza tym... ona należy do ciebie. To się po prostu czuje. Jest twoja.

- Jest moja - powtórzył Pierś, smakując te słowa. Pasowały jak ulał, czuł je w sercu. - Jest moja - potwierdził.

- Więc sprowadź ją do domu - uśmiechnął się Sébastien. Pierś postukał w sufit powozu.

- Odsuń się, Seb. Muszę... - Drzwi zamknęły się, zanim dokończył zdanie.
- Muszę odnaleźć żonę - powiedział na głos, choć powóz był pusty. - Muszę odnaleźć Linnet, przywieźć ją do domu i poślubić.

### **31**

Malutka wioska Llanddowrr drzemała, skąpana w popołudniowym słońcu. Pierś stanął w drzwiach gospody, usadowionej przy głównym trakcie, i zaczął wymachiwać laską jak wariat. Nigdzie nie było ani śladu chorych podróżnych... właściwie żadnych śladów szkarlatyny. Nikt nie wywiesił ostrzegawczych szkarłatnych szmat z okien, wszędzie panował spokój.

- Tak, słyszeliśmy o zarazie - powiedział oberżysta, spoglądając na niego z lękiem na samą myśl o chorobie. - Przejeżdżał tu tłum ludzi, cała służba księcia. Zatrzymali się na posiłek, a potem pognali przed siebie, byle dalej.
  - Służący księcia Windebank - potwierdził Pierś. - Zatrzymali się tutaj?
  - Prawie do wieczora.
  - Czy dołączyła do nich młoda dama w pojeździe z herbami księcia?
- Oberżysta na moment przymknął oczy.
- Trudno powiedzieć. Były trzy powozy, a my razem z żoną przygotowaliśmy jedzenie dla wszystkich podróżnych. Było ich czternaścioro. Wszyscy weszli razem do głównej sali.
  - Wszyscy razem - powtórzył Pierś. - A młoda dama? Miała do nich dołączyć późnym popołudniem.
  - Nic o tym nie wiem, może nie chciała nic do jedzenia. Pierś pomyślał o Linnet, o jej zrozpaczonej twarzy na chwilę przed rozstaniem.
  - Najprawdopodobniej nie miała apetytu.

- Zapytam chłopaka od koni - powiedział oberżysta, wychodząc zza lady. - On będzie najlepiej wiedział, czy zajechał tu czwarty powóz. Z tego, co wiem, wszyscy bardzo się denerwowali i powtarzali, że księżę polecił im ruszać w drogę, jeśli on nie dołączy do nich przed wieczorem.

- Przecież chyba czekali na niego do skutku. - Pierś z całej siły starał się zapanować nad głosem.

Nie najlepiej mu się to udało, bo oberżysta nerwowo obejrzał się za niego, zanim wyszedł za drzwi i zawołał:

- Daw! Daw, gdzie jesteś, do ciężkiej cholery?

Daw właśnie zajmował się końmi Piersa, wycierał je i plotkował przy tym z Bullerem. Podskoczył, słysząc wrzaski oberżysty.

- Czy jakaś młoda dama zajechała w powozie i dołączyła do tych trzech, w których podróżowali służący księcia? - spytał jego pryncypał.

Daw pokręcił głową.

- Czekali tu aż do ósmej. Choć to za późna godzina, by ruszać drogą na północ, wszyscy siedzieli jak na szpilkach, tak bali się tej choroby. Pewnie jechali przez całą noc.

- To znaczy, że do nich nie dołączyła - powiedział Pierś, czując, że traci nadzieję. Powinna przecież dojechać do całej grupy na długo przed umówioną godziną.

- Mówili, że czekają na księcia - wtrącił Daw. - Ale nikt nie przyjechał, więc ruszyli w drogę.

Pewnie pojechała do niewłaściwej wioski. Pierś rzucił oberżystę gwineę i zwrócił się do Bullera:

- Musimy zawrócić. Jedźmy do Llanddowll.

- Llanddowll - powtórzył Daw. - Wioska nie większa od wychodka.

- Teraz jest jeszcze mniejsza, bo dużo ludzi umarło w niej na szkarlatynę - odparł Pierś.

Jego rozmówca odsunął się od powozu i ruszyli. Pierś postukiwał palcami po szybie. A więc nie dotarła do Llanddowrr. To znaczy, że... co to mogło oznaczać? Na pewno zawieźli ją do Llanddowll.



Ale dlaczego nie wróciła do zamku, skoro nie znalazła tam służby księcia? Przecież nie ruszyła do Londynu całkiem sama.

Niemożliwe. Bez rzeczy, bez pokojówki. Wszystko było w kufrach, które zabrała służba. Przecież Linnet nawet nie mogła samodzielnie rozpiąć guzików swej sukni.

To, co jej powiedział, nie było przecież aż tak straszne, żeby uciekła od niego w jednej zmianie odzieży.

Za oknem przesuwał się las, mila za milą. Llanddowll było po przeciwnej stronie zamku niż Llanddowrr. W końcu zobaczył wieżyczki swego domu. Konie zwolniły i stanęły.

- Nie zatrzymuj się, do diabła! - krzyknął Piers, otwierając drzwi.

- Konie się zmachały - odpowiedział przepraszająco stangret. - Jeśli ich nie zmienimy, będę się musiał wlec noga za nogą, więc szybciej będzie, jeśli je zmienimy.

Odpowiedź Piersa była nieparlamentarna, ale niewiele dała. Zmęczone konie poszły w stronę domu. Słońce powoli zachodziło. Czas, cenny czas przeciekał mu przez palce, a on wciąż biegł ścieżką w stronę oceanu. Pewnie się spóźni. Na drodze pojawił się Prufrock.

- Milordzie?

- Nie dotarła do Llanddowrr - wyjaśnił Piers. - Jedziemy jej szukać do Llanddowll.

- Psiakrew - zaklął przejęty Prufrock. Piers przełknął ślinę.

- Może pojechała do Londynu na własną rękę, kiedy nie zastała służby w zajeździe.

Prufrock skinął głową.

- Pewnie tak było. Panna Thrynne pewnie nie chciała... -Umilkł.

- Nie chciała tu wracać - dokończył Piers. Serce tłukło się w piersi jak uwięziony ptak.

- Na pewno pojechała sama - mruknął Prufrock, choć widać było, że sam w to nie wierzy.

- Są nowi pacjenci?

- Nie - odparł Prufrock. - A jeden z tych, którzy byli na ostatnich nogach, Barris Connah, chyba się wylize. Przyszły w końcu świeże konie, więc Pierś wsiadł do powozu. Potknął się i o mało nie upadł. Ruszyli w drogę. Jeśli Llanddowrr było małą wioską, to Llanddowll stanowiło po prostu przysiółek ledwie zauważalny pośród lasu. Przygarbiona ze starości gospoda, kilka domów. Nie było młyna, więc młynarz na pewno tu zaglądał. Pięćdziesiąt dusz, nie więcej.

Kiedy zajechali do gospody, było już prawie ciemno. Oberżysta stanął w drzwiach, gdy tylko powóz się zatrzymał. Miał cienki nos, zapadnięte policzki, brudną brodę i tłustą chustkę zawiązaną wokół szyi. Zacierał ręce. Widać było, że ma się na baczności, a zarazem cieszy z przyjazdu podróżnych.

- Dobry wieczór, sir - zawołał na widok Piersa. - Witamy Pod Spłukanym Graczem. Jestem Sordido, tutejszy oberżysta, ale muszę ostrzec milorda, że mamy tu we wsi taki drobny kłopot...

- Szkarlatynę - przerwał mu Pierś. - Jestem hrabia Marchant. Przyjęliśmy czterech pacjentów z tej wsi.

- Robiliśmy, co w naszej mocy - odpowiedział oberżysta, wyczuwając krytykę. - Izolowaliśmy ich, gdy tylko...

- Czy była tu młoda dama w pojeździe z herbem księcia Windebank?

Pierś zobaczył to w oczach Sordida, zanim mężczyzna zdążył się odezwać. Uciekł spojrzeniem w bok i zaczął przestępować z nogi na nogę. Pierś w jednej chwili złapał go za lepką od brudu szmatę na szyi.

- Gdzie jest? Umarła?

- Nie zrobiliśmy nic złego! - zaskrzeczał mężczyzna, czerwieniejąc na twarzy jak burak. - Zajęliśmy się nią bardzo troskliwie. Naprawdę. Stangretem też, zanim umarł.

A więc ona żyje. Pierś puścił szmatę i odsunął się o krok.

- Gdzie jest?

Sordido znowu uciekł spojrzeniem w bok.

- Odizolowaliśmy ją, tak jak kazał pastor. Jeśli pan poczeka na sali, milordzie, żona zajrzy do tej panny i sprawdzi, czy jest gotowa do wizyty.

- Panny?

Oberżysta cofnął się o krok.

- Myśleliśmy... doktor mówił... znaczy my myśleliśmy... że to panna służąca księcia.

- Panna służąca? Myśleliście, że przyszła hrabina to pokojówka? Buraczkowe zabarwienie twarzy mężczyzny zmieniło się na bladożółte.

- Nie sposób było odgadnąć, że to dama, milordzie. Nie miała pokojówki ani kufrów.

- Przecież stangret by wam powiedział przed śmiercią. - Pierś z kolei postąpił o krok.

Oczy Sordida przeskoczyły na jego łaskę, a potem z powrotem na twarz.

- Nic nie dał rady powiedzieć. Był chory, śmiertelnie chory. Coś tam majaczył, ale zupełnie bez sensu. Zaraz potem umarł.

Pierś na moment zamknął oczy. Co on wyprawia? Handryczy się z oberżystą, kiedy Linnet...

- Zabierzcie mnie do niej.

To nie była prośba, tylko rozkaz.

Mężczyzna obejrzał się rozpaczliwie i zawołał:

- Moll!

Żona była nieco czystiej sza od niego; miała małe, blisko osadzone oczka jak u łasicy. Panika ścisnęła gardło Piersa. Stangret do tej pory obserwował wszystko z kozła; teraz zsiadł, przywiązał wodze i stanął u boku hrabiego.

- Jego lordowska mość szuka tej kobiety, znaczy tej damy -poprawił się Sordido - która zachorowała. Zajęliśmy się nią na nasz koszt. Nie miała przy sobie żadnych pieniędzy - powiedział, wysuwając podbródek.

Pierś zmarszczył brwi. Możliwe, że nie zabrała ze sobą torebki albo zostawiła ją w salonie, wychodząc przez okno. Stangret na

pewno miał przy sobie pieniądze od księcia na wydatki podróżne, ale jeśli zachorował i zmarł od razu po przyjeździe, jak twierdził ten człowiek...

Zona oberżysty dygnęła.

- Przykro mi powiedzieć, ale ta pani jest bardzo chora. Doktor był u niej wczoraj i powiedział, że zrobiliśmy dla niej wszystko, co w ludzkiej mocy.

Pierś zacisnął szczęki tak mocno, że ledwie mógł wycedzić słowa:

- Zaprowadźcie mnie do niej.

- Jak już mówiłem, proszę poczekać chwilę na sali, a moja żona, pani Sordido, upewni się, czy młoda dama może przyjmować gości.

- Zaprowadźcie mnie do niej. Pani Sordido znowu dygnęła.

- Za pozwoleniem, milordzie, ale nie mogłabym tego zrobić z czystym sumieniem. Ta młoda dama jest w delikatnym, wrażliwym wieku i nie jest mężatką. Pójdę najpierw upewnić się, czy...

Głos Piersa odbił się echem od ścian cichego dziedzińca jak strzał z bata.

- Zaprowadźcie mnie do niej, i to już!

Ruszył ku drzwiom gospody, uderzając laską w bruk, ale zatrzymał go głos stangreta:

- Milordzie!

Żona oberżysty właśnie zniknęła za rogiem budynku, a jej mąż stał i bezradnie patrzył w ślad za nią.

Pierś ruszył w tamtą stronę. To oczywiste, że nie położyli jej w gospodzie. Sam przecież zalecał kwarantannę dla chorych. Skręcili za róg. Pani Sordido prawie biegła. Pierś obejrzał się przez ramię.

Jego stangret Buller w jednej chwili dopędził kobietę i chwycił ją za łokieć.

- Pójdziemy razem, dobrze? - powiedział. Buller był potężnie zbudowanym mężczyzną. Mówił cicho, ale widać było, że pani Sordido się go boi.

- To nieprzyzwoite! - pisnęła. - Lady nie jest przyzwoicie odziana!

Pierś skupił się na wybieraniu w ciemnościach drogi po kamieniach. Czuł obecność oberżysty, który dreptał za nimi.

Od pobliskiego lasu kładł się coraz gęstszy cień. Strach ogarnął jego umysł, pulsował w głowie i w sercu.

Szli dwie-trzy minuty, a jemu wydawało się, że minęła godzina. Pani Sordido wzbraniała się przez cały czas, ale Buller trzymał ją mocno.

- Tutaj - powiedziała w końcu, a raczej rzuciła im te słowa w twarz.

Buller odezwał się pierwszy:

- To przecież kurnik. Pierś tylko patrzył.

- To dobry kurnik - odpowiedziała gospodyni. - Jest wysoki, nie trzeba się schylać. Od pół roku nie trzymamy tu kur.

Położyliśmy ją tutaj, a moja służąca zagląda do niej co rano i co wieczór, tylko dzięki mojemu chrześcijańskiemu miłosierdziu, naprawdę. Doktor był u niej dwa razy, choć nie miał kto za nią zapłacić.

Pierś dosłownie skamieniał. W kurniku nie było okien, a drzwi wisiały na jednym skórzanym zawiasie.

Nieheblowane deski, z których go zbudowano, powoli zaczynały odpadać i ściany świeciły dziurami.

- Co tak cuchnie? - spytał Buller głosem niższym o całą oktawę. Chyba mocniej zacisnął palce na ramieniu pani Sordido, bo pisnęła z urazą.

- To kury - odpowiedziała. - Śmierdzą przecież, a ja nie miałam czasu po nich posprzątać.

Pierś otrząsnął się z bezwładu i pospiesznie przeciął niewielką polankę przed kurnikiem. Jakaś część jego umysłu krzyczała z panicznego strachu, a druga ponuro śledziła przebieg wydarzeń, taki sam jak w tym koszmarnym śnie.

Dotarł do Linnet. Ale za późno...

Słyszał za sobą protesty pani Sordido i burkliwe odpowiedzi Bullera. Szarpnął za klamkę. Zawias puścił i drzwi z hukiem upadły na ziemię.

Z początku nic nie widział w ciemności, tym bardziej, że oczy natychmiast zaszyły mu łzami w tym smrodzie.

Uważnie wymacywał drogę laską i przesuwał się krok za krokiem, czekając, aż oczy mu się przyzwyczają.

- Linnet - powiedział cicho. Cicho, bo jego serce знаło prawdę. Umarła, z jego winy.

Cisza. Zrobił kolejny krok i wreszcie zaczął coś widzieć. Nigdzie nie było łóżka. Spojrzał w dół. Jeszcze krok, a by na nią nastąpił.

Kobieta u jego stóp w niczym nie przypominała roześmianej, pięknej Linnet. Na szczęście natura lekarza wzięła górę nad rozpaczą. Odrzucił laskę, ukląkł obok chorej i ujął przegub jej dłoni.

Przez chwilę bał się, że nie czuje tętna, ale w końcu je złapał: nitkowate i słabe, ale jednak było.

- Linnet - powtórzył, dotykając jej policzka. Nie widział łuszczącej się skóry ani skołtunionych włosów, tylko kształt jej ukochanej twarzy i skuloną na boku sylwetkę - jak zwykle, kiedy spała. Kochał ją. Kochał ją tak bardzo, że serce mu pękało.

Nie odpowiedziała. Chmura pyłu z kurzego nawozu uniosła się do kolan, gdy zmienił pozycję. Naturalnie, była w gorączce. Otepiały, notował w pamięci objawy, jakie zdołał dostrzec w półmroku, i nie był w stanie wyciągnąć oczywistego wniosku.

Zamiast tego sięgnął po laskę, wstał i pochylił się, by wyjść na zewnątrz.

- To nie nasza wina - zaskowytała na jego widok pani Sordido. Buller wciąż trzymał ją mocno.

- Rozumiem, że nie macie w tej chwili gości w gospodzie - stwierdził Piers.

- Nie - wysapała. - W tej chwili nie ma nikogo, ale...

- Przejmuję budynek. Musicie się z niego wynieść.

- Gdzie jest kareta księcia? - spyta! nagle Buller. - Nie widzę też jego koni.

Na moment zapadła cisza, a potem Sordido wyjaśnił:

- Naturalnie, odesłaliśmy je do księcia, do Londynu.

Buller znowu chwycił panią Sordido za ramię, ale w oczach Piersa musiało być coś straszniejszego niż groźba użycia siły. Kobieta jęknęła i powiedziała:

- W szopie za gospodą.

- Wcale nie - ryknął Sordido. - My przecież...

- Wy przecież ukradliście tę karetę - przerwał mu Pierś. - Ukradliście też konie. Ukradliście odzież mojej żony.

- Nie mówiłeś, milordzie, że to twoja żona! - włączył się Sordido.

- Jest moja. Ukradliście jej suknię i pieniądze, które miała przy sobie. Podejrzewam, że zabiliście też stangreta księcia Windebank.

- Nieprawda - sapnął Sordido. - Nie zrobiliśmy tego.

- Umarł, bo był chory. - Pani Sordido pośpiesznie wyrzucała słowa. - Przyjechali późną nocą, on poszedł spać na stryszek nad stajnią, a następnego dnia miał już wysoką gorączkę i majaczył, i strasznie kasłał. Nawet na chwilę nie doszedł do siebie.

Pierś popatrzył na nią bez słowa.

- Tak było! - powtórzyła piskliwie. - Majaczył o różnych rzeczach, ale nikt nie miał czasu, żeby przy nim bez przerwy stać i wszystkiego wysłuchiwać. Poza tym był chory, a do tego zachorował nasz kowal i jego żona.

Mieliśmy ręce pełne roboty, musieliśmy ściągnąć tu lekarza z sąsiedniej wsi. A potem przyszedł pastor i kazał, żeby izolować chorych. - Umilkła, zmęczona długą przemową.

' - Umarł - powtórzył Sordido. - Umarł bardzo szybko. A ona nie. Więc musieliśmy coś z nią zrobić.

- Wynoś się, babo, razem z twoim mężem - powiedział Pierś. - Jeśli w ciągu godziny nie opuścicie tego miejsca, wsadzę was do lochów w moim zamku. Są tylko niewiele gorsze od miejsca, w którym trzymaliście moją żonę.

Otworzyła usta.

- Przecież milord nie... to niemożliwe! Szarpnęła się dziko i wyrwała się Bullerowi.

- Milord nie może tak po prostu przyjść i robić ludziom krzywdę. To nasza gospoda! Moja i Sordida. Kupiliśmy ją uczciwie

za pięćdziesiąt funtów i nigdzie się stąd nie wyniesiemy Sordido!

- Jeśli wyniesiecie się od razu, nie postawię was przed sędzią magistrackim.

- Nie zrobisz tego, milordzie! - wrzasnęła. - Sordido, powiedz coś! Zrobiliśmy dla tej kobiety więcej, niż się należało. Z dobrego serca!

- Wy nie macie serca - odpowiedział Pierś. - Dobrze wam radzę: zbierajcie swoje graty i wynoście się stąd. Nie chcę was widzieć w promieniu dziesięciu mil od mojego zamku. Wynoście się w ogóle z Walii. Jeśli nie zabierzecie się stąd w ciągu godziny, każę was deportować do kolonii.

Pani Sordido wyraźnie rządziła w tym stadle. Oparła pięści na biodrach.

- Nic z tego! - wrzasnęła. - To nasza gospoda, uczciwie kupiona. Zapłaciliśmy za nią.

W takich chwilach Pierś wiele by oddał, żeby być normalnym, zdrowym mężczyzną. Mógłby wtedy wymierzyć solidny policzek za zuchwalstwo.

- Jeśli wyniesiecie się w ciągu godziny, nie postawię was przed sądem. Jeśli dalej tu będziecie, rano postawię was przed sędzią.

- Nie damy rady - zaskomlał Sordido. - Jest już ciemno! Jak będziemy zarabiać na życie? Włożyłem w tę gospodę wszystko, co miałem, każdy lichy grosik.

Ale Pierś skończył już z nim rozmawiać.

- Buller, zanieś moją... zanieś Linnet na górę do gospody. Jedna godzina - warknął w stronę pani Sordido. - Na wypadek gdybyście się zastanawiali, czy moje słowo coś znaczy w sądzie wiedzcie, że właśnie uratowałem córkę sędziego od śmierci na szkarlatynę.

- Robiłam, co mogłam, z czystego chrześcijańskiego miłosierdzia - jęczała pani Sordido.

Pierś podniósł rękę.

- Ona umiera. Ja też nakazuję wam odejść z czystego chrześcijańskiego miłosierdzia. Bo jeśli odejdzie...



Pani Sordido cofnęła się, gniotąc w rękach skraj fartucha.

- Sordido! - krzyknęła, ruszając biegiem. - Pośpiesz się, natychmiast!

- Zanieś Linnet do gospody - zwrócił się Pierś do Bullera. - Pójdę przodem i poszukam odpowiedniego łóżka. Potem daj tym draniom parę gwinei na podróż i odprowadź powóz prosto do zamku. Prześpij się trochę i wróc tu rano. Będę potrzebował pomocy.

Buller skinął głową, ruszył w stronę kurnika i pochylił się w drzwiach. Pierś odwrócił się i pokuśtykał przez dziedziniec do gospody.

Z góry dochodziły krzyki pani Sordido, biegnącej po wszystkich pokojach.

Ruszył prosto do najlepszej sypialni.

- To moja pościel - powiedziała pani Sordido, stając w drzwiach. - Milord mówił, że możemy zatrzymać to, co nasze.

W powietrzu błysnęła gwinea; kobieta pochwyciła ją sprawnie.

- A kuchnia? - nalegała. - Pewnie chce milord garnek albo dwa, a spizarnia jest już wyposażona na zimę.

Wątpił w to, ale rzucił jeszcze kilka monet.

- Precz stąd. Uciekła.

Przynajmniej pościel była czysta i w miarę miękka. Odwinął narzutę, odsunął zasłony i otworzył okna, słysząc powolne kroki Bullera na schodach.

Razem położyli ją na łóżku.

- Wielki Boże - szepnął stangret. - Co oni jej zrobili? Nigdy w życiu nie czułem takiego smrodu. A jej twarz...

Pierś rzucił okiem na cerę chorej.

- To wina szkarłatyny, nie kurnika. Buller, potrzebna mi będzie woda. Dużo wody. Najpierw przynieś mi wiadro, a potem postaw kilka garnków na kuchni, żeby woda się zagotowała. Kiedy dopilnujesz, żeby te gnidy się stąd wyniosły, wróc do zamku i wezwij pomoc. Przez ten czas będziemy sobie jakoś radzić bez ciebie.

- Na pewno? - szepnął stangret. Nie odrywał oczu od Linnet. - Nie poznałbym jej. W życiu nie widziałem czegoś takiego. Była najpiękniejszą kobietą...

- Idź już - mruknął Pierś i wskazał głową drzwi. Poczekał, aż na schodach rozlegną się jego kroki, a potem ściągnął z niej żalostną parodię sukienki, brudną i podartą jak szmata. Oberżyści najprawdopodobniej ukradli jej suknię, kiedy przynosili ją do kurnika. Rzucił tkaninę w kąć.

Nie ruszała się, a jej szyja i głowa były zupełnie bezwładne, gdy Pierś odsunął brudne włosy z jej twarzy, układając je na poduszce. Zaczął więc do niej mówić, powoli i spokojnie, jakby rozmawiali. Opowiadał, co robi, kiedy badał jej uszy, gardło, poczerniał język i skórę. Znalazł na szyi ślady po pijawkach i w jego kojący monolog wkradło się soczyste przekleństwo.

Na schodach znowu rozległy się ciężkie kroki Bullera, więc Pierś na chwilę podszedł do drzwi.

- Przywieź z zamku czyste materace, co najmniej dwa. Ten na pewno zniszczy przy schładzaniu i kąpaniu Linnet, a poza tym podejrzewam, że w każdym z tutejszych łóżek jest robactwo.

Buller skinął głową.

- Garnki z wodą stoją na kuchni. Oberżyści pojechali. Wykradli się stąd za moimi plecami.

Zawahał się.

- Co takiego?

- Ukradli powóz księcia. Jestem tego prawie pewien. I jego konie. Nie widziałem ich odjazdu, ale nie brzmiało to jak odjeżdżający chłopski wózek. Wspominali coś o dziewczce kuchennej, ale nigdzie jej nie zastałem. Pewnie zobaczyła, co się tu święci, i uciekła.

Pierś wzruszył ramionami.

- Ukradli też odzież Linnet, więc przywieź jej coś do ubrania. Wróć do zamku i odpocznij trochę, Buller. Będę czekał na ciebie z samego rana.

Stangret kiwnął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Patrzył na niego z niepokojem.

- Przeżyje - powiedział Pierś z naciskiem. To była obietnica, a nie diagnoza lekarza. Zamknął drzwi do sypialni, zrzucił surdut i rozpoczął największą walkę swego życia. Walkę o jej życie.

### 32

Musimy cię umyć, kochanie - powiedział do Linnet. Nawet nie drgnęła.

- Jesteś w śpiączce, więc na szczęście nie wiesz, jaka jesteś brudna. - Miał szczerą nadzieję, że tak jest.

- Wykąpię cię teraz tak, jak siostra Matylda kąpała Gavana raz w tygodniu. Gdybyś miała ochotę wyrywać się albo piszczeć tak jak on, to proszę, nie przeszkadzaj sobie.

Ciszo.

- Dopóki woda się nie zagotuje, nie mogę umyć niezagojonych blizn, w obawie przed infekcją.

Niestety, większa część jej skóry była otwartą raną.

Boże, jak ona schudła. Czy to możliwe, żeby coś takiego się stało zaledwie w tydzień? Z cudownej, zaokrąglonej sylwetki został szkielet, włosy suche jak słoma, cera...

Od stóp do głów była pokryta warstwą brudu: rany i pęcherze oblepiała warstwa kurzych odchodów. Zaczął od stóp, bo przynajmniej z nich nie schodziła skóra. Starannie umył każdy palec po kolei.

- Mało mnie obchodzi, skąd wziął się ten brud - powiedział do niej, myjąc palce po raz drugi. Spostrzegł, że woda w wiadrze prawie całkiem zbrązowiała. - Napiszę o nim artykuł, kiedy tylko wyzdrowiejesz. Cudowne właściwości kurzego nawozu. Nie może być gorszy niż sfermentowany zacier, choć zapach jest zdecydowanie bardziej przenikliwy.

Mówił bez końca, choć Linnet nawet palcem nie kiwnęła w odpowiedzi. Powiedział, że idzie po wodę, a potem przywitał ją po powrocie.

- Bardzo niewygodna wędrówka - tłumaczył. - Musiałem najpierw przestawiać wiadro, a potem sam się wspinać na każdy schodek. Teraz bierzemy się do poważnej pracy, kochanie. Jesteś oblepiona brudem, a ja muszę cię umyć, i to mydłem, które będzie cię szczypało tam, gdzie zeszła skóra.

Na szczęście niczego nie czuła, choć ból był tak przenikliwy, że przytomni pacjenci krzyczeli wniebogłose przy najłżejszym dotyku. Stale zaglądał jej w oczy, sprawdzając, czy drgają powieki, co było oznaką niewygody. Co chwilę osłuchiwał też klatkę piersiową; głęboki, przerywany szmer dawał mu pewność, że Linnet jeszcze oddycha. W końcu po prostu zaczął polewać ją letnią wodą, bo zaczął się niepokoić, że dotykanie otwartych pęcherzy po wysypce może spowodować infekcję. Niestety, polewanie nie przyniosło skutku. Brud lepił się do ciała i można go było usunąć jedynie wodą z mydłem.

Zapadła noc, więc zapalił jedyną lampę, która była w pokoju, nie zamykając okna. Tyle dni spędziła zamknięta w tym kurniku, świeże powietrze mogło jej jedynie pomóc.

- Jesteś już trochę mniej rozpalona - powiedział do niej. - Gorączka opadła, choć nie wiem, czy to za sprawą wody, czy po prostu tak przebiega ta choroba. Przekonaliśmy się, że fale gorączki przychodzą i odchodzą.

Powoli przesunął się coraz wyżej, myjąc piersi, ramiona i szyję.

- Jestem już przy twarzy, Linnet. To będzie okropna tortura. Gawan darłby się wniebogłose.

Gęste, cuchnące włosy z powrotem otoczyły twarz, więc odsunął je dalej. Były zlepione potem i kurzem łajnem.

- Muszę je obciąć - powiedział. - Odezwij się, jeśli możesz. Leżała bez ruchu. Pierś zdusił jęk - podświadomą reakcją, na

którą nie pozwalał sobie od czasów swojego wypadku, kiedy to

nauczył się, że rozklejanie się z powodu bólu tylko pogarsza sprawę.

Kto by pomyślał, że istnieje jeszcze gorszy ból? Zszedł na dół do kuchni i przytaszczył kolejne wiadro wody i nóż.

- Muszę się ich pozbyć - wyjaśnił. - Ale odrosną. Boję się, że zagnieździło się w nich jakieś robactwo.

Niełatwo było obcinać włosy tępym nożem. Skrócił je najbardziej jak potrafił, a potem dokładnie wyszorował resztki jej bujnych kędziorów wodą z mydłem, najdelikatniej jak potrafił. Kiedy skończył, woda ściekała z łóżka, a jej strumyki rozbiegały się po podłodze we wszystkie strony.

- Cholera, to gorsze niż moje zabiegi. Chyba będziemy musieli podwoić pensję siostrze Matyldzie.

Odrócił ją ostrożnie, podtrzymując szyję, jakby była noworodkiem. Plecy były czystsze, ale pokryte ostrzejszą wysypką; pęcherze pękały pod jego dotykiem.

- Nic nie mogę zrobić z tym bólem - powiedział chrapliwie. - Cholera jasna, Linnet, muszę iść po następne wiadro wody. Zaraz wracam.

Kiedy znalazł się z powrotem w drzwiach, leżała nieruchomo jak martwa. Serce się w nim ścisnęło. Dосkoczył do łóżka, chwycił przegub dłoni... puls wciąż bił.

Gdy skończył ją myć, strumyki wody na podłodze zmieniły się w pienistą kałużę.

- Przecieka przez sufit i zalewa pokój pod nami - powiedział Pierś. - Te deski pewnie nie były takie czyste od nowości. I co mam teraz zrobić?

Była już czysta, ale nie wiedział, jak ma ją wysuszyć. Łóżko było nasiąknięte wodą. Obrócił ją znowu i ostrożnie ułożył ręce przy bokach.

- Już północ - powiedział. - Muszę przynieść lampę, kochanie. Bez niej nic nie będę widział. Poszukam drugiej, ale mam brzydkie podejrzenia, że oberżyści zabrali wszystko, co dało się ruszyć z miejsca. W kuchni nie ma nawet jednej świecy.

Wziął lampę i laskę, a potem zaczął kuśtykać z pokoju do pokoju. Nigdzie nie było drugiej lampy, ale ku swemu zdumieniu w jednym z nich natrafił na świeżo pościelone łóżko.

- Psiakrew - zaklął na głos. Potem wrócił do Linnet. - Pewnie ważysz mniej niż materac.

Nawet nie mrugnęła powieką.

Spojrzał na siebie. Był brudny i pokryty kurzem łajnem. Nie powinien jej dotykać.

- Będę musiał się rozebrać - powiedział tonem salonowej konwersacji. - Wiem, że zawsze lubiłaś na mnie patrzeć.

Myślisz, że nie zauważyłem, jak mnie podglądasz?

Nie odpowiedziała, ale wydawało się, że słyszy jej dźwięczny śmiech.

- Obok są czyste prześcieradła, o których pani Sordido wyraźnie zapomniała - wyjaśnił. - Zaniosem cię tam, choć pewnie jesteś bardziej nieporęczna niż wiadro z wodą.

Rozebrał się do naga, oparł laskę o łóżko, wziął głęboki oddech i wsunął jedną rękę pod szyję Linnet, a drugą pod kolana. Przez chwilę stał, zbierając siły. Przytulił twarz do jej policzka i znowu stłumił łkanie.

- Nie - powiedział twardo, wyprostował się, przerzucił ciężar ciała na zdrową nogę i wysunął chorą do przodu.

- Na pewno się nie przewrócę - uspokoił Linnet. Jej ręka opadła bezwładnie. Zataczał się co krok, ale szedł. Jeszcze krok i byli już w korytarzu.

- Szkoda, że mamy tak mało lamp - mruknął i kuśtykał dalej. - Psiakrew, będę musiał usiąść - zachrypiał, ciężko sapiąc. Wiedział jednak, że jeśli usiądzie, to na pewno nie wstanie bez laski, dźwigając Linnet w ramionach. Oparł się więc tylko o ścianę, odrzucił głowę do tyłu i oddychał głęboko, ignorując ból, który eksplodował w górę nogi, ogarniając biodro.

- Jeszcze kilka kroków... może tylko trzy, i zaraz będą drzwi. Trzy kroki i suche łóżko.

W odpowiedzi ból przeszył go jak lanca.

Odsunął się od ściany i zrobił krok naprzód. Pociągnął chorą nogą i posunął się o kolejny krok.

- Przydaje się to pływanie - powiedział, pojękując. - Jesteś dla mnie lekka jak piórko.

To nie była do końca prawda, ale dodała mu sił. W końcu przeniósł ją przez próg do sypialni rozjaśnionej jedynie blaskiem księżyca. Zatoczył się w stronę łóżka, ułożył Linnet na materacu i przykrył kołdrą.

- A teraz za pozwoleniem, milady - wysapał i w jednej chwili osunął się na podłogę.

Po pewnym czasie podniósł głowę.

- Muszę pójść po laskę - powiedział do Linnet. Wprawdzie noga całkiem odmówiła posłuszeństwa, ale mógł przecież poruszać się na czworakach. Raczkował więc, kompletnie goły, korytarzem, a potem po mokrej podłodze drugiego pokoju. Znalazł laskę i wreszcie mógł się wyprostować.

Wiązanka przekleństw nie pomogła. Ból w nodze był tak przeraźliwy, że nawet mokre łóżko wyglądało zapraszająco.

- Muszę do niej wrócić - powiedział na głos. Księżyc wędrował po nocnym niebie.

- Woda. Linnet musi dużo pić.

Zostało mu jedno bezcenne, pełne wiadro, więc zarzucił torbę na ramię, zawiesił druciany uchwyt lampy na przedramieniu i podniósł ciężkie naczynie. Od razu zorientował się, że nie da rady go przenieść.

Ale nie miał wyjścia. Nawet jeśli jęczał przy każdym ruchu chorej nogi. Właściwie krzyczał na cały głos.

Leżała pod przykryciem nieruchomo, jak nieżywa.

- Ten korytarz - odezwał się od drzwi, sapiąc ciężko. - Nigdy go nie zapomnę, Linnet. Był gorszy od samego piekła. Obawiam się, że nie dam już rady zejść na dół. Muszę odpocząć.

Ponieważ nie wyrażała sprzeciwu, resztką sił postawił lampę na stole, a torbę przy łóżku. W wiadrze została zaledwie połowa cennego płynu.

- Nosiciele wody nie powinni kuleć - stwierdził, unosząc lekko jej podbródek i wlewając wodę w usta, kropla za kroplą.

- Na razie wystarczy. Teraz balsam - powiedział, otwierając torbę. - Szczerze wątpię, czy działa. Ale z tego, co zaobserwowałem, na pewno nie zaszkodzi. Najpierw plecy.

Przetoczył ją na brzuch i delikatnie posmarował balsamem miejsca pokryte wysypką.

- Biedny tyłeczek - dodał, troskliwie smarując skórę. - A może wolisz, żebym mówił „pośladki”? Już nie pamiętam. A teraz przód.

W jakiś czas później pogrzebał w torbie i wyjął kolejny słoik.

- Woda różana Pendersa. Przemycę ci gardło i język - powiedział zachrypniętym głosem. Ciężko mu szło, tym bardziej, że pacjentka była w stanie śpiączki.

- Ale gdyby nie ta śpiączka, sprawiałbym ci ból - stwierdził. - Nie zniósłbym tego, Linnet. Wystarczająco cię już zraniłem.

Była czysta i pachniała słodko, ale wciąż wyglądała krucho, jak kurczątko. Resztki włosów sterczały wokół twarzy, przez co jej głowa wydawała się za duża, a szyja zbyt krucha i szczupła, by utrzymać głowę. Zamknięte powieki były sine.

Instynkt lekarza powiedział mu prawdę bez słów. Pacjentka była bliska śmierci.

Przykręcił lampę, spojrzał na nią znowu i zgasił światło. Wystarczy blask księżyca... i nitka jej pulsu.

Bardzo powoli i ostrożnie podciągnął się na łóżko i ułożył na kołdrze, żeby nie dotykać otwartych ran na skórze Linnet. Ale bardzo chciał ją objąć, więc otulił tkaniną jej szyję a potem otoczył ramionami talię.

A jeśli w końcu zatkał, jeśli na pościel kapąły słone krople, to i tak nikt tego nie słyszał ani nie widział. Nikt, oprócz księżyca.



Do uszu Linnet dobiegł głos Piersa, cichy jak szmer odległego strumienia. Ona sama była daleko, w bezpiecznym miejscu: unosiła się w wodzie nadmorskiego basenu. Nie czuła zimna, jak w tamte, odległe poranki; otaczało ją miłe ciepło, a czasem gorąco.

Chciała się z nim pożegnać. Bardzo jej na tym zależało.

Był przecież jej oparciem. Jej bijącym sercem. Choć odepchnął ją od siebie, załamie się na wieść o jej śmierci.

Dobrze o tym wiedziała.

Przez tych kilka dni, kiedy leżała w kurniku i co jakiś czas odpływała w gorączkowe majaczenie, a potem wracała do przytomności, nabrała bezwzględnej, niezachwianej pewności, że Pierś ją kocha. Pomimo tych wszystkich strasznych rzeczy, które jej powiedział.

A ona pozwoliła, by kilkoma gniewnymi słowami wygnał ją ze swego życia. A przecież od razu, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, powiedziała sobie, że nie może pozwolić, by ją zastraszył i zmusił do posłuszeństwa.

Jeśli przeżyje, wróci i go powstrzyma. Powie mu... coś mu powie.

Znowu odpłynęła, ale kiedy wróciła, jego głos rozlegał się bliżej i był mniej melodyjny. Melodyjny głos Piersa?

Zabawne. Co za bzdura... Pierś nie miał nic wspólnego z melodyjnością.

Jak na zamówienie, wybuchnął stekiem przekleństw. Uśmiechnęłyby się, ale jakoś nie mogła napiąć ani jednego mięśnia. Jakie to dziwne.

Szczerze mówiąc, nie miała nawet siły, by otworzyć oczy. Zresztą już jakiś czas temu przestała je otwierać. Była zbyt wyczerpana, by pić, a powieki skleiły się od brudu.

Więc znowu zanurzyła się w wodę, błękitną, kryształowo czystą wodę basenu. Opadała coraz niżej i coraz dalej, włosy unosiły się swobodnie, aż tu nagle znowu usłyszała, jak Pierś klnie.

Naprawdę, powinna z nim na ten temat porozmawiać. Te wszystkie przekleństwa...

Przypomniała sobie, że przecież umiera. Leży w kurniku, a Pierś jest daleko, bo wyrzucił ją z zamku.

Umierała...

Wiedziała, jak ciężko on to przeżyje.

Nagle usłyszała, że Pierś mówi coś o jej tyłeczku. O pośladkach, pomyślała. Ale wciąż była uwięziona pod wodą.

Tylko czy na pewno uwięziona? Było jej tak przyjemnie. Czasami woda robiła się przerażająco gorąca, ale teraz była chłodna i lizała jej twarz, jakby gładziła ją kochająca dłoń.

Dłoń matki. Nagle przypłynęło do niej wspomnienie z dzieciństwa. Też miała wtedy gorączkę. Niania coś powiedziała, a matka odpowiedziała z irytacją: „Oczywiście, że dziś wieczorem nigdzie nie pójde! Przecież Linnet jest chora”...

Ale to nie był dotyk dłoni, tylko ramienia. Ciężkie, męskie ramię obejmowało ją w talii.

To musiał być Pierś. Przecież z nikim innym nie spała.

Przez chwilę jej umysł przeskakiwał jak szalony pomiędzy jedwabistym chłodem wody w basenie, pustką i spokojem, a łóżkiem i Piersem. Obejmował ją mocno. Czula jego zapach - zapach mężczyzny i potu.

Potu? Przecież Pierś się nigdy nie pocił.

W tym momencie coś wypchnęło ją nad powierzchnię wody, jak para silnych męskich ramion, wypchnęło ją do góry, do góry...

Dokąd?

Otworzyła oczy. Było bardzo ciemno, więc pewnie dalej leżała w kurniku. Ale kurnik... ostrożnie pociągnęła nosem, starając się nie ruszać. Nauczyła się leżeć bez ruchu, żeby nie podrażniać obolałej skóry.

Pachniało inaczej niż w kurniku.

Powoli zaczął wracać jej wzrok i uświadomiła sobie, że przez okno wpada blask księżyca. Leżała na łóżku. A to ramię... rzeczywiście obejmowało ją czyjeś ramię.

Przewróciła się na bok, krzywiąc się z bólu. To rzeczywiście był Pierś. Przyjechał po nią. Przez chwilę po prostu cieszyła oczy widokiem jego szczupłej, zdeterminowanej, pociemniałej od zarostu twarzy. Oczy, zamknięte we śnie, zawsze emanowały błyskotliwą inteligencją. Usta zaskakująco pełne jak na mężczyznę, z zaokrągloną dolną wargą.

- Pierś - szepnęła, zanim przypomniała sobie, że nie może mówić i że od dawna nie udało jej się wydać z gardła nawet szmeru.

Nie poruszył się. Oczy zaczęły jej się znowu zamykać... woda w basenie przyzywała ją coraz silniej... ale Pierś był tuż obok, tuż przy niej. Czy przypadkiem nie miała mu do powiedzenia czegoś... czegoś ważnego?

Tak. Nie może zasnąć, nie może się znowu zanurzyć. Trzeba poczekać, aż on się obudzi, i powiedzieć mu tę ważną rzecz.

Wprawdzie zapomniała, co to takiego, bo całą uwagę skupiła na jego twarzy: wysokich kościach policzkowych, długich rzęsach, kosmyku włosów na czole, gniewnym grymasie, który nie opuszczał go nawet we śnie. Nigdy przedtem nie zasypiał u jej boku, choć w duszy o tym marzyła.

A teraz był obok, leżał nagi na przykryciu. Naprawdę z nią spał. W tym samym łóżku. Przez całą noc.

Światło księżycy zbladło i ustąpiło miejsca pierwszym promieniom porannego słońca.

- Pierś - szepnęła. Poruszyła wargami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Mimo to musiał coś usłyszeć, bo otworzył oczy.

Przez chwilę tylko się do niej uśmiechał, sennie i władczo.

- Linnet - powiedział. Radość zaśpiewała jej w duszy. W jednej chwili otworzył oczy.

- Jesteś przytomna! Poczula jego dłoń na czole.

- Jak się czujesz?

- Boli - odpowiedziała, wiedząc, że nie jest w stanie wydać dźwięku.

- Na pewno cholernie boli - odgadł. Jak na Piersa, to był wyjątkowy dowód współczucia. - Musisz dużo pić, Linnet. Teraz to najważniejsze. Najgorsze jeszcze nie minęło.

Miała wrażenie, że Pierś mówi do siebie. Mimo wszystko wypła nieco wody, choć większość spłynęła jej po szyi. Czowała się jakoś... inaczej.

- Czysta - szepnęła. Odczytał to z jej warg.

- Pamiętasz, że cię kąpałem, Linnet? Przypominasz sobie? Chciała pokręcić głową, ale przypomniała sobie, że nie powinna tego robić.

- Nie - tchnęła ledwie słyszalnie. Oczy jej się zamykały. Jego dłoń na czole wydawała się ogromna. Delikatny dotyk sprawiał jej przyjemność. Pierś znowu się odezwał.

- Gorączka wraca - mruknął. - Tego należało się spodziewać, Linnet. Położę ci wilgotną chustkę na czole. Skrzywiła się, gdy to zrobił.

- Wiem, że te pęcherze bolą - powiedział ponuro. - Ale muszę obniżyć ci temperaturę.

Nagle przypomniała sobie, co takiego ważnego miała mu powiedzieć i podniosła powieki.

- Kocham cię - szepnęła, patrząc mu prosto w oczy.

- Więc żyj dla mnie - odpowiedział, pochylając się i wbijając w nią spojrzenie przenikliwe jak wołanie jastrzębia. - Żyj.

Zasnęła z lekkim uśmiechem na twarzy. Basen z wodą oddalił się. Ledwie go było widać. Zamiast niego przyśnił jej się kurnik i obudziła się z lekkim okrzykiem.

Pierś wciąż był w pokoju, ale teraz miał na szyi śnieżnobiały fular. Stał w drzwiach sypialni i rozmawiał z kimś w korytarzu.

- Proszę przynieść wodę. Przegotowaną - powiedział. Znowu zasnęła. Czas rozciągał się, wydłużał, a potem nagle zniknął. Obudziła się w środku nocy. Zasnęła, a potem znowu była noc, tylko że Pierś miał na sobie inny fular.

W końcu, po trzech dniach, spróbowała coś powiedzieć i z jej gardła wydobył się skrzek.

- To brzmi jak kogut z katarem - skomentował Pierś, podchodząc do łóżka. Miał szarą ze zmęczenia twarz i podkrążone oczy.

- Zmęczony - powiedziała bezgłośnym szeptem. Nie zrozumiał.

- Zmęczenie to uboczny objaw spotkania ze śmiercią - odparł, a jego twarz rozjaśniła się triumfalnym uśmiechem. - Jasny gwint, Linnet, napiszę o tym artykuł. Żaden inny lekarz tu w Walii nie wyciągnąłby cię z tego.

- Chwalipięta - szepnęła. Czowała bezgraniczne znużenie, ale kłujący ból na szczęście powoli znikał. Przypomniała sobie coś i podniosła do oczu ramię. Zaparło jej dech z przerażenia. Skóra była ciemnoczerwona i pokryta łuszczącymi się płatami.

Pierś usiadł na brzegu łóżka.

- To niepiękna choroba, Linnet. Próbowала zrozumieć, o co mu chodzi.

- Nie wyglądasz najlepiej. Musiałem ci obciąć włosy. Przestraszona, zamrugala i otworzyła usta.

- Cała jesteś w strupach, od stóp do głów. Choć właściwie, nie wiedzieć czemu, akurat stopy masz gładkie. Ale poza tym nawet za uszami masz blizny.

Znowu podniosła rękę i popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Dobrze, że nie oślepaś - powiedział ze swą zwykłą bezpośredniością. - Albo nie umarłaś. Szczerze mówiąc, wszystko wskazywało na to, że umrzesz. To cud, że nie złapałaś infekcji w tym kurniku.

Linnet zadrzała na słowo „kurnik” i opuściła rękę. Postanowiła dowiedzieć się wszystkiego.

- Blizny? - zapytała, wkładając w to słowo całą siłę, żeby dobrze ją zrozumiano.

Współczucie nie było w stylu Piersa.

- Prawdopodobnie tak - odparł, przyglądając się jej badawczo. - Czasem zostają, czasem nie. Za tydzień albo dwa przestaniesz przypominać spalonego wrzątkiem homara.

Linnet zamknęła oczy, starając się zrozumieć jego słowa. Wygląda jak ugotowany homar i być może zostanie jej to na zawsze.

Przestała być piękną. Jest teraz raczej potworem. Łuskowa-tym potworem.

Słyszała, że Pierś wstaje. Pewnie myślał, że zasnęła. Leżała sztywno wyprostowana, potem dotknęła pod kołdrą swojego uda i talii. Cała skóra była nierówna, łuskowata i twarda pod palcami.

Pierś wrócił po chwili.

- Bulion - powiedział. Nie było sensu odmawiać. Przekonała się o tym w ciągu trzech minionych dni. Nie dopuszczał żadnych sprzeciwów. Więc otworzyła oczy i przełykała łyżkę za łyżką. Palce drgały jej konwulsyjnie, ale starała się nie ruszać.

Talerz był wkrótce pusty i Pierś wyszedł. Przez chwilę leżała nieruchomo, obezwładniona strachem, a potem zmusiła się, by to sprawdzić. Położyła dłoń na piersi.

Skóra była tak samo twarda i nierówna jak wszędzie. Piersi wyglądały identycznie jak ramiona, brzuch i nogi.

Leżała bez ruchu. Czują, jak gorąca łza spłynęła jej po policzku. Najpierw jedna, potem druga.

Pierś był wciąż przy drzwiach. Oddał komuś pusty talerz.

- Połóż się w sąsiednim pokoju i trochę zdrzemną - oświadczył.

Wiedziała, że podejdzie, pochyli się nad nią i pożegna. Przez ostatnie trzy dni za każdym razem mówił jej, dokąd wychodzi i jak długo go nie będzie.

- Pokojówka - szepnęła, gdy był blisko niej. - Wracaj do domu. Mnie wystarczy pokojówka.

Przez ułamek sekundy w jego oczach zalśniła rozpacz. Potem powiedział spokojnie:

- Jak sobie życzysz. Przyjedzie przed kolacją.

Eliza na swój sposób była równie mało współczująca jak Pierś. Kiedy weszła, stanęła jak wmurowana i położyła dłoń na sercu.

- Boże wszechmogący! - wykrzyknęła. Linnet czekała.

- Włosy, biedne włosy mojej pani - zajęczała pokojówka, ale jej oczy z fascynacją i przerażeniem badały twarz i szyję Linnet.

- To nie... nie ma chyba panienka tego na całym ciele, prawda? - spytała w końcu.

Kolejna Iza spłynęła po policzku Linnet. Skinęła głową.

- O mało panienka nie umarła - odpowiedziała Eliza, podchodząc bliżej. Widać było, że trochę się boi dotknąć Linnet. - Naprawdę mało brakowało. Podobno jego lordowska mość z początku nie miał nadziei.

Linnet pomyślała, że wolałaby umrzeć, niż wyjść do ludzi z takimi bliznami.

Eliza odgadła to natychmiast.

- To niedługo zejdzie - zaczęła klepać jak najęta. - Na pewno. Będziemy... będziemy panienkę kąpać w solach Epsom. Codziennie. Albo dwa razy dziennie. Nie widziałam jeszcze nikogo, kto by tak wyglądał, a to znaczy, że to na pewno zejdzie. Tylko, że... -przerwała.

- Co takiego? - zachrypiła Linnet.

- Och, biedne gardło panienki - jęknęła Eliza. - Straciła panienka głos!

- Co takiego? - powtórzyła Linnet.

- Jego lordowska mość mówił, że panienka jedna jedyna wyszła z takiej ciężkiej choroby. Może dlatego nie widziałam u nikogo takiej skóry.

Linnet zamknęła oczy, ogarnięta skrajną rozpaczą. Przeżyła, ale z taką twarzą. Z taką skórą.

- Boli przy dotyku? - spytała Eliza. Linnet ze znużeniem pokręciła głową. Palce Elizy były miękkie i chłodne.

- To są takie strupy. Na całym ciele. Na pewno zejda.

- Do domu - szepnęła Linnet, szukając jej spojrzenia.

- Chce panienka do domu? Ojcu serce pęknie na widok panienki.

W tym momencie Linnet miała gdzieś uczucia swojego ojca. Chciała z powrotem znaleźć się we własnym pokoju, daleko od wszystkich, którzy...

Daleko od Piersa.

Daleko od mężczyzny, który kocha! jej ciało i mówił, że ma włosy jak stare złoto.

- Powtórzę to - obiecała Eliza. - Ale lord na pewno panienki nie puści. Zajmował się panienką sam, przez cały czas. Utrzymał panienkę przy życiu, chociaż było bardzo źle, co godzinę podawał panience wodę łyżeczką, okrywał mokrymi prześcieradłami, a potem znowu panienkę rozgrzewał.

Linnet ścisnęło się serce. Pierś zawsze ogrzewał ją swoim ciałem, gdy pływali w basenie. Nie wątpiła, że zrobił wszystko, żeby przeżyła. Nienawidził przegrywać, szczególnie w potyczkach ze śmiercią.

- Słyszałam, że panienka strasznie wyglądała, jak znaleźli ją w tym kurniku.

Linnet pamiętała wszystko jak przez mgłę. Nie były to miłe wspomnienia. Ten smród... smród był najgorszy. Zadrzała.

- Najpierw przewieziemy panienkę do zamku - stwierdziła Eliza. - Szkoda, że nie widziała panienka księcia i księżnej. Są jak dwa gołąbki. Książę chciał uzyskać specjalną licencję, ale lady Bernaise kazała mu dać na zapowiedzi w tutejszym wiejskim kościółku. Minął drugi tydzień, więc w przyszłym wezmą ślub po raz drugi. Słyszała kiedyś panienka taką romantyczną historię?

Linnet pokręciła głową.

- Ale pewnie nie będzie panienka chciała pójść na ślub -stwierdziła pokojówka i pogładziła jej dłoń.

- Za nic - wykrztusiła w odpowiedzi. Chciała przez to powiedzieć, że nigdy, przenigdy nie wyjdzie z czterech ścian domu. Nie w tym stanie. Nigdy. I za nic.

- Nie trzeba tak mówić, niedługo się panience poprawi. Są różne maści, sole kąpielowe i balsamy. Za tydzień albo za miesiąc będzie panienka wyglądać jak złoto. W gazetach reklamują strasznie dużo kremów na zaczerwienioną skórę. Wiem, bo widziałam. Jak wrócimy do Londynu, to je pokupujemy. Panienki ojciec pewnie kupi wszystkie naraz. Hrabia przesłał mu wiadomość, żeby się nie martwił, że panienka gdzieś przepadła.



Linnet zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie ojca zmartwionego jej długą nieobecnością.

- A nawet, jeśli skóra panienki nie będzie taka piękna jak przedtem, to i tak nic nie znaczy, bo przecież niedługo panienka będzie hrabiną, a potem księżną.

Linnet gwałtownie otworzyła oczy.

- Każdy widzi, że on kocha panienkę do szaleństwa - dodała pokojówka z uśmiechem. - Poza tym powiedział swojemu ojcu i markizowi, że się z panienką ożeni. Przyjechali tu razem drugiego dnia, żeby zobaczyć, jak się panienka czuje. Nie wpuścił ich do środka, ale powiedział, że jak panienka przeżyje, to się z panienką ożeni. Trzej lokaje to słyszeli, więc wiem, że to prawda.

- Nie - odpowiedziała Linnet. Nigdy nie wyjdzie za Piersa. Nigdy nie wyjdzie za nikogo, a już na pewno nie za hrabiego Marchant.

Eliza nie usłyszała jej protestu.

- Wyjrzę i zobaczę, co się da dla panienki zrobić. Na pewno jest jakiś balsam dla takiej skóry.

Po chwili Linnet usłyszała, jak woła przez drzwi:

- Nie obchodzi mnie, że śpi. Muszę czymś posmarować tę skórę.

Odpowiedział jej jakiś pomruk.

- Dobrze, dobrze. - Wróciła do pokoju, wymachując słoikiem.

- Wysmaruję panienkę tym czymś - powiedziała i powąchała jego zawartość. - Pachnie piwem. Piwem i sosną.

Zresztą, nieważne czym pachnie, byle tylko działało, prawda?

Linnet pozwoliła nasmarować się oleistą, pachnącą mazią, na brzuchu i na plecach.

- Wielki Boże, tu jest jeszcze gorzej - wykrzyknęła Eliza, smarując jej pośladki. - Choć wydawało mi się to niemożliwe.

Kolejne łyzy wsiąkły w poduszkę.

Kiedy Piers wrócił do pokoju - wszedł bez pukania, jak do własnej sypialni - Linnet podjęła już decyzję. Było rzeczywiście za wcześnie na powrót do Londynu. Najpierw musi nabrać sił.

Wypiła tyle bulionu, ile tylko mogła, wiedząc, że im szybciej dojdzie do siebie, tym szybciej będzie mogła wyjechać. Pochylił się, jakby chciał ją pocałować.

- Idź sobie - wychrypiała, odwracając twarz. Wyprostował się i rzucił jej chmurne spojrzenie.

- Czuć cię browarem. Czym cię wysmarowali?

- Balsamem - wyjaśniła Eliza, pokazując pusty słoik.

- Powiedziałem Neythenowi, żeby to przysłał do smarowania rąk dla tutejszej pomocy kuchennej. Pomyślałem sobie, że na pewno nie zaszkodzi - powiedział Pierś.

- Musiałam coś zrobić - broniła się pokojówka. - Moja najdroższa panienka nie może tak wyglądać. W tym stanie nie będzie mogła chodzić po ulicy, bo zrobi się zbiegowisko.

Nigdy, przenigdy nie spojrzę w lustro.

- Idź stąd - powtórzyła chrapliwie.

- Mogłem się domyślić, że będziesz jedną z tych kapryśnych pacjentek - odpowiedział.

Więc Linnet popatrzyła na Elizę. A pokojówka, niech jej Bóg wynagrodzi, stanęła do boju z bestią.

- Moja pani chce, żeby milord wyszedł z pokoju. Ponieważ me może mówić, proszę o to w jej imieniu.

- Dobrze - warknął. Podeszedł do drzwi i odwrócił się w progu. - Później przyniosę ci kolację. Chyba już czas na coś bardziej konkretnego niż bulion.

Linnet rzuciła Elizie zrozpaczone spojrzenie. Pokojówka znowu zrobiła krok naprzód, jakby stała na straży jej łóżka.

- Jeśli przyniesie pan kolację, milordzie, dopilnuję, żeby panienka zjadła wszystko, do ostatniego okruszka. Ona na razie nie życzy sobie towarzystwa.

- Ja nie jestem żadne towarzystwo! - ryknął. Eliza skrzyżowała ręce na piersi.

- Na litość boską - mruknął w końcu i wyniósł się za drzwi Linnet usłyszała stuk jego laski, który w końcu ucichł na końcu korytarza.

Eliza podeszła do łóżka.

- Nie dam rady utrzymać go z dala na długo - powiedziała, patrząc na Linnet z góry. - To lekarz. Widział panienkę w gorszym stanie. Był z panią sam na sam tej pierwszej nocy.

Kolejna łza spłynęła Linnet po policzku. Eliza usiadła i bez wahania położyła dłoń na jej ramieniu.

- Dobrze już, dobrze. Niech się panienka porządnie wypłacze, należy się to panience jak nikomu innemu.

Podobne sceny rozgrywały się przez cały następny tydzień. Pierś wdzierał się do pokoju, a Eliza go przeganiała.

Linnet czasem miała wrażenie, że zaczyna ich to bawić. Po kilku dniach Eliza bez obawy wydzierała się na hrabiego.

A Pierś nigdy nie miał oporów przed podnoszeniem głosu. Stanowili niezłą parę.

Ale raz czy dwa razy pochwyciła wyraz twarzy Piersa, kiedy na nią patrzył, i wiedziała, że go tym rani. Dobrze rozumiała dlaczego.

- Ale to nie ma znaczenia. Naprawdę - szeptała do siebie w środku nocy. - Ja nie mogę... nie mogę zostać księżną. To niemożliwe. Nie do pomyślenia.

Pierś uznał w końcu, że można ją przewieźć do zamku. Eliza chciała ubrać ją w suknię, ale Linnet się nie zgodziła.

Mogła już cicho mówić.

- Prześcieradło - zachrypiała. - Jest większe. Eliza natychmiast zrozumiała, o co chodzi.

- Panienci włosy zaczynają się już kręcić. Dobrze to wygląda. Jak jedna z tych krótkich fryzurek, które teraz się nosi.

Mówi się, że są *a la mode*, więc pewnie to kolejny pomysł francuskich dam.

Włosy były nieważne, wiedziała, że odrosną. Ale na myśl, że opuści ten pokój i ludzie będą na nią patrzeć, robiło jej się niedobrze. A raczej słabo.

W końcu jednak pojechała do zamku. Zawinęli ją w prześcieradło jak mumię, a Buller, stangret Piersa, przeniósł ją na rękach do powozu.

Wyjazd z gospody nie był taki straszny... ale kiedy dojechali do zamku, powitał ją tam Prufrock z lokajami. Księżę też zszedł

na dół. Na widok współczucia w jego oczach Linnet natychmiast zaczęła się modlić o szybką śmierć.

Ale ponieważ zgon nie nadchodził, zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że to wszystko jest jakimś złudzeniem. Że tak naprawdę jest w Londynie i tańczy z księciem Augustem. Księżę uśmiecha się i patrzy na nią, jakby był bez pamięci zakochany.

- Pewnie, że wszystko jest dobrze - szorstki głos Piersa przerwał jej sen na jawie. - Wygląda jak homar i jest dwa razy bardziej drażliwa.

Taniec... Księżę August wirował z nią wkoło. W przelocie widziała wpatrzone w nią, pełne zazdrości twarze. Jej suknia szeleściła...

- Nie, po prostu ma atak hysterii - warknął Piers, a potem dodał obojętnie: - Niech ktoś pokaże Bullerowi drogę do jej sypialni.

Zamknęła oczy. Buciki Elizy postukiwały po schodach przed nimi. Buller sapął ze zmęczenia.

- Przepraszam, jeśli jestem za ciężka - powiedziała. Odzyskała już normalny ton głosu.

- Skądże znowu, panienko - odparł życzliwie Buller. Życzliwość była okropna, gorsza niż uczucie, kiedy cała sala balowa się od niej odwróciła. Szczerze mówiąc, wołała gniew Piersa.

W chwilę później była już w łóżku.

- Milord prosił, żeby panienka dzisiaj już wstała - powtórzyła Eliza. - Może nawet panienka zejść na kolację.

- Nic z tego - odparta twardo. Kiedy nadszedł wieczór, zamknęła oczy, ale sen nie przychodził. Wsłuchiwała się w odgłosy zamku, odległy brzęk naczyń, skrzypienie podłóg, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Mijały dni. Jadła wszystko, co Eliza przynosiła do pokoju, posłusznie chodziła wokół łóżka, żeby nabrać sił, ale stanowczo odmawiała wyjścia na zewnątrz. Piers przestał ją odwiedzać, bo rzucała w niego poduszkami, gdy tylko pokazał się w drzwiach, i nie słuchała jego gadaniny.

- Mam już dość siły, żeby wrócić do Londynu - powiedziała do Elizy pewnego wieczoru. - Czy możesz zawiadomić o tym księcia?

- Powiem mu - odparła niespokojnie pokojówka. - Ale co z...
- Jestem wdzięczna milordowi za troskę i opiekę - odpowiedziała. - Ale nie chcę za niego wychodzić. On mówił mi to samo, zanim zachorowałam. Nie wyjdę za nikogo, kto chce mnie poślubić z litości, Elizo. Nigdy w życiu. Eliza westchnęła i wyszła.

### 34

Chce wyjechać - powiedział książę.

- Bzdura - zirytował się jego syn. - Nie może jeszcze podróżować.
- Jej pokojówka mówi, że ma dość sił i że wczoraj cały dzień była na nogach.
- Ciągłe ma stropy na całym ciele. Może złapać zakażenie. Powinna zostać pod opieką lekarza.
- Czy takie zakażenia często się zdarzają?

Piersa zirytował współczujący ton ojca. Jakby tego było mało, oboje z matką patrzyli sobie w oczy jak para oczadziałych nastolatków. Odwrócił się i przecesał włosy. Tasiemka spadła na ziemię.

- Raczej nie - przyznał.
  - Może wróci do ciebie, jeśli pozwolisz jej odejść - mruknął książę. - Kiedy wydobrzeje.
  - Nie wróci. - Pierś ruszył ogrodową ścieżką, ścinając wysokie trawy smagnięciami laski.
- Ojciec szedł obok niego.
- Kocha cię przecież. Dlaczego miałyby do ciebie nie wrócić? Ja wróciłem.
  - I co, teraz czekasz na czułe pojednanie? - Pierś zatrzymał się, by oszczędzić kwiatową rabatę.
  - Jeśli zechcesz.

Stał nieruchomo, dając do zrozumienia, że się zgadza. Książę odetchnął głęboko.

- Wiem, że ci się to nie spodoba, ale muszę cię w końcu przeprosić za to, że doprowadziłem cię do kalectwa i zrujnowałem ci życie. Gdyby to się na coś przydało, chętnie dałbym sobie uciąć nogę dla ciebie albo...

- Twoja śmierć wiele nie pomoże - stwierdził Pierś. Ojciec miał takie same oczy jak on. W wyobraźni zawsze widział je ze zwięzonymi źrenicami i błyskiem opiumowego szaleństwa.

To były wspomnienia z dzieciństwa. Teraz stał przed nim mężczyzna pełen nie tylko żalu, ale i siły. Pełen miłości.

- Wybaczam ci - powiedział Pierś spokojnie. Nie najlepiej mu wychodziły takie sceny, więc przez chwilę zastanawiał się, co Linnet kazałaby mu powiedzieć. Szkoda, że zamknęła się w wieży i odgrywa Śpiącą Królową. W oczach ojca zalśniły łzy.

- Ale ja sam nigdy sobie tego nie wybaczę. Nigdy - powiedział.

Wtedy Pierś domyślił się, co doradziłaby mu Linnet. Otworzył ramiona, a ojciec podszedł, by go przytulić jak niegdyś w dzieciństwie.

Wszystkie te emocje jeszcze bardziej go rozdrażniły, więc odsunął się i warknął:

- Tak przy okazji, nie zrujnowałeś mi życia.

- Cierpisz ból nie do zniesienia - odpowiedział ojciec, opuszczając ramiona. Pierś ściał laską przywiedłą stokrotkę.

- Nie załamało mnie to. Jestem fantastycznym lekarzem. Gdybyś się nie uzależnił, pewnie w ogóle nie zajmowałbym się leczeniem. - Spojrzał nachmurzony na ojca. - Wolałbym umrzeć, gdybym nie mógł być lekarzem.

Książę uśmiechnął się kątem ust.

- Nie masz rodziny ani przyjaciół - rzucił kolejny argument.

- Bujda. Mam Sebastiena. Sam przysłałeś mi Prufrocka. I mam Linnet, jeśli uda mi się ją zatrzymać.

- Postaraj się - poradził mu ojciec. - Pod warunkiem, że twoje życie nie leży w ruinach.
- Ale ona chce wyjechać. - Pierś zdekapitował kolejny kwiat. - Nie rozmawia ze mną. Napisałem do niej list, a pokojówka powiedziała mi, że Linnet go podarła, nie zagładając do środka.
- Kiedy zapragnąłem cię zobaczyć i poznać, po prostu ruszyłem do Walii, choć wiedziałem, że będziesz wściekły. Linnet była tylko wymówką.
- Za każdym razem, kiedy wchodzę do pokoju, odwraca się i chowa. - Dwa kolejne kwiaty utraciły główki. Ojciec lekko wzruszył ramionami gestem, który Pierś dobrze pamiętał z dzieciństwa. Gestem rozbawionej akceptacji. Zawsze myślał, że pamięta ojca tylko będącego pod wpływem opium. Ale wyraźnie było inaczej.
- Może powinienem odwiedzać ją nocą.
- Czemu nie. A przynajmniej o zmroku. Nie będzie się musiała wstydzić, że na nią patrzysz.
- Co za bzdura. Przecież sam wyciągnąłem ją z tego kurnika. Doskonale wiem, jak ona wygląda!
- Według twojej matki, głównym problemem jest wygląd jej skóry.
- Dlaczego? - Pierś przeczesał dłonią włosy.
- Linnet cierpi z powodu swej brzydoty.
- Przecież nie straciła urody! Tylko jej skóra wygląda inaczej, reszta została bez zmian.
- Ale Linnet uważa, że straciła urodę. To musiał być potworny szok dla tak pięknej kobiety.
- Trudno się dziwić. - Nachmurzony, ściał kolejne trzy kwiaty. - Jest na tyle próżna, że zamierza mnie odrzucić z tego powodu, więc to musi być coś ważnego. Na samym początku epidemii, tego dnia, kiedy razem z mamą wyskoczyliście przed okno, Linnet błagała mnie, żebym się z nią ożenił. Powiedziała, że dla mnie może nawet wystawić się na pośmiewisko. Ojciec tylko skinął głową.

- Ale ewidentnie ta cała miłość sprowadzała się tylko do kontrolowania mnie za pomocą urody. - Pierś wbił łaskę w ziemię. - Albo coś w tym rodzaju.

- Moim zdaniem, Linnet uważała, że jest nie dość dobra dla ciebie. Nie widziałem żadnych oznak wskazujących na to, że chce cię kontrolować.

Pierś wybuchnął suchym śmiechem.

- Ze jest dla mnie nie dość dobra? Dla kaleki o wybuchowym charakterze i niewyparzonym języku?

- Zależy jej tylko na tobie. Jestem przekonany, że do tej pory nikt inny jej się nie spodobał, choć zalecali się do niej księżęta i w ogóle wszyscy przyzwoici kawalerowie spośród socjety. Tam raczej nie ma ludzi o wybuchowych charakterach.

- Durnie, wszyscy razem i każdy z osobna - mruknął Pierś.

- Dołączysz do nich, jeśli pozwolisz jej odejść.

- Nigdy nawet nie śmiałem marzyć o kimś takim jak ona. Ani o życiu u boku takiej osoby.

- Więc zacznij marzyć teraz, póki masz ją pod ręką. Kiedy jesteście razem, widać, że...

- ...jest moją drugą połową - dokończył gniewnie Pierś, wbijając wzrok w ziemię. - Moją cholerną drugą połową.

Stary Platon widać nie żartował. Nie potrzebowałem w życiu nikogo, aż tu nagle zjawia się ona.

Ojciec położył mu dłoń na ramieniu.

- Idź i powiedz jej to.

Pierś przełknął ślinę. Straszny pomysł. Udało mu się zwierzyć ojcu, ale powtórzyć to kobiecie, która nie chciała nawet na niego patrzeć, to zupełnie inna sprawa. Wokół jego stóp leżało mnóstwo kwiatowych płatków.

- Powiedziałeś coś podobnego *maman*?

- Nie. Nie chciała mnie słuchać.

W jego głosie zabrzmiało rozbawienie. Pierś uniósł dłoń.

- Nie chcę o tym wiedzieć.

Ojciec uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Po prostu zrób wszystko, co będzie trzeba.



Po południu plan był gotowy. Instynktownie czuł, że nocne odwiedziny u Linnet tylko pogorszą sprawę. Nie wiedział dlaczego, ale ponieważ zawsze ufał swojemu lekarskiemu wyczuciu, postanowił kierować się intuicją również w przypadku Linnet.

Niestety, musiał prosić o pomoc. Zaloty do tej kobiety były gorsze niż prace Herkulesa. A on niespecjalnie nadawał się na herosa. Wspomnienie tego, jak czołgał się po korytarzu, goły jak święty turecki, wciąż przyprawiało go o dreszcz.

Przełknął jednak dumę i poprosił o pomoc. Niech diabli wezmą samowystarczalnego Herkulesa.

- Co takiego? Chcesz, żebym wszedł do sypialni Linnet? - spytał przerażony Sébastien. - Nie ma mowy!

- Przecież będę tam z tobą, ty kretynie - odpowiedział. - Weźmiesz ją tylko na ręce i przeniesiesz nad basen.

Sébastien otworzył usta ze zdziwienia.

- Nic z tego! - jęknął. - Oszalałeś?

- Czy kiedykolwiek pomyliłem się przy diagnozie?

- Oczywiście, że tak! Pierś machnął ręką.

- Ale w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto się nie myłę, prawda?

- A co to ma do rzeczy?

- Postawiłem diagnozę, a teraz muszę wyleczyć pacjentkę. Kuzyn zlustrował go wzrokiem.

- Będzie pewnie wrzeszczała wniebogłosy.

- Nie będzie - zapewnił go Pierś. - Kazałem Prufrockowi, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Za bardzo wstydzi się swojego wyglądu, by zwracać na siebie uwagę.

- Dalej jest tak strasznie? - spytał Sébastien. Pierś wzruszył ramionami.

- A kogo to obchodzi?

- Ja, ty idioto.

- Po prostu chodź ze mną, przenies ją na rękach i oszczędź mi kazania.
- A jeśli nie będzie się chciała do mnie odzywać przez resztę życia? - jęknął Sébastien.
- Kiedy za mnie wyjdzie, będziecie oboje mieszkać w tym samym zamku. Prędzej czy później zacznie się do ciebie odzywać, choćby przy śniadaniu.

Ale Sébastien protestował przez całą drogę na piętro. Pod drzwiami sypialni złapał Piersa za rękę.

- Przecież ona mnie za to znienawidzi. Nie chcę tego.
- Nie bądź głupi - warknął Piers. Z trudem radził sobie z własnymi wątpliwościami, więc nie miał ochoty rozwiewać skrpułów Sébastiena. Nacisnął klamkę.

Wszystko poszło łatwo. Gdy tylko Linnet go zobaczyła, zanurkowała pod kołdrę. W niecałą sekundę zawinęli ją w prześcieradło.

Wydawała stłumione okrzyki i próbowała się wyrwać, ale nie mogła, mając unieruchomione ręce i nogi.

- Jesteś pewny, że jeszcze oddycha? - spytał Sébastien, ciężko stąpając po ścieżce.

Piers uszczypnął ją przez prześcieradło, wywołując szarpaninę. Spod prześcieradła dochodziły wściekłe okrzyki.

- Na to wygląda - odpowiedział flegmatycznie.
- Co dalej? - spytał Sebastian, gdy doszli do basenu.
- Połóż ją tutaj - polecił Piers. - Na tej płaskiej skale. Nie udałoby mi się to bez ciebie, ale teraz nie zamierzam cię zatrzymywać. Nie musisz po nas przychodzić. Mojej ukochanej na pewno wystarczy pary, żeby wrócić do zamku o własnych siłach.

Kaskada dźwięków dochodząca spod płótna przybrała ton, który można było określić jedynie jako obelżywy.

Sébastien odszedł, wzruszając ramionami. Piers odczekał, aż kuzyn zniknie za zakrętem, i powiedział:

- Dobra, możesz się z tego wyplątać. Poszedł sobie. Prześcieradło niemal eksplodowało. Piers skrzyżował ramiona na piersi i czekał, aż Linnet wychynie na świeże powietrze. Miała na sobie tylko cienką koszulkę, więc swobodnie napawał się widokiem.

- Nie waż się na mnie patrzeć! - krzyknęła. I nagle zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Dzień był cudowny i upalny. Na błękitnie nieba snuły się smugi obłoków jak delikatne pasma koronki ponad kołującymi morskimi ptakami.

- Och - szepnęła. - Przyniosłeś mnie nad basen.

- Zdejmij koszulkę, to popływamy - zaproponował.

Nie słyszała; wpatrywała się w dziwnym rozmarzeniu w błękitną wodę.

- Koszulka - powtórzył, ściągając buty. - Zdejmij ją. Odwróciła się wreszcie.

- Nic z tego - powiedziała nachmurzona.

- Jak sobie życzysz - odparł i rzucił swoją koszulę na bok.

Jej oczy obojętnie przesunęły się po jego torsie. Ściągnął spodnie.

- Szkoda fatygi - odparła. - Nie zamierzam pływać i nie życzę sobie niczego bardziej intymnego. - Widać było, że zadygotała na samą myśl.

To go zaniepokoiło. Zamiast odpowiedzi bez słowa pchnął ją w plecy między łopatkami.

Z krzykiem wpadła do basenu, a po chwili wynurzyła się, plując wodą.

- Natychmiast mnie stąd wyciągnij! - wrzasnęła. - Skóra mnie piecze, a do tego zamarzam!

- To zacznij pływać - odparł, ściągając gatki. Znowu miał erekcję. Wskakiwanie w tym stanie do basenu nie było jego ulubioną rozrywką, ale nie miał wyjścia.

Widział, że Linnet mu się przygląda. Skoczył ze skały na główkę i podpłynął do niej. Naturalnie dzwoniła już zębami.

- Woda wcale nie jest aż tak zimna - powiedział. - Słońce świeci od trzech dni. Zacznij się ruszać. - Przecząc swoim słowom, przyciągnął ją do siebie jak zwykle. Od wielu dni nie byli tak blisko i czuł się tak... tak... Zacisnął zęby jak w pierwszej fazie ataku serca.

- Musimy popływać - powiedział, odsuwając ją od siebie. -Ruszaj!

- Dopiero co byłam chora - mruknęła bez przekonania.

- A teraz jesteś zdrowa. Marudzisz. - Uśmiechnął się, widząc jej gniewną minę, a potem wyciągnął rękę i uszczypnął ją w pośladek.

Zmrużyła oczy.

- Nie waż się mnie dotykać. Nigdy.

- Właśnie, że będę, kiedy tylko zechcę - odparł. - Jesteś moja. Zacznij pływać albo zamarzniesz. - Nie wdając się w dalszą dyskusję, odwrócił się i powoli popłynął w stronę drugiego brzegu basenu. Po jakiejś sekundzie wyczuł, że Linnet płynie w ślad za nim.

Kiedy noga najgorzej dawała mu się we znaki, tak że nie potrafił myśleć o niczym innym poza bólem, pływanie w basenie sprawiało, że czuł się wolny. Woda oczyszczała myśli, oddalała chęć sięgnięcia po laudanum i brandy. Oraz myśl o samobójstwie.

Teraz płynął powoli, by w razie potrzeby pomóc Linnet. Miał nadzieję, że ona także dozna ukojenia. Gdy byli na drugim końcu, chwyciła się skały i przez chwilę ciężko oddychała. Chciał ją przytulić, ale powiedziała tylko:

- Dam sobie radę. - Odepchnęła go i ruszyła w przeciwnym kierunku.

Tym razem popłynął za nią. Doskonale radziła sobie bez pomocy, a poza tym mógł swobodnie przyglądać się jej nogom.

Kiedy dotarli do skały, była wykończona. Sapała i dyszała. Podsadził ją, a potem sam wspiął się na brzeg.

- Już wychodzisz? - spytała, pomykając w kierunku ręczników jak wystraszony królik.

- Muszę cię pilnować, żebyś nie uciekła. Wciąż odwracała się od niego tyłem.

- A dokąd pójde? Przecież nie mam ubrania.

- Oczywiście. Zupełnie zapomniałem - odpowiedział. - Taki tchórz jak ty za nic się nie pokaże bez odpowiedniej oprawy.

Wskoczył z powrotem do wody i zaczął pływać, upewniając się od czasu do czasu, czy Linnet wciąż siedzi na skale. Zawinęła się w prześcieradło i ręczniki aż po koniuszek czerwonego nosa.

Ledwie przepłynął basen jeszcze dwa razy, spokój i słońce przełamały jej opory. Odłożyła ręczniki i prześcieradło, a nawet

zdjęła koszulkę. Wyciągnęła się na skale jak syrena i chłonęła słoneczne ciepło.

Po pięciu nawrotach uznał, że wystarczy jej tego dobrego.

Podciągnął się na obramowanie basenu, podszedł do niej i potrząsnął głową. Kropelki zimnej wody opadły na rozgrzane ciało, aż pisnęła z zaskoczenia.

Poczuł, że znowu ma wzwód. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej postać na skale, a ciało natychmiast zapomniało o zimnie i znużeniu.

- Owiń się ręcznikiem - poleciała z urazą, ale spoglądała na niego z nieco mniejszą niechęcią niż przedtem. - Jak mogłeś?! -wybuchnęła.

- Co mogłem? Mogłabyś mi wytrzeć nogi? Wiesz, że nie dam rady przez tę laskę.

Spróbował proszącego spojrzenia, ale zmrużyła tylko oczy:

- Wyschniesz na słońcu.

Pogładził się pieśczołliwie, wbijając w nią wzrok.

- Ty byś rozgrzała mnie szybciej.

- Jak możesz mnie pożądać. Mnie, z takim wyglądem? -Gwałtownie przełknęła ślinę, ale Pierś uznał, że na pewno nie potrzeba jej litości. Zresztą, nawet gdyby pomyślał inaczej, jej kolejny komentarz osadziłby go w miejscu.

- W życiu nie słyszałam tak kiepskiego komplementu - stwierdziła.

- Kocham cię nie tylko za wygląd, choć ty może sądzisz inaczej. Na przykład uwielbiam ten ostry języczek. Nie ma sobie równych - odpowiedział.

- Wcale nie kocham cię za urodę - mruknęła. - Gdyby tak było, wybrałabym Sebastiena.

- A ja siostrę Matyldę. Parsknęła ironicznie.

- Ostatnio wygląda zdecydowanie lepiej od ciebie - dodał. Jak się tego spodziewał, usiadła gwałtownie i zmierzyła go płonąącym spojrzeniem.

- Jesteś podłą świnią. Jak mogłeś mi to powiedzieć!

- Ach, ta jej kremowa skóra - szepnął z rozmarzeniem. - Jak płatki orchidei.

Wydała odgłos niegodny damy.

- Parskasz czy... - zakpił. - Boże wielki, jakie to niesmaczne. Mam nadzieję, że moja słodka Matylda nie nabierze tego zwyczaju, zanim poproszę o jej rękę. Zaraz zaraz, ja chyba mam już narzeczoną.

Zakryła się prześcieradłem, opadła na plecy i zamknęła oczy.

- Jesteś żaloszny.

Położył się obok niej. Milczeli razem przez chwilę, jakby tylko oni byli na świecie, a oprócz tego nikogo - poza kulikiem, który powtarzał swą niemelodyjną śpiewkę, przycupnięty na pobliskiej skale.

Kiedy usiadł, zobaczył w otwartych oczach Linnet tyle bólu, że serce mu się ścisnęło. Nie odwróciła wzroku i nie odezwała się ani jednym słowem.

Zanim odgadła jego zamiary, Piers ściągnął z niej prześcieradło.

Myślał, że krzyknie i zasłoni się rękami, ale leżała nieruchomo, odwracając od niego twarz. Zdążył zauważyć, że policzki ma mokre od łez.

- Patrzę na ciebie - powiedział tonem towarzyskiej rozmowy.

- Patrz sobie do woli - warknęła. - Nic na to nie mogę poradzić.

- Jesteś jeszcze czerwona, ale zaczyna ci już schodzić skóra. Boże, jak ty wyglądasz!

Usiadła jak lalka na sprężynie, popatrzyła na siebie i wrzasnęła tak przenikliwie, że kulik poderwał się do lotu.

- Słona woda ma działanie lecznicze - powiedział, podnosząc prześcieradło i delikatnie masując jej skórę. - Spójrz tylko. Pod spodem nie jesteś już taka czerwona. I nie masz blizn, przynajmniej na brzuchu.

- To zejdzie? - spytała, wyraźnie wstrząśnięta.

- Oczywiście, że zejdzie - odpowiedział. - Te strupy pokrywały gojące się pęcherze i chroniły je przed zakażeniem.

Zdaje mi się - powiedział, odrywając złuszczonego naskórek - że zaraz cała skóra się złuszczy, może z wyjątkiem pleców. Słońce i morska woda zrobiły swoje.

- Myślałam, że tak już zostanie - powiedziała tak cicho, że ledwie słyszał jej głos wśród huku fal rozbijających się o urwisko na dole.

- Gdybyś zapytała, to bym ci powiedział. Ale ponieważ ze mną nie rozmawiałaś, nawet nie wiedziałem, że boisz się czegoś tak idiotycznego.

Nigdy w życiu nie widział tak zbuntowanych ust.

- Co gorsza - dodał, nie patrząc na nią - straciłaś we mnie wiarę. Powiedziałaś, że kochasz mnie do tego stopnia, że nie boisz się ośmieszenia. Ale kiedy przyszło co do czego, nie zgodziłaś się nawet na cień poniżenia. Nie chciałaś się ze mną widzieć w cztery oczy, bo bałaś się, że cię wyśmieję. Nie chciałaś widywać się ze mną publicznie, bo wstydziałaś się Prufrocka.

Tym razem on ułożył się na plecach i przesłonił oczy dłonią.

- Kocham cię - odpowiedziała z poczuciem, że smutek Piersa odbiera jej zdolność racjonalnego myślenia. - Ale przecież z takim wyglądem nie mogę być księżną. Nie chcę, żeby ktokolwiek żenił się ze mną z litości. Nie wyjdę za ciebie, bo wyglądam jak jakaś straszna...

- Bestia? - wtrącił. - Tego słowa szukałaś?

- Nie.

Usiadł i wbił w nią płonący wzrok.

- Kochałaś mnie tylko wtedy, kiedy byłaś piękna. Wiedziałaś, że możesz mną manipulować - tak samo jak manipulujesz innymi mężczyznami, posyłając im ten twój uśmiech.

- Nie! - krzyknęła. - Nie o to chodziło.

- A o co? - zdenerwował się. - Jednego dnia błagasz, żebym cię poślubił, obiecujesz na mnie czekać, a następnego nie chcesz na mnie nawet spojrzeć. - W jego głosie brzmiały gniew i uraza.

Popatrzyła na swoje ciało. Było całe czerwone i schodziła z niego skóra, ale w świetle słońca i w towarzystwie Piersa nie wydawało się już takie potworne.

- Myślałam, że będziesz się brzydził - powiedziała z trudem. - Nie chciałam, żebyś się ze mną żenił z litości. Nie chciałam, żebyś jeszcze do tego wszystkiego miał brzydką żonę.

- Litość to uczucie, którego raczej nikt ze mną nie kojarzy. Co więcej, ja nie mam żadnych oporów, żeby się z tobą ożenić, a przecież jestem bestią.

- To nie jest tak do końca prawda - odparła powoli. - Powiedziałeś mi, że mnie pragniesz, ale że się ze mną nigdy nie ożenisz. Powiedziałeś, że jestem piękna i chętna, ale że będziesz też pożądał innych, więc mam o tobie zapomnieć. Jego okrutne słowa zawisły w powietrzu między nimi.

- Masz rację - odparł Pierś. - To było podłe.

Urazę w jego głosie zastąpiła taka pustka, że Linnet nie wiedziała, co ma mówić dalej.

- Odrzuciłem cię, bo bałem się, że któregoś dnia się jednak uzależnię. W dalszym ciągu się boję, że moje wybuchy złości cię unieszczęśliwią.

Nagle ogarnęło ją przerażenie, że Pierś ją zostawi, choć ledwie godzinę temu gorąco pragnęła, żeby już nigdy więcej go nie oglądać.

- Złamałeś mi serce, odpędzając mnie od siebie - powiedziała, obejmując ramionami kolana. - Byłam bardzo nieszczęśliwa. Ale kiedy zachorowałam i leżałam w kurniku, zrozumiałam, że mnie kochasz.

Zapadła cisza. Znowu odezwał się kulik, nieco dalej od nich.

- Powiedziałam, że mnie kochasz - powtórzyła.

- Kocham - potwierdził nieomal z irytacją.

- Postanowiłam sobie, że jeśli przeżyję, nie pozwolę ci się nigdy więcej zastraszyć tak jak wtedy, kiedy mnie odrzuciłeś. - Wyciągnęła dłoń, żeby go dotknąć, i pogładziła palcami po udzie. - Ale później, kiedy stałam się taka brzydka, doszłam do wniosku, że z takim wyglądem nie mogę zostać księżną.

- Rozumiem, że wszystkie księżne muszą być piękne - stwierdził. - To jedno z wymagań na tym stanowisku.

- Powinny przynajmniej nie straszyć ludzi swoim wyglądem.

- I dlatego uznałaś, że możesz mnie odrzucić, bo wyglądasz jak kandydatka do jarmarcznej budy z osobliwościami. A co potem? Posiłki do pokoju przez następnych pięćdziesiąt lat?



- Postanowiłam, że gdzieś się ukryję - odparła drżącym głosem. - To wszystko.

Milczenie. A potem:

- Akurat przede mną nie musisz się ukrywać, Linnet.

- Przepraszam - szepnęła.

- Serce mi pękało, gdy byłaś bliska śmierci, a potem znowu je zламаłaś, kiedy wyrzuciłaś mnie z pokoju.

Nie mogła znieść bólu w jego głosie i świadomości, że tak bardzo go skrzywdziła, więc pchnęła go, by z powrotem położył się na skalnej ścianie. Jego ciało było ciepłe i silne. Znajome i kochane.

- To co, pocałujesz mnie na zgodę? - zapytał z czułą ironią.

- Zamknij się - odpowiedziała. Musnęła wargami jego usta. Wysunęła na moment język, by ich posmakować.

- Widzę, że próbujesz mnie uwieść starymi sposobami, skoro urodą już nie możesz.

Ale ona dobrze wiedziała, kiedy jest naprawdę zły, a kiedy nie. Teraz nie miał zamiaru jej zranić. Ogarnęła ją radość i odpowiedziała gardłowo:

- Na to wygląda. - Potem skubnęła go w wargę, tak jak ją sam nauczył.

Pierś rozchylił usta i na chwilę oboje ulegli uczuciu. Ale potem odsunął się od niej.

- Nie mogę - powiedział.

Linnet pochyliła się w jego stronę. W jego głosie było coś, co wzmagало jej podniecenie.

- Dlaczego? - mruknęła gardłowo, być może dlatego, że jednocześnie całowała jego podbródek.

- Bo jesteś zbyt brzydka. Nie sypiam z brzydulami. Nigdy bym takiej nie pokochał.

Serce Linnet na moment przestało bić, ale zaraz zrozumiała, do czego jest ta aluzja.

- A ja, milordzie, pokocham tylko mężczyznę, który da radę przenieść mnie przez próg. Który mi obieca, że nigdy nie dotknie laudanum i nie podniesie na mnie głosu. Potrafisz to zrobić?

Spojrzał na nią głębokimi, lśniącoymi, inteligentnymi i pełnymi miłości oczyma.

- Przecież tam, w gospodzie, przeniosłem cię przez próg - odparł równie niskim, gardłowym głosem. - Czy to się liczy?

- Może kiedyś znowu będę piękna - odpowiedziała. - A może nie.

Przełożył się na bok, by na nią popatrzeć, i spotkały się ich spojrzenia, w których płonąła miłość - taka miłość, która potrafi wyrwać człowieka z objęć śmierci, nigdy nie gaśnie i nigdy nie zawodzi.

Miłość, która nie zależy od urody, charakteru ani kalekich nóg.

- Przysięgam, że będę trzymał w ryzach temperament - obiecał. - Choć zdaje mi się, że trochę mnie odmieniłaś.

Chyba nie jestem już taką bestią jak przedtem.

- Nie mogę obiecać, że nie umrę i kiedyś nie zostaniesz sam. Poza tym chyba zapomniałam ci podziękować za uratowanie życia.

- Kocham cię. - Głos załamał mu się ze wzruszenia. - Kiedy myślałem, że umrzesz, sam chciałem się zabić. Od chwili kiedy wyszłaś przez to cholerne okno, marzyłem, żebyś do mnie wróciła.

Pogładziła go po policzku.

- Więc wróciłam.

- Pojechałbym za tobą, nawet gdybym się nie bał, że zachorowałaś. Naprawdę chciałem zostawić pacjentów.

Myślałem o tym całymi nocami.

- To byłoby niegodziwe - odparła stanowczo. - Nie moglibyśmy spojrzeć ludziom w oczy na naszym weselu.

- To znaczy, że jednak będzie wesele? - Zajrzał jej w oczy. - Niełatwo będzie załatwić ślub w sypialni, ale myślę, że jakoś się uda

Wzięła głęboki oddech.

- Nie lubisz gotowanych homarów?

W jego oczach wyczytała, że jej wygląd wcale mu nie przeszkadza.

- Nie jesteś homarem - powiedział, muskając ją wargami - Pod strupami jesteś różowa jak poziomka. Słodka, dojrzała jagódka.

- Mam na drugie imię Jagódka - zachichotała.

- Moja jagódka. - Miał już dość tego gadania, więc przykrył ją swoim dużym, mocnym i dominującym ciałem. - Nie przeszkadza mi, że będę się kochał z kobietą, która obłązi ze skóry. A ty masz ochotę kochać się z mężczyzną, który czasami dostaje napadów furii?

- Czemu nie - westchnęła, ponieważ jego ręka... no cóż, jednak niektóre części jej ciała pozostały równie delikatne jak dawniej.

Musiał najpierw pomasować jej piersi kawałkiem prześcieradła, aż przybrały piękny truskawkowy odcień, ale całkiem im się to podobało. Poza tym ucieszyli się, że na udach Linnet z niewiadomych powodów nie było ani śladu wysypki od wewnętrznej strony.

Kilka innych rzeczy również ich ucieszyło.

Potem ułożyli się na skale, a Pierś pracowicie masował ciało swej ukochanej, by przybrało jednolitą różową barwę.

- Będę miała blizny na twarzy? - spytała z niepokojem Linnet. - Powiedz mi prawdę.

- Nic a nic. W odróżnieniu od królowej Elżbiety. Szczerze mówiąc, choć może nie powinienem ci o tym wspominać, odrobina ryżowego pudru i kaczęta znowu będą padać ci do stóp. - Wyraźnie uznał, że należy skupić się teraz na jej piersiach.

Linnet z wahaniem przesunęła dłonią po policzkach, podbródka i wargach. Jej cera znowu była gładka.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek o tym zapomnę - powiedziała i otrząsnęła się z niesmakiem. - O tym kurniku, o wysypce, gorączce i pragnieniu.

Pierś ujął jej twarz w dłonie.

- Nigdy sobie nie wybaczę, że nie było mnie wtedy przy tobie.

- Tak jak twój ojciec?

- Rozmawiałem z nim - powiedział niechętnie. - Powiedziałem mu wszystko, co ty byś chciała, żebym mu powiedział.

Rozpromieniła się.

- Powiedziałeś, że zawsze mu zależało...

- Nie.

- Przecież nawet nie wiesz, o co mi chodziło.

- Nic w tym stylu.

- No to co mu powiedziałeś? - spytała, nieco rozczarowana.

- Że go kocham. Nie tak dosłownie, ale wiem, że zrozumiał.
- Kiedy byłam bardzo chora, śniło mi się, że matka była ze mną w basenie.
- W wodzie?
- Pod wodą. Cały czas tam odpływałam, bo wtedy nie czułam bólu, było mi chłodno i wilgotno. Ale ona mnie odpychała.

Pierś przycisnął Linnet do siebie.

- Porządna kobieta.
- Też jej wybaczyłam - szepnęła Linnet. - Kochała mnie przecież.
- No cóż, jesteś jak najbardziej godna miłości. Nie tylko z powodu urody. I nie tylko dlatego, że w życiu nie widziałem takiej różowutkiej kobiety.

Łzy zakręciły jej się w oczach.

- Myślałam, że nikt już nie...
- Cicho - odpowiedział i musnął wargami jej usta. - Ja myślałem, że na nikim nie będzie mi w życiu zależało.
- Oboje się myliliśmy - powiedziała i przyciągnęła do siebie jego głowę.
- Słodka jagódko... - szepnął w jakiś czas później.
- Tak? - Pocałunek ją oszołomił; wargi jej napuchły, a serce biło jak młotem.
- Nie mogę się z tobą kochać na tym kamieniu. Przykro mi, że mówię o czymś tak trywialnym, ale obtarłem sobie kolana. Możemy już iść do domu? Moje łóżko jest bardzo miękkie. Nie widziałaś jeszcze mojej sypialni, ale właściwie możesz już się tam zadomowić.
- Do domu - powtórzyła wzruszona.
- Do naszego domu.

Wstali, udrapowali na niej prześcieradło jak grecką tunikę i trzymając się za ręce, poszli do zamku.

Linnet powitała promiennym uśmiechem wszystkich - od Prufrocka aż po księcia. Jej oczy lśniły taką radością, że nikt nawet nie zauważył jej różowej cery.

## Epilog

### ***Kilka lat później***

Nierozumiem, dlaczego mówisz na mamę „jagódka” - spytał chłopczyk swego ojca pewnego letniego dnia. Siedział na skale nad basenem i obserwował, jak mama uczy pływać jego siostrę.

- To nasz sekret - odpowiedział mężczyzna. Patrzył na mamę z dziwnym uśmiechem, nie całkiem zrozumiałym dla chłopca.

- To nielogiczne - stwierdził John Yelverton, przyszły hrabia Marchant i księżę Windebank. - Mama wcale nie wygląda jak jagoda. W odróżnieniu od Evie, która jest tłusta, okrągła i ma czerwone włosy.

Niespecjalnie przepadał za młodszą siostrą. Choć miał dopiero siedem lat, już zdążył się zorientować, że dziewczynka ma jakąś dziwną władzę nad ludźmi. Kiedy się do nich uśmiecha, rozpływają się z zachwyty i dają jej wszystko, czego tylko zapragnie.

Na szczęście mama i tata są inni. Łaskoczą ją wtedy tak długo, aż się naprawdę roześmieje. On tam woli ją szczypać.

- Dawno, dawno temu, twoja mama miała różową skórę - wyjaśnił ojciec. - Naprawdę była wtedy jak jagódka, jak najśłodsza truskawka.

John nieraz widział u rodziców ten wyraz twarzy i niespecjalnie mu się to podobało. Zupełnie nieracjonalne.

Chłopiec lubił jasne sytuacje: wszystko było albo logiczne, albo nie. To maślane spojrzenie? Nieracjonalne.

- Możemy już iść do zamku i zrobić sekcję żabie? - spytał.
- Nie. Tylko jedna żaba na tydzień. Żaby nie są do zabawy.
- Przecież wiesz, że nie mogłem znaleźć pęcherzyka żółciowego. Muszę spróbować jeszcze raz.
- W przyszłym tygodniu - obiecał mu ojciec. - Jestem pewien, że znajdziesz w życiu niejednego pęcherzyk żółciowy. Kolejna bzdura w rodzaju tych, które rodzice bez przerwy mu powtarzali. Wcale mu się to nie spodobało.
- Chcę sekcję! I to już!

Ojciec przestał się gapić na basen i spojrzał na niego. Podniósł palec.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy dziś rano?

- Że mam nad sobą panować - odpowiedział posłusznie mały John. - I że jak poczuję złość w brzuchu, to muszę policzyć do dziesięciu.

- Czy teraz też powinienes?

- Już nie - mruknął niechętnie.

Evie podpłynęła do brzegu, więc ojciec wstał, żeby ją wyciągnąć. Oparł się na lasce i schylił do dziewczynki. Evie złapała go za rękę, a on wyciągnął ją i zakręcił wkoło, aż głośno zapiszczała z radości.

Potem odłożył laskę i obiema rękami pomógł mamie wyjść na brzeg. Znowu się do siebie głupio uśmiechali.

Tato zdjął sobie ręcznik z ramienia i pomógł się jej wysuszyć.

John przewrócił oczami i poszedł zajrzeć do kałuż, które powstały przy odpływie. Może uda mu się znaleźć własną żabę i wtedy tata pozwoli mu na drugą sekcję.

Nie znalazł ani jednej.

- Nie lubią słonej wody - powiedziała Evie, lekko sepleniąc. Przechyliła głowę na bok i posłała mu ten swój uśmiech, którego tak nienawidził. - Nie wiesz nawet tego?

Pociągnął ją za włosy.

Rozpłakała się, a on policzył do dziesięciu.

- Wcale jej nie szarpałem - tłumaczył się przed tatą w sekundę później. - Ani nie wykręcałem. Toby było podłe.

Pociągnąłem ją tylko, i to lekko.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - stwierdził tato, wziął go za rękę i poprowadził ścieżką do zamku. - Następnym razem policz do dziesięciu, zanim ją pociągniesz.

John uśmiechnął się szeroko. Strasznie chciał być taki jak tato. I taki jak dziadek, bo bardzo lubił, kiedy księżę opowiadał mu bajki.

Ale najbardziej chciał być jak tato.

- Może następną żabę zoperuję przed sekcją - zaproponował. - Założę jej gips na nogę. Możemy udawać, że za wysoko skakała.

- Mhm - powiedział tato, bo znowu gapił się na mamę. Trzymała za rękę Evie, która ciągle zanosila się płaczem, choć John doskonale wiedział, że nie zrobił jej krzywdy.

- Kochasz mamę, prawda? - spytał, chcąc, by ojciec wreszcie zwrócił na niego uwagę.

- Bardzo - potwierdził tato. - Nawet nie wiesz jak.

- A ona kocha ciebie - stwierdził John. Lubił mieć wszystko poukładane w głowie.

Mama zaśmiała się.

- Tak, kocham tatę, Johnakins. Nachmurzył się.

- Nie mów do mnie jak do dziecka. Już jestem duży.

- Przepraszam - powiedziała, dotykając palcem jego noska.

- Więc jeśli go kochasz, a on kocha ciebie, a oboje kochacie nas, to po co wam jeszcze jedno dziecko? - Powiedzieli mu, że mama ma dzidzię w brzuchu, ale to nie brzmiało logicznie, choć jej brzuch rzeczywiście zrobił się okrągły.

Mama uśmiechnęła się i wzięła go za rękę.

- Bo nasza rodzina bardzo lubi się kochać - wyjaśniła.

To też było nielogiczne. Przecież tato najbardziej lubił kroić ludzi. Chyba nie warto się o to kłócić, a poza tym...

Jakoś to będzie, pewnie dla tego dzieciaka też wystarczy miłości. Chyba, że to będzie następna dziewczynka.

### ***O d autorki***

*Piękna i bestia* to bardzo stara opowieść. Madame Gabrielle de Villeneuve napisała baśń *La Belle et la Bête* w 1740 roku. Nie będę się tu powoływać na żadną konkretną wersję, bo zrezygnowałam z większości szczegółów, włącznie z magiczną przemianą bohatera. Piers padł ofiarą o wiele mniej baśniowego wydarzenia, które jednak wywarło równie znaczący wpływ na jego życie: mięsień czterogłowy jego uda uległ martwicy, czyli nastąpiła śmierć tkanki mięśniowej.

Nietrudno zgadnąć, że o wiele poważniejszy dług zaciągnęłam wobec bardziej współczesnej opowieści, czyli serialu *Dr House* produkcji stacji telewizyjnej Fox. Szczerze podziwiam błyskotliwych, niekonwencjonalnych i dowcipnych autorów scenariusza. Wprawdzie Piers, mój odpowiednik ich bohatera, czyli doktora Gregory'ego House'a, różni się od swego prototypu tak, jak Linnet różni się od baśniowej Pięknej, ale nie sposób zaprzeczyć, że jego osobowość, nie wspominając już o nodze i pracy zawodowej, to wynik inspiracji postacią wybuchowego diagnosty ze szpitala Princeton-Plainsboro.

Oprócz utalentowanego dr House'a, wzmianka należy się też osiemnastowiecznym lekarzom i chirurgom, którzy walczyli z chorobami bez pomocy badań, urządzeń i terapii, na których tak bardzo polegają ich współcześni odpowiednicy. Wiele szczegółów dotyczących szkarlatyny pochodzi z *Traktatu o chorobach gorączkowych* opublikowanego po raz pierwszy w 1799 roku, pióra



doktora A. Philipa Wilsona, gdzie znalazłam szczegółowe informacje o rozwoju gorączki szkarlatynowej, jak ją wtedy nazywano, oraz całkiem rozsądne wskazówki dotyczące leczenia. Twierdził, że jego pacjenci zawsze zdrowieli. Jego traktat polemizował z nieskutecznymi, a często szkodliwymi metodami lekarzy takich jak niejaki doktor Sims, który w 1796 roku zalecał leczenie szkarlatyny środkami przeczyszczającymi i wymiotnymi. W pewnym sensie doktor Wilson był równie arogancki i bohaterki jak współczesny doktor House.

Pragnę także wspomnieć serię książek o szkole dla dziewcząt z internatem w Kornwalii, pióra Enid Blyton. W szkole tej, zwanej Malory Towers, był wspaniały basen wycięty w nadmorskich skałach, napełniany się wodą podczas przyływu. Gdy czytałam te książki na głos mojej córce, spodobał mi się ten basen i pobudził moją wyobraźnię. Zanim skończyłam całą serię, basen Piersa nabrał własnego, niepowtarzalnego charakteru.

I na koniec, przez cały czas pisania tej powieści w moich myślach rozbrzmiewały strofy *Pieśni miłosnej* J. Alfreda Prufrocka autorstwa T.S. Eliota, choć jej autor pewnie dostałby na myśl o tym palpacji serca. Poemat, dostępny na mojej stronie internetowej [www.eloisajames.com](http://www.eloisajames.com), zadaje pytania na temat czasu i odwagi - czy istnieje „twój czas i mój czas”, czy jest czas na to, by sposobić „twarz, by spotykać twarze, które spotykasz” i czas, by się zastanawiać „czy się ośmielę?” Więc zostawiam cię, czytelniku, z pieśnią miłosną Eliota, w której śpiewają syreny, a ludzie ryzykują zbyt długi pobyt w podmorskich komnatach.